

MOC CZYTANIA: PODWÓJNY NUMER NA BOŻE NARODZENIE

TYGODNIK POWSZECHNY

Kraków 18 – 30 grudnia 2024 nr 51-52 (3937–3938)

cena 20 zł (w tym 8% VAT)

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

TygodnikPowszechny.pl



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379.425



PAMIĘĆ TEATRU

instytut+eatralny
im. Zbigniewa Raszewskiego

WIRTUALNA
WYSTAWA



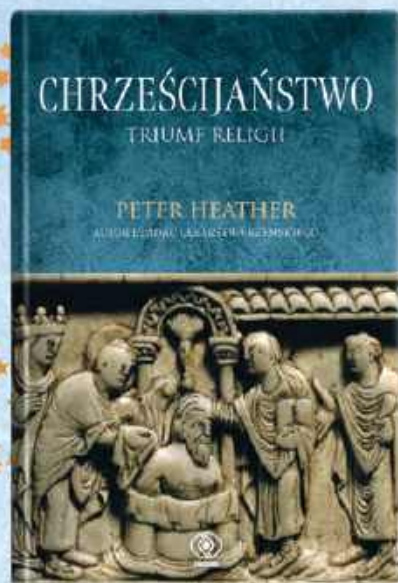
pamiecteatru.pl

POLSKA FOTOGRAFIA
TEATRALNA OD POCZĄTKU
ISTNIENIA DO DZIŚ

1839 2024



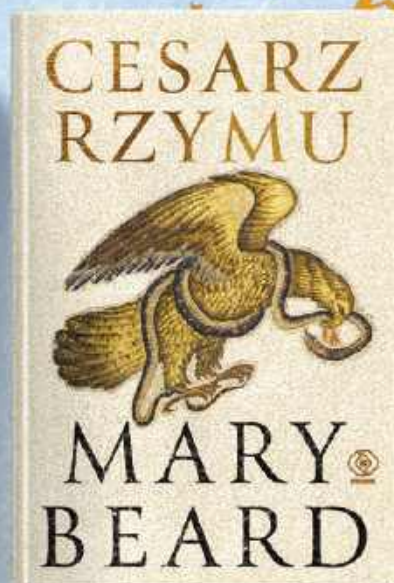
Najpiękniejsze **książki** na święta!



Zaskakująco świeże
spojrzenie na tysiąc lat
chrześcijaństwa



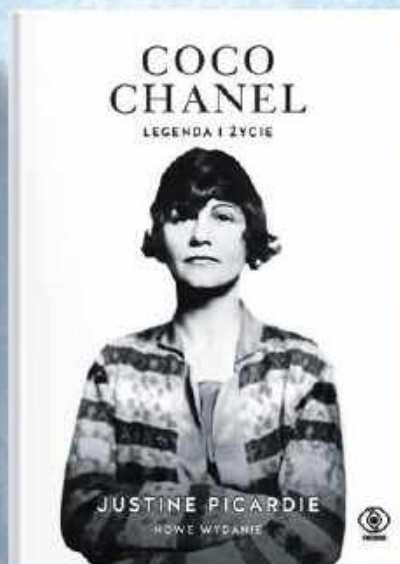
Przekrojowa historia
architektury autorstwa
wybitnego znawcy tematu



Nowe spojrzenie
na cesarstwo rzymskie



Biografia rodziny,
której spoiwem
była sztuka



Szykowna. Chorobliwie
nieufna. Witajcie
w sekretnym świecie
Coco Chanel



16 wyjątkowych mężczyzn,
16 szczerych rozmów,
a w nich – bogactwo
emocji i tematów



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



www.rebis.com.pl



FB/DWREBIS

Oto jest!

**PRZE
KROJ**

nr 1 (3585)/25 98 zł (w tym VAT 8%)



**Kup rocznik na:
przekroj.org**

KS. ADAM

Boniecki: Boże Narodzenie na żywo

CO ROKU ODCZYTUJĘ TEKSTY LITURGICZNE na Boże Narodzenie i co roku wracają do mnie te same pytania. Jak wierzyć literalnie we wszystko, co jest tam napisane? Święto Narodzenia zaczęło osobno obchodzić w trzecim wieku. Czy więc należy odczytywać opisy związane z narodzeniem Jezusa? Te wszystkie ozdobne obrazy? Zeznania pasterzy?



Nawet jeśli opowiadanie Maryi ozdobiono, bo taki był obyczaj, śpiewami aniołów, nawet jeśli opis Narodzenia nie jest dokładne taki jak rzeczywistość, jakie to ma znaczenie? Kiedy ustalano datę Bożego Narodzenia, kierowano się kryteriami innymi niż historyczna precyzja. Nawet jeśli Narodzeniu towarzyszyły jakieś nadzwyczajne zjawiska, to przecież niepiśmienni świadkowie ich nie zapisali. Legenda pomieszała się z historią, a ustalanie daty wtedy nie miało większego znaczenia. Jezus się narodził, to było faktem niewątpliwym, niezwykłym i tajemniczym. Okoliczności tych narodzin były wydarzeniami lokalnymi, mało dla współczesnych ludzi ważnymi.

Narodził się, by potem na długo zniknąć. Mamy tylko opis odwiedzin świątyni przez dorastającego Jezusa. Zadziwiające, Mesjasz, człowiek, który ma zmienić bieg wydarzeń w świecie, zniknął. Po prostu nie wiemy o Nim nic do chwili wyjścia z ukrycia, chrztu Jana i jakże krótkiej działalności publicznej, śmierci na krzyżu i tajemniczego okresu po śmierci, aż do Wniebowstąpienia. Historia nieprawdopodobna, źle wymyślona, która nie powinna się przyjąć, a jednak taka właśnie przetrwała. Dziwna opowieść o Jezusie, Synu Bożym, który został zabity i zmartwychwstał, stracił życie i żyje. Ta historia, która powinna dawno umrzeć, nie umarła.

Obchodzimy zatem Boże Narodzenie. Święto, jak wiele innych, powstało z opóźnieniem, bo święta prawie zawsze powstają z opóźnieniem. Święta Bożego Narodzenia przy-

blizają nam tajemnicę wiary i jednocześnie od niej oddalają. Przybliżają prawdę wiary, że Bóg stał się człowiekiem, aby człowiek dorastał do miary Boga. Ale i oddalają, bo pozwalają wynaleźć nam takie sposoby ich obchodzenia, które to przesłanie gubią. Tak zresztą jest z wielu świętami – tradycje kulinarne, narosłe z wiekami obyczaje biesiadne dają radość, jakże jednak inną od źródłowej radości z narodzin Zbawiciela. Pamiętamy, że Święta dawno przestały być własnością wyłącznie ludzi wierzących.

A jeśli wierzymy? Pamiętamy wtedy, że właśnie wiara w urodzenie Syna Bożego jest szczególnie ważna. Nie tylko sam fakt tamtego narodzenia w Betlejem Judzkim, ale to, co z niego wynika dla każdego człowieka, który po najdłuższym życiu umiera. Umiera, ale życie się nie kończy – jak powiada tekst liturgiczny. Dość bezradni wobec tej rzeczywistości mówimy o życiu wiecznym. Tu stawiam kropkę. Wiem, że wielu ludzi ma jakieś doświadczenia spotkania z tymi, którzy umarli. Wiem również o tych, którzy takiego doświadczenia nie mają. Boże Narodzenie też wprowadza w ten tajemniczy świat. A jeśli nie wprowadza, to dlatego, żeśmy stracili słuch. Ten słuch czasem wraca przed śmiercią.

Tak czy inaczej, Boże Narodzenie stawia nas wobec śmierci, naszej i śmierci tych, których kochaliśmy i którzy nas kochali. Boże Narodzenie mówi nam – czy to słyszymy, czy nie – o spotkaniu w innych, niż znane nam, wymiarach egzystencji. Dlatego Boże Narodzenie jest świętem nadziei mocniejszej niż śmierć.

© P

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

TP JUŻ W SYLWESTRA NOWOROCZNE WYDANIE „TYGODNIKA”, A W NIM M.IN.:

- Zmierzymy się z mitem polskiej nieżyczliwości
- Wybierzemy się w podróż po dziejach podróży poślubnych
- Przepowiemy temperaturę w krajowej polityce
- Odpowiemy na pytanie, co łączy Franza Kafkę i Kate Winslet
- Opowiemy alternatywną wersję historii III RP
- Z Rezą Aslanem pochylimy się nad przyszłością religii

NASTĘPNE – TAKŻE PODWÓJNE – WYDANIE „TYGODNIKA” W SPRZEDAŻY OD WTORKU 31 GRUDNIA

BOŻE NARODZENIE

**14 Boskość na lodzie**
PIOTR SIKORA

Bóg, który stał się ciałem, ukryty jest w każdym cielesnym doznaniu – nawet jeśli wielki świat jest pełen napięcia i bólu.

**24 Kobieta w ciąży w centrum wiary**

ZUZANNA RADZIK ROZMAWIA
Z TEOLOŻKĄ TINĄ BEATTIE

Bycie człowiekiem oznacza bycie zależnym i bezbronny.

**17 Mesjasz, który miał nadejść**
PAWEŁ RAKOWSKI

Namaszczonymi w tradycji żydowskiej byli królowie, prorocy i najwyżsi kapłani. Dlatego tych tożsamości uczniowie szukali u Jezusa.

**27 Wszystkie Madonny świętego Łukasza**

MAGDALENA ŁANUSZKA

Przedstawienie ewangelisty portretującego Matkę Boga stało się z czasem ulubionym motywem malarzy.

**20 Spokój ducha**
RYSZARD KOZIOŁEK

Tylko wtedy, w chwili, kiedy się rodzi ludzkie istnienie, szczerze i świadomie potrafimy powiedzieć, że życie jest dobre. Na chwilę świat zostaje uniewinniony.

**138 Kucharz z Notre-Dame**
PAWEŁ BRAVO

Przy świątecznych stołach dzieje się tyle fuzji i zaskakujących kontaminacji, o jakich się antropologom nie śniło.



Zakrywa dużą część ściany w „Tygodnikowym” newsroomie, składa się z ponad setki – ułożonych w pięć poziomych rzędów – prostokątów, na których wieszamy za pomocą magnesów kolejne kartki A4: każda kratka na tej tablicy to kolejna gotowa (albo prawie gotowa) strona gazety. W poniedziałek i wtorek (początek produkcji numeru) zwykle wiszą na niej jeszcze strony poprzedniego wydania, których nie zdążył uprzątnąć redaktor prowadzący to bieżące. W środę raczej pusta, zapełnia się w czwartek i piątek.

Bywa, że budzi poczucie winy – np. w czwartek, zbyt dużą liczbą pustych miejsc. Innym razem lekko irytuje: gdy już po zamknięciu numeru, ale przed uprzątnięciem kartek z tablicy, przechodząca obok redaktorka albo redaktor zauważy literówkę, którą możemy sobie

Redaktor i dziennikarz „TP” piszący na tematy edukacyjne i społeczne. Biograf ks. Jana Kaczkowskiego, współautor książki „Broad Peak. Niebo i piekło”.

skorygować, ale już tylko tu... Jednak przede wszystkim pomaga: spojrzenie na cały numer „z lotu ptaka”, czyli z odległości dwóch metrów, pozwala choćby uniknąć umieszczenia w numerze dwóch podobnych tytułów. W zeszłym tygodniu na przykład Monika Lech, nasza dyrektorka ds. transformacji, zauważyła, że tytuły w jednym z działów może i są pomysłowe, ale wszystkie zawierają słowa jak wyjęte z prognozy pogody. Był „front”, „czarne chmury” i „ciężka atmosfera”, brakowało tylko burzy gradowej.

W tym tygodniu nasza tablica okazała się po prostu niewystarczająca na 148 stron, które dla Was przygotowaliśmy. Mam nadzieję, że na spokojnie przejście przez te prawie półtorej setki kolumn z nowymi odczytaniem Narodzenia, świątecznymi rozmowami, reportażami, felietonami, opowieściami wigilijną itd. wystarczą Państwu dwa tygodnie, które będziecie mieli na ich lekturę. Spokojnych Świąt z „Tygodnikiem”! ©®

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI REDAKTOR PROWADZĄCY

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

8 Wojna o media
AGATA KAŹMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

9-11 Komentarze

12-13 Informacje

■ ■ CZYTANIA

32-33 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA,
PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

44 Negocjator
ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ:
*Nadchodzący AD 2025 może być rokiem
Aleksandra Kwaśniewskiego*

48 Szkoła dobrej woli
ANNA GOC *o niesłyszanych dzieciach
pozbawianych edukacji*

51 Zdradzone o świcie
MAREK RABJI:
Właśnie znikają ostatnie polskie kioski

54 Na koksie mogą więcej
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK:
*Po odżywki i sterydy anaboliczne sięga
coraz więcej młodych ludzi*

■ ■ ROZMOWY NA ŚWIĘTA

68 Niepokój przy wodopoju
Z ADAMEM ZBYRYTEM, BIOLOGIEM,
ROZMAWIA BARTEK DOBROCH:
*Prawdziwa opowieść zwierząt w wigilię
nie byłaby szczególnie miła*

90 Kiedyś się znajdę
PIOSENKARKĘ RENI JUSIS
PRZEPYTUJE EWELINA BURDA:
*W klubie czuję moc, by panować nad
tańczącym, rozwibrowanym tłumem*

■ ■ ŚWIAT

**72 Fortuna Volkswagena kołem
się toczy**
ŁUKASZ GRAJEWSKI: *Niemiecki gigant
zapowiada zamknięcia fabryk*

**75 Drzewo z Jaworowego
Przesmyku**
PATRYCJA BUKAŁSKA: *W Wielkiej
Brytanii zaczyna się niezwykle proces:
mężczyzn oskarżonych o ścięcie drzewa,
które rosło przy murze Hadriana*

OPOWIEŚĆ WIGILIJNA

KASJA KOZAKIEWICZ DLA „TP”



36 Chomik

KATARZYNA GRONIEC

Nie mogła się nadziwić, że chciało mu się
lecieć taki szmat drogi do całodobowej.
Ktoś mu musiał powiedzieć, że na ścianie
wisi: „doktor przyjazny gryzoniom”.

■ STRONY SPECJALNE ■

40 PLAN NA NIŻSZE CENY ENERGII

59 OCALENI Z NAIROBI

84 LABORATORIUM W KIESZENI

**101 MAGAZYN LITERACKI
„KSIĄŻKI W TYGODNIKU”**

■ FELIETONY ■

35 ZUZANNA RADZIK

57 TOMASZ STAWISZYŃSKI

99 ELIZA KAĆKA

137 OLGA DREND **138** PAWEŁ BRAVO

144 STANISŁAW MANCEWICZ

144 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: RAFFAELLINO DEL GARBO, MARIA
Z DZIECIĄTKIEM, 1505 R. // REPR. RABATTI
& DOMINGIE / AKG-IMAGES / EAST NEWS

77 W tym domu mieszka magia
DOROTA MALINA *o paryskiej
maestrri wystawienniczej*

80 W ogrodzie Europy
AGNIESZKA ZIELIŃSKA *o slumsowych
osiedlach południowej Hiszpanii, gdzie
imigranci zakładają szkoły*

82 Wojna o lit
ANTONINA PALARCZYK:
*W Donbasie rosyjska armia dotarła
do wielkich ukraińskich złóż*

■ ■ HISTORIA

**86 Prawdziwe przypadki
Gaspara da Gamy**
MONIKA OCHEŃDOWSKA:
*Kim był podróżnik, który zostawił ślad
w dokumentach pierwszej portugalskiej
wyprawy do Indii, a za młodu mieszkał
w Poznaniu?*

■ ■ NAUKA

94 Podejrzane pomiary szczęścia
ŁUKASZ ŁAMZA: *Rankingi krajów
„szczęśliwych” mają niewielki sens*

■ ■ KULTURA

122 Wszystkie moce
Z PISARZEM MAXEM CEGIELSKIM
ROZMAWIA MONIKA OCHEŃDOWSKA:
*Po co lecieć do Konga, skoro Kongo jest
wszędzie, także tutaj?*

126 Musiałem mrużyć oczy
PIOTR PAZIŃSKI *o pisarzu
Piotrze Sommerze*

129 Wszystko dla wszystkich
MICHAŁ WALKIEWICZ:
co czyni kino „świętecznym”?

132 Struna mocniejsza niż nerwy
OLGA DREND *o świątecznych
muzycznych hitach*

134 Różowy śnieg
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „W pokoju
obok” Pedro Almodóvara*

135 Łańcuch opowieści
LEKTOR *o biografii Boja-Żeleńskiego
autorstwa Moniki Śliwińskiej*

■ ■ ZMYŚŁ

140 Szał szopkowy
BARTEK KIEŻUN:
Święta po włosku

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

NOWA PRENUMERATA...

... „TYGODNIK” PROSTO DO MOJEGO DOMU



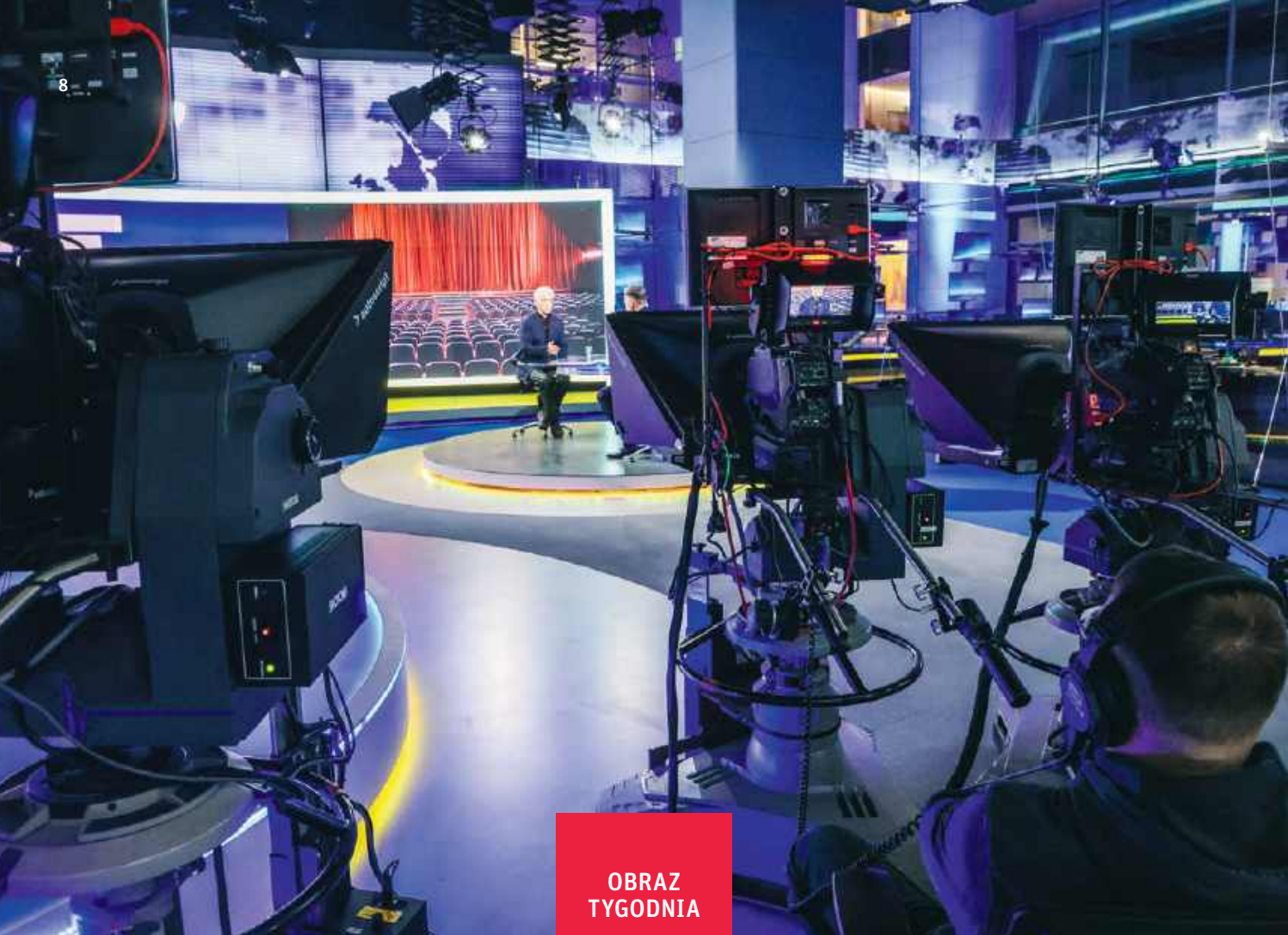
Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER



Słuchaj podcastów
POWSZECH.NET/PODKAST

STR. **42**

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ x /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

WOJNA O MEDIA

NIE POTRZEBA WGLĄDU DO ŻADNYCH TAJNYCH dokumentów. Wystarczy wyszukiwarka internetowa, z której z łatwością można się dowiedzieć, że TV2 Media Group formalnie należy do węgierskiego bankiera Józsefa Vidy, a jej sztandarowy TV2 to tuba propagandowa rządzącego Fideszu. Niezależne węgierskie portale internetowe twierdzą jednak, że tak naprawdę właścicielem grupy jest najbogatszy Węgier Lőrinc Mészáros. Ten z kolei ma opinię tzw. słupa, na którym swój majątek wiesza premier Viktor Orbán, najbliższy przyjaciel Władimira Putina w UE. Dodać należy również, że Mészáros jest biznesowo powiązany z Rosjanami i nie stroni od sponsorowania prorosyjskich polityków w Europie – bank, który kontroluje, wspierał kampanie Marine Le Pen i hiszpańskiej populistycznej partii Vox.

Działania rządu mogą być groźne dla wolności mediów, jednak Donald Tusk ma prawo do nadzwyczajnych posunięć. Bruksela raczej nie będzie protestować.

**AGATA KAŹMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI**

POWYŻEJ:
Studio telewizji TVN.
Warszawa, styczeń 2023 r.

TV2 Media Group jest ponoć zainteresowana kupnem TVN. Czy w tej sytuacji powinno dziwić, że polski rząd chce mieć wgląd w transakcję i w razie czego możliwość jej zablokowania? Ogłaszając decyzję o wpisaniu TVN i Polsatu na listę firm strategicznych premier Donald Tusk oświadczył, że „potwierdza plotki o tym, że na Wschodzie odnajdujemy zainteresowanych ewentualnym przejęciem mediów albo wpływaniem na pracę mediów w Polsce”.

OBIE STACJE – z całkiem różnych powodów – znalazły się w trudnej sytuacji. Na Polsacie może odbić się konflikt o sukcesję po Zygmuncie Solorzu między jego dziećmi a nową żoną. Natomiast amerykański właściciel TVN, koncern Warner Bros. Discovery, ma problemy finansowe

i – wedle doniesień medialnych – rozważa sprzedaż mniej kluczowych inwestycji, w tym polskiej stacji.

Choć mogłoby się wydawać, że chodzi wyłącznie o to, by chronić dwie największe prywatne telewizje przed niebezpiecznym przejęciem, staliśmy się świadkami gorszącej awantury. „W sprawie TVN ubrał się PiS w ornat i na mszę ogonem dzwoni” – komentował na łamach „Wyborczej” Bartosz T. Wieliński i ciężko tej opinii nie podzielać. Obóz Zjednoczonej Prawicy od lat stawał na głowie, by zdobyć kontrolę nad TVN. Temu miał służyć tzw. Lex TVN, którym chciano unieemożliwić posiadanie większościowych udziałów inwestorom spoza UE, oraz nagonka po emisji kontrowersyjnego reportażu o Janie Pawle II, gdy oskarżono TVN o „atak na polską rację stanu” (cytat z ministra Głińskiego) oraz „osłabienie zdolności Rzeczypospolitej Polskiej do odstraszania potencjalnego przeciwnika i odporności na zagrożenia” (cytat z komunikatu MSZ). A w tle było jeszcze przypominające nękanie odwołanie decyzji KRRiT o przedłużeniu koncesji na nadawanie.

POLITYCY PiS wrócili do tematu przejęcia kontroli nad telewizją latem, gdy pojawiły się doniesienia, że Warner Bros. Discovery może chcieć spieniężyć TVN – pomóc w tym mieli właśnie Węgrzy. Daniel Obajtek w rozmowie z reporterem stacji drwił, że będą się częściej spotykać, a on będzie chodzić do stacji „jak do siebie”, natomiast poseł Dariusz Matecki pytał na X, czy „byłby dobrym dyrektorem programowym TVN”. Wątpliwe, by politycy PiS przeoczyli, że kapitał, który ma to umożliwić, powiązany jest z Kremlm. „Newsweek” podaje, że już kilka miesięcy wcześniej, gdy TV2 Media Group ubiegała się o koncesję w Polsce (nie dostała jej) i prześwietlono jej kapitał, nawet w obozie PiS była określana mianem: „russkich Węgrów”.

Po decyzji Tuska politycy Zjednoczonej Prawicy grzmiały jednak, że rząd działa bezprawnie, bo TVN jest własnością prywatną, a nie

spółką Skarbu Państwa, nie może być więc wciągnięta na listę firm strategicznych. Jest zarazem firmą zagraniczną i jeśli rząd realizuje swój plan, Polska po wyrokach międzynarodowych trybunałów będzie musiała zapłacić wielomilionowe kary.

TO NIEPRAWDA. Na dotychczasowej liście znajdują się zarówno firmy prywatne (np. Oktan Energy), jak i takie, które należą do zagranicznych właścicieli (Stoen Operator). Sam TVN SA jest zarejestrowany w Polsce, choć jego jedyny akcjonariusz to spółka zarejestrowana w Holandii, która z kolei należy do Amerykanów. Zgodnie z Ustawą z 2015 r. o kontroli niektórych inwestycji rząd może umieszczać prywatne firmy na liście podmiotów, których sprzedaż wymaga zgody odpowiednich organów państwa. Choć spółki medialne nie zostały tam uwzględnione, ustawa obejmuje podmioty zajmujące się telekomunikacją, a TVN i Polsat taką działalność prowadzą (choć prawnicy nie są zgodni, czy jest to ich główna działalność, a zatem czy ustawa je obejmuje).

PEWNE JEST natomiast, że Bruksela w sprawie wpisania telewizji na listę firm chronionych przez państwo nie będzie protestować. Nie tylko dlatego, że podobne rozwiązania obowiązują m.in. we Francji czy w Niemczech, ale przede wszystkim dlatego, że art. 4 ust. 2 Traktatu o ustanowieniu Unii Europejskiej umożliwia państwom członkowskim ograniczanie swobody działalności gospodarczej, jeśli jest to uzasadnione kwestiami ich bezpieczeństwa.

Czy decyzja rządu o wciągnięciu na listę podmiotów strategicznych dwóch telewizji, które mają łącznie 50 proc. udziału rynku, może być usprawiedliwiona kwestiami bezpieczeństwa? Część mediodawców podnosi argument, że takie działania w dłuższej perspektywie mogą zagrazić wolności mediów. Należy jednak starannie wyważyć, czy bardziej zagraża jej polski rząd, czy rosyjski kapitał w naszych mediach. ©



Cień 13 grudnia

PIOTR ŚMIŁOWICZ

PRZYPADKOWA DATA POWOŁANIA KOŃCZĄCEGO ROKU rządu Donalda Tuska stała się dla PiS stałym elementem antyrządowej retoryki. Jednak „wojenny”, konfrontacyjny sposób działania można dostrzec również w praktyce politycznej gabinetu premiera, przede wszystkim w modelu jego relacji z Andrzejem Dudą. Rząd Tuska w kontaktach z prezydentem zrezygnował z prób uzgadniania czegokolwiek poza sprawami obronności. W pozostałych kwestiach Duda uzyskał status politycznego wroga, ale faktem jest, że dał wiele powodów, by tak go traktować.

Można jednak postawić tezę, że gdyby próbowano podjąć z Dudą realne negocjacje, w pewnych obszarach moglibyśmy być już dalej, niż jesteśmy, np. w fundamentalnej dla państwa kwestii wymiaru sprawiedliwości, zdeformowanego przez PiS. Zrobiono zdecydowanie za mało, by spróbować dogadać się w sprawie ustaw o KRS czy o Trybunale Konstytucyjnym, przywracających konstytucyjny porządek. Porozumienie w tej sferze musiałyby nastąpić za cenę kompromisu, który nie spodobałby się twardym elektoratom w obu obozach, mimo że pozwoliłby uniknąć wielu miesięcy chaosu w państwie.

Nadal panuje więc dualizm prawny, w którym PiS i prezydent uznają inne sądy niż rząd. Spór eskaluje i czeka nas kolejny konflikt o to, czy składająca się z neosędziów Izba Kontroli Nadzwyczajnej SN ma prawo wypowiadać się o ważności wyborów prezydenckich.

Czy postawę rządu można zrozumieć? Tak, konfrontacja jest bardziej opłacalna politycznie niż „zgnile” kompromisy z poprzednią władzą.

Inna sprawa, że przywiązanie nadmiernej wagi do zmiany lokatora Pałacu Prezydenckiego może być ryzykowne. Polityka bywa nieprzewidywalna, tak więc pojawiający się przy uzasadnianiu konfrontacyjnych rządów argument, że elektorat oczekuje rozliczeń z ekipą PiS, a nie porozumiewania się z jej przedstawicielami, może zawieść oczekiwania rządzącej koalicji. Oczywiście rozliczenia, jeśli dotyczą realnych przestępstw, powinny następować. Gorzej, jeśli wyglądają tak, jak groteskowa saga wokół byłego wiceministra sprawiedliwości Marcina Romanowskiego.

Trzeba przy okazji zauważyć, że część zapowiedzi przedwyborczych udało się rządowi zrealizować. Były podwyżki dla nauczycieli, wprowadzono „babciowe”, mamy pieniądze z KPO, poprawiła się pozycja Polski w UE. Ta lista jednak mogła być dużo dłuższa. ©P



Barter Wieczorka

MAREK KĘSKRAWIEC

TRUDNO ZROZUMIEĆ, DLACZEGO Donald Tusk, któremu nie sposób odmówić zdecydowania w kwestiach personalnych, tak długo tolerował afery związane z Dariuszem Wieczorkiem. Już tyle razy minister zasłużył na wyrzucenie z pracy, że jedynym wytłumaczeniem, jakie przychodzi mi do głowy, jest podejrzenie, iż Tusk zwlekał z reakcją, bo to lewica traci na obecności szefa resortu nauki w rządzie, a nie cała koalicja.

Jest w tym jakaś logika. Kolejne afery związane z Wieczorkiem ciągną w dół notowania rozbitego wewnętrznie środowiska, które jako Nowa Lewica i Partia Razem konkuruje o ten sam elektorat, i można mieć poważne wątpliwości, czy po następnych wyborach zobaczymy je w ogóle w Sejmie. Koalicji Obywatelskiej specjalnie to nie martwi, bo sprawnie zagospodarowała progresywne postulaty, a te najbardziej radykalne – jak wynika z badań społecznych – znajdują się raczej na końcu listy problemów Polaków.

Bardziej niż opóźnione działania premiera wobec kompromitującego się cyklicznie Wieczorka dziwi jednak obojętność samej lewicy. Wicepremier Krzysztof Gawkowski nawoływał co prawda do wyjaśnień,

a ministra Agnieszka Dziemianowicz-Bąk opublikowała aluzyjny wpis na portalu X, ale to w zasadzie tyle. Tymczasem mówimy o człowieku, który stał się bohaterem kolejnej publikacji Wirtualnej Polski – tuż po wejściu w życie ustawy o sygnalstwach (czego tak domagała się lewica) zdekonspirował informującą go o nieprawidłowościach na Uniwersytecie Szczecińskim szefową związków i doniósł na nią rektorowi.

W sumie trudno się dziwić, rektor jest bliski sercu ministra; obaj panowie współpracowali już w ramach swoistego barteru. Żona rektora dostała pracę w resortowej Komisji Ewaluacji Nauki, a niecały miesiąc później żona Wieczorka została dyrektorką uniwersyteckiego Centrum Edukacji Medialnej i Interaktywności. Co prawda nie miała tytułu doktora, ale zmieniono pod nią regulamin, obniżając wymagania.

Wcześniej minister wykazał się też próbą odebrania niezależności Polskiej Akademii Nauk i obcięciem funduszy dla Narodowego Centrum Nauki. Naprawdę, napracował się bardzo, by spaść ze stołka. Spotkanie Tuska z Włodzimierzem Czarzastym oznacza jednak początek końca politycznej kariery Wieczorka. ©



Czas przejściowy

KRZYSZTOF STRACHOTA

SYRIA WESZŁA W OKRES TRANZYJCJI – BARDZIEJ NIEPRZEWIDYwalny niż wcześniejsza faza militarna konfliktu. Zwycięska Organizacja Wyzwolenia Lewantu (HTS) powołała rząd tymczasowy, który ma administrować krajem do marca. HTS dominuje politycznie. Pod presją wkraczających oddziałów opozycji deklaratywnie podporządkowali się jej nawet Kurdowie z Syryjskich Sił Demokratycznych (SDF).

Sytuacja jest jednak napięta. W kraju działa szereg ugrupowań luźno kontrolowanych przez HTS. Proturecka Syryjska Armia Narodowa (SNA) wypycha Kurdów z terenów przez nich kontrolowanych. Mandat polityczny nowego rządu, a przede wszystkim jego zdolności organizacyjnego i gospodarczego opowania sytuacji, są niepewne. Na razie nowe władze zabiegają o zniesienie sankcji nałożonych na reżim Asada.

Swoje pięć minut ma Turcja: nowy rząd Syrii jest i będzie od niej zależny (nie wiadomo tylko, w jakim stopniu i z jakimi efektami); Ankara sygnalizowała wsparcie w organizowaniu struktur państwa i armii. Tymczasem zapowiada bezwzględne zniszczenie (a co najmniej wydalenie) struktur Partii Pracujących Kurdystanu w Syrii – widać, że wojna się nie skończyła.

Ugrać coś dla siebie chce także Izrael, który przeprowadził setki nalotów na cele w Syrii, zajął strefę zdemilitaryzowaną przy Wzgórzach Golan i próbuje rozgrywać separatyzm druzżyjski na południu kraju.

Nowa Syria jest więc państwem, w którym na północy działają siły tureckie, a na południu wkraczają izraelskie.

Bombardowania Syrii przez Izrael budzą ostry sprzeciw Turcji. Związuje się natomiast Rosja: jej luźne oddziały próbują przedostać się do baz w Tartusie i Chmejminie, trwa ewakuacja sprzętu i ludzi. Jednak przyszłość Rosji w Syrii nie jest jeszcze przesądzona.

Zachód czeka. USA, Wielka Brytania i inne kraje oficjalnie cieszą się nadzieją na stabilizację i mają już nawiązane kontakty z nowym rządem (niezależnie od tego, że HTS wyrasta z Al-Kaidy, jest w spisach organizacji terrorystycznych, a jej lider jest formalnie poszukiwany). Większość państw Unii Europejskiej wstrzymała rozpatrywanie wniosków azylowych Syryjczyków. Administracja Bidena próbuje mitygować antykurdyjską politykę Ankary, a Trump wydaje się nie interesować Syrią i wspiera Izrael.

W niepewności są Liban i Irak (zmiana w Syrii może nimi wstrząsnąć), a także Iran, do niedawna postrzegany jako regionalny hegemon. Dla nich obecny moment to dopiero zapowiedź poważnych przesilen. ©



Minister Dariusz Więzorek przed posiedzeniem rządu.
Warszawa, 28 września 2024 r.

NA PUNKTY

LIST

Prokuratura Krajowa wystawiła list gończy za b. wiceministrem sprawiedliwości i posłem PiS Marcinem Romanowskim, który 6 grudnia wyłączył telefon i nie loguje się do sieci. Wcześniej sąd zdecydował, że Romanowski ma trafić na trzy miesiące do aresztu w związku z nieprawidłowościami w Funduszu Sprawiedliwości.

DYMISJA

Głośna dzięki wystąpieniom medialnym w czasach rządów PiS prokuratorka Ewa Wrzosek została odwołana z delegacji do Ministerstwa Sprawiedliwości i Krajowej Rady Prokuratorów. Wcześniej powiedziała, że lepszym od Adama Bodnara ministrem byłby Roman Giertych.

REKOMENDACJA

PKOl zarekomendował zgłoszenie Andrzeja Dudy na członka MKOl (obecnie polską przedstawicielką w Międzynarodowym Komitecie jest Maja Włoszczowska). „Żli ludzie najwyraźniej wmanewrowali pana prezydenta w tę olimpijską awanturę” – napisał na portalu X Donald Tusk, ale Kancelaria Prezydenta twierdzi, że Duda został zarekomendowany na członka honorowego, a nie etatowego, więc nie odbierze miejsca kolarce. ©



Sędzia, który się prawu nie kłaniał

EDWARD AUGUSTYN

GDY PIĘĆ LAT TEMU PRZYCHODZIŁ do Watykanu, mało kto wierzył w powodzenie jego misji. Nie dlatego, że był miękkiszonem. Przeciwnie – wszyscy wiedzieli, że ścigał bossów Cosa Nostry, 'ndranghety i mafii stołecznej (jako prokurator Palermo, Reggio Calabria i Rzymu). Ale z mafią watykańską – mówiono – nawet on sobie nie poradzi.

Rzeczywiście, misja Giuseppe Pignatonego (na zdj.), którego papież postawił na czele trybunału państwowego, wyglądała na straceńczą. Franciszek wypowiedział wojnę korupcji, ale watykański system prawny, oparty na Kodeksie Prawa Kanonicznego i przedwojennym prawie włoskim, nie dawał mu w niej żadnych szans. Potrzebował sędziego, który nie będzie zaślaniał się obowiązującymi przepisami, tylko powie, jak je szybko i skutecznie zmienić.

Już trzy miesiące później watykański prokurator generalny (zwany promotorem sprawiedliwości) uzyskał autonomię w ściganiu przestępstw, także tych popełnionych przez najważniejsze osoby w państwie. W kolejnym ruchu papież pozwolił stawiać przed sądem państwo-

wym biskupów i kardynałów i zgodził się, by ich procesy odbywały się z udziałem mediów. Wiele zmian wprowadzanych było na bieżąco, na podstawie tzw. reskryptów z audienencji udzielanych przewodniczącemu trybunału, jeśli tylko uznał, że przyspieszy to i ułatwi prowadzenie sprawy (w ten sposób m.in. zalegalizowane zostały dowody pozyskane

w drodze inwigilacji). Dzięki temu udało się, w ciągu pięcioletniej kadencji sędziego Pignatonego, zakończyć

trzy największe procesy o korupcję i malwersacje finansowe, w których na kary więzienia i wielomilionowe grzywny skazani zostali najważniejsi urzędnicy (m.in. kard. Angelo Berti, były zastępca sekretarza stanu).

Czy były sprawiedliwe, ocenią sądy kolejnych instancji (apelacyjny i kasacyjny). Ich główny cel – zerwanie z prawnym imposybilizmem i poczuciem bezkarności – został osiągnięty.

Kilka dni temu Watykan poinformował, że papież przyjął rezygnację przewodniczącego trybunału ze względu na wiek. Misja Giuseppe Pignatonego zakończy się 31 grudnia. ©



FABRIZIO VILLA / GETTY IMAGES



Rumunia: radykałowie rosną w siłę

KAMIL CAŁUS

RUMUŃSKI MAINSTREAM, próbując bronić się przed falą prawicowego radykalizmu, uzyskuje odwrotny efekt: pogłębia się niechęć wobec rządzącego od ponad 30 lat politycznego „układu”, a zarazem umacniają się politycy antysystemowi, eurosceptycy i wprost prorosyjscy.

Podjęta 6 grudnia przez Sąd Konstytucyjny i budząca wątpliwości decyzja o anulowaniu wyborów prezydenckich została odebrana przez znacz-

ną część społeczeństwa jako gest rozpacz ze strony establishmentu. Wielu Rumunów uważa, że partie, które mienia się ostoją demokracji, nie chcą zaakceptować sukcesu człowieka spoza systemu, same dopuściły się nagiecia lub wręcz złamania prawa.

Co więcej: wszystkie umiarkowane i prozachodnie ugrupowania (w tym stanowiące rdzeń mainstreamu centrolewicowa Partia Socjaldemokratyczna PSD i centroprawicowa

Partia Narodowych Liberałów PNL) zapowiedziały już, że w ramach budowy kordonu sanitarnego powołają koalicję rządową i wystawią wspólnego kandydata na prezydenta w powtórzonych wyborach. Do tego sojuszu przystąpili nawet liberałowie ze Związku Ocalenia Rumunii (USR), do niedawna postrzegani jako główna (choć prozachodnia) alternatywa dla PSD i PNL.

Rumuńska „stara” klasa polityczna zdaje się nie rozumieć,

że wypycha sfrustrowanych wyborców w ramiona radykałów. Tworzenie wielkich koalicji złożonych z ideologicznych rywali odbiera elektoratowi możliwość wyboru. W efekcie nawet Rumuni dalecy od skrajnych poglądów zaczynają postrzegać antysystemowców jako jedyną siłę zdolną „przewrócić stół”.

Właśnie ta opcja, na czele ze Związkiem Jedności Rumunów AUR (ten w grudniowych wyborach parlamentarnych podwoił wynik z 2020 r.), najbardziej zyskuje na obecnym kryzysie. Zaś lider AUR George Simion zaważył o zwycięstwo w drugiej turze prezydenckiego głosowania. ©

Kryzys pod Pokrowskiem i nowi uchodźcy

UKRAINA ■ Jest ich dwustu, w tym trzydzieścioro dzieci, a wśród nich dwoje noworodków: tyłu uchodźców z wioski pod Pokrowskiem musiał przyjąć Dobromil, miasteczko koło Sambora (obwód lwowski). Przyjąć i się nimi zaopiekować, bo przybyli wyłącznie z tym, co mieli na sobie. Podczas ewakuacji przed frontem, prowadzonej w Donbasie, nie ma możliwości, by ocalić więcej.

Ewakuacja jest przymusowa, większość poddaje się losowi wygnańca wiedząc, jak wyglądają donieckie wsie po przejściu frontu. Od sierpnia, gdy Rosjanie zaczęli powolną, lecz stałą ofensywę, z Donbasu ewakuowano prawie półtora miliona ludzi. Rozmieszczani są po całej Ukrainie, a wielu trafia do zachodnich obwodów – jak ci z Dobromila. Na razie nie wydaje się, by byli skłonni jechać dalej, do Polski. Większość to ludzie, których świat zaczynał i kończył się na Donbasie.

Jadąc kilka dni temu na Ukrainę z transportem, przygotowanym dzięki czytelnikom „Tygodnika”, dla dzieci z Dobromila mogliśmy wziąć tylko parę paczek z ciepłą odzieżą. Na więcej nie starczyło miejsca – priorytetem były frontowe służby medyczne i obrona przeciwlotnicza, którym zawieźliśmy trzy tony pomocy (więcej o tym w kolejnym numerze).

Tymczasem nowych wygnańców będzie przybywać, bo armia ukraińska traci Donbas. W minionych dniach Rosjanie dokonali przebiecia na południowy zachód od Pokrowska, węzłowego miasta. Ukraińskie rezerwy spowolniły atak, ale wróg jest bliski przecięcia trasy Mo4 – głównej „drogi życia”. Jeśli to mu się uda, obrona tego odcinka będzie trudna, gdyż Pokrowsk znajdzie się w operacyjnym okrążeniu. Tak wojskowi nazywają sytuację, gdy nie ma jeszcze fizycznego oblężenia, ale wróg może już blokować (artylerią, dronami) drogi zaopatrzenia i ewakuacji.

Ukraiński ekspert wojskowy Jurij Butusow podaje, że straty obrońców są duże, na niektórych odcinkach nawet większe od rosyjskich. Powodem mają być braki w sprzęcie, zwłaszcza niedostatek dronów. Rosjania tu wyraźną przewagę. Butusow twierdzi, iż zaopatrzenie w drony ze strony ukraińskiego państwa spadło tak bardzo, że ich głównym źródłem dostaw jest teraz społeczeństwo, tj. wolontariusze.

Winę za ten kryzys ma także ponosić nieudolne dowodzenie na wyższym szczeblu; generałowie, twierdzi Butusow, lekkomyślnie szafują życiem żołnierzy.

Straty poniosła też nowa 155. Brygada „Anna Kijowska” (jej patronka to księżniczka ruska z XI w., która wyszła za króla Francji). Brygada wyposażona i szkolona we Francji, pod pieczęą prezydenta Macrona, po powrocie od razu trafiła pod Pokrowsk. Okazało się, że nie ma dość dronów – ich zbiórkę zorganizowali dziennikarze i samorządy kilku miast, w tym Dniepru, sąsiadującego z Donbasem.

©© WOJCIECH PIĘCIAK

Najmłodszy mistrz świata

SZACHY ■ „To oczywiście nie znaczy, że jestem najlepszym szachistą na świecie” – mówił skromnie Gukesh Dommaraju po pełnym zwrotów akcji meczu, w którym odebrał koronę starszemu o 14 lat Dingowi Lirenowi. Te słowa to hołd lenny złożony Magnusowi Carlsenowi, od kilkunastu lat numerowi jeden w światowym rankingu, który dwa lata temu zrezygnował z obrony tytułu, bo zmęczył go format meczów o mistrzostwo świata.

To format w istocie morderczy: nie chodzi tylko o 14 partii, z których każda może trwać nawet 6-7 godzin, rozplanowanych na dwa i pół tygodnia, ale też o miesiące koniecznych przygotowań. W nich, jako sparingpartnerzy i autorzy pomysłów debiutowych, Gukeshowi towarzyszyli polscy arcymistrzowie: Grzegorz Gajewski, Radosław Wojtaszek, Jan-Krzysztof Duda i Jan Klimkowski.

Musieli się uczciwie napracować, bo Gukesh i Ding, co rzadkie na tym poziomie, zaczęli każdą partię w inny sposób, próbując złapać rywala na nieznajomości szachowej teorii. Czyli sekwencji nawet kilkunastu początkowych posunięć, opracowywanych z trenerami i komputerem, których zawodnicy uczą się na pamięć, by zaoszczędzić czas i energię w wielogodzinnym pojedynku.

Dwukrotnie podczas meczu czasu i energii zabrakło starszemu z tej dwójki. W jedenastej partii Ding, broniąc niekorzystnej pozycji, podał skoczka. A w ostatniej partii meczu tak niekorzystnie wymienił w wyrównanej końcówce figury, że znalazł się na przegranej pozycji. Te dwa rzadko spotykane na tym poziomie błędy Dinga położyły się cieniem na jego nadspodziewanie dobrym występie. Nadspodziewanie, bo Chińczyk, który bronił mistrzowskiego tytułu, w ciągu ostat-



ESPEN BERGENSEN / BEW

Humbak wędrowniczek

ZWIERZĘTA ■ W świecie wielorybów padł właśnie imponujący rekord, donosi na łamach „Royal Society Open Science” badaczka waleńi Jekatierina Kałasznikowa. Pewien osobnik humbaka (formalnie: długopłetwca oceanicznego) został sfotografowany w 2017 r. u wybrzeży Kolumbii, a w 2022 r.

u wybrzeży Tanzanii. Punkty te oddziela w linii prostej 13 tys. kilometrów, a ten zwierzak musiał przecież opłynąć Amerykę Południową i Afrykę. To rekordowa odległość wędrowki humbaków, które ponadto migrują głównie w osi północ-południe.

Równie ciekawa jest sama historia tego odkrycia. Na stronie happywhale.com zbierają się miłośnicy wielorybów, nadsyłając swoje zdjęcia z ich obserwacji i identyfikując osobniki po plamach

nich kilkunastu miesięcy zmagał się z problemami osobistymi i grał słabo. W oficjalnym rankingu w ciągu kilkunastu miesięcy spadł o ponad 30 pozycji.

Młodziutki Hindus z kolei, cieszący się sławą niezrównanego i nieustrudzonego analityka pozycji, miał za sobą pasmo spektakularnych występów – nie tylko wygrał Turniej Pretendentów, dający mu prawo do walki o tytuł mistrzowski, nie miał sobie także równych m.in. podczas dwóch ostatnich igrzysk olimpijskich. Przed meczem z Gukeshem Ding mówił wprost, że przegranej się nie boi – boi się kompromitacji. Tej jednak nie było – w całym meczu pokazał wielką odporność psychiczną. Zaczął od wygranej, a po porażce w feralnej 11. partii następną wygrał w wielkim stylu. W kilku innych udało mu się wybronić bardzo nieprzyjemne pozycje.

Gdy 11 lat temu 7-letni Gukesh oglądał zza dźwiękoszczelnej szyby mecz o mistrzostwo świata Carlsena z broniącym tytułu Viswanathanem Anandem, pomyślał sobie, że chciałby osobiście przywrócić Indiom straconą wtedy przez Ananda koronę. Udało mu się to szybciej, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. Przed nim jeszcze jedno zadanie: strącenie Carlsena ze szczytu rankingu. ©© ŁUKASZ KWIATEK

na płetwach ogonowych. Polecam zajrzeć i samemu to poczuć: te wzory są lepsze niż odcisk palca. Ba, entuzjaści nadsyłają również zdjęcia archiwalne, dzięki czemu udało się dopasować choćby czarno-białe zdjęcie pewnego osobnika z 1978 r. i późniejszą o 44 lata fotografię. Słowo daję, to ten sam humbak! Kałasznikowa i jej zespół korzystają właśnie z bazy HappyWhale.

Cóż z tego płynie? Przede wszystkim pogłębione zrozumienie walení. Jeszcze niedawno specjaliści uważali, że humbaki konsekwentnie trzymają się terenów łowieckich wybranych za młodu. Dziś wiemy, że zdarza im się zmieniać preferencje w ciągu życia. Bywa, przykładowo, że humbak atlantycki wybiera się na Madagaskar i tam już zostaje. Inne świeże odkrycie: dalekich wędrówek w poszukiwaniu partnerów dokonują nie tylko samce, ale również samice.

Jeżeli więc na dysku zalegają wam zdjęcia z oglądania walení, marsz na happywhale.com! Może wasza fotka wielorybiego ogona pomoże nauce w zrozumieniu oceanicznych olbrzymów?

© ŁUKASZ ŁAMŻA

GRAZYNA MAKARA



Na zdjęciu, od lewej: Grzegorz Błazewicz, inwestor i członek Rady Nadzorczej Tygodnika Powszechnego, Aleksander Kardyś, prezes Fundacji Tygodnika Powszechnego i przewodniczący Rady Nadzorczej Tygodnika, Piotr Mucharski, redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”.

„Tygodnik Powszechny” z nowym inwestorem

JEST NIM FUNDUSZ VESPER INVESTMENT, KTÓREGO WŁAŚCICIELEM jest Grzegorz Błazewicz, krakowski przedsiębiorca, założyciel jednego z najbardziej znanych polskich start-upów technologicznych SALESmanago i były prezes portalu Interia.pl. Celem inwestycji w „Tygodnik Powszechny” jest kontynuacja transformacji spółki w nowoczesne medium społeczno-kulturalne i sprostanie rosnącemu zapotrzebowaniu czytelników na dziennikarstwo wysokiej jakości.

– Zaprosiliśmy Grzegorza Błazewicza do Rady Nadzorczej spółki Tygodnik Powszechny półtora roku temu w przekonaniu, że jego doświadczenie w rozwoju strategii cyfrowych jest tym, czego najbardziej potrzebuje spółka gotowa do wejścia w nowy etap transformacji. Szybko dostrzegł wielki potencjał „Tygodnika” i zechciał włączyć się w jego rozwój jako inwestor spółki, by jej wzrostu nie spowalniały już skromne możliwości finansowe, jakimi dysponowała – mówi o inwestycji prezes Zarządu Fundacji Tygodnika Powszechnego Aleksander Kardyś.

Grzegorz Błazewicz jest przekonany, że rynek, na którym obserwuje się postępującą tabloidyzację i algorytmizację, tworzy bardzo dobre warunki do rozwoju „Tygodnika Powszechnego”.

– Platformy cyfrowe jak Meta czy X narzuciły mediom model biznesowy, w którego centrum jest ciągle wzniecanie medialnych awantur. W efekcie nastąpiło drastyczne obniżenie poziomu dziennikarstwa i ogólnie debaty publicznej – uważa Błazewicz. – Zawsze podziwiałem odwagę i bezkompromisowość redakcji w zachowaniu najwyższych standardów. Wierzę, że jest coraz więcej odpowiedzialnych czytelników, którzy szanują swoją inteligencję i czas, i to dla nich właśnie chcemy pracować i rozwijać pismo.

– Nasze wspólne z Grzegorzem Błazewiczem przekonanie, że misja i charakter „Tygodnika Powszechnego” oraz jego niezależność stanowią o wartości tego pisma, jest gwarancją, że rozwijając się, zachowamy wierność naszemu 80-letniemu dziedzictwu: przywiązaniu do prawdy, wolności słowa i dbałości o najwyższe standardy dziennikarskie – podsumowuje Piotr Mucharski, redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”. ©©

BOŻE
NARODZENIE

BOSKOŚĆ NA LODZIE

Bóg, który stał się ciałem,
ukryty jest w każdym cielesnym doznaniu
– smaku piernika, świetle lampek,
harmonii dźwięków, w dotyku,
nawet jeśli wielki świat jest pełen napięć i bólu.

PIOTR SIKORA



DOBRZE ZNAMY – TAK SIĘ NAM WYDAJE – TĘ HISTORIĘ. WIERZĄCY CZY NIEWIERZĄCY, W NASZYM KRĘGU KULTUROWYM KARMieni nią jesteśmy od dziecka. Bo chwyta za serce. Młoda dziewczyna. Anioł. Niesamowita wiadomość. Zgoda na boski plan. Kochający narzeczony, zaraz potem już mąż. Trudna, ale konieczna podróż. Troska, stajnia, poród. Pasterze, anielskie chóry i światło. Mędrzy ze wschodu i królewskie dary.

Posłuchać jakby pierwszy raz

Może jednak warto posłuchać rady Mistrza: „Kto się nie stanie jak dziecko, nie wejdzie do królestwa” (por. Mt 18, 3)? Stać się zaś jak dziecko znaczy, między innymi, zobaczyć świat na nowo, posłuchać opowieści jakby pierwszy raz. A wtedy może dostrzeżemy, że nie jest oczywiste, czy jest to jedna historia, czy też kilka różnych.

Zacznijmy od Mateusza. Oto dramat rodzinny, przeciwieństwo sielanki miodowego miesiąca. Cięża nie z małżeńskiego pożycia. Związek na krawędzi rozpadu, zanim jeszcze zawiązany na dobre – uratowany przez sny. Lecz czy Józef zawsze był pewien, zawsze wierzył nocnym widzeniom, ufał Marii do końca? Nie wiemy. Aż do porodu trzymał się od niej z dala. Po jakimś czasie przyszli dziwni ludzie ze wschodu. Ofiarowali bogate dary, wydawało się, że będzie lepiej, i nagle trzeba było uciekać.

Tyle Mateusz, zobaczmy wersję Łukasza. Tu historia toczy się całkiem inaczej. Maria przyjmuje anioła. A potem młode małżeństwo, z dzieckiem pod sercem matki, musi udać się w drogę, bo wielcy tego świata tak kaza. I w najtrudniejszym – jakże ważnym! – momencie nie ma dla nich miejsca wśród normalnych ludzi. Jest złość, brudni pasterze i światło aniołów.

Uważna lektura ewangelicznych tekstów może wprowadzić w konfuzję. Znajdujemy w nich bowiem dwie różne historie. Więc jeśli chcemy opowiedzieć naszym dzieciom i sobie (dziecku w nas?), co zamierzamy świętować poczynawszy od wigilijnego wieczoru, gdy gromadzimy się wokół stołu z dodatkowym nakryciem, nasz umysł usiłuje te dwa ciągi faktów, opisane w świętych tekstach, skleić w jedną opowieść. Pomija różnice ewangelicznych narracji, tworzy własną. Nie mamy do niego pretensji. Działa tak zawsze – spójna wizja świata bardzo ułatwia życie, a umysł ewoluował przez wieki, aby służyć naszemu przetrwaniu (co, jak się okaże za chwilę, nie pozostaje bez wpływu na sposób, w który warto świętować).

Świąteczne napięcie

Na początek jednak warto sobie uzmysłwić, że umysł, gdy próbuje stworzyć jakąś spójną wersję tego, co świętujemy w Boże Narodzenie, w gruncie rzeczy i wbrew pozorom nie ulega wcale złudzeniu. Obie historie, w sferze „faktów” tak różne, są bowiem w swojej istocie wyrazem tego samego odkrycia. Oto boskość okazuje się piękna, lecz delikatna i krucha, i taka właśnie ucieleśnia się i ujawnia swoją obecność w świecie, który nas z wszystkich stron otacza. A jest to świat wcale nie idealny, wręcz przeciwnie – pełen dramatów, zagrożeń, cierpienia. Co ciekawe, cierpienie, które ujawnia się w obu historiach, swoje źródła ma w tych samych miejscach, które mają dla nas istotną wartość: miłość, małżeństwo, rodzina, struktura społeczna, która miała zapewnić bezpieczeństwo i spokój.

Paryż.
Luty 2018 r.

THIERRY ORBAN / GETTY IMAGES

→

Co nie mniej znamienne, w ewangelicznych historiach możemy odnaleźć podobne napięcie, jak w naszych współczesnych okolicznościach świętowania Bożego Narodzenia. W dominującej „oficjalnej” narracji to święta rodzinne, czas głębszego spotkania, moment pojednania, przestrzeń odbudowywania więzi nadwątłych w pośpiechu zwykłego życia. I bywa, że rzeczywistość jest właśnie taka. Z drugiej strony – jakże często za zasłoną świątecznej atmosfery kryje się zwiększone cierpienie: bardziej dotkliwe niż zwykle doświadczenie samotności, stres przyjmowania życzeń będących w istocie wyrzutem lub wymaganiem, bolesny wysiłek utrzymywania przyjaznego wyrazu twarzy w obecności ludzi, od których w te świąteczne dni nie możemy uciec, albo po prostu: zmęczenie robieniem dodatkowych rzeczy, na których robienie brak nam sił, i wydawanie większych pieniędzy, których nie mamy na koncie.

I w to wszystko – brzmi przesłanie – wciela się Bóg. W każdym doświadczeniu można spotkać absolutne dobro. Jeżeli trudno to nam dostrzec, może warto spojrzeć na świętowanie Bożego Narodzenia jak na ćwiczenie się w rozpoznawaniu boskiego wcielenia?

Odzyskiwanie równowagi

Warto zacząć od uświadomienia sobie, jak działa nasz umysł. Jeśli bowiem rozpoznamy, że ma tendencję do tworzenia spójnego obrazu świata nawet za cenę pominięcia niepasujących do tego obrazu szczegółów (przypomnijmy sobie, jak z dwóch niezgodnych ewangelicznych wersji narodzin Jezusa stworzymy jedną bożonarodzeniową narrację), możemy świadomie kierować uwagę właśnie na szczegóły – by nasze poznanie było bardziej adekwatne, nawet jeśli utrudni to nam proste, spójne uogólnienia.

W kontekście świętowania Bożego Narodzenia warto szczególną uwagę zwrócić na to, jak nasz umysł postrzega te detale otoczenia, które odbiera jako trudne lub niebezpieczne, i te, których doświadczenie przynosi przyjemność lub radość: te pierwsze zauważa znacznie łatwiej i odciskają one na nim większe wrażenie; te drugie często pomija i trudniej zapamiętuje. Łatwo zrozumieć, skąd wzięła się taka tendencja: w naszej długiej ewolucyjnej przeszłości, gdy tworzyły się mechanizmy działania umysłu, przeoczenie przyjemności obniżało jedynie jakość życia; przeoczenie zagrożenia miało bardzo często skutki śmiertelne. Jesteśmy potomkami tych, którzy zagrożenia zauważali i pamiętali o nich. Odziedziczyliśmy po nich tę skłonność.

Bożonarodzeniowa opowieść mówi jednak: pośród dramatów, cierpień, zagrożeń kryje się dobro. *Logos sarks egeneto* – boski Sens stał się mięsem, wcielił do końca, jest wewnątrz wszystkiego, w każdym doświadczeniu można go dostrzec. Potrzeba tylko nauczyć umysł równowagi spojrzenia – czyli, biorąc pod uwagę ewolucyjnie odziedziczone skłonności, świadomie uwrażliwiać na dobro.

Ćwiczenie to możesz zacząć od razu, w miejscu, gdzie teraz jesteś czytając ten tekst. Na chwilę przerwij lekturę i powoli przeskanuj uwagę przestrzeń doznań, które w tej chwili docierają do twojej świadomości: odczucia cielesne, dźwięki, zapachy, kolory, uczucia, myśli... Spróbuj dostrzec cokolwiek, czego obecność odbierasz jako dobre, przyjemne albo chociaż

w porządku. Może to być odczucie miękkiego ubrania na skórze, może w ustach smak herbaty z cytryną, może zieleń paprotki na półce, może świadomość: jestem w ciepłym mieszkaniu, gdy mżawka (albo śnieżyca) za oknem.

Zatrzymaj się na tym doznaniu, przybliż do niego uwagę (nie próbując odpychać czy tłumić innych, być może mniej przyjemnych elementów doświadczenia, pozwól, niech one też będą; ty jedynie trwaj w skupieniu na tym, co dobre). Daj umysłowi kilkanaście sekund, by mógł rozpoznać szczegóły, nasycić się wrażeniami, zapamiętać je. Możesz nawet uruchomić wyobraźnię: utrzymując w centrum świadomości ów wybrany element doświadczenia, wyobraź sobie, jakbyś wchłaniał/a go w siebie, nasiąkał/a nim do szpiku kości.

Być może przy tym ćwiczeniu pojawi ci się myśl: „to dziwaczne” albo wątpliwość, czy nie jest to droga udawania, że świat jest lepszy, niż jest, hodowanie złudzeń, ucieczka od trudnej prawdy? Lecz przecież ćwiczenie nie polegało na wymyśleniu czegoś, czego nie ma, tylko na zauważeniu tego, co – będąc – umykało świadomości. I nie było jego częścią odpychanie albo tłumienie tego, co trudne, lecz tylko rozluźnianie ściśniętej wcześniej na tym uwagi. Było to zatem ćwiczenie takiej wrażliwości umysłu, która pozwoli mu nie przeoczyć tego, co dobre i piękne, choć ukryte w płataninie zjawisk bolesnych i zagrażających.

Cielesna celebracja

Czyż zatem nie jest to najlepszy sposób świętowania tego, co głoszą ewangeliczne opowieści? Takim ćwiczeniem będzie poszukiwanie uwagi choćby ziarna dobrych intencji w niezręcznych i raniących życzeniach. Albo odnajdywanie w nagle zwielokrotnionych rodzinnych relacjach tych sygnałów, które wyrażają szczerą życzliwość – i łagodne skupianie uwagi właśnie na nich, z pozwoleniem, by cała reszta była jakby szumiącym tłem – ani nie wikłającym umysłu, ani przezeń nie odpychanym. A jeśli wszystko w danej chwili jest piękne – proste czerpanie radości z tej właśnie chwili.

A skoro to święta wcielenia, świętowanie w ten właśnie sposób może mieć bardzo cielesny wymiar. Można to robić na przykład tak: usiąść w wygodnym fotelu, będąc skupioną/ym na tej wygodzie; sięgnąć po kawałek piernika, przybliżyć do nosa, pozwolić sobie poczuć przez chwilę jego korzenny zapach; bez pośpiechu włożyć kawałek do ust, z pełnym skupieniem na miękkości ciasta pokrytego kruchym lukrem; poczuć, jak lukier pęka pod zębami, a ciasto uwalnia smak, słodki i cierpki zarazem, smak, którego doznanie powoli narasta na języku... Dać tym doznaniom czas, by wsiąknęły w pamięć, a potem rozejrzeć się wokół, nasycić także wzrok – widokiem ozdób świątecznych; a może i słuch – dźwiękami ulubionej muzyki.

Logos stał się ciałem, ukryty jest zatem i w cielesnym doznaniu – piernika, światła lampek, harmonii dźwięków i harmonii dotyku, nawet jeśli wielki świat jest pełen napięć i bólu. *Logos* rozsypał się wszędzie – kto go dostrzeże, będzie mógł zebrać, schować w pamięci, podać potrzebującym w uśmiechu, na otwartej dłoni, w uważnym, przyjaznym spojrzeniu.

© P. PIOTR SIKORA

Mesjasz, który miał nadejść

PAWEŁ RAKOWSKI

Namaszczonymi w tradycji żydowskiej byli królowie, prorocy i najwyżsi kapłani. Dlatego tych tożsamości uczniowie szukali u Jezusa.

ROBIĄC PREZENTY POD CHOINKĘ, CZY dekorując mieszkanie na czas zimowych świąt, mam z tyłu głowy to, że gdyby Jezus przez swoich uczniów i ucennice nie został uznany za Mesjasza, nie byłoby tekstów Ewangelii, nie byłoby chrześcijańskich wspólnot i nie byłoby dziś świąt Bożego Narodzenia. Wyodrębnienie się wspólnot chrześcijańskich ze wspólnot żydowskich jest wynikiem tej jednej odpowiedzi na pytanie: czy Jezus jest Mesjaszem? Co pomogło wyznawcom Jezusa odpowiedzieć na nie twier-

dząco? Czy wystarczyło, że Jezus mądrze opowiadał o Torze i Bogu, uczynił kilka cudownych znaków, a nawet zmarł i zmartwychwstał? Niekoniecznie.

Czy Jezus jest Mesjaszem

Mądrych nauczycieli w historii Izraela było wielu, niektórzy nawet czynili cuda, a i samo powstanie z martwych w tekstach biblijnych pojawiło się na długo przed narodzinami Jezusa. Choć na odpowiedź na pytanie „czy Jezus jest Mesjaszem?” składało się wiele elementów, to

wyduje się, że jednym z ważniejszych czynników był tu autorytet świętych Pism. Nawet po swojej śmierci i zmartwychwstaniu Jezus napotkanym uczniom w drodze do Emaus nie opowiadał o swoim powstaniu z martwych, ale „zaczynając od Mojżesza poprzez wszystkich proroków wykladał im, co we wszystkich Pismach odnosiło się do Niego” (Łk 24, 17). To właśnie Pisma mogły być dla ówczesnych, starożytnych słuchaczy lub czytelników Dobrej Nowiny najważniejszym dowodem na to, że Jezus z Nazaretu jest Chrystusem, czyli Mesjaszem. Być może dlatego teksty Ewangelii są wręcz przeładowane odniesieniami do wcześniejszych świętych Pism. To na nowej lekturze Pism wyodrębniona wspólnota zaczęła odnajdywać swoją tożsamość, zbudowaną na wierze, że Jezus z Nazaretu jest tym, którego zapowiadali prorocy.

Jednak sprawa Pism i ich interpretacji w związku z osobą Jezusa nie jest taka prosta. Gdyby była, dziś narodziny Jezusa z Nazaretu świętowałiby razem zarówno chrześcijanie, jak i żydzi. Jednak jest coś, co łączy obie wspólnoty w temacie Mesjasza. Zanim o tym, najpierw przyjrzyjmy się prorocत्वom.

→

*Uchodźcy z Afganistanu
w Turcji. Erzurum,
23 kwietnia 2017 r.*



Po co nam prorocтва?

→ Nie ma w Biblii ustalonej listy proroctw, które można by jednoznacznie uznać za te zapowiadające Mesjasza. Różne wspólnoty, różni egzegeci podają różną liczbę miejsc w tekstach powstałych przed Jezusem, które mogłyby zostać zinterpretowane w kontekście Jego osoby. Aluzji do świętych Pism w tekstach po Jezusie mamy setki.

To pierwsza trudność, czyli ogrom materiału do badania i weryfikowania. Drugim wyzwaniem jest odpowiedź na pytanie, czym prorocтво właściwie jest. Jak było rozumiane pierwotnie w tradycji żydowskiej przez swych autorów i jak zmieniło się jego rozumienie na przestrzeni wieków? Początkowo słowa proroków miały przede wszystkim funkcję dania odpowiedzi na aktualny kryzys, w jakim znajdował się naród żydowski w obliczu wojen, katastrof lub różnych innych wydarzeń. Były to raczej słowa na nieznana, ale raczej niedaleką przyszłość. Słowa proroków miały skłonić do przemyślenia aktualnej sytuacji i pobudzić do działania w celu podjęcia niezbędnych decyzji dla ocalenia narodu w świetle zagrożeń.

Takie też jest znaczenie słowa hebrajskiego „prorok” – *nawi* – ogłaszać (słowa Boga) i wzywać (do działania). Również Jezus na kartach Ewangelii korzysta z prorockiej pedagogiki. Prowokował swoich słuchaczy i używał języka, który miał nimi wstrząsnąć, pobudzić do my-

ślenia i podjęcia decyzji o pójściu za Nim, przyjęcia Jego nauczania, uznania Go za Mesjasza. Jezus miał mało czasu, zatem korzystał ze sprawdzonych już w tradycji środków wyrazu. W kontekście proroctw sam Jezus utożsamiał się z byciem prorokiem (mówił o sobie: „Tylko w swojej ojczyźnie i w swoim domu może być prorok lekceważony”; Mt 13, 57), jak i sam był za proroka uważany (tak mówiła o nim kobieta w Samarii: „Panie, widzę, że jesteś prorokiem”; J 4, 19).

Większość prorockich wypowiedzi jest bardzo ogólnie skonstruowana – nie wiadomo, kogo dokładnie dotyczą i kiedy słowa te mają się wypełnić, którego dnia czy roku. Ta cecha pozwalała w kolejnych pokoleniach przerzucać je na bardzo odległe czasy i łączyć z różnymi osobami. Dość skrajnym tego przykładem może być obecna sytuacja w Stanach Zjednoczonych, gdzie prorocтва biblijne były przywołane w kontekście wyborów prezydenckich przez radykalnych chrześcijan, sugerując przy tym, że w wyborach do Białego Domu startuje sam Mesjasz.

Nieco bliższy czasom Jezusa przykład znajdziemy już w II wieku. Słowa Balam z Księgi Liczb: „wschodzi Gwiazda z Jakuba, a z Izraela podnosi się berło. Ono to zmiążdży skronie Moabu, a także czaszki wszystkich synów Seta” (Lb 24, 17), chrześcijanie odnosili do przyjścia Jezusa, a rabini do Szymona Bar-Kochby, dowódcy powstania prze-

ciw Rzymianom w latach 132-135. Zatem udowadnianie przez cytowanie tekstów nie jest czymś unikatowym i zarezerwowanym dla autorów Ewangelii.

Syn imieniem Emmanuel

Wybór proroctw, które według autorów tekstów Ewangelii spełniły się wraz z przyjściem Jezusa, nie jest bez znaczenia. Bardzo ważne dla tradycji biblijnej są teksty prorockie z Księgi Izajasza, którego autor uchodzi za jednego z największych proroków. Dlatego nie mogło zabraknąć wielu bezpośrednich odniesień, jak i aluzji do Izajasza w tekstach Ewangelii.

Dziś z tekstów tego proroka czerpie również liturgia rzymskokatolicka, która często go przywołuje podczas obchodów świąt bożonarodzeniowych. Najbardziej znane prorocтво odnosi się do kobiety rodzącej dziecko: „Oto Panna pocznie i porodzi Syna, i nazwie Go imieniem Emmanuel” (Iz 7, 14). Z tym werselem wiąże się dużo szersza historia, ponieważ u Mateusza to zdanie brzmi: „Oto Dziewica pocznie i porodzi Syna, któremu nadadzą imię Emmanuel” (Mt 1, 22-23). Różnica bierze się stąd, że ewangelista nie cytuje tekstu hebrajskiego, a Septuagintę, czyli greckie tłumaczenie księgi Izajasza, gdzie jest mowa o dziewicy. Tekst hebrajski jest mniej jednoznaczny, niekoniecznie mówi o dziewicy.

To jeden z ważniejszych fragmentów, na którym zbudowano całą mariologię dotyczącą dziewictwa Maryi. Brzmi kontrowersyjnie, ale jest wynikiem różnego podejścia do tekstów biblijnych od tego, jakie mamy dziś. W I i II wieku nie było kanonu Pism, a tłumaczenia nie były tekstami drugiej kategorii. Ewangelisci sięgali raczej do Septuaginty niż tekstów hebrajskich – sami przecież pisali po grecku. Ponadto, proroków nie zawsze cytowano dokładnie, a czasem redagowano różne fragmenty w jedną całość, jak to miało miejsce w Ewangelii Marka (Mk 1, 2-3), gdzie słowa z Księgi Izajasza i proroka Malachiasza zredagowano razem w jeden cytat.

Zwiastun radosnej nowiny

Innym fragmentem z Księgi Izajasza, który wybrzmie w bożonarodzeniowej liturgii, są słowa o zwiastunie radosnej nowiny: „O jak są pełne wdzięku na górach nogi zwiastuna radosnej nowiny, który ogłasza pokój, zwiastuje szczęście, który obwieszcza zbawienie, który mówi

Msza święta za spokój dusz

Ś.†P.

Henryka Niewodniczańskiego

w 56. rocznicę śmierci

jego żony

Ireny z Prawocheńskich

w 34. rocznicę śmierci

i syna

Tomasza

w 15. rocznicę śmierci

zostanie odprawiona w kościele pw. św. Marka Ewangelisty
w Krakowie dnia 31 grudnia o godz. 12.30.



CLODAGH KILCOYNE / REUTERS / FORUM

Bożonarodzeniowa instalacja Groty Narodzenia na znak poparcia dla Gazy, wystawiona na zewnątrz Bazyliki Narodzenia Pańskiego. Betlejem, 24 grudnia 2023 r.

do Syjonu: »Twój Bóg zaczął królować« (Iz 52, 7), którego aluzję usłyszymy w ustach aniołów: „Nie bójcie się! Oto zwiastuję wam radość wielką, która będzie udziałem całego narodu: dziś w mieście Dawida narodził się wam Zbawiciel, którym jest Mesjasz, Pan” (Łk 2, 10-11).

Łukasz, nawiązując do miasta Dawida, robi tu również aluzję do kolejnego prorocтва, tym razem z Księgi Micheasza: „A ty, Betlejem Efrata, najmniejsze jesteś wśród plemion judzkich! Z ciebie mi wyjdzie Ten, który będzie władał w Izraelu, a pochodzenie Jego od początku, od dni wieczności” (Mi 5, 1).

Choć to święta narodzin Jezusa, warto dodać, że jeden z ważniejszych fragmentów Izajasza świadczący o mesjańskiej tożsamości Jezusa nawiązuje do Jego śmierci, odwołując się do pieśni o cierpiącym słudze (szczególnie czwartej: Iz 52, 13–53, 12).

Wskazanie na Jezusa jako Mesjasza przy autorytecie Pism prowadzi do kolejnego ważnego pytania – co to znaczy, że Jezus jest Mesjaszem?

Mesjasz, czyli kto?

Słowo „chrystus” jest greckim odpowiednikiem słowa „mesjasz”, oba znaczą dokładnie to samo, czyli „namaszczonego”. Namaszczonymi w tradycji żydowskiej byli królowie, prorocy, najwyżsi kapłani. Dlatego też w Jezusie uczniowie zaczęli widzieć króla, proroka, a także najwyższego kapłana. Jezus w Nowym Testamencie przyjmuje bardzo wiele tytułów

– można je podzielić na te, które wiążą się z mesjańską tożsamością, oraz na te, które wiążą się z tożsamością boską. W jakimś sensie w Jego osobie następuje sprzężenie dotychczas używanych w tradycji tytułów zarówno mesjańskich, jak i boskich.

Gdyby Jezus nie został uznany za Mesjasza przez swoich uczniów i uczennice, nie byłoby tekstów Ewangelii ani chrześcijańskich wspólnot. Nie byłoby też świąt Bożego Narodzenia.

Ta mnogość tytułów z jednej strony ma pomóc czytelnikom i słuchaczom dobrej nowiny odpowiedzieć na pytanie, kim jest Jezus z Nazaretu, z drugiej strony nawraca do tego samego pytania: kim właściwie jest Mesjasz Jezus? Bo jeśli jest królem, to jakim królem, skoro nie ma tronu ani pałacu; jeśli jest kapłanem, to jakim kapłanem, skoro nie ma świątyni; jeśli jest prorokiem, to jakim prorokiem, no i wreszcie, co znaczy, że jest Chrystusem, czyli Mesjaszem?

Ewangelisci chyba nie do końca sobie radzą z odpowiedziami na te pytania, wygląda na to, że w osobie Jezusa stanęli przed redefinicją swojej własnej tradycji. Proces odpowiedzi na pytania o tożsamość mesjańską Jezusa wcale się nie skończył, szczególnie że ponowne Jego przyjście odwleka się w czasie, wbrew nadziejom pierwszych wyznawców na szybkie nadejście czasów mesjańskich, co wprowadziło tradycyjnie rozumianą mesjańskość Jezusa w kolejny kryzys.

Czas bez wojen i śmierci

W Ewangelii Łukasza, na początku swojej działalności, Jezus przywołuje słowa proroka Izajasza: „Duch Pański spoczywa na Mnie, ponieważ Mnie namaścił i posłał Mnie, abym ubogim niósł dobrą nowinę, więźniom głosił wolność, a niewiedomym przejrzenie; abym uciśnionych odsyłał wolnymi, abym obwoływał rok łaski od Pana”, i odnosi je do siebie, mówiąc: „Dziś spełniły się te słowa Pisma, któreście słyszeli”. Według tradycji żydowskiej, czasy mesjańskie nadejdą wtedy, kiedy nie będzie chorób, cierpienia, wojen, śmierci, kiedy nastanie pokój i powszechne zmartwychwstanie. W tej perspektywie, skoro cierpienie i śmierć ciągle są obecne w świecie, Mesjasz jeszcze nie nadszedł.

Tak rozumiane czasy mesjańskie są kolejnym wyzwaniem dla wyznawców Jezusa, którzy uznali Go za Mesjasza. Zniwelować to napięcie może dopiero ponowne przyjście Jezusa. Do tego czasu wszyscy pozostają w nadziei, jak i niepewności.

Na to napięcie znalazło się miejsce w roku liturgicznym. Adwent, czas przygotowań do świąt Bożego Narodzenia, podzielony jest na dwie części – w pierwszej wyrażone są oczekiwania ponownego przyjścia Jezusa, czyli nadejścia czasów mesjańskich, kiedy nie będzie już cierpienia, wojen ani śmierci. Właśnie ta pierwsza część adwentu łączy nas ze wspólnotami żydowskimi, które również czasów mesjańskich oczekują. Obie wspólnoty nie czekają z założonymi rękami, obie są wezwane, jedni słowami Tory, inni słowami Ewangelii, do aktywnego przybliżania tych czasów przez redukcję cierpienia na tym świecie, w jakim żyjemy.

Na resztę, czyli na to, na co nie mamy wpływu, jak zmartwychwstanie, trzeba poczekać wraz z przyjściem Mesjasza.

© PAWEŁ RAKOWSKI

Spokój ducha

RYSZARD KOZIOŁEK

Tylko wtedy, w chwili, kiedy się rodzi ludzkie istnienie, szczerze i świadomie potrafimy powiedzieć, że życie jest dobre. Na chwilę świat zostaje niewinny.

KAŻDE NABOŻEŃSTWO ŚWIĄTECZNE BYŁO WYZWANIEM dla cierpliwości chłopca. Zwykle trwało niekończące się półtorej godziny. Za to Boże Narodzenie i Wielkanoc zapowiadały ponad dwie godziny siedzenia w twardej ławce między dorosłymi, którzy śpiewali kolejne zdające się mnożyć zwrotki pieśni. Do tego długie, niezrozumiałe, pełne cytatów i staroświeckiej podniosłej retoryki kazanie; wielopunktowe ogłoszenia, przypominki, zapowiedzi. A jednak było coś, co obiecywało nagrodę; na co czekał równie niecierpliwie, jak na koniec nabożeństwa. Był to ostatni epizod świątecznych obrzędów, czyli śpiewane przez pastora Janika (i niestety, tylko przez niego) błogosławieństwo z Księgi Liczb (6, 24-26):

„Niech ci błogosławi Pan i niechaj cię strzeże; Niech rozjaśni Pan oblicze swoje nad tobą i niech ci miłościw będzie; Niech obróci Pan twarz swoją ku tobie i niechaj ci da swój święty pokój”.

Choć minęło pół wieku od chwili, kiedy usłyszał je po raz pierwszy, nie opuszcza go wspomnienie stanu umysłu i ciała, który wywoływało każde kolejne słowo wyśpiewywane miękkim tenorem pastora. Pod jego wpływem wczesnonastoletni umysł nagle się uspokajał; uciszało się jego ciągłe wewnętrzne gadanie towarzyszące dłużej się liturgii i kazaniu.

Już się nie obawiał, czy wierzy dostatecznie mocno ani czy w ogóle wierzy; ani że wpadnie w ręce Boga żywego, bo bardziej podobają mu się katolickie dziewczyny, a najbardziej te nieubrane w niemieckich gazetach wujka Bluma. Wszystko to nadal było, nic nie zniknęło, a jednak nie straszło, a nawet wydawało się dla wyobrazonego Boga zrozumiałe i wybaczone. A on sam, historyczny nastolatek z całym bajzłem wewnętrznym, z tym popapramiem i światem oskarżonym z najżarliwszym gniewem, godził się sam ze sobą. Jakby otrzymał właśnie jedyny argument, którego nie był w stanie odrzucić, bo sam się stał tym dowodem, że wszystko jest OK. Wszystko, czyli on i świat.

Łatwo byłoby zdemaskować psychofizjologię tego spokoju, ale to bez znaczenia. Ważniejsze, że powstał w nim wtedy prototyp doświadczenia, które można uznać za rodzaj szczęścia. I pewnie zostawiłby to przeżycie w pudełku z napisem „utracone bezpowrotnie dzieciństwo”, gdyby nie nagły nawrót po latach.

Dłonie kobiety, które wsunęły mu się we włosy, kiedy wiał buty, wywołały falę fizycznej błogości w postaci strumienia ciepła rozlewającego się z głowy przez szyję na całe ciało, któremu towarzyszyło doznanie całkowitego uspokojenia.

Bez śladu odurzenia, przeciwnie, przy ostrej i jasnej świadomości, że jest dokładnie tu, gdzie powinien być, oraz że trzeba zawiązać buty i iść. I to wszystko razem było w niepojęty sposób spójne i dobre. Więcej się nie powtórzyło. Ale te dwa przeżycia dowiodły mu, że spokój ducha jest możliwy. A raczej czym powinien dla niego być spokój.

Nie ma sensu go szukać ani starać się wywołać. Trwały stan spokoju nie istnieje. Epifaniczne migawki są skrawkami niewyobrażalnej całości; nie sposób jej przedstawić, ale można o niej śnić. Spokój ducha to stan łaski.

Biblia albo Księga niepokoju

Można tytułu książki Fernando Pessoa użyć jako podtytułu Biblii. Niespokojny jest Stwórca i całe jego stworzenie od pierwszych stron. Spokoju nie ma co oczekiwać przed końcem czasu, gdyż Apokalipsa Jana zapowiada, że prawdziwie niespokojna epoka dopiero nadejdzie, więc jest się czym niepokoić. Niemniej niepokój jako składnik ludzkiej kondycji pojawia się wraz z człowiekiem, który nauczył się przysięgać i łamać obietnice, a więc odkąd odkrył moralność. Zdaniem Carla Gustava Junga nosimy w sobie ten niepokój jako nieusuwalną część naszej zindywidualizowanej psychiki, czyli od chwili, kiedy jesteśmy świadomi siebie.

Niepokój człowieka udzielił się też Bogu. W Starym Testamencie Jahwe jest nieprzewidywalny, porywczy, irracjonalny. Jest egzystencjalną projekcją myślącego i współczującego człowieka, który chce przynajmniej Boga wyłączyć z powszechnego niepokoju, załęczonego rozedrgania. Bez szans. Jahwe jest wypełniony nadprzyrodzoną energią emocjonalną; drażliwy, nieufny, zazdrosny i mściwy.

Ale kiedy czytamy arcydzieło w postaci Księgi Hioba, uderza spokój tytułowego człowieka, który zachowuje zgola nieludzkie opanowanie i moralną niewzruszoność w obliczu strasznych zabaw, jakich dopuszcza się na nim i na jego bliskich szatan za zgodą Boga. Pisze Jung, że „niezależnie od tego, jaki los go spotyka, liczy się tylko to, by Jahwe wreszcie się uspokoił. Ten środek terapeutyczny, polegający na bezwarunkowej akceptacji losu, sprawdził się i tym razem” („Odpowiedź Hiobowi”, przeł. Robert Reszke). Ktoś tu musi być dorosły, zdaje się mówić „mądre milczenie” cierpiącego Hioba. Już się mną pobawiłście? – zdaje się pytać Boga i szatana. Ale wcale nie trzeba przywoływać udręczonego Hioba, żeby za cenę spokoju schodzić drażliwemu Bogu z drogi.

Trapista Michał Ziolo tak opisuje swoją strategię: „Dziś pokornie dziękuję za jeden przeżyty dzień. Dziękuję zresztą od samego rana, bo demon siejący panikę czeka cierpliwie na nawet lekkie wahnięcia nastroju. Nauczyłem się żyć bez potrzebnej do życia niezłej formy fizycznej i psychicznej, biore, co jest, bo już wiem, że za popękaną fasadą wybrakowanego daru kryje się prawdziwy, potężny jak rzeka pokój”.

Psychoanaliza Jahwe i Hioba, jaką przeprowadza Jung, znajduje niespokojnego Boga w nieświadomości niespokojnego człowieka. Człowiek ma szansę, dzięki dojrzywaniu, myśleniu, edukacji, autorefleksji, wyłonić z niespokojnego morza nieświadomości archipelag świadomości, która pozwoli mu podejmować trud integracji w osobę za pomocą symboli, obrazów, narracji. Ale to wciąż tylko wyspy, którym grozi zalanie.



ANDREYUG / SHUTTERSTOCK

Nienapisana teologia niepokoju zwraca uwagę, że trwające Boga i człowieka zatroskanie o ludzki los ma szansę być ukojone lub przynajmniej osłabione wraz z narodzinami Jezusa. Obietnica zbawienia jest kompresem na gorączkę wygnania i potępienia; nadzieją,

*że ruch krwi
Tam powinien być dalej triumfalnym ruchem
Wyższego, że tak powiem, stopnia. Że zapach lewkonii
I nasturcja i pszczoła i buczący trzmiel,
Czy sama ich esencja, mocniejsza niż tutaj,
Muszą tak samo wzywać do sedna, w sam środek
Za labiryntem rzeczy. Bo jakżeby umysł
Mógł zaprzestać pogoni, od Nieskończonego
Biorąc oczarowanie, dziwność, obietnicę?*

Czesław Miłosz, „**JAK POWINNO BYĆ W NIEBIE**”

Zanim „zęby sobie na tym połamie teolog”, sprzeczności między umiłowaniem człowieka a losem Hioba łagodzi opowieść o narodzinach i życiu Jezusa. Jego rola, dywaguje Jung, polega przede wszystkim na uśmierzeniu lęku przed Jahwe. Zapowiadają to chóry anielskie nad Betlejem: „Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom Jego upodobania”.

Nie dla wszystkich zatem, ale tym, którzy mu się podobają lub jak mówią inne przekłady: „dobrej woli” (Jakub Wujek). Albo zatem kapryśny Jahwe robi, jak zechce, albo – co jest oczywiste oczywistością zdroworozsądkową – bez dobrej woli stron żadnego pokoju między ludźmi nie będzie. Chyba że pod przymusem zastępów anielskich, bo same śpiewy nie wystarczą. Chcecie pokoju w Palestynie? – pyta retorycznie ewangelista. Ależ wolna wola, nic nie stoi

na przeszkodzie, żebyście się przestali zabijać. Uczciwe postawienie kwestii, choć nieco cyniczne. Dzieje Jezusa, począwszy od okresu niemowlęcego, rozwiewają nadzieje na spokój, o pokoju nie wspominając.

Niegodni

Niech nas nie zwodzą łagodne pastoralne obrazy Jezusa przechadzającego się po gościńcach Galilei. Ewangelie przepełnia aura nerwicy lękowej. Wszystkim wokół Jezusa towarzyszy niepokój, od urodzenia aż do zmartwychwstania i dalej do końca czasu.

Przyznać trzeba, że od początku stawiał sprawę jasno: „Nie sądzicie, że przyszedłem przynieść pokój na ziemię. Nie przyszedłem, aby przynieść pokój, ale miecz. Przyszedłem bowiem przeciwstawić syna ojcu, córkę matce, a synową teściowej. I nieprzyjaciółmi człowieka będą jego domownicy. Kto kocha ojca lub matkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godny. I kto kocha syna lub córkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godny” (Biblia Ekumeniczna).

Jak obiecywał, tak zrobił. Od samego początku, czyli od poczęcia. Czyniąc Marię brzemienną, prawdopodobnie skłócił ją z rodzicami; potem Józefa i Marię z Herodem, wraz z wszystkimi jego ofiarami; siebie z rodzicami, kiedy się zgubił w Jerozolimie, a potem znów ich zostawił, kiedy zaczął nauczać; uczniów z ich rodzinami, swoich wyznawców z pozostałymi Żydami; Piłata z Sanhedrynem; Martę z Marią; Zacheusza ze swoimi uczniami, jawno grzesznicę z tłumem...

Każda niemal scena ewangeliczna z Jezusem to jakiś realny lub potencjalny konflikt. A co dalej, jest już przeciwieństwem historii świata naszej ery. Tak musi być. Jego królestwo nie jest z tego świata, ale chrześcijaństwo jest z tego.



→ Bez świata nie ma ono przecież sensu ani nie jest nikomu potrzebne. Ani Bogu, ani człowiekowi.

Chcę pojąć, co to za pokój i jak może go osiągnąć myślący i czujący człowiek. Wtedy, tuż po rzezi niewiniątek. I dziś w obliczu Syrii i Ukrainy, Gazy i Libanu, i każdej pojedynczej potworności tego świata. To niepokój jest przyrodzonym stanem istnienia, które chce się nazywać ludzkim. Widać to w ambiwalencji samego Jezusa. Kiedy wypowiada groźne ultimatum z Ewangelii Mateusza, mówi jak Bóg Hioba, który chce swoje stworzenie na wyłączność. Ale gdy sam zaczyna się bać i prosi Boga, aby uwolnił go od cierpienia na krzyżu, jest ludzki w najpełniejszy człowieczy sposób.

Razem z ludźmi boi się Boga.

Bóg dał nam spokój

Człowiek nowoczesny ma dość kłopotów z sobą i z naturą, żeby jeszcze niepokoić się, czy Bóg z diabłem gra w kości o świat. Spokój „na łonie natury”? Dalibóg, ponury żart. Tylko kiedy nie patrzymy dość uważnie; gdy nic nas nie gryzie, nie mrozi, nie topi, nie wypala. Naturę przenika nerwica przetrwania. Zanim Karol Darwin dostarczył naukowego wyjaśnienia, John Milton rozwiązał problem na gruncie literatury. W „Raju utraconym” wraz z człowiekiem wygnana zostaje natura, co oznacza, że razem z człowiekiem wszystko, co chce żyć, musi walczyć z innymi stworzeniami o przeżycie. Które tym samym przestają być dobre, jak chciała teologia. Darwin, teolog z wykształcenia, zupełnie nie mógł pojąć, jak dobry Bóg mógł stworzyć tak okrutny ekosystem.

O specyficznym niepokoju dzisiejszego człowieka więcej mówi to, że bardziej niż wojny i katastrofy klimatycznej boi się, że wyszedł z domu bez telefonu. Nasze życie stało się częścią globalnej grzybni. Drgają sieci internetu, który nas opłata i dobiera impulsy treści specjalnie dla nas sprofilowane, abyśmy tylko nie poczuli chwili wytchnienia od informacyjnych szturchnięć. Nie ma spokojnego schronienia, zwłaszcza w domu, gdzie nasze rzeczy nas śledzą i mówią do nas ciągle. Niczym kapryśne dzieci lub znudzone zwierzęta, które żądają, żeby wciąż się z nimi bawić. Walka o naszą uwagę powoduje permanentną dystrakcję, w konsekwencji nerwicę i niezliczone problemy psychofizyczne.

Jonathan Haidt twierdzi, że istnieje wyraźny moment w najnowszej historii, kiedy to się nasiliło, i nazywa to „nowym usieciowieniem człowieka”. Media społecznościowe są odpowiedzialne za lawinowy wzrost kłopotów ze zdrowiem psychicznym wśród dzieci i młodzieży, takich jak lęk, samotność, poczucie smutku i bezradności.

Haidt twierdzi, że za sprawą smartfonów dokonała się wielka transformacja dzieciństwa. Przestaliśmy się razem bawić, zamiast tego bawimy się telefonami, które poddają nas niezliczonej liczbie impulsów i zachęt, burząc koncentrację, nieustannie zagadując i rozprasząc uwagę. Dręczy nas niepokój, co robią inni, co o nas mówią lub piszą albo dlaczego nie, albo źle. Przecież tyle mogło się wydarzyć przez te minuty, kiedyśmy nie sprawdzili konta albo nie zareagowali na powiadomienie. W efekcie, każda próba choćby chwilowego odłączenia się od sieci powoduje niepokój kulminujący paniką. Jakby odłączano nas od aparatury tlenowej.

Nie chcieć być kimś innym, gdzie indziej, kiedy indziej, z kimś innym; i nie chcieć zmieniać świata – oto niemożliwy do zrealizowania przepis na spokój.

*Nie było na ziemi rzeczy, którą chciałbym mieć.
Nie znałem nikogo, komu warto byłoby zazdrościć.
Co przydarzyło się złego, zapomniałem.
Nie wstydzilem się myśleć, że byłem, kim jestem.
Nie czułem w ciele żadnego bólu.*

Czesław Miłosz, „DAR”

Wieczny niepokój

„Czarny kornik niepokoju” (Tadeusz Różewicz, „Scylla i Charybda”) drążący nasze umysły to stan właściwy dla istoty, która z pamięci uczyniła fundament moralności. Jeden z najważniejszych tomów polskiej poezji nazywa się „Niepokój” i choć nie ma tam wiersza o takim tytule, to jego sens jest wszędzie. Zwłaszcza w wierszu, który mówi o chwili ukojenia od obrazów wojny. Spokój możliwy jest tylko za cenę nie-pamięci, którą jedynie miłość potrafi skutecznie wytworzyć.

*białą dłonią nakryła mój niepokój
Pamięć o Tobie.
Oto są moje sprawy. Żyję
I nic mi nie jest tak obce
jak ty umarły Przyjacielu.*

Tadeusz Różewicz, „DO UMARŁEGO”

Nawet Różewicz, bezwzględny niszczyciel iluzji przezwyciężenia traumatycznej pamięci, zdawał sobie sprawę, że musi być jakieś miejsce chwilowego wytchnienia. Nie ma go w tym świecie, po wojnie jest jeszcze trudniejsze do pomyślenia. Łatwiejsza do pomyślenia jest za to śmierć bez nadziei, jaką kiedyś dawała religia, w którą wierzyliśmy. Ale niepokój, czy nieśmiertelność jest udziałem ludzkiego pogłowia, przenika Ewangelie. Przenika samego Jezusa, który jest najbardziej ludzki, kiedy się boi. Nie tylko Boga, śmierci na krzyżu, której do ostatniej chwili chce uniknąć: „Ojcze, dla ciebie wszystko jest możliwe, zabierz ode mnie ten kielich. Jednak niech się stanie nie to, co ja chcę, ale to, co Ty” (Mk 14, 36; Biblia Gdańska). Ale boi się też samotności. Prosi więc przyjaciół, aby mu towarzyszyli. „Smętna jest dusza moja aż do śmierci; czekajcie tu, a czujcie ze mną” (Mt 26, 38; Wujek). Podczas samotnego czuwania w ogrodzie nieśmiertelność Jezusa nie jest pewna nawet dla niego samego. A cóż dopiero dla jego uczniów.

Zwłaszcza że po chwilowej radości zmartwychwstania informuje, że ich zostawia na ziemi. Prawie można poczuć jego poczucie winy z tego powodu. Chcąc złagodzić kolejne po ukrzyżowaniu odejście, zapowiada, że przyśle im Ducha Pocieszyciela. Ale jakby wiedział, że to dla nich za trudne i za mało konkretne w stosunku do lat spędzonych razem na wędrówkach i rozmowach. Im potrzebny jest konkret lub obraz przysłyszony z niego wywiedziony.

I wtedy ucieka się do innego porównania, które ma ich przygotować na bycie opuszczonym przez Boga, na samotność i śmierć: „Będziecie smutni, ale wasz smutek przemieni

się w radość. Kobieta, gdy rodzi, smuci się, bo przyszła jej godzina. Kiedy jednak urodzi dziecko, nie pamięta już bólu z powodu radości, że człowiek przyszedł na świat” (J 17, 20-22).

I myk do mamy

W przeblasku teologicznego geniuszu Bob Dylan napisał pieśń, która pozwala wyobraźni wymknąć się z więzienia racjonalności. „Shelter from the storm” to wizyjna, pełna rozbieganych symboli ballada, w której autor snuje apokryficzną opowieść o Chrystusie lub naśladowującym go człowieku. Ten przybywa z pustkowia do świata walczących ze sobą ludzi, zimnych i bezlitosnych. Zmęczony i wypalony zmierza gdzieś bez kierunku, bez celu, przerażony krzywdą i niesprawiedliwością świata beznadziejnego i ponurego. Bez końca powtarza się ta sama historia, w której to, co czyste i dobre, spotyka się z pogardą, odrzuceniem i upokorzeniem.

Dylan wprowadza bohatera prosto z pustyni, nawiązując do kuszenia Chrystusa i największej pokusy, jaka może spotkać Boga, a mianowicie: żeby naprawił stworzony przez siebie świat. Oprzeć się oznacza twierdzić, że wszystko już na nim jest dobre, jak twierdził Bóg po każdym akcie stworzenia. „No to masz ten swój dobry świat” – polemizuje Dylan:

*W wiosce na wzgórzu rzucali losy o moje szaty,
Przehandlowałem zbawienie za śmiertelną dawkę.
Za moją niewinność dostałem pogardę.*

W zwrotce, którą Dylan usunął, Jezus przyznaje, że beznadziejna jest walka o pokój, kiedy wiadomo, że i tak będzie zerwany. Ale wtedy rozlega się głos, który oferuje mu miejsce spokojne, gdzie zawsze jest bezpiecznie i ciepło:

*Odwrociłem się, a ona tam stała,
Srebrne bransoletki na rękach i kwiaty we włosach.
Z wdziękiem podeszła do mnie i zdjęła mi cierniową
koronę.
„Chodź – powiedziała – dam ci schronienie przed burzą”.*

Gdzie niby jest to miejsce w świecie, ale poza światem? I jak można tam wejść? No tak, tylko tam. Fantazja o powrocie do matczynej ciała jest pokusą, przy której diabelskie prowokacje na pustyni wydają się dziecinny gaworzeniem. Tam istotnie może być spokojniej, bo jak zapewnia Lech Janerka:

*mama w Katmandu piękna jak Bóg,
Jak Rów Hermana, jak buła na pól.*

Może tylko wtedy, w chwili, kiedy się rodzi ludzkie istnienie, szczerze i świadomie potrafimy powiedzieć, że życie jest dobre. Na chwilę świat zostaje niewinny. „Rzekł anioł: Dziecko ziemię nie od krwi wybawi. / Jak promień, co przywraca czarnej fali płynność, / Tak ono zbrodni ludzkiej przywróci niewinność” (Czesław Miłosz, „Baśń wigilijna”).

Nienapisana teologia
niepokoju zwraca uwagę,
że trawiące Boga i człowieka
z troską o ludzki los
ma szansę być ukojone
lub przynajmniej osłabione
wraz z narodzinami Jezusa.

Bo jeśli wszystko jest ze sobą połączone i wszystko musiało się stać, żeby pojedyncze życie pojawiło się na świecie; jeśli rzeczywistość taka, jaka jest, była konieczna, żebyśmy ja, ty, ono się urodzili, to wtedy i tylko wtedy wszystko we mnie – z pełnym przekonaniem, pomimo wiedzy i doświadczenia – mówi światu: „tak”.

Może więc z materii tego doświadczenia należałoby ulepić ów pokój ludzi dobrej woli, który zapowiada Ewangelia. Może i moje niespokojne serce mogłoby poczuć ten spokój.

*Gdybym tylko wrócił do chwili,
gdy Bóg i ona się narodzili.*

Bob Dylan, „SHELTER FROM THE STORM”

Jak to rozumieć poza jednostkowym doświadczeniem rodzicielstwa? Ano, jako niemożliwą sprawiedliwość poetycką, która cofa każde pojedyncze zło, każdą zadaną lub doznaną krzywdę do miejsca, gdzie wszystko jeszcze mogło być inaczej.

Jak w tym filmie o życiu Jezusa, który przez przypadek puszczono do tyłu. Rozpoczyna się scena, kiedy żołnierze rzymscy wyjmują z ziemi krzyż z przybitym do niego młodym mężczyzną i ostrożnie kładą na ziemi. Następnie dobre anioły podają mu środki przeciwbólowe i wyjmują gwoździe z jego dłoni i stóp. Młodzieniec jest częściowo boski, więc jego rany natychmiast się goją. Ktoś podaje mu jego ubranie i w pełni sił rusza do miasta w towarzystwie matki i przyjaciół, otoczony rozradowanym tłumem. Udają się do pałacu Piłata, który go uniewinnia, a w zamian on uśmierza potworną migrenę prokuratora, dzięki czemu ten po raz pierwszy od wielu tygodni się uśmiecha. Widząc, że robienie cudów znów spowodzi na niego kłopoty, uznaje, że bardziej niż Bogiem chce być człowiekiem. Ale takim, który przeżywa naszą radość istnienia, a nie cierpienie. Postanawia stać się dzieckiem. Nie potrafi tylko zdecydować: chłopakiem czy dziewczyną. Tak czy inaczej:

*Wyciera nos prawą ręką,
Pluska się w kałużach,
Zrywa kwiaty i lubi je, i o nich zapomina.
Rzuca kamieniami w osły,
Kradnie owoce z sadów.*

Fernando Pessoa, „STRAŻNIK TRZÓD”,
przetł. Wojciech Charchalis

Podczas dyskusji z uczonymi w wielkim mieście uświadamia sobie jednak, że jest za mądry jak na swój wiek. Zaczyna myśleć o przyszłości, co sprawia, że nachodzą go fale smutku. Wtedy przypomina sobie, że najbardziej spokojny czuł się w jej ciele. Nawet kiedy jakaś siła wyrzuciła go stamtąd w świat, przestał płakać, gdy tylko poczuł jej radość z powodu swojego narodzenia.

© RYSZARD KOZIOŁEK

Kobieta w ciąży w centrum wiary

TINA BEATTIE, TEOLOŻKA:

Bycie człowiekiem oznacza bycie relacyjnym, zależnym i bezbronny, ponieważ gdyby ktoś nie uratował nas przy narodzinach, nie przetrwalibyśmy.

ZUZANNA RADZIK: Czy mogę zacząć od cielesnego doświadczenia i zaprosić Cię do przemyślenia go teologicznie?

TINA BEATTIE: Teologię feministyczną uprawiamy, właśnie wychodząc od doświadczenia wcześniej niedostrzeganego w teologii.

Będąc w ciąży, wyszłam wieczorem z kina i poczułam pierwsze silniejsze ruchy płodu. Uderzyła mnie zwyczajność sytuacji, zderzona z dziwnością faktu, że rośnie we mnie człowiek, i podziw, że moje ciało daje sobie z tym radę. Pomyślałam, że religie powinny umieszczać kobiece ciało w ciąży w centralnych ołtarzach, ze względu na dziwność i cudowność tego procesu. A jednak nasza religia tego nie robi. Owszem, mamy Maryję, ale ona ma już dziecko w ramionach, a jej ciąża została odrealniona. Jest katolickie wychwalanie macierzyństwa, ale mam wobec tego wiele nieufności, bo często wydaje się pułapką na kobiety. Macierzyńskie obrazy biblijnego Boga nie dominują w naszej wyobraźni.

Brakuje nam miejsca, w którym moglibyśmy pogodzić teologię nadziei i odkupienia z prawdziwą inkarnacyjną teologią kobiecego, rodzącego ciała. Mamy składniki, aby to zrobić, ale nie ma rozwiniętej teologii, która pozwoliłaby się odnaleźć kobietom w ciąży, rodzącym i w okresie połogu. Kobiety są w stanie opowiedzieć o wstrząsających doświadczeniach macierzyństwa, a w biednych społecznościach nawet dzisiaj życie matki jest niebezpieczne i trudne. Ko-

biety zaczynają jednak mówić o kształtowaniu teologii za pomocą tych doświadczeń. Recenzuję właśnie książkę brytyjskiej teolożki nigeryjskiego pochodzenia, Chine McDonald, która opowiada o swoich doświadczeniach macierzyństwa ze wszystkimi zmaganiem, porażkami, radościami i kruchością, odnosząc je do Maryi takiej, jaką mogłaby być, gdyby kobiety kształtowały jej wizerunek. McDonald nie jest katoliczką, ale to po Maryję sięgnęła, próbując teologicznie opisać swoje macierzyństwo.

Czyli Maryja może być inspiracją takiej nowej teologii?

Maryja doświadcza dziewiczego poczęcia bez seksu, w przeciwieństwie do wszystkich innych kobiet. Miałaby urodzić bez bólu, cierpienia oraz bez utraty dziewictwa. To również nam obce. Wiemy jednak, że Maryja cierpi nie tylko podczas ukrzyżowania, ale także podczas ucieczki do Egiptu. Nie przywiązując się zbyt do dosłowności tekstu Ewangelii, możemy przyjąć, że rodzi w trudnych okolicznościach. Nie mamy jednak w opowieści o niej surowej, fizycznej rzeczywistości poczęcia, ciąży, porodu i posiadania małego dziecka.

Więc jak użyć Maryi w tej nowej teologii?

Możemy się bawić symbolami, ponieważ teologia jest zabawą. Uprawiając ją, musimy być pomysłowi. Jeśli powiesz: nie wierzę, że Maryja była dziewicą, usłyszysz: przecież taka jest doktryna. Twórczą teologiczną zabawą jest powiedzenie, że Maryja była dziewicą, ponieważ Bóg był w stanie wcielić Chrystusa bez udziału penisu, że Maryja nie potrzebowała mężczyzny, bo

jest nowym Bożym stworzeniem, dziewiczym, jak puszcza czy ocean.

Skoro tradycja chce, żebyśmy symbolicznie postrzegali Maryję jako nową Ewę, to w Ewie widzimy historyczną rzeczywistość kobiecej miłości. Tak można rozumieć konsekwencje grzechu, gdy Ewa słyszy: twoim pragnieniem będzie twój mąż, który będzie nad tobą panował, będziesz rodzić w bólu. W mojej interpretacji Bóg obiecuje nam, że cierpienia i podległość nie są chcianą przez Boga rzeczywistością kobiecego ciała. Wtedy idea, że Maryja jest dziewicą, mówi, że nie ma zależności od mężczyzny w jej macierzyństwie, nie ma przemocy seksualnej, tak często doświadczanej przez kobiety. Nie chodzi o to, że seks jest zły, ale o odkupienie miłości seksualnej. Poród bez bólu sugeruje, że Chrystus nie stosuje przemocy wobec kobiecego ciała, lecz wkracza w świat poprzez Maryję bardzo delikatnie.

Dlaczego omija ją ból?

Maryja w tradycji nie cierpi w swoim fizycznym ciele, ponieważ jej fizyczne ciało jest nowym stworzeniem. Ale w duszy cierpi tak, jak cierpi matka, choć jako niepokalanie poczęta nie ma winy ani poczucia winy. To jest powód, dla którego uważam, że niepokalane poczęcie ma znaczenie. Matki są nękanie pocuciem winy. Dzieci muszą mieć idealną matkę, więc o trzeciej nad ranem jesteś wyczerpana; dopiero urodziłaś dziecko, a ono nie chce zasnąć. Krzyczysz: śpij wreszcie! A potem czujesz się zdruzgotana winą. Niepokalana Maryja u stóp krzyża cierpi tak bardzo, jak tylko można cierpieć. Tym samym Bóg mówi nam: twoje dziecko cierpi, ale to nie jest twoja wina.

Mówiłaś kiedyś, że w ten sposób odzyskujemy Józefa jako mężczyznę, który nie użył swojej patriarchalnej władzy nad jej ciałem.

Patrząc na ten związek, jesteśmy zaproszeni do życia w inny sposób jako mężczyźni i kobiety. Seksualnie, macierzyńsko, w każdym sensie. Dziewictwo Maryi staje się wtedy nie fundamentem potępienia seksu, ale odkupieniem naszych relacji.

Katoliczki częściej widzą w Maryi niedościgniony wzór i źródło opresyjnego modelu kobiecości, a nie wyzwolenie.



Beata Stankiewicz, *Nawiedzenie*.
Obraz powstał w ramach projektu
„Namalować katolicyzm od nowa”
(Fundacja Świętego Mikołaja).

Wystawę wszystkich obrazów tego projektu
można oglądać do 12 stycznia w katedrze
św. Floriana na warszawskiej Pradze

w wielu kulturach. Czy ten strach paraliżuje również zmianę miejsca kobiet w Kościele?

Myślę, że mizoginia jest drugim poziomem reakcji, pierwszym jest strach. Gniew i przemoc zawsze są obroną przed strachem i bezbronnością. W religiach, które mają silną symbolikę ofiary z krwi, a tak jest w katolicyzmie, istnieje różnica między mężczyznami, którzy mogą przelewać krew do woli, a kobiecymi ciałami, które mają niekontrolowany związek z krwią. Oczywiście kobiety ulegają też zranieniom i krwawią, ale ciała mężczyzn nie krwawią naturalnie, a kobiece owszem i nie można tego kontrolować. Mężczyznom nie przypomina się cały czas o ich związku z bardzo surowym rodzajem naturalnej zwierzęcości. Kiedy kobieta staje przy ołtarzu i mówi: to jest moje ciało, to jest moja krew, jest to coś poza męskim umysłem. Poza kontrolą.

Trochę dzikie.

Mężczyźni też nie mogą kontrolować tych rzeczy. Kontrolują więc Maryję i mówią reszcie z nas, że nie jesteśmy wystarczająco dobre, ponieważ ona jest tą jedyną: nie krwawi, nie przechodzi przez naturalne funkcje ciała.

Sposób, w jaki Kościół wykorzystuje Maryję, jest przemocą wobec kobiet. Naprawdę tak uważam. Milczenie, uległość, pokora, cierpienie, smutek... Tymczasem w Magnificat poznajemy potężną wizję. Po raz pierwszy słyszymy, co oznacza wcielenie! I to w scenie spotkania dwóch ciężarnych kobiet, Maryi i Elżbiety. Myślę więc, że kobieta w ciąży jest centralnym symbolem wiary chrześcijańskiej. Wiele średniowiecznych dzieł sztuki przedstawia Ewę jako ciężarną, ponieważ istnieje obietnica, że jej potomstwo zmiażdży węży. Tak więc ciąża staje się motywem odkupienia i istnieje w średniowieczu ikonografia, choć tylko przez krótki czas, w której Chrystus na krzyżu rodzi Kościół, a jego rana w boku była przedstawiana jako krwawiąca vagina.

Ponieważ krew i woda w Ewangelii Jana nie pochodzą z martwego ciała, tylko z żywego, jak w połogu.

Dlaczego ta waginalna ikonografia znika?

To koncept niebezpieczny dla mężczyzny, który co dzień musi mówić: to jest moje ciało, to jest moja krew. Co dzieje się z jego duchową wyobraźnią, gdy to kobieta tak powie? Myśli o seksie, o menstruacji, o porodzie, zamiast myśleć o ukrzyżowaniu. Kościół zdominowany przez mężczyzn nie chce przyznać, że wyszli oni na świat przez pochwę kobiety, pokrytą jej krwią.

To brzmi bardzo pierwotnie, jak
obawa przed brudem czy krwią

Tylko czy tradycyjna Maryja nie stabilizuje modelu kobiecości? Jeśli wezmę to cielesne doświadczenie i pobawię się nim, eksplorując poczucie bezbronności połączone z odczuwaniem dzikiej mocy dawania nowego życia – to ta mieszanina wygląda niebezpiecznie.

Nie znamy momentu, w którym poczęliśmy dziecko, odkrywamy to z opóźnieniem. Myślimy, że wiemy, co się wydarzy podczas narodzin, ale tak zwykle nie jest. Potem zaskakują nas emocje i reakcje ciała. Dziecko płacze, a nasze piersi cieką mlekiem poza naszą wolą. To przypomina, że jesteśmy zwierzętami. Niczym stwierdzenie Augustyna, że męska erekcja jest oznaką grzechu pierworodnego, ponieważ gdyby seks

→ nie był grzeszny, mężczyzna byłby w stanie mieć erekcję pod kontrolą umysłu. Jeśli można tak powiedzieć o jednej małej funkcji fizycznej, to co z ciałem matki?

Jest poza kontrolą, wie lepiej od nas, co ma robić.

Kontrola jest krucha. Bycie człowiekiem oznacza bycie relacyjnym, zależnym i bezbronnym, ponieważ gdyby ktoś nie uratował nas przy narodzinach, nie przetrwalibyśmy. I zazwyczaj robi to matka. Jest to więc przypomnienie o tym, skąd pochodzimy, jak bardzo jesteśmy zależni. To jest piękne. Mwyślę jednak, że istnieje strach przed tym, że kobiety zaczynają odzyskiwać kontrolę nad narracją.

W tym sensie postać Maryi, nadal centralna w katolicyzmie i w Bożym Narodzeniu, może destabilizować patriarchat?

Myślę, że tak. Możemy to również odczytać w kontekście niepokoju związanego z aborcją. Obrona późnej aborcji jest bardzo problematyczna, ale jeśli kobieta weźmie pigułkę „dzień po” lub dokona bardzo wczesnej aborcji, jest to nie do odróżnienia od menstruacji czy poronienia. Postrzegam to jako łaskę, że Bóg daje nam dwa miesiące, jakby chciał powiedzieć: zastanów się, zdecyduj.

Tymczasem już nawet antykoncepcja, też rodzaj kontroli kobiecego ciała, wzbudza w Kościele niepokój.

W tym sensie spierałabym się również z „Laudato si”, bo moim zdaniem sposób pisania o naturze jako o bezbronnej matce ziemi, ofierze, którą mężczyźni muszą uratować, hamuje zdolność Kościoła do rozwinięcia dobrej teologii środowiska naturalnego. Dopóki Kościół nie będzie w stanie zaakceptować potęgi kobiet i potęgi natury, nie będziemy w stanie rozwinąć dobrej teologii środowiska. Sentymalizowanie zarówno kobiet, jak i przyrody, która czasami jest z ludzkiego punktu widzenia destrukcyjna, nie pomaga.

Ostatnie miesiące dają wiele przykładów destrukcyjnej siły rozregulowanej przyrody, a ostatnie lata – przykłady gniewu kobiet.

Jeśli Kościół chce używać kobiecego macierzyństwa jako metafory natury, to



ARCHIWUM PRYWATNE

PROF. TINA BEATTIE jest brytyjską teolożką feministyczną, emerytowaną profesorką studiów katolickich na Uniwersytecie w Roehampton. Studia z teologii zaczęła po konwersji na katolicyzm i wychowaniu czwórki dzieci. W grudniu 2014 r. zainicjowała powstanie na Facebooku grupy Catholic Women Speak łączącej katoliczek z całego świata.

trzeba pamiętać, że kobieta wiedząc, iż nie poradzi sobie z kolejnym dzieckiem, dokona aborcji. Jeśli nie chce dziecka, zastosuje antykoncepcję. Jeśli natura jest zagrożona, zabije niektórych z nas. Nie twierdzę, że świadomie, ale to konsekwencja rozregulowania przyrody. Istnieje silny instynkt przetrwania, z którym walczy natura i kobiety. Nie jesteśmy tylko ofiarami lub demonami, ponosimy ogromną odpowiedzialność za życie.

Co jeszcze utrudnia nam religijne sentymalizowanie macierzyństwa?

Refleksję na temat kapłaństwa. Jeśli nie możesz być kapłanem, reprezentować Chrystusa przy ołtarzu, to w pewnym sensie nie jesteś wcielona. Nie wolno zabraniać nam zadawania tych pytań, dotykających tych symboli, by je uwolnić od patriarchalnej narracji.

Jak rozmontować patriarchalną symbolikę, skoro używa jej również papież?

Musimy przestać akceptować autorytet interpretacyjny hierarchii kościelnej. Jestem sceptyczna wobec tego, co udało się osiągnąć na synodzie. Jednak wykreślając temat diakonatu z porządku obrad,

Watykan spotkał się z oporem i dyskusją. Może to być moment objawienia dla Kościoła, że nie można już dłużej nas uciszać. Pamiętajmy jednak: patriarchat, gdy jest zagrożony, staje się brutalny. To, co dzieje się z kobietami w Afganistanie, metaforycznie dzieje się z kobietami w Kościele katolickim: nie wolno nam uczyć się ani nauczać. Oczywiście robimy to, ale nasz dorobek nie jest uznawany ani cytowany w dokumentach kościelnych. Jesteśmy skutecznie uciszone i wykluczone.

Możemy więcej powiedzieć o poro-dzie Maryi?

To trudne. Może pozwólmy, by była to tajemnica? Możemy za to w Boże Narodzenie pomyśleć o kobietach na całym świecie, które umrą podczas porodu. O kobietach w Gazie, które rodzą bez uśmierzania bólu. O kobietach w Afganistanie, gdzie nie wolno już szkolić położnych. Jeśli przyczyniasz się do cierpienia, jesteś po stronie potępienia, a nie odkupienia! Odkupieniem jest zapewnienie kobietom dostępu do antykoncepcji, zostawienie im decyzji dotyczącej wczesnej ciąży, zapewnienie bezpiecznych porodów. Aby dotknąć realności narodzin, możemy zadbać o te sprawy. Nie musimy dokładnie wiedzieć, jak Maryja rodziła. Musimy wiedzieć, że urodziła.

A gdzie się nam mieści obraz macierzyńskiego Boga?

Wiemy, że możemy mówić o Bogu tylko w ludzkich kategoriach, a zatem tak naprawdę nie mówimy o Bogu, tylko o sobie. Często zastanawiam się, czego Bóg doświadczył na Kalwarii? Nie wiemy, ale jeśli Bóg naprawdę jest kochającym ojcem Jezusa Chrystusa, to Jego uczucia w tym momencie uosabia Maryja u stóp krzyża. Ona nosi Boże złamane serce. Czy Bóg ma złamane serce? To ludzki język. Ale musimy używać ludzkiego języka.

Matczyny Bóg jest też u Izajasza.

Lubię myśleć, że prorok mówi o Bogu jako o wojowniku, a potem głos Boga wybucha w jego głosie, jako sfrustrowana matka, rodząca, dusząca się, jęcząca.

Silna i jednocześnie narażona, ale inaczej niż wojownik.

Możemy też pomyśleć o dziecku w łonie matki, to najbardziej intymna rela-

cja, jaką mamy z innym człowiekiem. Nie znamy wtedy matki. Tak właśnie jest w stworzeniu, że jesteśmy w łonie Boga, nie możemy wyjść na zewnątrz, by go zobaczyć, ale jeśli Bóg nas nie podtrzymuje, przestajemy istnieć. Jest tu odrębność i zależność. Ale nie możemy o tym mówić inaczej niż z perspektyw bycia we wnętrzu. Zawsze pozostaje jakaś tajemnica.

Jesteśmy w stanie opisywać tę tajemnicę językiem?

Obecnie dużo pracuję nad etyką macierzyństwa. Brakuje nam języka do opisania tej relacji, ponieważ etyka została stworzona przez mężczyzn. Właśnie czytam książkę brazylijskiej filozofki, która urodziła dziecko i stwierdziła, że żadna filozofia nie ma teraz dla niej sensu. Teraz próbuje wyrazić, czym byłaby etyka filozoficzna, która rozumie nie jedno, ale dwa ciała w kobiecie w ciąży jako podstawę etyki. Nie mamy jeszcze nawet narzędzi, by to opisać, ponieważ byliśmy tak daleko od miejsc, w których tworzono język opisu świata. Myślę, że nie powinniśmy tworzyć tej teologii przepisując język w kategoriach doktrynalnych, ale poetyckich.

Całkowicie odwrócić język?

Nie odwrócić, ale złamać. Użyć zupełnie innego narzędzia niż systematyzacja, którą zwykle mamy na myśli, kiedy mówimy o teologii i filozofii. Ale to może nie dać nam jeszcze prawdziwych narzędzi. Franciszek wydał bardzo interesującą instrukcję dla Międzynarodowej Komisji Teologicznej na temat języka teologicznego i powiedział, że potrzebujemy całkowitej zmiany. Mój problem z feministycznym teologizowaniem polega na tym, że często odwraca dualizmy. Tak więc, był Bóg Ojciec, będzie Matka. Chrystus natomiast jest słowem i ciałem, człowiekiem i Bogiem, Maryja jest dziewicą i matką. Paradoxy. Postrzegam to jako zaproszenie do granic języka, ponieważ nasze pojęciowe umysły nie radzą sobie z tym, co musimy być w stanie powiedzieć.

Świat ciąży i porodu jest tajemniczy nawet dla kobiet, które go doświadczają. Właśnie tam, w tajemnicy, musimy szukać języka.

© Rozmawiała ZUZANNA RADZIK



DOMENA PUBBLICNA / YORK MUSEUM TRUST

Naśladowca Rogiera van der Weydena, *Madonna z Dzieciątkiem*, 2. poł. XV w., York Art Gallery

Wszystkie Madonny świętego Łukasza

MAGDALENA ŁANUSZKA

Najśłynniejsza Maria z Dzieciątkiem według legendy sięga czasów, w których żył jeden z ewangelistów. Ale też samo przedstawienie Łukasza portretującego Matkę Boga stało się z czasem ulubionym motywem malarzy.





Maarten van Heemskerck, Św. Łukasz malujący Madonnę, 1532 r., Muzeum Fransa Halsa w Haarlemie

→ OD ŚREDNIOWIECZA JEDNYM Z NAJPOPULARNIEJSZYCH tematów w sakralnej sztuce europejskiej jest przedstawienie Matki Bożej z Dzieciątkiem – takie wizerunki obecne były niegdyś nie tylko w świątyniach, lecz także w prywatnych domach, zwłaszcza w formach obrazów, ilustracji rękopisów czy masowo powielanych grafik. Wielu artystów na przestrzeni wieków tworzyło przedstawienia Madonny, do których pozowały ich żony i dzieci. Z kolei własne rysy nie jeden malarz czy rzeźbiarz nadawał św. Łukaszowi – ewangelistcie najbardziej kojarzonemu z Bożym Narodzeniem.

Przy wigilijnym stole tradycyjnie czytamy fragment Ewangelii wg św. Łukasza mówiący o narodzinach Jezusa. O przyszłości na świat Zbawiciela napisało dwóch ewangelistów: Mateusz i Łukasz, ale to ten

ostatni opowiedział w szczegółach m.in. o Zwiastowaniu, o Nawiedzeniu św. Elżbiety, Pokłonie Pasterzy czy Ofiarowaniu Dzieciątka w świątyni. W sztuce zatem tzw. cykle Dzieciństwa Chrystusa (obejmujące także wydarzenia sprzed Bożego Narodzenia) były oparte na przekazie św. Łukasza. Mimo że akurat Łukasz nie był jednym z uczniów samego Chrystusa, a zatem wszystko, co napisał o narodzinach Mesjasza, musiał usłyszeć od kogoś innego. Średniowieczne żywoty (zwłaszcza „Złota Legenda”) mówiły, że miał jednak okazję spotkać osobiście Matkę Bożą i to od niej dowiedział się wszelkich szczegółów. Miał ją także sportretować.

Kim był Łukasz ewangelista

Jak podaje tradycja, spośród czterech ewangelistów dwóch należało do grona

dwunastu apostołów: Mateusz oraz Jan. Tymczasem Marek i Łukasz byli uczniami (towarzyszami) odpowiednio św. Piotra i św. Pawła. Łukasz był człowiekiem wykształconym, z pewnością znał dobrze klasyczną antyczną literaturę; wspominał go w swych listach św. Paweł, określając go jako lekarza. Już teologowie wczesnochrześcijańscy przypisali Łukaszowi nie tylko autorstwo Ewangelii, ale także Dziejów Apostolskich.

Przyjęło się, że Łukasz urodził się w Antiochii (stolicy rzymskiej prowincji Syrii) być może w rodzinie greckiej; wiemy, że ze św. Pawłem podróżował do Rzymu. Łukasz dożył miał sędziwego wieku – najstarsze tradycje mówią, że zmarł w Tebach w wieku 84 lat. W IV wieku jego relikwie miały zostać przeniesione z Teb do Konstantynopola, skąd w średniowie-



Rogier van der Weyden, Św. Łukasz rysujący Madonnę, ok. 1435-1440 r., Museum of Fine Arts w Bostonie

czu trafiły do Padwy. Padewski relikwiarz był otwierany kilkakrotnie (na pewno w XV i XVI wieku), a w 1998 r. przeprowadzono badania zawartych w nim szczątków. Należą one do mężczyzny, który zmarł w wieku 70 lub więcej lat, zaś analiza DNA z zęba wskazała, że był on raczej syryjskiego, a nie greckiego pochodzenia.

Każdy z czterech ewangelistów ma swój symbol, wywodzący się z przedstawień czterech Istot Apokaliptycznych, czyli stworzeń, które objawiać się mają przy tronie Boga: „a w środku tronu i dookoła tronu / cztery Zwierzęta pełne oczu z przodu i z tyłu: / Zwierzę pierwsze podobne do lwa, / Zwierzę drugie podobne do wołu, / Zwierzę trzecie mające twarz jak gdyby ludzką / i Zwierzę czwarte podobne do orła w locie” (Ap 4, 6-7). Łuka-

szowi został przypisany wół – zwierzę ofiarne, a zarazem symbolizujące pogan.

Wielu pisarzy twierdziło, że Łukasz wywodził się z rodziny pogańskiej, a pisma swe kierował do chrześcijan nieżydowskiego pochodzenia. Jako lekarz św. Łukasz jest patronem medyków, a ze względu na swój symbol opiekuje się też rzeźnikami, ale średniowieczna tradycja przypisała mu również inny fach – miał on mianowicie być malarzem. Z tego powodu w całej Europie bractwa i cechy malarzy oraz akademie artystyczne nosiły właśnie imię św. Łukasza. Wielokrotnie także na przestrzeni wieków ukazywano Łukasza jako malarza przy pracy, portretującego Madonnę z Dzieciątkiem. Być może stało się tak właśnie dlatego, że to Łukaszowa Ewangelia podaje najwięcej informacji o Marii i narodzinach Jezusa.

Portret Matki Bożej

Wedle tradycji Łukasz namalował Matkę Bożą z Jezusem „z natury”, na desce stołu, przy którym siedzieli, choć wersja uwzględniająca czas życia ewangelisty głosi, że uwiecznił on swą mistyczną wizję Madonny z Dzieciątkiem. Tak czy inaczej, artyści na przestrzeni wieków bardzo chętnie ukazywali swego patrona przy pracy. W późnym średniowieczu szczególnie popularne stało się przedstawianie Łukasza malującego Madonnę z dodatkowymi motywami, które miały określone podteksty teologiczne.

Najstarsza legenda, przypisująca autorstwo „prawdziwego” wizerunku Madonny Łukaszowi, wiąże się z klasztorem Hodegon w Konstantynopolu. Nazwa wywodzi się od określenia przewodników (*hodegoi*) – do przybytku tego bowiem przybywali niewidomi (potrzebujący przewodników), gdyż było tam cudowne źródło, które miało przywracać wzrok. W V wieku cesarzowa Pulcheria miała do tego właśnie miejsca sprowadzić obraz pędzla św. Łukasza (choć badania wskazują, że klasztor w rzeczywistości powstał kilka stuleci później).

Stopniowo w średniowieczu rozkwitł kult obrazu Matki Bożej Hodegetrii, czyli Przewodniczki: trzymającej na jednym ramieniu Dzieciątko i wskazującej na nie (wskazującej wiernym drogę do Zbawienia). W każdy wtorek ikona ta miała czynić cuda, a co najmniej od XIV wieku co tydzień obnoszono ją w procesji po mieście. Nie wiadomo niestety, kiedy dokładnie powstało to dzieło (oraz czy było to przedstawienie całopostaciowe), ponieważ nie przetrwało upadku Konstantynopola. W całej średniowiecznej Europie jednak powstawały jego kopie (w ujęciu półpostaciowym), z których wiele przejęło legendę oryginału, jakoby miał je namalować sam św. Łukasz. W Polsce najsłynniejszym przykładem jest niewątpliwie Matka Boża Częstochowska.

Karmiąca piersią

Rogier van der Weyden, obok Jana van Eycka jeden z najważniejszych malarzy niderlandzkich XV wieku, prawdopodobnie ukazał siebie pod postacią św. Łukasza szkicującego Madonnę. Było to zamówienie brukselskiego cechu malarzy, zapewne do kaplicy św. Katarzyny przy katedrze św. Guduli w Brukseli, →



Jakub Beinhart, Św. Łukasz malujący wizerunek Madonny, przed 1510 r., Muzeum Narodowe w Warszawie



Warsztat Dirka Boutsza starszego, Św. Łukasz rysujący Madonnę, ok. 1440-1475 r., The Bowes Museum, Durham

→ z lat ok. 1435-1440 – dziś dzieło to znajduje się w Museum of Fine Arts w Bostonie. Jednakże zamiast tradycyjnej Hodegetrii, św. Łukasz u van der Weydena szkicuje Madonnę karmiącą.

Matka Boża karmiąca (łac. *Maria Lactans*) to przedstawienie, które również ma korzenie bizantyńskie – *Galaktotrophousa* miała ukazywać pełną miłości relację Marii i jej Syna, oraz podkreślać człowieczeństwo Zbawiciela, który będąc Bogiem był także w pełni człowiekiem, dzieckiem, które należało karmić. Antyczni lekarze (np. Soranus z Efezu, I/II w.) uważali, że menstruacyjna krew kobiety karmi dziecko w jej łonie, a po porodzie zamienia się w mleko w jej piersiach. Czyli krew, a następnie mleko matki, budują organizm potomka – to z kolei odnieść można do roli Marii w dziejach Zbawienia. Z jej krwi powstały Ciało i Krew Chrystusa, które dla nas stały się Eucharystią. Ukazywanie Marii karmiącej nagie Dzieciątko jest zresztą właśnie prezentacją Ciała Chrystusa.

Malując św. Łukasza szkicującego Marię karmiącą artysta ten właśnie wizeru-

nek podniósł do rangi „prawdziwego portretu”, co oczywiście sprawiło, że w kolejnych dekadach powstawały liczne kopie jego przedstawienia Madonny, już bez kontekstu św. Łukasza. Nie zawsze były to kopie udane, czego przykładem może być niewielki obrazek przechowywany w York Art Gallery – pierś Matki Bożej wylądowała w nim w zdecydowanie niewłaściwym miejscu.

Cudowna odzież dla boskiego dziecka

W zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie znajdziemy unikatowe dzieło: św. Łukasza malującego Madonnę, która zajęta jest tkaniem sukienki dla Dzieciątka. To rzeźbiona środkowa część ołtarza (ok. 1510) z kaplicy malarzy w kościele św. Marii Magdaleny we Wrocławiu, autorstwa Jakuba Beinharta – szwabskiego rzeźbiarza, który od 1486 r. działał we Wrocławiu, prowadząc tam największą w mieście pracownię.

Wszystkie w zasadzie przedmioty, które mogły być powiązane z męką Chrystusa, traktowano jako relikwie – tak też było z tuniką, czyli tkaną suknią, o którą

wedle ewangelicznego przekazu żołnierze rzucili losy po ukrzyżowaniu Zbawiciela. Pierwsze wzmianki o zachowaniu tuniki pochodzą z VI i VII wieku (Grzegorz z Tours, Fredegar) – trafiła ona do Jerozolimy, a następnie do Konstantynopola. Najprawdopodobniej stała się darem od bizantyńskiej cesarzowej dla Karola Wielkiego, który mógł przekazać ją do opactwa w Argenteuil, gdzie opatką była jego córka Teodrada.

W obliczu najazdów normandzkich relikwia została ukryta – ponownie odnaleziono ją w połowie XII wieku. To właśnie w kręgu opactwa w Argenteuil, w ramach rozwoju kultu tuniki, powstała legenda mówiąca, że owa suknia została utkana przez Matkę Bożą, gdy Jezus był jeszcze niemowlęciem. Była to wyjątkowo praktyczna odzież dla dziecka: przez kolejne lata, gdy Chrystus rósł, tunika samoczynnie powiększała się, a ponadto nie ulegała zniszczeniu, a nawet się nie brudziła.

Przedstawienie tej legendy – spopularyzowanej m.in. przez trzynastowieczny poemat „Vita beatae Mariae rhythmica” – znajdziemy przede wszystkim w dzie-

łach późnośredniowiecznych, na przykład w ołtarzu z kościoła św. Piotra w Buxtehude (ok. 1410), w grafice Wita Stwosza (ok. 1500-1505), we wzorowanej na niej środkowej części Poliptyku z Lusiny (ok. 1505-1510, Muzeum Narodowe w Krakowie, strata wojenna) czy wreszcie w owym wrocławskim dziele, które wyjątkowo łączy tę opowieść z postacią św. Łukasza. Warto podkreślić, że przedstawienie Marii tkającej sukienkę Jezusa to coś więcej niż tylko ilustracja legendy – to zapowiedź pasji, która od samego początku ciąży nad Dzieciątkiem. Aby to podkreślić, artyści ukazywali ową tunikę na stojaku przypominającym krzyż.

Aluzję do przyszłej męki, choć już nie tak bezpośrednią, można także odnaleźć w kolejnym interesującym przedstawieniu św. Łukasza malującego Madonnę: jest to obraz z warsztatu Dirka Boutsy (XV w.), kilka lat temu pozyskany przez Bowes Museum w Durham. Nietypowa poza Jezusa, który wygląda, jakby się czegoś przestraszył, może oznaczać, że pierwotnie obraz ten był zestawiony z innym, ukazującym temat pasyjny. Zdarzały się w późnym średniowieczu dyptyki, gdzie Dzieciątko w ramionach Marii jest przerażone wizją swej męki ukazaną na drugim obrazie.

Święta cielesność

W obrazie z Durham Maria zabawia Jezusa gruszką – być może owoc ten miał

stanowiąc odwołanie do grzechu pierworodnego (który zostanie przez Mesjasza odkupiony), ale mógł też być symbolem słodczy. Św. Bonawentura odnosił słodycz do Mądrości Bożej, ale głównie smak ten wiązano z miłością – w tym wypadku uczuciem między Matką a Synem. Co jednak w tym obrazie dodatkowo rzuca się w oczy, to fakt, że Chrystus nie tylko jest nagi – jego poza sprawia, że prezentuje on widom swe genitalia.

To motyw zwany przez badaczy *ostentatio genitalium* – podkreślać ma cielesność, pćciowość Jezusa, a co za tym idzie, jego pełne człowieczeństwo. Ten motyw był szczególnie popularny w XV oraz w I połowie XVI wieku. Bardzo ciekawym przykładem jest obraz Maartena van Heemskercka (1532), w którym św. Łukasz maluje Madonnę trzymającą symbole władzy: berło i glob. Berło ma kształt krzyża, zaś glob jest kryształową kulą, której umiejscowienie w kompozycji w sposób szczególny zwraca naszą uwagę na genitalia Dzieciątka.

Dzieło Heemskercka to właściwie dwa obrazy, bowiem artysta swą kompozycję rozbił na części, które zawisły po dwóch stronach ołtarza w kaplicy pod opieką Gildii św. Łukasza w kościele Grote Kerk w Haarlemie. Owe połówki zostały połączone w jeden obraz w XVII wieku, o czym dotychczas nikt nie wiedział – dopiero przeprowadzona w tym roku kompleksowa renowacja dzieła doprowadziła do zaskakującego odkrycia.

Okazało się także, że oryginalna kolorystyka obrazu, zwłaszcza tło kompozycji, znacząco zostały zmienione wskutek XVII-wiecznych przemalowań. Teraz oczyszczony i ponownie rozdzielony na dwie części obraz można podziwiać w Muzeum Fransa Halsy w Haarlemie. Konserwatorzy mówią, że bardzo namęczyli się z usuwaniem owych zmian z XVII wieku, w związku z czym obecne uzupełnienia uszkodzonych warstw malarskich zostały nałożone w taki sposób, aby w przyszłości w razie potrzeby łatwo można było je zlikwidować.

Kościelne zakazy

W połowie XVI wieku miał miejsce Sobór Trydencki, który wprowadził szereg wytycznych i zakazów dotyczących sztuki sakralnej, także po to, aby nie dawać protestantom argumentów, że katolicy promują głupawe ludowe opowieści albo nieprzyzwoitości. Matka Boża z odsłoniętą piersią, nagie Dzieciątko prezentujące swą męskość czy nawet po prostu ilustracja legendy o cudownej tunice stały się przedstawieniami niepożądanymi – a św. Łukasz malujący takie dziwne powoli zniknął z kościołów i kaplic.

Pozostaje nam się cieszyć, że kilka wyjątkowych przykładów przetrwało w muzealnych zbiorach – a niektóre z nich dopiero dziś, dzięki nowoczesnym metodom badań i konserwacji, możemy podziwiać w ich pierwotnej formie.

© MAGDALENA ŁANUSZKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
 Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
 Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
 Artur Spomiak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
 Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński,
 Marek Rabij, Piotr Śmiałowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
 Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska,
 Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik),
 Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska,
 Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska,
 Anita Piotrowska

Fotoedycja: Edward Augustyn,
 Grażyna Makara (kierownicza), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał,
 Ewelina Burda (kierownicza), Michał Kuźmiński,
 Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran,
 Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frolow,
 Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Anna Cieślak,
 Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron,
 Lech Krupa, Iwona Kuciel, Joanna Pelka,
 Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
 Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska,
 Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyski
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
 Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejewska,
 Wojciech Bonowicz, Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz,
 Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
 Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus,
 ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabata,
 Eliza Kącka, Marcin Kędziński, Bartek Kiełżun, Piotr Kłodkowski,
 Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski,
 Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziółek,
 Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
 Paweł Marczewski, Rafał Matyja, Paweł Musiałek,
 Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocui,
 Magdalena Nowicka-Franczak, Joanna Olech, Olaf Osica,
 o. Wacław Osajzka, Zbigniew Parafanowicz, Piotr Paziński,
 Karolina Przewrocka-Adaret, Jakub Puchalski, Adam Robiński,
 Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek,
 Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota,
 Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
 Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborzka,
 Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
 Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
 reklama@TygodnikPowszechny.pl
 promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
 **S-NET**
 S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: Kto odnalazł Józefa?



„CZY MOJŻESZ NIE MIAŁ CO PISAĆ, TYLKO »[A byli synowie Lotana: Chori i Hemam], a siostrą Lotana: Thimna« (Rdz 36, 22; Cylkow) albo »Thimna była nałożnicą Elifaza [i urodziła Elifazowi Amaleka]« (Rdz 36, 12)?” – wedle Talmudu powiedział Manasses syn Ezechiasza, czternasty król Judy. Wymienione w tych biblijnych cytatach osoby zdają się z perspektywy historii Izraela marginalne, gdyż należą do rodziny Ezawa, który – jak pokolenie wcześniej Izmael – wypadł z głównego nurtu Przymierza. Jednak na lekceważące dictum króla Manasses rozległ się głos z nieba: „Zasiadasz i przeciw bratu twemu mówisz, na syna matki twojej rzucasz zakale” (Ps 50, 20). Talmud wyjaśnia, że Timna była królewską córką. Chciała przejść konwersję, ale Abraham, Izaak i Jakub jej nie przyjęli. Kobieta doszła do wniosku, że lepiej być służką u tego ludu niż wielką panią w innej nacji, po czym została konkubiną Elifaza, syna Ezawa. Urodziła mu Amaleka, który potem dał się we znaki Izraelitom. Ergo: nie należało Timny oddać.

Król Manasses mylił się, uważając te wersety za mało znaczące. Niestety przy lekturze 36. rozdziału Księgi Rodzaju i nam może podobna myśl przyjść do głowy. Czego tam nie ma: staranna genealogia męskich potomków Ezawa, ze wspomnieniem ich żon oraz przywódców klanów, podobny zestaw dla Seira Chorejczyka, protoplasty rdzennej ludności w docelowym miejscu osiedlenia się Ezawa, a do tego jeszcze lista lokalnych królów, władających zanim również Izraelici mieli monarchę. Czy z tego morza rodowodów uda nam się coś wyłuskać?

Zdawałoby się – nic nie znacząca dykteryjka z wersetu 24: „A oto synowie Cybeona: Aja i Ana. Tenże to Ana, który odkrył gorące źródła [hebr. *hajemim*; HJMM] w pustyni, pasąc osły Cybeona, ojca swojego”. Rabin Cylkow podąża w swoim tłumaczeniu słowa *hajemim* za tą samą tradycją, co św. Hieronim – w Wulgacie są tu *aquas calidas*. Opiera się ona na „korekcie”: zastąpieniu pierwszej litery *hej* podobnym do niej zarówno graficznie, jak i fonetycznie *chet*. Żydowskie przekłady znacznie częściej oddają ten *hapax legomenon* jako „muły”. Tymczasem pierwszy przewodniczący Akademii Języka Hebrajskiego zauważa, że dwa wersy wcześniej (zob. sam początek tekstu) mamy Hemama [HJMM]. Znalazł go pasący osły Ana – a co zrobili rozdział dalej pasący stada bracia Józefowi? ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca: Normalne życie Jezusa



W NAZARECIE POKAZUJĄ POCHODZĄCY z pierwszego wieku dom zbudowany częściowo z kamieni, a częściowo wydrążony w zboczu wzgórza. Zdaniem archeologów w takim domu mogła mieszkać rodzina Jezusa. Pokazują też kawałek ulicy i mówią,

że najprawdopodobniej mógł nią chodzić Jezus. Łatwo to sobie wyobrazić, Jezus, Maria i Józef, jak wszyscy ich sąsiedzi i pozostali mieszkańcy, chcąc żyć, musieli na życie zarobić. Poranek wyganiał ich z domów, a wieczór przyganiał. Pierwsza wstała Maryja, zrobić Synowi i mężowi śniadanie, i naszykować coś na drogę i obiad. Z tym pewnie nie miała kłopotu, jej mężczyźni, jako fachowcy w branży budowlanej, pewnie niezgorzej zarabiali. Gdy poszli, Maryja, jak jej sąsiadki, brała się za sprzątanie, pranie, za pielenie grządek, jeśli takowe miała. Pewnie też wyskakiwała na chwilę na pogaduchy z sąsiadkami, czy też przy cysternie u źródła, skąd czerpały wodę. I tak upływało ich życie aż do czasu, gdy Jezus odszedł z domu i poszedł na swoje, czyli zajął się tym, co uważał za najważniejsze w życiu.

O nazaretańskim okresie życia Jezusa mówi się, że niewiele można powiedzieć. Podobnie jak o życiu Józefa, bo przecież nie znamy ani jednego słowa przez niego wypowiedzianego. Ale czy zaraz z tego musi wynikać, że ten okres można spokojnie pominąć jako religijnie, teologicznie nieużyteczny? A może przeciwnie, ta wielka niewiadoma to bezpiecznik przed herezją jednostronnego widzenia Jezusa. Znamy to z historii Kościoła. Nie bez powodu Franciszek namawia Kościół do jej studiowania. Okazuje się bowiem, że Jezus, gdy prowadził całkiem zwyczajne życie, w którym nic nadzwyczajnego się nie działo, więcej nam mówi o naszym życiu niż Jego cuda, które zdarzają się rzadko i nigdy nie są jednoznaczne. Nie bez powodu Rzym ostrzega przed cudotwórcami, uzdrowiaczami, mistykami itp. Sporo z nich okazało się oszustami i przestępcami. Natomiast Międzynarodowej Komisji Teologicznej zaleca, by swój namysł nad rzeczywistością „inspirowali człowieczeństwem Chrystusa”.

Na początek zacznijmy od nazwy grudniowych świąt. Mówimy Boże Narodzenie, więc wróćmy do Uroczystości Narodzenia Pańskiego. W Betlejem urodził się człowiek, nasz brat, który okazał się być Synem Boga. Skoro jesteśmy Jego siostrami i braćmi, to też jesteśmy dziećmi Boga. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Wiara w obietnicę

*W głębi duszy
znajduje się milczące
„pośrodku”.
Tutaj jest tylko spokój
i świętowanie
boskiego rodzenia
i działania,
bo tutaj Bóg Ojciec
mówi swe Słowo.*

MISTRZ ECKHART



*Nie ma ognia
jak tylko żądza,
nie ma zła jak nienawiść.
Nie ma dolegliwości
większej niż
nietrwałe istnienie.
Nie ma szczęścia,
jak tylko spokój.*

DHAMMAPADA



Wybrał PIOTR SIKORA



jak rzeka, a sprawiedliwość twoja jak morskie fale. Twoje potomstwo byłoby jak piasek, i jak jego ziarnka twoje latorośle. Nigdy nie usunięto by ani nie wymazano twego imienia sprzed mego oblicza” (Iz 48, 18-19).

Zastanowiło mnie, że w wielu tłumaczeniach Biblii (m.in. w Biblii Jerozolimskiej czy English Standard Version) ostatnia obietnica brzmi nieco inaczej: „Nigdy nie usunięto by ani nie wymazano ich imienia sprzed mego oblicza”. Obietnica dotyczy więc nie tyle mnie osobiście, co „ich” – moich potomków.

Boże obietnice mają najczęściej taką właśnie formę. Na przykład otwierająca historię zbawienia obietnica dana Abrahamowi: „Spójrz na niebo i policz gwiazdy, jeśli zdołasz to uczynić: Tak liczne będzie twoje potomstwo” (Rdz 15, 5). Gdy zaś historia zbawienia dochodzi do „pełni czasu”, Bóg kieruje słowo obietnicy do Maryi z Nazaretu, które dotyczy Jej Syna: „Będzie On wielki i będzie nazwany Sy-

nem Najwyższego, a Pan Bóg da Mu tron Jego praojca, Dawida. Będzie panował nad domem Jakuba na wieki, a Jego panowaniu nie będzie końca” (Łk 1, 32-33). Trudno nie zapytać, czy taka obietnica rezonuje jeszcze w pragnieniach dzisiejszego człowieka. Odpowiedź wcale nie jest oczywista. Wystarczy wziąć do ręki Franciszkową bullę ogłaszającą Rok Jubileuszowy 2025 „Spes non confundit”. Wśród wielu postaw charakterystycznych dziś papież wymienia „utrata pragnienia przekazywania życia”. Boimy się lub nie chcemy mieć dzieci.

Przypomina się Mojżesz, który po odstępstwie Izraelitów na pustyni błaga Boga: „Przebacz im ten grzech! A jeśli nie, to wymaż mnie natychmiast z Twej księgi, którą napisałeś” (Wj 32, 32). To tak, jakby powiedział: moje imię niech będzie wymazane, byleby ich imię nie zostało usunięte sprzed Twego oblicza. To nie akt rozpacz; to wiara w obietnicę! Która – na szczęście – nie dotyczy tylko mnie samego. Koncentruje mnie na tych, którym (na różny sposób) mogę przekazać życie. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

CZYTANIA LITURGICZNE (22 XII – 5 I)

4. niedziela Adwentu: Mi 5, 1-4a;
Ps 80; Hbr 10, 5-10; Łk 1, 39-45;
Poniedziałek: Mt 3, 1-4. 23-24; Ps 25; Łk 1, 57-66;
Wtorek: 2 Sm 7, 1-5. 8b-12. 14a. 16;
Ps 89; Łk 1, 67-79;
Środa, uroczystość Narodzenia Pańskiego (Pa-
sterka): Iz 9, 1-3. 5-6; Ps 96; Tł 2, 11-14; Łk 2, 1-14;
Czwartek: Dz 6, 8-10. 7, 54-60;
Ps 31; Mt 10, 17-22;
Piątek: 1 J 1, 1-4; Ps 97; J 20, 2-8;
Sobota: 1 J 1, 5 – 2, 2; Ps 124; Mt 2, 13-18;

Niedziela Świętej Rodziny: 1 Sm 1, 20-22. 24-28;
Ps 84; 1 J 3, 1-2. 21-24; Łk 2, 41-52;
Poniedziałek: 1 J 2, 12-17; Ps 96; Łk 2, 36-40;
Wtorek: 1 J 2, 18-21; Ps 96; J 1, 1-18;
Środa, uroczystość Świętej Bożej Rodzicielki
Maryi: Lb 6, 22-27; Ps 67; Ga 4, 4-7; Łk 2, 16-21;
Czwartek: 1 J 2, 22-28; Ps 98; J 1, 19-28;
Piątek: 1 J 2, 29 – 3, 6; Ps 98; J 1, 29-34;
Sobota: 1 J 3, 7-10; Ps 98; J 1, 35-42;
2. niedziela po Narodzeniu Pańskim:
Syr 24, 1-2. 8-12; Ps 147; Ef 1, 3-6. 15-18; J 1, 1-18.

TYGODNIK POWSZECHNY



My, dziennikarki „Tygodnika Powszechnego”:

*Żeby naprawiać świat, wpierw trzeba spróbować
go zrozumieć. Dlatego właśnie piszemy i fotografujemy.*

Dla kogo to robimy?

Dla ludzi otwartych na to, co trudne i nieoczywiste.

Dla zmęczonych jałowymi sporami politycznymi.

*Dla wrażliwych na ludzką krzywdę – bo wierzymy,
że tylko takie dziennikarstwo ma sens.*

Na zdjęciu:

Grażyna Makara,
Anna Łabuszewska,
Ewelina Burda, Anna Goc,
Anna Golus,
Katarzyna Kubisiowska,
Monika Ochędowska,
Zuzanna Radzik,
Anita Piotrowska
i Antonina Palarczyk



powszech.net/dar



**Twoje wsparcie
dla Fundacji Tygodnika Powszechnego
pozwala zmieniać świat. Naprawdę**

» KRS 0000 125 605

ZUZANNA

Radzik:

Czułość i uważność to też cnoty Adwentu



ADWENT JEST ĆWICZENIEM Z CZEKANIA na przyjsie, choć nieco zwichrowanym. Częściej ostatnio staje się smakowaniem na raty, wcale nie tak cierpliwym. Święteczna aura, dekoracje, piosenki wjechały już dawno do naszych

sklepów, domów i na ulice. A w rozmaitych rytuałach więcej w tym wyświechtanego *self-care*, dbania o siebie, rozpieszczania siebie, a nie czekania na zmianę świata. I dużo pędu, bo czyż ten adwentowy grudzień nie jest krótki? Taki pół-miesiąc, skazany, by się roztrzaskać o święta i przygotowania do nich, konieczność zakupów, spotkań firmowych, licznych opłatków, podsumowań roku, gotowania, pieczenia, domykania projektów, rozliczeń, obietnic.

O ile pierwsze adwentowe kalendarze rysowane kredą na ścianie wyznaczały rytm zapalania grudniowych świec, to już ich przemiana w bombonierę z dwudziestoma czterema okienkami sprawiła, że zamiast czekać, po prostu podjadamy. Smak taniej, mlecznej czekolady w kalendarzach mojego dzieciństwa może nie kojarzy się specjalnie z luksusem, ale w latach 90. był ekscytujący. Na pewno dla dziecka, które przy okazji dostawało władzę nad światem tej bombonierzy, jak żadną inną. Była moja i nie powiem, bym nigdy nie oszukała podjadając nieco do przodu albo choć podglądając. Gorzej, że z bombonierzy kalendarze zaszyły dziś w dużo dalsze rejony i swoją wersję wypuszczają nie tylko firmy produkujące herbaty, ale też zabawki, kosmetyki, porcelanę oraz jubilerzy. Po formę kalendarza adwentowego sięgnęły też luksusowe domy modowe. Kalendarz Chanel wyśmiano, ale głównie dlatego, że za 825 dolarów oferował w okienkach czasem naklejki, a czasem tanie bransoletki. Czy jednak w komercyjnych kalendarzach nie chodzi o rozpieszczenie się 24 niespodziankami? Kupienie kota w worku po prostu, tak dla zabawy? O nas, nasz dobrostan i frajdę. Znowu nie o adwentowe czekanie.

Żeby tylko nie było, że stękam nad komercjalizacją Adwentu i świat. Zupełnie nie. Jak ktoś umie sobie umilić bury, ciemny grudzień, to droga wolna. Niech kupuje światełka, ciasteczka, klei, lepi, otwiera okienka kalendarza nawet z perfumami, parzy herbatki. Niech mu będzie ciepło i pachąco. Czemu ludziom odbierać przyjemność w tym schyłkowym miesiącu ciężkiego pewnie roku. Jednak, je-

śli to jest o czekaniu, to chyba tylko na to, by przełamała się ciemność, dzień odbił i zaczął się wydłużać. W końcu na biologicznym poziomie koniec grudnia rodzi w nas nadzieję, że dni staną się znowu ciepłe, słoneczne i długie.

A jednak jako chrześcijanka muszę pytać: na co my czekamy w Adwencie? W końcu wiemy, jak skończy się ta historia. Bez zaskoczeń: w wigilijną noc zaczniemy świętować ludzkie narodziny Wcielonego Słowa. Betlejem i mesjasz. Stajenka i wcielenie. Zwyczajność i gloria z niebios. Tylko na co odpowiedzią były te wydarzenia wtedy, gdy ich wyglądano już od tysięcy lat, jak chce kołęda? Czekali na przełom, odzyskanie państwa, sprawiedliwość, koniec niedoli, a doczekali się niemowlaka, który zaraz został uchodzącą, gdy podrośl, cieślą, a gdy zmęźniał, umarł w hańbiącej egzekucji. Doczekali nie tego, na co czekali. A jednak Tego, którego potrzeba było jeszcze bardziej.

Tamto czekanie było czekaniem w katastrofie, niepokoju i niesprawiedliwości. Na co my czekamy dziś? Na znany świąteczny finał, czy też nas coś przyniata, że już nie możemy dłużej czekać na zmianę? Też wyglądamy prywatnego lub globalnego mesjasza, wprowadzającego inny, sprawiedliwy porządek, chroniącego przed katastrofą czy uciskiem? Czekamy, ale nie zawsze wiemy, kto nas nasyci, czyje pojawienie się odmieni nasze życie. Kto wejdzie w nie na chwilę, właściwie przemknie, ale odpowie na fundamentalny głód. Czułość i uważność to też cnoty Adwentu.

A może nie nas rzeczywistość dociska, ale kogoś, gdzieś? Solidarność z tym oczekiwaniem, że los i świat się odmienią, będzie naszym najlepszym adwentowym ćwiczeniem. Bo czy chodzi o performowanie łagodnego czekania wśród czekoladek, czy takiego, które dławi i już na skraju sił i nadziei wygląda przemiany? Tak wtedy czekali. W odpowiedzi na to Bóg wszedł w historię.

Gdzie cię dokładnie boli? Do której rany powinien delikatnie podejść wcielający się, bliski Bóg? Co chcesz, żeby się odmieniło? Jaki element rzeczywistości postawisz chętnie na głowie, by stał tak, jak zawsze powinien? Co się powinno zmienić, by było sprawiedliwie? Kto błaga o pokój, spokój, sytość, osuszenie łez... ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet”.



OPOWIEŚĆ
WIGILIJNA

CHOMIK

Nie mogła się nadziwić, że chciało mu się lecieć taki szmat drogi do całodobowej. Ktoś mu musiał powiedzieć, że na ścianie wisi: „doktor przyjazny gryzoniom”. Przyjrzała mu się, zanim poszedł.

TEKST **KATARZYNA GRONIEC** | ILUSTRACJE **KASIA KOZAKIEWICZ** DLA „TP”

ZIMNO WSZYSTKICH POUPYCHAŁO PO DOMACH. CIEMNO robiło się już z samego rana. Było niżej zera. Ale tyle tylko niżej, żeby nie chlapało, bo śniegu nie było.

Stara wykręciła mopa. W poczekalni siedziała ruda dziewczyna z kotem i ten z twarzą szerszą niż dłuższą, z pudełkiem po butach na kolanach.

– Co to? – spytał doktor.

– Chomik – ten z twarzą podsunął doktorowi podziurkowane od góry pudełko.

– Co mu się stało? – doktor zajrzał do środka.

– Nieswój jest – temu z twarzą zaszkliły się oczy.

To akurat zdziwiło starą, bo w jej pamięci ten z twarzą pierwszy do wzruszeń nie był.

– Zapraszam do gabinetu – doktor popchnął drzwi nogą, bo ręce miał zajęte pudełkiem, a stara pomyślała, że przed świętami czekają ją jeszcze wszystkie drzwi do przetarcia.

Zanim skończyła podłogi, ten z twarzą wycłapał z powrotem do poczekalni, ale bez pudełka. Nie mogła się nadziwić, że chciało mu się lecieć taki szmat drogi do całodobowej. Ktoś mu musiał powiedzieć, że na ścianie wisi: „doktor przyjazny gryzoniom”. Mimo wszystko co innego jechać taki kawał, żeby dorobić, a co innego tłuc się dwoma autobusami, żeby słono zapłacić. W całodobowej o połowę drożej. I jeszcze za chomika. Gdyby za psa chociaż.

Przyjrzała mu się, zanim poszedł. Skurczył się. Obwisł. Płaszcz mu się zrobił jak ze starszego brata. Ale może to inny



płaszcz. Może tylko źle kupiony. Nie mogła sobie przypomnieć, czy tamten wtedy był szary, czy brązowy, jak ten.

Wyflukała szmaty i rozłożyła na kaloryferze. Wszyscy już poszli, został tylko dyżurny technik. Chomika, okazało się, dali na obserwację. Ten z twarzą się zdziwił przy płaceniu. Zanim wyszła, poszła jeszcze rzucić okiem. Przez wzgląd na dawną znajomość. Nieudaną, ale jednak.

Siedział w kącie. Zmięty i żałosny. W różowych łapkach zastygł mu kawałek ogórka. Powoli otworzył oczy czerwone jak zakrzepła krew. U albinosów to normalne, że takie mają.

Pod swetrem starej szarpnęło plastikową taśmą.

■ ■ ■

Siedziała po ciemku we flanelowej koszuli nocnej. Przez okno balkonowe mocno świecił księżyc. Pod krzesłem wały się złotawe od poświaty łupiny słonecznika. Jak się to wszystko zaczęło, to owszem, trochę się zaniepokoiła, ale nie aż tak, żeby przez to nie spać. Na początku zdarzało się rzadko. Na tyle rzadko, że można to było uznać za nic wielkiego, niepotrzebne urozmaicenie życia. Jedno wiedziała od razu. Że musi być konsekwentna i że w żadnym wypadku nie może jej pobażać. Ale co innego wiedzieć, a co innego zrobić. Nie poszło tak, jak myślała. Przez kilka miesięcy dusza płatała się jej między nogami i stara ciągle się potykała. Obcy ludzie pytali, czy dobrze się czuje. Przyszła wiosna. Dni były jasne, trawa zielona, po zagajnikach pełno ptaków. Stara bujała duszę, jak się buja gołębie, bo wierzyła, że trochę swobody nikomu nie zaszkodzi, a dusza trzymała się starej. Nie ulatywała

daleko. Stara ciągle mogła mieć ją na oku i dzięki temu czuła, że jest tylko do połowy pusta. Pod koniec lata duszy odważyło. Trudno ją było zagonić z powrotem do ciała. Kręciła się po polach, krążyła nad blokami, znikła w okolicznych lasach, wracała nad ranem czarna jak święta ziemia i zaczęła traktować starą jak hotel. Stara czuła, że dusza coraz bardziej się od niej oddala, więc skończyła z pobłażliwością i przy każdym wdechu, już bez ceregieli, wciągała ją głęboko, przez płuca aż do żołądka. Żołądek starej, wypełniony po brzegi duszą, rozdymał się i bulgotał, a wciśnięta na powrót w starą dusza zaczęła tłuc się i szamotać, cisnąć starą do utraty tchu, łaskotać i lizać, żeby stara pozwoliła jej wyskoczyć na zewnątrz, zaklinać na wszystko, że nie opuści starej, bo przecież jest do starej przywiązana.

Ktoregoś dnia stara się wnerwiła i rzeczywiście przywiązała ją sobie do paska plastikową taśmą od worka na śmieci.

■ ■ ■

Czyściła szafki i nie usłyszała, jak wszedł. Poczula go, kiedy stanął pół kroku za nią. Nie pamiętała, żeby aż tyle wylewał na siebie wody po goleniu. Przeleciała oczami po podłodze, czy nie narobił śladów. Chomik siedział w tej samej pozycji, co wczoraj, tylko bez ogórka.

— Rano wzięli mu krew — powiedziała.

Ten z twarzą zgrubiałymi paluchami wyłuskał z kieszeni posklejaną chusteczkę. Odwrócił się tyłem do starej i coś dłuubał i sapał. Ciągle smarował do materiałowych. Miał podkrążone oczy. Stali tak chwilę.

→



→ – Ma jakieś imię? – zapytała stara, żeby zrobiło się mniej niezręcznie.

– Rambo – ten z twarzą pieczołowicie poskładał chusteczkę na cztery, tak żeby się kratki zgodziły. – Z tego wszystkiego zapomniałem wczoraj powiedzieć, żeby go nie budzić ręką. Ołówkiem najlepiej, bo gryzie.

– Doktor już wie – prawy kącik ust starej lekko drgnął.

Uśmiechnął się szeroko. Musiał sobie zrobić sztuczną szczękę, bo nie pamiętała, żeby miał takie zęby.

– Był zły? – zapytał.

– Kurwował – schyliła się po wiadro.

– To ja go przeprosić muszę jakoś – ten z twarzą przybliżył się do klatki z chomikiem i coś tam szeptał i wzdychał. Stara podsłuchiwała tylko, że „do domu”, i pomyślała, że w jej pamięci ten z twarzą do przeproszania taki pierwszy nie był.

– Mi raz aż wisiał na palcu – powiedział głośniej, wyraźnie zadowolony. – I nie chciał puścić, tak się wczepił. Krew się lała.

Pocmokał w stronę zwierzątko.

– Na jednej łapce się podciąga. Samiec alfa.

■ ■ ■

Dusza trzepotała wyjątkowo jaskrawo. Stara otworzyła drzwi na balkon i zimno ukuło ją w płuca. Plastikową taśmę tym razem okręciła wokół nadgarstka. Gwiazdy zapowiadały zimowy, słoneczny poranek. Opatuliła się kocem. Trochę na lewo wypatrzyła znajomy gwiazdozbiór. Miała takie trzy pieprzyki równo ustawione w rzędzie. Na udzie. Lubiała je przyciskać trzema palcami równocześnie. Serdecz-

nym, wskazującym i kciukiem. Wyobrażała sobie, że mogłaby być z tego muzyka. W podstawówce przez pół roku chodziła na lekcje pianina, ale nie złapała bakcyła.

■ ■ ■

Stał na przystanku. Pomachał jej i nie było odwrotu. Pod pachą trzymał bombonierkę. Autobus przyjechał prawie pusty. Usiedli na podwójnym zaraz za kierowcą. Wolała tak siadać, bo ktoś jej kiedyś powiedział, że jakby przyszło do wypadku, to kierowca odruchowo siebie będzie ratować. Z tego, co pamiętała, ten z twarzą zawsze pchał się na koło.

– Nie lubisz na kole – spojrzał na nią, że pamięta.

Odwrociła się do okna. Za to ona nie pamiętała, żeby ten z twarzą komukolwiek na prezent kupił coś innego niż butelkę. Ale nic nie powiedziała, bo długo trzeba było jechać, a potem jeszcze przesiąść się do następnego.

– Rano nie chciał jeść, a potem w kulce nie chciał chodzić. A normalnie po całym mieszkaniu się turla – ten z twarzą widocznie potrzebował się wytłumaczyć, że taki kawał i tak drogo się zdecydował. – Musiałabyś zobaczyć.

Nie była ciekawa. Nie wpełchnęłaby zwierzątko do kulki jak w cyrku. Wolałaby tak puścić. Silnik pracował wystarczająco głośno, żeby siedzieć i nic nie mówić. Ten z twarzą sprawdził jeszcze, czy rurka przy oparciu się nie wyjmuję, bo mu się przypomniało, że kiedyś, jak na stojąco jechał, to została mu w ręku i z tą rurką przeleciał przez cały autobus. Ale to w innym autobusie było.

– Ponad dwa lata ma – przełknął ślinę. – Tyle, co nie piję.



– Mogłeś psa wziąć – powiedziała przed siebie.

Rozpiął płaszcz i pozdejmował z siebie jakieś niby nitki. Potem długo sondował wyglansowane na błysk buty. Wzdychał i sapał. Zauważyła, że przy pasku dynda mu gruby jutowy sznurek. Zwinął go wokół palca i wepchnął do kieszeni. Poluzował szalik, że mu tak gorąco, i chwilę wreszcie posiedział cicho.

– Innym człowiekiem teraz jestem... – zaszeleścił.

Akurat drzwi się otworzyły z sykiem, bo dojechali na przystanek i stara nie dosłyszała, co powiedział.

■ ■ ■

Połknięta dusza awanturuje się i wali w starą od środka. Jeździ po niej jak po łysej kobyle. Stara ostrożnie ją wypuszcza, łapie i przywiązuje. Sprawdza od czasu do czasu, czy taśma trzyma. Miewa takie momenty, że myśli, by już odwiązać, niech leci. Ale w ostatniej chwili zawsze, że jeszcze nie. Na balkonie ma plastikowe krzesło. Żółte, jakby z brokatem. Jak

KATARZYNA GRONIEC jest piosenkarką, autorką tekstów i muzyki oraz pisarką. Odtwórczyni głównej roli w musicalu „Metro”. W tym roku zdobyła Fryderyka za album „Konstelacje” w kategorii „Piosenka Literacka i Poetycka”. Nominowana do przyznawanej za debiut literacki Nagrody im. Josepha Conrada 2024. Jej powieść „Kundle” (Wydawnictwo Nisza) toczy się na Górnym Śląsku – ćwierć wieku po wojnie, która zupełnie odmieniła spoteczną rzeczywistość regionu.

jest słoneczny dzień albo księżycowa noc, to się mieni złotymi drobinkami. Kupiła w zeszłym roku za trzydzieści złotych, a w tym już kosztuje trzydzieści osiem. Zimą rzadko ktoś się wychyla, nawet na papierosa. Wszystko w czterech ścianach. Ona nawet zimą chwilę sobie posiedzi. Głównie w nocy, bo nie śpi. I prawie już w tym siedzeniu nie myśli, czy jest coś takiego w życiu, co zrobiła dobrze. I już jej się zdaje, że nawet oduczyła się patrzeć. Chyba że w gwiazdy, to jeszcze popatrzy. Szuka, a potem naciska Oriona trzema palcami równocześnie. Serdecznym, wskazującym i kciukiem.

■ ■ ■

– Przeżarł się. Za dużo słonecznika w diecie – doktor wziął od starej szpic i zatknął na czubku choinki – ale naprawdę w dobrej formie, jak na swój wiek. Zadbany. Jeszcze pożyje kilka miesięcy.

Stara podała lametę doktorowi, bo choinkę stawiali do samego sufitu, a ona się bała wchodzić na stołek przez te zawroty. Wracając, musi jeszcze kupić dzwonko karpia.

Przez okno widać było tego z twarzą, jak ostrożnie niesie pudełko.

– Nie miałem serca mu powiedzieć, że to samica – doktor wcisnął głębiej złotą bombkę, bo gałązka niebezpiecznie się wygięła.

■ ■ ■

W nocy spadł śnieg.

© KATARZYNA GRONIEC

Plan na niższe ceny energii w Polsce

Podczas rozmów przy świątecznych stołach kwestie energii i zmiana klimatu mogą stać się jednym z gorących tematów. Bezśnieżne zimy czy wysokie ceny energii dotyczą przecież nas wszystkich. Dlatego przygotowaliśmy świąteczny „rozmownik” na ten temat. Zebraliśmy w nim najważniejsze fakty, założenia i liczby, aby rodzinna dyskusja była merytoryczna i konstruktywna.

Ministerstwo Klimatu i Środowiska opracowuje właśnie pierwszą konkretną rządową strategię na obniżenie cen energii. Krajowy Plan w dziedzinie Energii i Klimatu (KPEiK) to program na bogatą Polskę, który zagwarantuje bezpieczeństwo energetyczne, a przy tym wpłynie na redukcję negatywnego oddziaływania na środowisko.

Dlaczego w ogóle potrzebujemy transformacji?

Brak działania kosztuje ludzkie życie, jest drogi i spowalnia naszą gospodarkę. Polska ma najwyższe ceny energii w Europie. To negatywnie wpływa na poziom życia ludzi i konkurencyjność polskich firm.

Roczne koszty smogu, jakie ponosimy, to nawet 100 mld zł. Szacuje się, że z powodu zanieczyszczenia powietrza w naszym kraju co roku przedwcześnie umiera od ok. 45 tysięcy do nawet 90 tysięcy osób!

Ekstremalne zjawiska pogodowe, które z coraz większą częstotliwością i intensywnością obserwujemy, takie jak powodzie, pożary i susze, przynoszą konkretne straty. W latach 2001-2019 szacowano je na 6 mld zł rocznie.



Spalanie paliw kopalnych, poza nępadzaniem tych katastrof, ma również swój wymiar finansowy. W rekordowym 2022 r. wydaliśmy na ich import aż 250 mld zł. To wagony pieniędzy, które wyjeżdżają z Polski. To więcej, niż wydamy w przyszłym roku na służbę zdrowia czy na obronność.

Dlatego potrzebujemy aktywnej transformacji, która zatrzyma negatywne skutki spalania kopalin i jednocześnie pozytywnie wpłynie na polską gospodarkę.

Dekarbonizacja gospodarki (odejście od paliw kopalnych) będzie służyła nam do:

1. Obniżenia cen energii. W 2030 r. cena produkcji energii spadnie o ok. 13 proc., a w roku 2040 o 1/3. Tańsza energia to lepsze warunki życia ludzi i lepsze warunki dla gospodarki;

2. Poprawy konkurencyjności przemysłu i rozbudowy nowych gałęzi gospodarki. KPEiK to zielony kompas rozwoju. Niższe koszty energii sprawiają, że polski przemysł będzie bardziej konkurencyjny;

3. Stworzenia nowych miejsc pracy w perspektywnych sektorach gospodarki – w samym sektorze OZE pracuje w Polsce już dzisiaj ponad 200 tys. ludzi. Dla porównania, w górnictwie węgla kamiennego około 75 tys. osób;

4. Poprawy jakości powietrza – w związku ze spalaniem paliw kopalnych w Polsce umiera co roku przedwcześnie nawet 90 tys. osób.

Obniżenie zużycia paliw kopalnych (głównie odejście od palenia węglem i spalania ropy/benzyny w transporcie) diametralnie poprawi jakość powietrza i uratuje tysiące ludzi;

5. Uwolnienia setek miliardów złotych, które możemy wydać na rozwój. Miliardy złotych przeznaczane na zakup surowców i uprawnień do emisji zostaną w polskiej gospodarce, zyskamy nowe środki na wsparcie ważnych obszarów – jak służba zdrowia czy obronność.

Dekarbonizacja, transformacja... czyli co dokładnie?

Transformacja oznacza stopniowe odchodzenie od używania paliw kopalnych. Zastępujemy je nowymi technologiami, które nie emitują gazów cieplarnianych, są więc zeroemisyjne. Budujemy zielony miks energetyczny oparty na OZE i uzupełniony energią z elektrowni jądrowych, przebudowujemy sieci elektroenergetyczne, by odbierały i dystrybuowały energię z nowych źródeł, wspieramy budowę magazynów energii, by ją przechowywać i efektywnie wykorzystywać. Mamy już technologie, których potrzebujemy do realizacji planu.

W centrum naszego myślenia są ludzie i ich dobrobyt – odpowiedzialnie planujemy zmiany. Wiemy, że jesteśmy w bardzo wymagającym okresie. Z jednej strony dbamy o system oparty na paliwach kopalnych, by zapewnić dostawy energii i ceny na akceptowalnym poziomie tu i teraz. Jednocześnie tworzymy nowy zielony miks energetyczny,



wspieramy ludzi i biznes w transformacji.

KPEiK to mapa drogowa pokazująca ścieżkę tego procesu dla gospodarki obejmuje wszystkie dziedziny życia.

Czy transformacja wydarzy się bez aktywnej strategii działań państwa?

Tak, choć będzie to trudniejsze i znacznie wolniejsze. Biznes i oddolne zmiany już teraz sprawiają, że przechodzimy transformację. Jej symbolami są boom na fotowoltaikę, a także elektryczne samochody osobowe i ciężarówki.

Jeśli transformacja nie będzie wspierana i sterowana, potrwa dłużej, będzie mniej korzystna dla ludzi i droższa.

Dlatego rząd opracowuje scenariusze działań. Planujemy zmianę tak, aby wspierać ją celowanymi inwestycjami z funduszy krajowych i europejskich. Państwo będzie pomagało wszędzie tam, gdzie indywidualny wysiłek nie rozwiąże problemów. Wiemy, że transformacja to złożony problem i wymaga wspólnych działań.

Zielony kompas rozwoju Polski

Rolą strategii jest stworzenie ram dla rozwoju kraju, który skutecznie chroni zdrowie i zapewnia dobrobyt swoim mieszkańcom, a jednocześnie zapewnia im bezpieczeństwo energetyczne i klimatyczne. Działamy, aby rozwiązywać problemy obywateli i obywateli.

Po raz pierwszy polski rząd prezentuje konkretny plan działań w tej dziedzinie. KPEiK zawiera opisy sektorów, zobowiązań i polityk, wyznacza cele na 2030 r. i wskazuje 149 konkretnych działań zmierzających do ich osiągnięcia.

Filary tego dokumentu to:

- obniżenie kosztów wytwarzania energii,
- przyspieszenie rozwoju energetyki odnawialnej,
- redukcja ubóstwa energetycznego, rozwój magazynów energii i modernizacja sieci,

- transformacja ciepłownictwa,
- zwiększenie inwestycji w rozwój technologii.

Planujemy skokowy wzrost udziału w miksie energetycznym mocy zainstalowanej źródeł odnawialnych do 59 proc. i redukcję udziału mocy z węgla do 21 proc.

Wdrożenie naszego planu przyniesie redukcję emisji gazów cieplarnianych o 50,4 proc. w 2030 r. w porównaniu z 1990 r.

Dwuipółkrotnie zwiększamy nakłady na badania i rozwój. Będą one wynosiły 2,5 proc. PKB. Nowoczesne technologie powinny być rozwijane w Polsce tak, by to polskie firmy i instytucje mogły na transformacji zarobić.

Realizacja KPEiK przełoży się bezpośrednio na wzrost gospodarczy. Do 2030 r. będziemy rozwijać się dwa i pół razy szybciej niż pozostałe kraje Unii Europejskiej. Aktywna transformacja przełoży się na prognozowany wzrost PKB na poziomie 4,13 proc.

Ile kosztuje brak transformacji?

„Cała ta transformacja jest za droga, zbankrutujemy!” – takie zdanie często pada z ust przeciwników. Policzyliśmy, ile płacimy w obecnej sytuacji. Brak transformacji też ma swoje koszty, oto kilka z nich:

1. koszty smogu (przedwczesne zgony, koszty nieobecności w pracy, zwiększone koszty na służbę zdrowia) – rocznie to ok. 100 mld zł;

2. koszty importu paliw kopalnych (zakup ropy, gazu, węgla) – tylko w 2023 r. ponad 140 mld zł;

3. koszty ekstremalnych zjawisk pogodowych (powódzie, susze) – w latach 2001-2019 średnio traciliśmy przez nie 6 mld zł rocznie;

4. koszty uprawnień ETS – w 2022 r. zapłaciliśmy za nie ok. 20 mld zł.

Łącznie to ok. 266 mld zł – tyle kosztował nas brak transformacji tylko w 2023 r. To więcej niż cały budżet na ochronę zdrowia w przy-

szłym roku (ok. 222 mld zł), dużo więcej niż rekordowy budżet na obronę narodową (ok. 186 mld zł). Mamy wiele lepszych zastosowań dla pieniędzy, które dzisiaj tracimy w związku ze spalaniem paliw kopalnych.

Ile będziemy inwestowali w transformację?

Policzyliśmy to. Do 2030 r. będzie to 792 mld zł, czyli co roku średnio 158 mld zł. W zestawieniu z kosztami, które ponosilibyśmy nie podejmując aktywnych działań, to niewiele. Zwłaszcza że do samego tylko 2027 r. mamy zapewnione finansowanie z funduszy europejskich na poziomie 539 mld zł.

Transformacja się nam opłaca. Podsumujmy:

- 266 mld zł rocznie – koszty braku transformacji,
- 158 mld zł rocznie – szacowany roczny koszt inwestycji, dzięki którym zredukujemy koszty braku transformacji,
- 539 mld zł – te pieniądze mamy już zabezpieczone w obecnej perspektywie UE. Po 2027 r. pozyskamy nowe środki.

Czy to jest malowanie trawy na zielono?

KPEiK to plan, którego realizacja będzie wymagała wysiłku i konsekwencji. Umożliwi jednak rozwiązanie naszych problemów, obniżenie cen energii i wzrost konkurencyjności polskich firm. W naszym zasięgu są technologie i środki do przeprowadzenia zmiany.

Transformacja da nam wszystkim sprawczość – narzędzia, dzięki którym będziemy wspólnie mogli rozwijać Polskę – z korzyścią dla ludzi, gospodarki i klimatu.

Przed nami dużo pracy, ale cel zmian jest jasny. Tworzymy ramy dla rozwoju kraju, który skutecznie chroni zdrowie i zapewnia dobrobyt swoim mieszkańcom i mieszkańcom, a jednocześnie zapewnia im bezpieczeństwo energetyczne i klimatyczne. ■



NOWA PRENUMERATA PROSTO DO MOJEGO DOMU

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA
■ Kwartal – 12 wydań	170 zł
■ NOWOŚĆ Półroczna – 26 wydań	320 zł
■ Rok – 52 wydania	590 zł
■ Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	500 zł
■ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	110 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	690 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	600 zł

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrzc w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty cyfrowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Ceny prenumeraty łączonej (prenumerata drukowana i dostęp cyfrowy) nie ulegają zmianie.
Sprawdź pełną ofertę na TygodnikPowszechny.pl/sklep

PARTNER MARKETINGOWY **SALES**||manago
marketing automation

„TYGODNIK POWSZECHNY” SUWERENNY DZIĘKI TOBIE



Wystawa „Dwie dusze twórcy ludowego”

Dwie dusze twórcy ludowego

Państwowe Muzeum Etnograficzne w Warszawie zaprasza na nową, fascynującą wystawę poświęconą sztuce ludowej, ale przede wszystkim osobie twórcy ludowego, który staje się głównym tematem ekspozycji.

TWÓRCA LUDOWY – ROZPOZNANIE

Kim jest twórca ludowy jako persona i jak jest definiowany przez autorów wystawy? Kuratorka dr hab. Ewa Klekot opowiada: definicja twórcy ludowego sięga XVIII wieku, wtedy pojawia się koncepcja ludu jako grupy zamieszkującej wieś. Pierwotnie nazywano ją gminem; założono, że jest to grupa spójna, posiadająca atrakcyjne dla mieszczan dawne cechy, które zatracono w procesie rozwoju miast. Utarło się wówczas w polszczyźnie, że lud to najczęściej lud wiejski. Twórca ludowy to zatem ktoś pochodzący z tak rozumianego ludu, ktoś, kto mieszka na wsi i kto jest przepełniony talentem i potrzebą tworzenia. To równocześnie figura, która jest nazywana tak przez kogoś z miasta, inteligenta, który wieś odwiedza i szuka tam wartości dla siebie. Zatem sformułowanie „twórca ludowy” wywodzi się ze świata miejskie-

go, ze świata etnografów. Takie przedstawienie osoby twórcy ludowego pozwala lepiej zrozumieć sens wystawy, która prezentuje obiekty określone jako dzieła twórców ludowych, ale co ważne – zwraca też uwagę na to, że twórca ludowy jest pojęciem, które nie do końca do świata tego twórcy należy, a przynajmniej nie należało do niego przez dziesiątki lat. Dlatego wprowadzono postać twórcy ukrytego – twórcę twórcy ludowego. Tytuł wystawy – „Dwie dusze twórcy ludowego” (zainspirowany określeniem Aleksandra Jackowskiego na temat wyznawania przez twórców dwóch estetyk: jednej na użytek własny, a drugiej, gdy wracają do form tradycyjnych) – wprowadza założenie, że gromadzone w muzeach etnograficznych obiekty określone „sztuką ludową” mają zawsze dwóch autorów, pochodzących z dwóch różnych środowisk społecznych. Jeden z nich to „twórca ludowy”, który fizycznie wykonuje obiekt. Drugi to „inteligent”, ukrywający własne współautorstwo za figurą „rozpoznawania” bądź „odkrywania” – przyjeżdża na wieś i legitymizuje obiekt jako sztukę ludową. Koncepcja „dwóch dusz” wskazuje więc, że sztuka ludowa jest konstruktem stworzonym przez inteligencję miejską.

CHOCOLI TANIEC

Koncepcja scenografii opiera się na figurze chocholego tańca wokół ludoznawczego mitu, jego romantycznych założeń i chłopomańskiej tęsknoty za egzotycznym Innym, które stoją za wytworzeniem kanonu sztuki ludowej. Kanonu opartego na takich cechach jak barwność, żywiołowość, bliskość natury, archaiczność czy tradycyjność, konstruowanych w orientalizującym mieszkaniów wsi dyskursie inteligentnym. Wokół tej ludoznawczej reprezentacji chłopskich mieszkańców wsi i ich wytwórczości rozgrywa się więc taniec, w którym wirują, jak u Wyspiańskiego, „pany, chłopcy, chłopcy, pany”, współkonstruując w tym tańcu zjawisko określane jako „sztuka ludowa”. Pokaz obejmuje tkaniny, malowanki na papierze, wycinanki, malowane makiety, ceramikę, rzeźbę, malarstwo, a także wyroby pamiątkarskie różnego rodzaju.

DOSTĘPNOŚĆ

Warto podkreślić, że ekspozycja ma charakter inkluzywny. Jej autorzy zadbałi o pełną dostępność przedstawionych zbiorów. W przestrzeni wystawy „Dwie dusze twórcy ludowego” dostępne są treści w języku polskim, angielskim (w druku) oraz ukraińskim (pod kodem QR). Przygotowano również audiodeskrypcję całej ekspozycji i wideo-przewodnik w polskim języku migowym. Poruszać się można szerokimi ciągami komunikacyjnymi, zadbano również o miejsca do odpoczynku. Wszystkie teksty napisane zostały odpo-

wiednią wielkością fontów, które zapewniają komfort czytania szerokiemu gronu odbiorców. Wybrane obiekty wyposażone zostały w tyflografiki oraz audiodeskrypcje do nich. Wybór treści przełożonych na formy dostępu został dokonany w procesie konsultacji, z uwzględnieniem perspektyw samorzeczników i samorzeczników. ■

KURATORKA WYSTAWY

DR HAB. EWA KLEKOT – antropolożka kultury, tłumaczka, absolwentka archeologii i etnografii, doktor nauk o sztuce. W kręgu jej naukowych zainteresowań jest antropologia wzornictwa, sztuki oraz antropologia wytwarzania. Zajmuje się antropologicznymi badaniami dziedzictwa i muzeum, a także antropologią dizajnu i sztuki. Interesuje się interdyscyplinarnym łączeniem humanistyki i nauk społecznych z projektowaniem i działaniami artystycznymi. Bada między innymi, na czym polega relacja wytwórcy z jego otoczeniem. Pracuje jako profesorka na Uniwersytecie SWPS w Warszawie.



Dofinansowano ze środków Samorządu Województwa Mazowieckiego, który jest organizatorem Państwowego Muzeum Etnograficznego w Warszawie

KRAJ

NEGOCJATOR

Żyje w komforcie, przyjmując pielgrzymki ważnych ludzi z całego świata.
Do krajowej polityki wracać nie zamierza,
ale i tak nadchodzący rok może być jego. Aleksandra Kwaśniewskiego.

ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ



NAJBARDZIEJ IRYTUJĄCE PYTANIE, Którego nie da się uniknąć w rozmowie z Kwaśniewskim, dotyczy jego potencjalnej roli na lewicy. Brzmi jak zgrane: „to kiedy następna płyta?” w wywiadzie z gwiazdą rocka. Były prezydent politykę krajową ma jednak dawno za sobą. – Z tramwaju partia wysiadłem na przystanku Polska. Koniec i kropka. Nie należę do żadnego ugrupowania. Zresztą nie znajdzie pan w polskiej polityce faceta, który należał tylko do dwóch. Z czego jedną rozwiązał, a drugą założył – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem” Aleksander Kwaśniewski.

Dziś żyje w komfortcie. Niedawno ukazała się jego biografia, pielgrzymują do niego dyplomaci, biznesmeni, urzędujące VIP-y z różnych państw i z niemal każdej strony sceny politycznej. Pytają o radę, świadomi, że Kwaśniewski wie, o co naprawdę chodzi w polityce wschodniej. Jako jeden z nielicznych potrafi rozróżnić to, co błyszczące, od substancji i treści. Wie, kto jest ważny, a kto ważnego tylko udaje. Zna „*schieny*”, czyli metody dobijania targów, a towarem szczególnej wagi jest Ukraina – temat, w który zainwestował jeszcze w czasach wczesnego Leonida Kuczmy, jego dobrego znajomego.

Im bliżej rozmów o zamrożeniu konfliktu z Rosją, tym większy ruch u byłego prezydenta Polski. Jedni chcą wiedzieć, jak potoczą się losy wojny, inni interesują kadry – kto jest na dnie, a kto ma perspektywy. W przeszłości prośby o rady w tych kwestiach pojawiały się nawet z MSZ kierowanego przez wywodzącego się z PiS ministra Zbigniewa Raua. Dopytywano o pozycję Petra Poroszenki i czy warto postawić na niego jako przyszłego kingmakera, gdy zgra się karta Wołodymyra Zelenskigo.

Dziś, jak dowiedzieliśmy się nieoficjalnie, rząd Tuska sonduje możliwość zaangażowania byłego prezydenta w niezwykle prestiżową misję w Azji. Miałby tam promować naszą wizję bezpieczeństwa na wschodniej flance NATO i nad Dnieprem.

Wygłada więc na to, że rok 2025 będzie rokiem Aleksandra Kwaśniewskiego w polityce wschodniej: w roli nieoficjalnego kanału komunikacji, którym można

próbować regulować ważne, delikatne sprawy.

Ukraina za karierę w ONZ

Już w 2004 r. – jak przyznaje sam Kwaśniewski – Ukraina mogła pokierować jego losem w zupełnie innym kierunku. W czasie pomarańczowej rewolucji, gdy zbliżał się koniec drugiej kadencji w Pałacu, realne było wypromowanie go przez USA na sekretarza generalnego ONZ.

Były prezydent przyznaje, że John Bolton, wówczas ambasador USA przy ONZ, pytał, czy byłby zainteresowany takim stanowiskiem. To była kusząca wizja. Polska rok wcześniej jednoznacznie poparła Stany Zjednoczone w tzw. wojnie z terroryzmem. Na szybko zorganizowano kontyngent wojskowy, który wysłano do Iraku, a kierowany przez Zbigniewa Siemiatkowskiego UOP oraz Agencja Wywiadu stały się niemal delegaturą CIA na Europę Środkową.

Jesienią 2004 r. wybuchła jednak ukraińska rewolta, a Kwaśniewski jako przyjaciel Kuczmy mediował na rzecz znalezienia porozumienia między prozachodnim obozem Wiktora Juszczenki a oligarchami donieckimi i popieranym przez Kreml Wiktorem Janukowyczem. Dla obu stron Polak był wiarygodny, i choć pojawiały się momenty, w których „donieccy” planowali siłowo rozgnać protesty na Majdanie, to Kwaśniewski do spółki z Kuczmą gasili te pomysły. Obaj nie chcieli, by Ukraina wpadła w objęcia Władimira Putina.

Kwaśniewski dokładnie pamięta moment, w którym jego kandydatura do ONZ przepadła. Przed anulowaniem przez ukraiński sąd drugiej tury wyborów prezydenckich jesienią 2004 r. brał udział w rozmowach w Pałacu Maryjskim. Uczestniczył w nich również człowiek, którego dobrze znał, były premier Rosji, a wówczas ambasador w Kijowie Wiktor Czernomyrdin. Pewnego dnia Kwaśniewski siedział w przerwie obrad gdzieś z boku na parapecie. Rosjanin podszedł do niego i zaczął wychwalać: „Słuchaj Aleksander, doskonale prowadzisz te rozmowy. Byłbyś znakomitym sekretarzem generalnym ONZ”. Kwaśniewski odpowiedział mu: „Wiktor, doskonale rozumiesz, co do mnie mówisz. Ale wiesz, my tu musimy sprawę przeprowadzić do końca”. To była ostatnia oferta. – Wiedziałem, że bez poparcia Rosji nie mam

szans zostać sekretarzem generalnym – mówi.

Sugestia Czernomyrdina była jasna: Polak wycofuje się lub markuje rozmowy, przestaje zgłaszać postulaty na rzecz porozumienia Juszczenko-Janukowycz i daje wolną rękę rosyjskiej dyplomacji. Kreml zaś popiera go w – zgłoszonych przez Boltona – planach objęcia stanowiska.

Kwaśniewski odebrał to jako propozycję nie do odrzucenia. Czernomyrdin tłumaczył: „Zrozum, co mówię. Jeśli temat zamknijemy jakoś korzystnie, możesz na nas liczyć”. Kwaśniewski nie poszedł na układ i dziś wspomina to z pewną dumą. Temat sekretarza generalnego został zamknięty.

Finalnie ukraiński sąd, m.in. w rezultacie zaangażowania Kwaśniewskiego, unieważnił drugą turę wyborów i zdecydował o jej powtórzeniu. Wygrał Juszczenko, a państwo na jakiś czas weszło na prozachodni kurs, który w 2008 r. mógł się nawet zakończyć zaproszeniem do NATO. Plan nie wypalił z powodu weta Niemiec. Później był drugi Majdan przeciwko odwracającemu się od Unii Janukowyczowi, aneksja Krymu i wojna na dużą skalę.

Sprzedaż Tymoszenko

Przed drugą rewolucją – zanim na ulicy Instytuckiej w Kijowie polala się krew – Kwaśniewski po raz kolejny szukał kompromisu. Przed wileńskim szczytem UE-Ukraina w listopadzie 2013 r. kością niezgody było uwięzienie przez prezydenta Janukowycza (wybranego po kompromitacji „pomarańczowych” elit i odejściu Juszczenki) byłej premier Julii Tymoszenko.

Kwaśniewski i były przewodniczący Parlamentu Europejskiego, Irlandczyk Pat Cox prowadzili wtedy rozmowy z władzami w Kijowie. Cox opowiadał mi później o Kwaśniewskim jako tym, który najlepiej potrafił rozpoznać słabości drugiej strony. Pełen emocji Janukowycz przekonywał wówczas o słuszności wszadzenia do więzienia Tymoszenko. Mówił, że kradła i że ma na kontach poukrywanych 14 miliardów dolarów. Kwaśniewski miał poprosić o nazwy banków i offshorów, w których te pieniądze są zdeponowane, dodając, że UE jest organizacją opartą na praworządności, która zamrozi wszystkie ukradzione pieniądze i przestanie bronić Tymoszenko – jeśli zarzuty okażą się prawdą.

Aleksander Kwaśniewski
podczas IV Kongresu Forum Postępu.
Warszawa, 13 maja 2023 r.

→ Cox twierdzi, że Janukowycz nigdy nie podał konkretów; sam Kwaśniewski jest przekonany, że nie z powodu krystalicznej czystości Tymoszenko. Raczej dlatego, że w tych samych offshorach i na bazie tych samych schematów ukrywał to, co sam nakradł. Kwaśniewski podejrzewa, że nie chciał im przekazać tej wiedzy, bo bał się, że przy okazji namierzony zostanie jego majątek.

W pewnym momencie polski prezydent był świadkiem sytuacji, w której Janukowycz zaproponował... sprzedaż Tymoszenko, czyli wysłanie jej zza krat do Niemiec. Za połowę kwoty, o której mówił Cokowski, czyli za 7 mld dolarów – oficjalnie miały to być pieniądze przekazane Ukrainie na odnawialne źródła energii i później rozdysponowane w przetargach dla ludzi związanych z klanem Janukowycza.

– Otwieraliśmy kanał komunikacji – śmiał się wówczas Cox (rozmowę opublikowałem w napisanej wspólnie z Michałem Potockim książce „Wilki żyją ponad prawem. Jak Janukowycz przegrał Ukrainę”). Pieniądze miała przekazać Angela Merkel, ale nie zgodziła się uczestniczyć w *de facto* handlu żywym towarem i przestała mówić Janukowyczowi „dzień dobry”. Gardziła nim. Jak relacjonują osoby z otoczenia Kwaśniewskiego, on z kolei uważał go za głupka i mitomana.

Casus syna Bidena

Po Majdanie w 2014 r. Kwaśniewski i Ukraina to przede wszystkim biznes i zamieszanie wokół firmy Burisma. Trafił do niej syn Joego Bidena – Hunter. Do dziś tamta sprawa kładzie się cieniem na relacjach Zełenskigo z Donaldem Trumpem. W 2019 r. Amerykanin w czasie swojej pierwszej kadencji szukał za pośrednictwem Rudy’ego Giulianiego kompromatów na szykującego się do walki o Białą Dom Bidena seniora. Zełenski lawirował.

Rząd Tuska sonduje
możliwość zaangażowania
byłego prezydenta
w prestiżową misję w Azji.

**Miałby tam promować
naszą wizję bezpieczeństwa.**

Niby rozmawiał z Trumpem, aby w rzeczywistości nic mu nie dać, co ten pamięta do dziś. Osobą, która wprowadziła Huntera Bidena do Burismy, miał być rzekomo Kwaśniewski. Koncern kontrolował były minister środowiska Ukrainy Mykoła Złoczewski, znajomy eks-prezydenta. Kwaśniewski jednak zaprzecza.

– Nie zaproponowałem Bidena, choć, jak się potem okazało, był niełatwy, ale całkiem kompetentny. Faktem jest jednak, że Hunter Biden do mnie zadzwonił. Pytał, co to za firma. Mówiłem mu, że wspieranie Burismy ma sens. Bo to uniezależnia Ukrainę od rosyjskiego gazu. Z Joe Bidenem o tej sprawie nigdy nie rozmawiałem – zapewnia.

Ostatecznie cała sprawa obróciła się przeciwko prezydentowi Trumpowi, który został poddany procedurze impeachmentu. Oskarżono go o wykorzystywanie pieniędzy publicznych w celu zdobycia materiałów kompromitujących Bidena i uzyskania w ten sposób przewagi w wyborach.

Trzeba spotkać się z Trumpem

Obecne przygotowania do rozmów o rozejmie między Ukrainą i Rosją domykają Kwaśniewskiemu sprawy zapoczątkowane w Kijowie w czasie rządów Kuczmy. Były polski prezydent współorganizuje (razem z Wiktorem Pinczukiem, jednym z najbogatszych oligarchów ukraińskich, a prywatnie zięciem Kuczmy) YES, czyli forum Yalta European Strategy. Spotykają się na nim cyklicznie ludzie, którzy prowadzą nieformalne konsultacje i wypracowują rozwiązania. Pojawia się tam również Wołodymyr Zełenski i jego „wiceprezydent” Andrij Jermak. Kręcą się ludzie z rządu, w tym premier-figurant Denys Szmyhał czy szef wywiadu wojskowego gen. Kyryło Budanow. YES stał się platformą przekazywania informacji, którymi nie wypada dzielić się w oficjalnych relacjach i podawać do mediów.

W tym roku atmosfera w YES była daleka od nawet umiarkowanego optymizmu. Jedno z opracowań, które powstało na tym forum, dotyczy wariantów rozwoju konfliktu w Ukrainie. Jego tytuł to: „Scenariusze przegranej lub zwycięstwa do 2030 roku”. Zakreślona perspektywa zakłada co najmniej pięć lat mniej lub bardziej intensywnej wojny.

Kwaśniewski jest przekonany, że jeśli dojdzie do zamrożenia konfliktu, będziemy świadkami zaledwie pauzy. Uważa, że Putin był blisko wygranej na Ukrainie w 2004 r., i to w nim siedzi. Dwa lata wcześniej miał z nim rozmowę o jego marzeniu, wizji Wielkiej Rosji. Po pomarańczowej rewolucji to był już plan Putina, a po aneksji Krymu plan stał się wręcz obsesją. Kwaśniewski dodaje, że dziś zadaniem numer jeden dla Polski powinna być próba wpłynięcia na Trumpa, aby zamrożenie konfliktu nie przetrąciło Ukrainie kręgosłupa i nie zachęciło Putina do kolejnej wojny. Wariantem maksimum jest pełne członkostwo w NATO.

– Trzeba znaleźć pretekst, aby spotkać się z Trumpem jak najszybciej. Wszystkiego, co jest do wykorzystania, trzeba użyć. Polska ma dwa poważne tytuły do tego, żeby odegrać tu rolę. Na początku roku rozpoczyna się nasza prezydentura w Unii. Gdy w tej roli były Węgry, Viktor Orbán pierwszą wizytę złożył u Putina. Teraz można to odwrócić. Tusk i Duda mogą pojechać do Waszyngtonu 20 stycznia 2025 r. Do tego dochodzi czynnik psychologiczny. Andrzej Duda zna się z Trumpem i jest między nimi chemia. On realnie jest w stanie coś załatwić. Dlaczego nie mielibyśmy z tego skorzystać? Ma szansę na ciekawą *last dance* – komentuje.

To oczywiście wariant idealny. Jak na razie nie ma chemii ani między Trumpem i Tuskiem, ani między Tuskiem i Dudą. Dla tej drugiej pary kością niezgody jest oczywiście podwórko krajowe, głównie spór o ambasadorów, odbijający się na ich współpracy w dziedzinie bezpieczeństwa.

Upychanie swoich

Kwaśniewski w tym konflikcie krytykuje Dudę. W TVN mówił o „wystawieniu na śmieszność” Polski przez prezydenta. Zapomina jednak, że sam jako głowa państwa był pierwszym, który przetestował zapisy konstytucji podczas własnej walki o ambasadorów. Jeden z polityków lewicy z okresu rządów AWS i później SLD

OGŁOSZENIE

**KLUBY „TYGODNIKA
POWSZECHNEGO”**
życzą Radości i Nadziei Bożego
Narodzenia, Dobra i Pokoju
w nadchodzącym roku.



KLUBY TYGODNIKA.PL

STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA



KRYSZTOF MAJ / FORUM

*Z Witalijem Kliczką po ceremonii zaprzysiężenia prezydenta Ukrainy Petra Poroszenki.
Kijów, 7 czerwca 2014 r.*

przekonuje, że prezydent traktował kwestie polityki zagranicznej i bezpieczeństwa ambicjonalnie. – Wiedział, że w tej dziedzinie będzie silny na tyle, na ile sam się rozepcha – mówi.

Dziś Kwaśniewski przyznaje, że prezydent Duda powinien mieć prawo do pozostawienia swoich byłych ministrów z Kancelarii na placówkach takich jak Pekin, Bukareszt czy Nowy Jork (przy ONZ). Ale rząd powinien zachować możliwość obsadzenia najbardziej strategicznych dla polityki zagranicznej ambasad – po swoim. Wymienia Waszyngton, NATO, UE, Kijów, Londyn, Paryż, Berlin i Seul. Gdy sam kończył prezydenturę w 2005 r., nie był tak hojny dla rodzącego się wtedy nowego układu politycznego, w którym nadszedł zmierzch SLD, a na horyzoncie pojawił się tzw. PO-PiS. Za pośrednictwem swojego człowieka w MSZ, dyrektora generalnego Krzysztofa Jakubowskiego (szwagra ówczesnej posłanki SLD Aleksandry Jakubowskiej), mocno wpływał na politykę kadrową na zagranicznych placówkach.

Zgodnie z konstytucją, ambasadorów powołuje i odwołuje prezydent na wniosek szefa MSZ. Zazwyczaj porozumienie rodzi się podczas zakulisowych negocjacji. W tej walce Kwaśniewski był dość apodyktyczny. Do Kijowa wysłał autora swoich przemówień i znawcę spraw ukraińskich Jacka Kluczkowskiego. Były poseł SLD i działacz sportowy Stefan Paszczyk pojechał do Argentyny. Andrzej Załucki, w latach 70. związany z so-

cialistycznym ruchem studenckim, a za SLD wiceszef MSZ – trafił do Pragi. Do Kopenhagi pojechał inny wiceszef MSZ Jakub Wolski (kilka lat temu przyznał się do tajnej współpracy ze służbami PRL), a do Seulu p.o. szefa Agencji Wywiadu pułkownik Andrzej Derlatka. Wszyscy mieli być najwyższej klasy fachowcami, popieranymi przez głowę państwa.

Tyle że Andrzej Duda również twierdzi, że każda osoba, której podpisywał listy uwierzytelniające, jest wysokiej klasy fachowcem. Tak naprawdę jednak upychanie swoich ludzi na zasłużonych placówkach to od lat powszechna praktyka.

Kwaśniewski brał udział w takich grach już w 2001 r., kiedy pozwolił nowemu ministrowi spraw zagranicznych z SLD, Włodzimierzowi Cimoszewiczowi, na odwołanie do kraju ambasadorów wyłansowanych przez rząd AWS, ale zaakceptowanych przez samego prezydenta. Była jeszcze kwestia Radosława Sikorskiego, który miał jechać na placówkę przy NATO, ale idący po władzę SLD patrzył na to krzywo. Miejsce było strategiczne. Dlaczego miało trafić w ręce byłego wiceszefa MON i MSZ w rządach Olshewskiego i Buzka?

Cimoszewicz chciał mieć w Sojuszu osobę, której będzie w pełni ufał, a nie spadek po Buzku. Kwaśniewski wymyślił więc kompromis, że skoro nie przy NATO, to niech Sikorski zostanie ambasadorem w Belgii. To przecież również Bruksela. Jednak Cimoszewicz był

uparty. – To było zderzenie dwóch silnych osobowości – wspomina utracenie Sikorskiego Aleksander Kwaśniewski.

Mit NATO

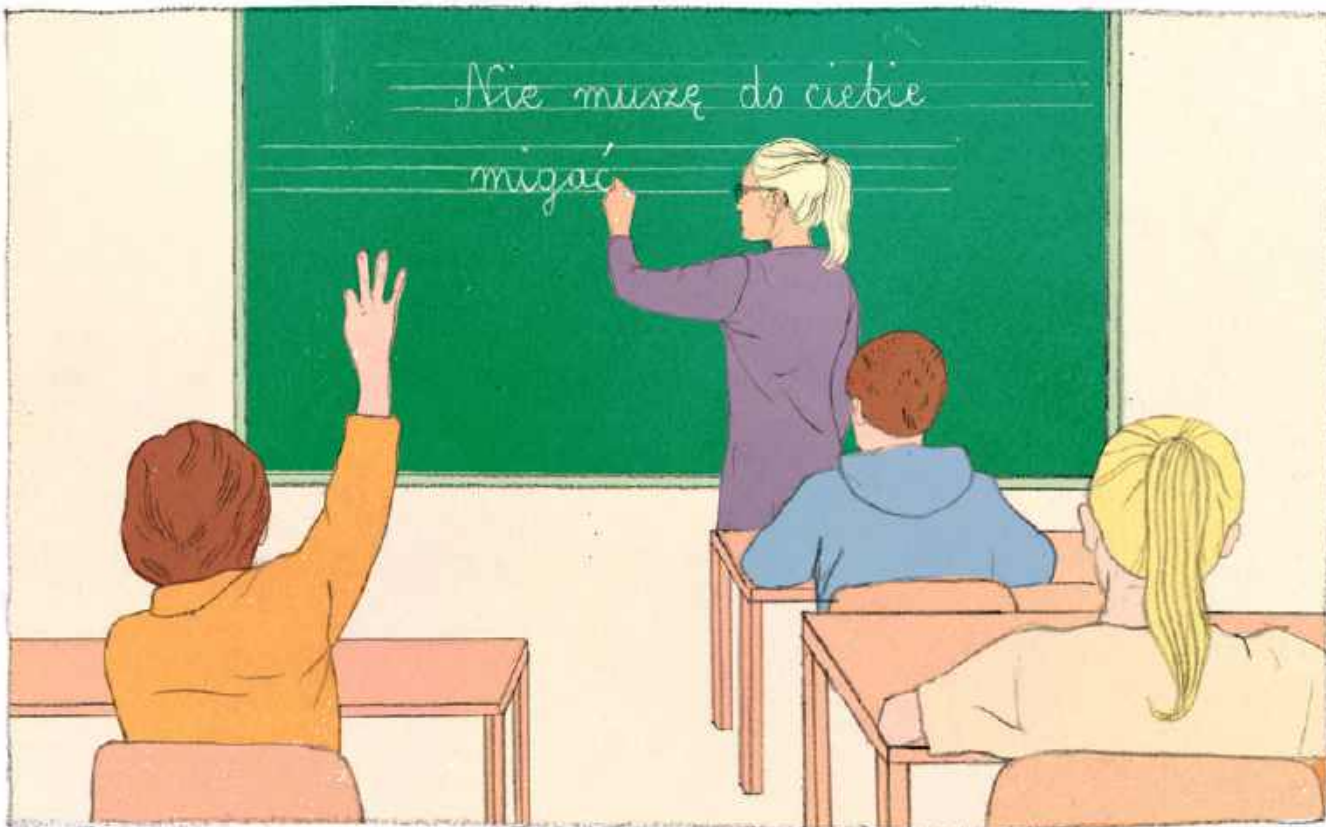
Wokół Kwaśniewskiego od lat krąży wiele pogłosek o jego przyszłej roli na świecie. Miał być już sekretarzem generalnym ONZ, szefem NATO, a nawet przewodniczącym Parlamentu Europejskiego (choć nigdy nie był deputowanym do PE). On sam traktuje te doniesienia z dystansem. Mówi, że trzeba się zmieścić w pewnym okienku czasowym od odejścia ze stanowiska we własnym kraju, a to maksymalnie pięć lat. Nie wiąże więc z tą kwestią żadnych emocji. Zresztą jego zdaniem Mark Rutte w NATO nie jest najgorszym wyborem, a Trump ma z nim dobry kontakt. Rutte nawet nie zgadzając się z Trumpem, nie wywołuje u niego furii. Ze starej Unii jedynymi, którzy dają sobie radę, są właśnie Rutte, a w przeszłości Jean Claude Juncker, który załatwiał sprawy z Trumpem pół żartem, pół serio, pół na trzeźwo, pół nietrzeźwo.

I Rutte, i Juncker mają wiele cech Kwaśniewskiego. To brokerzy rozwiązań. Oderwani od ideologii politycy od walczenia porozumień, którzy mają status osób ponadpartyjnych i zdolnych do kompromisu. O ponadpartyjności samego Kwaśniewskiego krąży zaś legendy. Po zwycięstwie PiS w 2015 r. powstał spór o kandydata na ambasadora w Ukrainie. Był nim rzecznik ministra Sikorskiego, a następnie Grzegorza Schetyny Marcin Wojciechowski. Nowy szef MSZ Witold Waszczykowski nie chciał go jednak na placówkę w Kijowie. Jeden z ministrów z PiS w rozmowie ze mną przekonywał, że jego partia szukała kogoś wagi ciężkiej. Wtedy padło nazwisko Kwaśniewskiego. Poprosiłem o powtórzenie: czy aby na pewno chodzi o byłego prezydenta? Polityk zapewniał, że się nie przejęczył.

Skoro tak, Kwaśniewski rzeczywiście osiągnął polityczną nirwanę. Jego zakres możliwości sięga od Silnych Razem do PiS. W dyplomacji podobnie. Nie uprawia jej na platformie X. Szanuje dyskrekcję, a przede wszystkim ludzi, którzy starają się dotrzymywać umów. I wciąż jest blisko gier o wysoką stawkę.

© ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

Autor jest dziennikarzem „Dziennika Gazety Prawnej”



Szkoła dobrej woli

ANNA GOC

Nie słyszą, co mówią nauczyciele. Są pozbawiani edukacji. Wszystko zgodnie z prawem.

NA LISTOPADOWE SPOTKANIE PRZYSZŁO ponad czterdzieści osób – rodzice, uczniowie, nauczyciele i osoby związane z Dolnośląskim Specjalnym Ośrodkiem Szkolno-Wychowawczym nr 12 dla Nie-słyszących i Słabosłyszących oraz z innymi niepełnosprawnościami we Wrocławiu. Obok mnie usiadła tłumaczka polskiego języka migowego (PJM).

Zaczął głuchy mężczyzna: – Myślałem, że to będzie dobre miejsce dla mojego syna, podobnie jak było dobre dla mnie, a wcześniej dla mojego głuchego ojca. Syn jest w pierwszej klasie podstawówki, jego nauczycielka miga. Ale w innych klasach są nauczyciele, którzy nie znają PJM. Boję się, że jeśli syn nie będzie rozumiał, co dzieje się na lekcjach, nie zda egzaminów.

– Moje dziecko chodziło przez kilka lat do szkoły integracyjnej, gdzie na każdej lekcji był tłumacz PJM – miga matka innego ucznia. – Gdy przeniósł się do wrocławskiej szkoły, był zdziwiony. Dlaczego niektórzy nauczyciele do nas mówią? – pytał. – Przecież my ich nie słyszymy, nic nie rozumiemy.

– My też mamy problemy w porozumiewaniu się z niektórymi nauczycielami – miga jedna z głuchych matek. I opowiada, że słysząca nauczycielka unikała rozmowy z nią. – Skoro nauczycielka nie miga, być może nie wie, jak ze mną porozmawiać?

– Mój syn nie chce chodzić na świetlicę, bo pani mówi, a on jej nie rozumie. Ostatnio nie potrafił przekazać, że chce wyjść do toalety – miga kobieta obok.

– Najgorzej jest na języku angielskim – miga inna matka. – Nauczycielka staje przed głuchymi i mówi do nich. Albo rozwiązuje zadania przy tablicy, odwrócona tyłem do klasy.

Podobnie jest na języku polskim. – Przepisujemy zdania z tablicy i zupełnie nie wiemy, o co chodzi – miga jeden z uczniów. – Poprosiłem nauczycielkę, żeby do nas migła, ale to nic nie dało. Dałiśmy znać wychowawczyni, że nic nie rozumiemy, i prosiliśmy o tłumacza, ale i to nie pomogło.

Kolega z jego klasy, który siedzi obok, przytakuje.

Matka chłopca miga: – Mój syn jest ambitny, chce się uczyć. Z zeszytem z lekcji języka polskiego idzie do logopedki, z którą pracuje od wielu lat poza szkołą, i prosi, by mu wyjaśniła, o co chodziło na lekcji.

– Pięciu nauczycieli, z którymi mam lekcje, w ogóle nie miga – dodaje uczeń. – Na matematyce nauczyciel pisze na tablicy, dzięki czemu wiemy, jak rozwiązywać niektóre zadania. Nauczyciel historii wyświetla sporo materiałów, co też nam pomaga. Ale tego, co mówią, nie rozumiemy.

Obok siedzi mama dwojga głuchych dzieci. – W klasie córki jest kilkoro dzieci, głównie głusi i słyszący chłopiec w spek-

trum autyzmu. Na lekcjach, na których nauczycielka nie miga, chłopiec w spektrum próbuje tłumaczyć jej słowa. Nauczył się podstawowych znaków od głuchych kolegów. Miga słabo, ale stara się – mówi matka. – Gdy się o tym dowiedziałam, dałam znać wychowawcy. Zmienili nauczyciela na takiego, który miga.

– A jak wygląda sytuacja na innych lekcjach? – pytam.

– Prowadzą je nauczyciele, którzy pracują w ośrodku od wielu lat, większość z nich miga dobrze i zna potrzeby osób głuchych – mówi matka.

Po niej zaczyna głucha uczennica z technikum: – Mamą nową nauczycielkę z grafiki komputerowej, dla nas to jeden z ważniejszych przedmiotów. Pani cały czas do nas mówi albo pokazuje palcem, co mamy robić na ekranie komputera – miga. – Jeśli nauczycielka przez dłuższy czas mówi, wyjmuję telefon, uruchamiam program, który rejestruje dźwięk i przerabia go na tekst. Nie zawsze rozumiem transkrypcję, ale przynajmniej wiem mniej więcej, o czym mówiła nauczycielka.

– A jeśli chce pani o coś zapytać nauczycielkę? – dopytuję.

– Wtedy migam do słabosłyszącej koleżanki i proszę, żeby to przetłumaczyła nauczycielce – miga dziewczyna.

Nagrania z lekcji

Niedługo po spotkaniu dostaję kilka nagrań z lekcji.

Oglądam je tak, jak mogą odebrać je głusi, z wyłączonym dźwiękiem.

Język polski, na tablicy temat: „Czy Achilles jest wojownikiem szlachetnym czy okrutnym”. Słowo „szlachetny” jest w kółku, obok zapisane synonimy: „dobry”, „rycerski”. Poniżej dopisek: „Teza z argumentacją”. Nauczycielka siedzi w czasie kilkuminutowego nagrania przy biurku i cały czas mówi.

Oglądam film jeszcze raz, z dźwiękiem.

Nauczycielka: – Nie bać się tej tezy, tych argumentów, bo to jest nic innego jak twoje zdanie na dany temat. Musisz to udowodnić, musisz to poprzeć, musisz przekonać kogoś.

Głos uczennicy: – Nie znam całej historii Achillesa, więc nie wiem, jaki był na prawdę.

Nauczycielka: – Był waleczny, chciał walczyć. Matka ukryła go między kobietami, ale on chciał walczyć. W nim było serce wojownika.

Uczennica: – Czyli jakbym napisała „pewny siebie”?

Nauczycielka: – Pewny siebie wojownik, jasne. Teraz się zastanów, co sprawia według ciebie, że Achilles był okrutny?

Uczennica: – Nie miał na pewno, jak to się mówi, nie miał szacunku dla, jak to się mówi...

Nauczycielka: – Dla przeciwnika... Słuchajcie, to, że on był okrutny – wpadał w gniew, wpadał w gniew w tłumie – świadczy o tym, że nie panował nad sobą. Bardzo to jest złe, jeśli nie panujesz nad sobą, nie panujesz nad swoimi emocjami...

Relacje uczniów

W kolejnych filmach głusi uczniowie, którzy nie mogli przyjść na spotkanie, migają o tym, co dzieje się w ich szkole.

– Jestem uczennicą technikum... Problemem jest nowa pani. Dlaczego? Na początku roku pani poleciła mi tłumaczenie na język migowy w czasie zajęć – miga dziewczyna. – W klasie mamy dwoje głuchych uczniów. Zaskoczyło mnie to i nie śmiałam odmówić. Powiedziałam o tym mojej mamie, a ona napisała pismo do dyrektora. Czy coś z tego wyniknęło? Raczej nie, bo nadal czasami dostaję polecenia tłumaczenia. To jest dla mnie problem, bo jestem uczennicą, chcę skupić się na lekcji...

– Mówimy, że jesteśmy głusi, nie słyszymy i nie mówimy fonicznie. Pani [z języka polskiego] powiedziała, że OK. Siadamy i patrzymy, a pani cały czas mówi, mówi, mówi... Po chwili dajemy jej znać, żeby migiała albo pisała na tablicy to, co mówi – to dla nas też będzie OK. W odpowiedzi nadal mówi... Mówi, mówi, mówi... Nie wiadomo co... Mówi... Pomyślałam, że trzeba dać tej osobie czas. Mijały tygodnie. Gdzieś w połowie października nie wytrzymałam: pani nic nie miga. To było bardzo frustrujące. Polski jest mi potrzebny – ja potrzebuję się uczyć tutaj! A tu – niczego nie wynoszę z lekcji, w dzienniku same jedyńki... Nieprzygotowania, minusy...

Dostaję też dwa zdjęcia zrobione przez uczniów. „Ja nie muszę do ciebie migać”, „Nie ma takiego obowiązku” – te zdania mieli napisać na tablicy nauczyciele prośzeni przez głuchych o używanie PJM.

Poza szkołą

O odrabianiu lekcji z uczniami pytam Alinę Butkiewicz, absolwentkę filologii polskiej, specjalistkę surdologopedii, te-

rapeutkę mowy, która przyjmuje pacjentów w PZG Dolnośląskim Centrum Medycznym: – Uczniowie z wrocławskiego ośrodka są moimi pacjentami od wielu lat. Jeden z uczniów przychodzi raz w tygodniu z zeszytem z języka polskiego, bo nie rozumie tego, co dzieje się na lekcjach – relacjonuje.

– Szkoła dla głuchych powinna być miejscem, gdzie głusi mają zapewnioną dostępność. Sprawę wrocławskiego ośrodka wraz z rodzicami zgłosiliśmy Rzecznikowi Praw Obywatelskich i Rzecznikowi Praw Dziecka – mówi Agnieszka Reisch-Radaczyńska, także specjalistka z zakresu surdologopedii, tłumaczka PJM, która prowadzi terapię mowy z uczniami z wrocławskiej szkoły.

W sprawę zaangażował się także Polski Związek Głuchych. – Od trzydziestu lat uderzamy głową o ścianę walcząc o edukację dwujęzyczną osób głuchych – mówi Krzysztof Kotyniewicz, prezes PZG. – Z informacji, które docierają do nas z Wrocławia, wynika, że wiedza o potrzebach osób głuchych jest w ośrodku, ale z jakiegoś powodu szkoła wróciła do metod sprzed kilku dekad – nauczyciele mówią do głuchych. To bardzo niepokojące, dlatego zaczęliśmy monitorować tę sprawę.

Dyrekcja ośrodka

Grzegorz Cwierniewicz, dyrektor ośrodka, poproszony o odniesienie się do zarzutów uczniów i rodziców, zaprasza na spotkanie swoich wicedyrektorów.

Potwierdza, że od września zatrudnił w ośrodku 24 nowych pracowników – trzy osoby w internacie i 21 w szkole: nauczycieli m.in. języka polskiego, matematyki, historii, języka angielskiego i wufu, a także trzech psychologów i osobę pracującą w świetlicy. Większość z tych osób nie ma przygotowania do pracy z głuchymi dziećmi, czyli nie skończyła studiów surdopedagogicznych.

– Miałem dwie możliwości. Zatrudnić tych nauczycieli albo nie zatrudnić żadnych. Bo nauczycieli z przygotowaniem surdopedagogicznym na rynku nie ma – mówi Cwierniewicz.

I dodaje: – Postawiłem jednak warunek przy rekrutacji: ukończenie studiów surdopedagogicznych, na które wszyscy ci nauczyciele się zapisali, i rozpoczęcie kursu polskiego języka migowego, na który nauczyciele poszli. Teraz są na poziomie A1, ale będą go kontynuować. ➔

→ – Opanowanie polskiego języka migowego zajmuje wiele miesięcy. Czy do tego czasu na lekcjach nauczycieli, którzy nie migają, będą tłumaczy PJM? – pytam.

– W listopadzie zwróciłem się do Urzędu Marszałkowskiego o wsparcie finansowe, dzięki któremu będzie możliwe zatrudnienie tłumaczy – mówi Ćwiertniewicz.

Pytam o reakcję dyrekcji na zapisane na tablicy przez nauczycielkę zdanie: „Ja nie muszę do ciebie migać”.

Wicedyrektor Ireneusz Talaga, który odpowiada za kształcenie ponadpodstawowe, wyjaśnia, że z informacji uzyskanych od nauczycielki wynika, iż napisała na tablicy to zdanie w momencie kulminacyjnym sporu w klasie. – Nauczycielka zauważyła, że głuchy uczeń ściągą, bo jego odpowiedź pisemna na sprawdzianie i odpowiedź pisemna kolegi obok były takie same.

– Z relacji uczniów wynika, że jeden z nich nie rozumiał treści polecenia, więc drugi mu ją przemigał, o czym nauczycielka, która nie zna PJM, nie mogła wiedzieć – przedstawiam wersję, którą podali mi uczniowie.

– Nauczycielka poprosiła, by głuchy uczeń podszedł do tablicy i napisał na niej wyjaśnienie dotyczące ściągania na sprawdzianie. Uczeń był zdenerwowany, nie chciał podejść, migał, że nauczycielka ma migać, a nie pisać. Wtedy nauczycielka napisała na tablicy zdanie „Nie muszę do ciebie migać”. Był to błąd komunikacyjny, który nie powinien się zdarzyć – mówi Talaga.

– Uczniowie twierdzą, że są zdenerwowani, bo nie są w stanie porozumieć się ze swoimi nauczycielami: nie rozumieją, co oni do nich mówią, i nie potrafią przedstawić swoich racji, bo nauczyciele nie migają – mówię.

– Za każdym razem staramy się takie sytuacje wyjaśniać, musimy jednak o nich wiedzieć – mówi wicedyrektor.



MAGA WOLNA DLA „JP”

Syn był zdziwiony. Dlaczego niektórzy nauczyciele do nas mówią?

– pytał. – Przecież my
ich nie słyszymy,
nic nie rozumiemy.

Proszę dyrekcję, by odniosła się także do sytuacji, w których uczniowie pełnią rolę tłumaczy na lekcjach tych nauczycieli, którzy nie potrafią migać.

– Taka sytuacja została zgłoszona nam przez jednego rodzica i natychmiast przekazaliśmy nauczycielce, że nie może używać dzieci migających jako tłumaczy na lekcji – wyjaśnia wicedyrektor Talaga. – Sprawdziłem, to się już nie powtórzyło, co potwierdziła uczennica zgłaszająca problem. Ważne, żeby uczniowie mówili o takich sytuacjach wychowawcom, a wychowawcy nam, wtedy możemy reagować.

Alina Brzezińska, wicedyrektor, która sprawuje nadzór nad internatem i pracuje w ośrodku od 41 lat: – Zarzuty formułowane pod adresem ośrodka są bardzo dla nas bolesne – mówi. – Po decyzji poprzedniego dyrektora szkoła przyjmuje dzieci z różnymi niepełnosprawnościami, więc wymagania wobec nas rosną i jest coraz

trudniej. W internacie na sześćdziesięciu wychowanków tylko dwudziestu jeden jest głuchych, reszta to dzieci z innymi niepełnosprawnościami, chorujące psychicznie, z innymi chorobami i zaburzeniami – dodaje. – O zarzutach rodziców dowiedzieliśmy się, gdy do ośrodka zaczęły przychodzić pisma z różnych instytucji i rozpoczęły się kontrole – mówi.

Interwencje rodziców

W październiku kilkoro rodziców uczniów z ośrodka napisało do Dolnośląskiego Kuratora Oświaty. Zaznaczyli, że „rozmowy z dyrektorem, maile, nie przyniosły żadnych efektów – przeciwnie, poinformowano nas, że język migowy nie jest obowiązkowy w Ośrodku, to jest tylko dobra wola nauczycieli”.

– Sygnałów, które zgłaszali rodzice, a także sytuacji, gdy uczniowie dawali znać, że nie rozumieją tego, co dzieje się na lekcjach, było od września dużo. Głusi są dyskryminowani w szkole. Są sfrustrowani, tracą pewność siebie – mówi Anna Brzegowa-Jabczyk, matka głuchego ucznia wrocławskiego ośrodka, wieloletnia przewodnicząca tamtejszej rady rodziców.

W związku ze zgłoszoną skargą pracownicy organu nadzoru pedagogicznego przeprowadzili 17 i 23 października kontrolę we wrocławskim ośrodku.

Rzeczniczka Miłoslawa Bożek potwierdza, że Dolnośląski Kurator Oświaty wyraził zgodę na zatrudnienie nauczycieli nieposiadających kwalifikacji na wniosek dyrektora ośrodka, zgodnie z obowiązującymi przepisami prawa oświatowego.

Kontrola wykazała, że nauczyciele rozpoczęli uzupełnianie kwalifikacji i kurs PJM. – W styczniu przeprowadzone zostaną czynności rekontrolne sprawdzające realizację wydanych zaleceń, m.in. to, czy dyrektor w pierwszej kolejności zatrudnia nauczycieli z wymaganymi kwalifikacjami oraz czy dokumentuje kształcenie specjalne zgodnie z przepisami – mówi rzeczniczka.

Reforma edukacji

„W ocenie Rzecznika Praw Obywatelskich prawo osób głuchych do edukacji w najdogodniejszym dla nich języku – polskim języku migowym – nie jest w Polsce realizowane” – czytaliśmy w raporcie już w 2014 r.

Potwierdziła to kontrola Najwyższej Izby Kontroli w 2022 r. Wtedy kontro-

Przed Sądem Rejonowym w Łomży | Wydział Cywilny toczy się postępowanie w sprawie sygn. akt I Ns 342/24 z wniosku Krzysztofa Cieśluka z udziałem Krzysztofa Dardzińskiego, Grażyny Zalewskiej, Elżbiety Kulas, Marioli Kubalskiej, Hanny Dąbkowskiej, Marianny Olszak, Lecha Cieśluka, Józefy Rakowskiej, Józefa Cieśluka o stwierdzenie nabycia spadku po Bronisławie Cieśluku s. Jana i Walerii, zmarłym 24.07.1978 r. w miejscowości Zaskrodzie.

Sąd wzywa, aby wszyscy spadkobiercy w ciągu 3 miesięcy od dnia wskazanego w ogłoszeniu zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabyciu spadku.

lerzy wykazali, że 60 proc. nauczycieli w szkołach dla głuchych nie zna biegle PJM.

Sytuację komplikuje to, że zmienia się profil szkół dla głuchych. Nauczyciel staje często przed zadaniem: jak poprowadzić lekcję w klasie, w której są uczniowie mówiący, migający i uczniowie z innymi potrzebami komunikacyjnymi, np. z afazją.

Ministerstwo Edukacji Narodowej, zapytane o konieczność reformy edukacji głuchych, odpisało, że Uniwersytet Warszawski na zlecenie MEN opracowuje rekomendacje. Wśród nich będzie m.in. znajomość PJM u nauczycieli na poziomie co najmniej B2.

– Poziom biegłości B2 to warunek konieczny skutecznej komunikacji z uczniem migającym – mówi prof. Paweł Rutkowski, twórca i kierownik Pracowni Lingwistyki Migowej na UW, który koordynuje zlecony przez MEN projekt.

I podkreśla, że studentom filologii polskiego języka migowego, czyli kierunku studiów na UW, osiągnięcie tego poziomu zajmuje około dwóch lat. – Wielu słyszących nie zdaje sobie sprawy, że komunikacji migowej nie da się opanować w ramach krótkiego kursu czy szkolenia. Czy jednak nie wydaje się nam oczywiste, że np. nauczanie po angielsku wymaga od nauczyciela znajomości więcej niż dwustu angielskich słów? Tymczasem obecne założenia dotyczące standardów kształcenia nauczycieli w zakresie PJM zakładają opanowanie właśnie zaledwie dwustu znaków – mówi prof. Rutkowski.

Biegła znajomość języka migowego nie jest więc obecnie wymagana przy zatrudnieniu w szkole dla głuchych.

Głusi, którzy nie słyszą języka polskiego, nie są w stanie przyswoić go tak, jak słyszące dzieci, dlatego nauka tego języka powinna być dostosowana do ich możliwości.

– Postulujemy, by głusi uczniowie mieli nie tylko przedmiot „polski język migowy”, lecz także „język polski jako obcy” dla głuchych – mówi Magdalena Dunaj, jedna z autorek rekomendacji. – To podstawy edukacji dwujęzycznej, której nie da się realizować bez nauczycieli biegle posługujących się i językiem polskim, i PJM.

© ANNA GOC



CHRIS NIEDENTHAL / FORUM

Kolejka przed kioskiem Ruchu. Warszawa, czerwiec 1989 r.

Zdradzone o świcie

MAREK RABIJ

Nikt już nie zaczyna dnia od wizyty w kiosku. Ostatnie z nich właśnie się zamykają. Pozostaną po nich wspomnienia z czasów, gdy stanowiły jedno z najważniejszych miejsc spotkań towarzyskich.

PYTAM, CZY PAMIĘTA TAMTEN ZAPACH. Zamyka oczy i wciąga nosem powietrze, jakby chciała przywołać w ten sposób wspomnienia. – To była – odzywa się po chwili – woń świeżo zadrukowanego papieru zmieszana z zapachem tytoniu. I jeszcze jedna nuta, trudna do opisanego, ale elektryzująca, jak obietnica czegoś fajnego – dodaje z przekonaniem.

Wiem, o czym mówi. Do kiosku, w którym pracowała Krystyna Drozd, biegałem jako dzieciak trzy razy w tygodniu, uzbrojony przez rodziców w mosiężną pięciopięciową monetę sprzed denominacji, drżąc z obawy, czy nie wykupiono już całego nakładu „Świata Młodych”. Liczyła się oczywiście tylko ostatnia strona z komik-

sem. Pani Krystyna odkładała mi „po sąsiedzku” jeden egzemplarz, ale stres był i tak olbrzymi.

Po tamtym kiosku, w którym przepracowała 26 lat, nie ma już śladu. Kilka lat temu pomiędzy płytami chodnika widać było jeszcze zarys jego fundamentów, ale teraz w tym miejscu stoi blok. Gazety są głównie w internecie. Po kosmetyki najbliższej do którejś z sieciowych drogerii, którymi porastają polskie miasta. Palenie stopniowo wychodzi z mody.

Wraz z nim do przeszłości odchodzą też ostatnie kioski. Firma Ruch, której zostało jeszcze 128 takich placówek, zamknęła właśnie wszystkie – poza czterdziestoma, które agenci próbują poprowadzić na własną rękę. „Decyzja

→ o likwidacji sieci kiosków Ruchu jest – jak pisze w komunikacie zarząd Ruchu – podyktowana trwałymi negatywnymi wynikami finansowymi segmentu”.

– Za moich czasów nie do pomyślenia – krzywi się pani Krystyna, kiedy czytam jej ten fragment.

Zaparkowane plotki

W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, a zwłaszcza w jej odmianie z lat 80., która była krainą sklepów bez towaru, kioski rzeczywiście jawiły się jaskinią zbójców pełną ukrytych skarbów. Piętrzące się w stosy gazety, kolorowe pocztówki na obrotowych stojakach, a na półkach w głębi czasem nawet woda kolońska „Brutal”, krem do golenia „Wars” albo krem „Nivea”. Zdarzały się też zabawki, książki, opakowane w aluminium prezerwatywy zwane „erosami” oraz oczywiście papierosy, które bezwstydnie kusiły palaczy, ustawione rzędem na szybie nad okienkiem. Ojciec najczęściej palił „Klubowe”. Mama preferowała mentolowe „Zefiry”. A ksiądz, który przygotowywał moją klasę do pierwszej komunii, posyłał czasem któregoś z nas po paczkę tanich, ale mocnych „Popularnych”. Lubiliśmy tę robotę, bo zwykle nie dopytywał o resztę. Pani Krystyna zaś wiedziała, dla kogo te fajki, więc nie robiła trudności.

Posiadanie zaprzyjaźnionej kioskarki-sąsiadki było w tamtych czasach nie lada przywilejem i nie chodziło tylko o to, że po gazety w prenumeracie teczkowej nie trzeba było nawet ruszać się z domu, bo pani Krysia podrzucała nam je do drzwi, wracając z pracy. Socjalistyczna gospodarka była oparta na wiedzy, co i gdzie rzucą do sklepów, a kioskarki były osobami chyba najlepiej zorientowanymi w nieustannie zmieniającej się geografii dostępności towarów, na które polowało całe miasto. „Powiedz mamie, tylko nie zapomnij – surowo nakazywała mi więc pani Krystyna, gdy przybiegałem po „Świat Młodych” – że w rybnym będzie dzisiaj świeża kergulena”.

– Skąd pani to wiedziała? – pytam teraz.

– Jak to skąd? – odpowiada. – A to chłopaki, którzy rano przywozili mi towar, podpowiedzieli, gdzie będzie dostawa, a to same ekspedientki ze sklepów, które w drodze do pracy zatrzymały się u mnie po papierosy czy gazetkę, dorzuciły garść konkretów. W kiosku w zasadzie każdy

Towar kioskowy w latach 90. można było dostać już wszędzie,

i to bez bicia pokłonów przed
okienkiem umiejscowionym
na wysokości pępka
dorosłego klienta.

klient „parkował” jakieś wiadomości albo plotki.

Kioski w pewnym sensie organizowały przestrzeń peerelowskiego miasta, bo prędzej czy później trafiał do nich każdy mieszkaniec. Poranna kolejka zrównywała w prawach wszystkie grupy społeczne, zachęcała do wymiany opinii i informacji. Pani Krystyna pamięta, że tuż po szóstej do jej okienka ustawiali się po papierosy wracający z nocnej zmiany pracownicy pobliskiej huty. Często stał z nimi ramię w ramię ordynator oddziału okulistycznego, który – jak mówi kioskarka – palił jak smok.

W większych ośrodkach kolejka odradzała się też później, gdy zbliżała się godzina dostarczenia gazet, tzw. popołudniówek.

Cała Polska czyta w kiosku

Nic nie zapowiadało takiego sukcesu w styczniu 1919 r. W Wielkopolsce trwało nadal powstanie, w okolicach Cieszyńska gromadziły się wojska czechosłowackie. Poza tym właśnie ukonstytuował się rząd Ignacego Paderewskiego, a Roman Dmowski ćwiczył już mowę, w której na konferencji pokojowej w Paryżu przedstawi postulaty w kwestii kształtu polskich granic. Niedawno powstał też Polski Czerwony Krzyż, a za kilka tygodni ruszyć miała do pracy Najwyższa Izba Kontroli.

W kraju działało się zbyt wiele, by czyjaś uwagę przykuł niewielki pawilon, który przycupnął na jednym z peronów Dworca Kolei Wiedeńskich w Warszawie. Budkę postawiło Polskie Towarzystwo Księgarni Kolejowych Ruch, zarejestrowane miesiąc wcześniej przez znanych księgarzy Jana Gebethnera i Jakuba Mortkowicza, którym marzyło się upowszechnienie w Polsce czytelnic-

twą prasy. Tę isticie pozytywistyczną ideę wspólnicy chcieli zaszczyścić rodakom za pomocą formatu handlowego podpatrzonego za granicą – to tzw. trafiki, małe punkty z tytoniem, gazetami i innymi przydatnymi na co dzień drobiazgami. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę i już po pół roku Ruch miał na terenie kraju niemal 60 takich placówek, które ulica zaczęła nazywać kioskami, spolszczając w tym celu francuski *kiosque*, który nad Sekwanę zawędrował z kolei z imperium osmańskiego (tu słowo *kiosk* oznacza mały pawilon).

W 1935 r. kiosków było już blisko 700. Po wojnie Ruch wchłonął na życzenie władzy mniejszych rywali i stał się państwowym monopolistą w dystrybucji prasy, co powinno mu zapewnić także komfortowy debiut w warunkach wolnorynkowych upadku PRL. Na początku lat 90. Ruch miał aż 31 tys. punktów sprzedaży, a wizja prywatyzacji giganta rozpalala wyobraźnię krajowych i zagranicznych inwestorów. Apetyty były tak wielkie, że rywale blokowali się nawzajem, ciągli po sądach, wzywali międzynarodowych arbitrów, a firma z każdym rokiem traciła przewagę nad mniejszymi konkurentami. Gdy jej sytuacja właścicielska ostatecznie się unormowała, z dawnej hegemonii zostało niewiele, a gwoździem do trumny okazały się nietrafione inwestycje ówczesnego zarządu i gwałtowne zmiany konsumpcji mediów spowodowane upowszechnieniem internetu. Ostatni rok przed pandemią Ruch zaczął z siecią 16,8 tys. punktów sprzedaży; po lockdownie miał ich nieco ponad 3 tysiące. Gdy jesienią 2024 r. zarząd firmy ogłosił zamknięcie wszystkich placówek na terenie kraju, jeden działający kiosk przypadał statystycznie na 368 tysięcy mieszkańców Polski.

„Rany boskie, jestem kioskiem”

Nasze drogi zaczęły się jednak rozchodzić o wiele wcześniej. Eksplozja kapitalizmu już na początku lat 90. skazała kioski na powolną agonię w zakamarkach wolnego rynku. To, co do niedawna miały do zaoferowania w zasadzie na wyłączność, nagle stało się dostępne niemal wszędzie, i to bez bicia pokłonów przed okienkiem umiejscowionym mniej więcej na wysokości pępka dorosłego klienta. Zmuszając kupujących do ukłonu, kiosk był ucieleśnieniem socjalistycznego triumfu

podąży nad popytem. Gdy proporcje tych sił uległy odwróceniu, przestał być potrzebny, a jeśli już, to jako relikwiarz minionej epoki i obiekt niewybrednych żartów w rodzaju pytań: „gdzie sika pani z kiosku?” czy równie znanego muralu „rany boskie, jestem kioskiem”. Konsumpcyjnym imaginariem Polaków zawładnęły klimatyzowane centra handlowe, miejsca wprost stworzone pod saloniki prasowe, w które wyewoluował format kioskowy. Czas także przyspieszył, nie zostawiając wiele miejsca na poranną wymianę ploteczek z kioskarą. Zresztą, po co iść do kiosku, jeśli nie czyta się gazet, nie pali, życzenia świąteczne zaś wysyła esemesem, a nie pocztówką?

– Na emeryturę przeszedłem w 2004 roku – mówi pani Krystyna. – Zdrowie już nie pozwalało, to raz. A dwa, że do okienka zaglądało coraz mniej znanych twarzy. Moje pokolenie, które dzień zaczynało od wizyty w kiosku, zaczęło się przenosić na cmentarze.

Lokalnie i lojalnie

Kioski też mają swój cmentarz. Jakiś czas temu zrobiło się głośno o placu opodal

miejsowości Brzeziny w Łódzkiem, do kąd zwieziono kilkadziesiąt budek kioskowych. Głównie z Łodzi – sądząc po napisach, jakie jeszcze w poprzednich lokalizacjach pozostawiali na nich kibice. Miejsce stało się adresem tyłu wycieczek, że właściciel zagroził teren.

Może więc za wcześniej na pożegnanie tego szacownego ponadstuletniego konceptu? Decyzja o zamknięciu sieci należącej do Ruchu następuje w chwili, gdy w polskich postawach konsumpcyjnych widać oznaki zmiany przemawiającej za ich utrzymaniem. Młodym odbiorcom w większości nie jest już wprawdzie niezbędny szelest papierowej prasy, ale czują też zmęczenie światem, w którym „zwykła bierze wszystko”. Rośnie popyt na lokalne produkty, produkowane na skalę zbyt wąską, by zainteresowały się nimi wielkie sieci handlowe, za to wprost idealną dla kameralnej sprzedaży kioskowej. Wielkie centra handlowe wciąż tętnią życiem, ale nie stały się współczesną agorą, miejscami, wokół których koncentruje się miejskie życie. Coraz więcej konsumentów woli zakupy bliżej domu, marzy o pielęgnowaniu osiedlowych czy dzielnicowych relacji.

Do takich założeń kiosk pasuje jak ulał, prasa też, można mu zarazem dodać sznycu nowoczesnej użyteczności, choćby w postaci automatu do nadawania i odbioru paczek. Przynajmniej w teorii.

A w praktyce? Kilka miesięcy temu w Cieszynie działalność zakończył kiosk, którego właściciel próbował zbudować silną więź z lokalną społecznością. Do oferty włączył wyroby miejscowych rękodzielników, na wystawie prezentował wiersze tamtejszego poety. Z okien kiosku poznikały kraty, w dowód zaufania w uczciwość sąsiadów. Zapału starczyłoby mu pewnie na dłużej, ale po niespełna czterech latach cieszyński kioskarz doszedł do wniosku, że nie może dłużej dokładać do interesu.

Nurtujące internautów pytanie „gdzie sika pani z kiosku?” trzeba więc ostatecznie przekształcić na czas przeszły. A jeśli chodzi o panią Krystynę, to nie zamierza na nie odpowiadać. Nie dlatego, że kobiecie w jej wieku nie przystoi. Odpowiedź byłaby, jak twierdzi, tak prozaiczna, że nie warto poświęcać jej uwagi.

© MAREK RABIJ

REKLAMA

Biuro Parlamentu Europejskiego
w Polsce zaprasza
do wysłuchania podcastu
**WENEZUELCZYCY
WCIAŻ WIERZĄ**



Parlament Europejski
Biuro w Polsce



© MANUEL GUTIERREZ, EFE

Na koksie mogą więcej

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Odżywki i sterydy anaboliczne już dawno przestały dziwić w amatorskim sporcie, nigdy jednak po te środki nie sięgało aż tak wielu młodych ludzi. Dla nich skutki przyjmowania testosteronu mogą być szczególnie bolesne.

MASZ NISKI TESTOSTERON? TO CHOć lernie słabo” – Togi wyjmując strzykawkę, całuje ją przed kamerą i aplikuje roztwór w przedramię. Ma 21 lat i jest jednym z najbardziej popularnych influencerów wśród nastolatków. W swoich mediach społecznościowych pokazuje na przemian, jak ćwiczy na siłowni, jak popija odżywki koktajlami białkowymi albo robi sobie zastrzyki z testosteronu w konkretne partie mięśni.

Młodzi chłopcy chcą być tacy jak on; w sieci można obejrzeć, jak prezentują swoje metamorfozy po 6 miesiącach stosowania „kontentu Togiego”. Na jednym ze zdjęć ujrzymy szczupłego, trochę nieśmiałego 16-latkę, który na kolejnym, już po „cyklu”, zamienia się w umięśnionego mężczyznę o ramionach i plecach obsypanych trądzikiem – to najczęstszy efekt uboczny zastrzyków.

– Sterydy anaboliczne były tematem znanym już 20 lat temu, ale dla nas dość marginalnym. „Na koksie” chodził półświatek albo kulturyści, którzy chcieli szybko wyrzeźbić sylwetkę. Ale od kilku lat można mówić o tym, że „testosteron trafił pod strzechy”. Najgorsze jest to, że sięgają po niego bardzo młodzi chłopcy, często jeszcze w okresie dojrzewania. Kupują go w sieci albo na siłowni. To żyła złota dla przestępców, dlatego wciąż powstają nielegalne fabryki – relacjonuje policjant z Lublina, który 3 września 2024 r. brał udział w aresztowaniu siedmiu osób produkujących sterydy anaboliczne w domu jednorodzinnym w Chełmie.

Przestępcy stworzyli własną „markę” i rozprowadzali sterydy w sieci od 2019 r. Co pewien czas zmieniali miejsce produkcji, by zmylić śledczych, ale i tak wpadli na gorącym uczynku. Pracowali na profesjonalnym sprzęcie, a ich wiedza chemiczna była tak duża, że śledczym od

razu przyszedł na myśl Walter White, główny bohater legendarnego serialu „Breaking Bad”.

Nie był to jedyny sukces służb w ostatnim czasie – w październiku policjanci przy udziale kontrolerów z Polskiej Agencji Antydopingowej zajęli dużą fabrykę i zlikwidowali magazyn anabolików (syntetyczne hormony imitujące działanie testosteronu) w Bydgoszczy. Przestępcy sprowadzali substancję czynną z Chin, a produkty sprzedawali przez dwie domeny internetowe. Zabezpieczono u nich towar o wartości 2,7 mln złotych.

Odchodził na oczach fanów

Sterydy anaboliczne stymulują wzrost mięśni i wzmacniają ich wytrzymałość, redukując zarazem tkankę tłuszczową. W przeszłości leczono nimi zaburzenia wzrostu i niektóre typy anemii, a także osteoporozę. Dziś jednak istnieją nowocześniejsze i bezpieczniejsze leki, więc popularność anabolików sprowadza się do jednej kwestii.

– Zgłaszają się do mnie pacjenci, którzy chcą, żebym zapisał im testosteron w celach „siłownianych”. Nigdy się na to nie zgadzam, gdyż anaboliki czynią spustoszenie w organizmie człowieka – wyjaśnia dr n. med. Piotr Paweł Świniarski, androlog i urolog, specjalista chirurgii urogenitalnej, dyrektor medyczny w warszawskiej Klinice Andrologii i Zdrowia Seksualnego Menvita. – Na dodatek klienci siłowni przyjmują sterydy tygodniowo w dawkach 2-3 razy większych, niż ja zalecam na miesiąc, aplikując sobie przy tym towar z nieznanego źródła.

Dostępne przez internet anaboliki powodują szybki wzrost masy mięśniowej, dzięki czemu mężczyźni (bo to głównie oni je zażywają) mogą trenować dłużej i szybciej regenerować organizm. Ich syl-

wetki rozrastają się, głos się obniża, mają więcej energii, ale stają się też bardziej agresywni, zapadają na depresję, a z czasem mają problemy z układem krążenia, nerkami i libido. – Kult pięknego ciała jest dziś tak wielki, że wielu mężczyzn nie potrafi oprzeć się pokusie. Jednak nie istnieje bezpieczny sposób brania anabolików, a lista skutków ubocznych jest długa i nie ma reguły, kiedy zaczną być widoczne. Jeśli testosteron zażywa chłopak w okresie dojrzewania, skutki mogą być nieodwracalne – przestrzega Świniarski.

Trener personalny Wojciech Polak zyskał popularność dzięki filmom publikowanym przez Kulturyistyczne Forum Dyskusyjne. Ćwiczenia na siłowni zaczął w wieku piętnastu lat. Wypijał 5 jajek na śniadanie, a kolejne 25 do wieczora; oprócz tego przyjmował białka w innej postaci, a do tego kreatynę, dużą ilość węglowodanów oraz anaboliki, do czego zresztą przyznawał się publicznie, wymieniając m.in. trenbolon, substancję stosowaną na przyrost masy mięśniowej u bydła rzeźnego i koni.

Polak miał potencjał światowej klasy trójboisty, ale zmarł na niewydolność nerek w wieku 32 lat. Odchodził niemal na oczach fanów, którym wyznał przed śmiercią, że lekarze namawiali go do zmiany trybu życia i od tego uzależniali dalsze leczenie, lecz on nie był w stanie tego zrobić.

Przeciążone wątroby Polaków

Jacek Kucharski jest dietetykiem, od 2012 r. współpracuje z Anną Lewandowską, przez kilka lat doradzał też Robertowi Lewandowskiemu. Uważa, że anaboliki nie są nikomu potrzebne, jeśli tylko człowiek przestrzega diety odpowiedniej do pory roku i stylu życia.

– Współpracę z klientami zaczynam od dokładnych badań i to na ich podstawie ustalę, czego brakuje w organizmie. W pracy ze sportowcami w suplementacji używam m.in. roślinnych adaptogenów, jak np. rodiola wpływająca na adrenalinę w mózgu – przekonuje Kucharski, który podkreśla też ważną zasadę przy stosowaniu odżywek: nie łączyć białek z węglowodanami, co zdarza się notorycznie bywalcom klubów fitness. Te pierwsze nie mogą być również przyjmowane w nadmiernych ilościach, powyżej 0,5-0,8 gramów dobowo na kilogram masy ciała. Większa ilość zakwasza organizm i obciąża nerki.



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Przygotowania do zawodów kulturystycznych w Hali Expo Kraków. 18 lutego 2018 r.

Trzeba też wiedzieć, kiedy podawać sobie suplementy, bo zjedzone o złej porze nie przyniosą pożądanego efektu. Tyrozyna, aminokwas obecny w jajkach i roślinach strączkowych, wspomagający jasność umysłu, powinien być przyjmowany rano. A wyciszający tryptofan, obecny na przykład w bananach, najlepiej spożywać wieczorem.

Zanim Kucharski zainteresował się związkami diety z funkcjonowaniem organizmu i zaczął doradzać innym, uprawiał sport i tańczył w zespole ludowym. Kontuzje sprawiły, że tuż po trzydziestce stanął w obliczu inwalidztwa – nie mógł swobodnie chodzić. Pomogła mu zmiana nawyków żywieniowych i całego stylu życia. Dziś przestrzega sportowców przed

niekontrolowanym wspomaganiami, np. wlewaniem w siebie nadmiaru napojów energetycznych i odżywek, które sprawiają, że są na nieustannym haju (niszczącym przy okazji serce), a wątroby mają tak przeciążone, że potrzebują porządnego detoksu.

– Współczesny człowiek próbuje sprostać oczekiwaniom, dorównać „ideałom” wytworzonym w środkach masowego przekazu. Nie zadaje sobie jednak pytania, ile dany celebryta poświęcił czasu i wysiłków, by tak się prezentować. Czasem nie zdaje sobie też sprawy, że programy komputerowe mogły ten wizerunek poprawić. Jeśli będzie sfrustrowany tym, że jego ciało odbiega od wzorców, sięgnie po testosteron lub inne zakazane środki, by

mieć pożądaną efekt i satysfakcję. Najlepiej natychmiast i bez wysiłku, mimo że odroczone gratyfikacja byłaby dla niego korzystniejsza, bo miałyby szansę na harmonijny rozwój i lepsze samopoczucie – tłumaczy dr Agnieszka Skorupa z Instytutu Psychologii Uniwersytetu Śląskiego, gdzie zajmuje się psychologią zachowań w sytuacjach ekstremalnych. Sama czynnie uprawia sport; jest medalistką zawodów w wushu i kung-fu.

Brazylijskie pośladki

Kluby fitness stały się dla wielu młodych ludzi wręcz świątyniami ciała, a ich bywalcy mają swych kapłanów, których opinie uważnie studiują, wierząc niemal we wszystko. Większość „wiernych” wciąż stanowią mężczyźni, ale odsetek kobiet stale rośnie i został zauważony przez popkulturę, w tym kino. O problemie mówi choćby film „Sweat”, ukazujący życie influencerki fitness i dodający do niego ważny komentarz na temat kobiet – samotnych, zagubionych i uzależnionych od idealnego wizerunku. Podobnego tematu dotyka też słynna ostatnio, kontrowersyjna „Substancja” z Demi Moore, ukazująca złą pogoń za młodością, pięknem i perfekcją.

Faktem jednak pozostaje, że – generalnie – kobiety uważniej analizują skutki zażywania różnych substancji i rzadziej sięgają po środki jednoznacznie szkodliwe; są bardziej świadome zagrożeń niż mężczyźni, zwłaszcza młodzi.

– Pierwszy raz byłem „na bombie” zaraz po siedemnastych urodzinach, kolega załatwił mi receptę, a w sieci znalazłem instrukcję, jak robić zastrzyki. Ból był duży, bo nie miałem wprawy. Ale już przy drugim cyklu zrobiłem się bardziej profesjonalny – opowiada Patryk, uczeń piątej klasy technikum mechanicznego w Lublinie.

Rozmawiamy w jednym z klubów fitness, chłopak jest porządnie napakowany i opowiada, że o „krótkim teściu” (nazwa jednej z form testosteronu) rozmawia się w męskiej szatni bez skrępowania. Łatwo też rozpoznać, kto jest „na cyklu”, a kto w roli „normalisa”, latami rzeźbiącego mięśnie bez wspomagania.

– Sam testosteron nie wystarczy, trzeba trzymać dietę i dawać z siebie wszystko na „siłce”. Miałem kolegę z klasy, co poszedł „na cykl” z anabolikiem, ale nie ćwiczył za dużo. Wyglądał, jakby spuchł, i jeszcze

→ mu piersi urosły – śmieje się chłopak. – Za to moja dziewczyna zamarzyła o brzozyjskich poślach i po dziesięciu tygodniach klucia oraz ćwiczeń efekt był niesamowity.

Patryk obiecał rodzicom, że zda maturę, gdyby nie oni, nie traciliby czasu na szkołę. Od roku pracuje dorywczo w warsztacie samochodowym; za karton na siłownię, odżywki i anaboliki płaci sam, średnio wychodzi 400-500 złotych na miesiąc.

Jadłem jak wściekły

– Była pani kiedyś w toalecie po kimś, kto zażywa słabe jakościowo, tanie odżywki białkowe? – Jacek Kucharski zaskakuje mnie pytaniem. – Trudno ten zapach wywietrzyć i równie ciężko go opisać. Żle przetrawione aminokwasy czuć także w zapachu potu.

Jakub ma 35 lat, mieszka w Białymstoku, pracuje w straży granicznej. Jest rozrośnięty w barkach, mięśnie ramion ciasno opina biała koszulka. Na odżywki: kreatynę, napoje energetyczne, aminokwasy i węglowodany – wydaje 300 zł miesięcznie. „Na cyklu” testosteronowym był kilka razy, na początku stosował żele i tabletki, potem aplikował sobie domięśniowo metanabol.

– Chęć zbudowania szybko dużej masy mięśniowej jest wielką pokusą, a ja chociaż skończyłem 20 lat, byłem wciąż chudym chłopakiem. Dziewczyny co najwyżej przechodziły się do mnie wypłakać po nieudanych związkach, dopiero siłownia zrobiła ze mnie mężczyznę – opowiada. – Towar kupowałem od kolegi z osiedla i nie myślałem o skutkach ubocznych. Widziałem, jak mięśnie rosną w oczach, i miałem motywację do pracy. No i jadłem przy tym jak wściekły.

Kłopoty zaczęły się, gdy jego partnerka, mimo wielomiesięcznych starań, nie mogła zażyć w ciąży, choć Kuba był naładowany testosteronem „jak świąteczna kaczką jabłkami”. Na początku bagatelizował jej prośby o badania, kiedy jednak

Anaboliki to nie tylko silniejsze mięśnie i niższy głos,

ale też depresja,
problemy z agresją, sercem,
nerkami oraz libido.

w końcu poszedł do lekarza, okazało się, że odwrócenie procesów, które zaszły na skutek działania anaboliików w jego organizmie, wymaga czasochłonnej terapii.

– Jeśli pacjent stosuje sterydy anaboliczne, ilość testosteronu podnosi się w jego organizmie czasem nawet trzykrotnie ponad normę. Oprócz zmian organicznych obserwujemy też przerost prawej komory serca czy nadmiar czerwonych krwinek. Chory jest dosłownie „przytkany” krwią i trzeba ją rozrzedzać lub upuszczać – tłumaczy dr Świniarski.

– Testosteron przyjmowany z zewnątrz bez kontroli lekarza wycisza też pracę jąder, które przestają produkować plemniki. Trzeba wtedy przywrócić organizmowi równowagę. Zanim jednak rozpocznę leczenie, proszę, by pacjent odstawił wszystkie „siłowniane odżywki”, także czyste białko i kreatynę.

Społeczeństwo naryczmu

Raport Polskiej Akademii Nauk z 2024 r. pokazuje, że 48 proc. Polaków podejmuje regularny wysiłek w czasie wolnym raz w tygodniu, jednak aż 30 proc. obywateli nie wykonało żadnej aktywności fizycznej w miesiącu poprzedzającym badanie. Tymczasem według Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) wszyscy dorośli powinni uprawiać tygodniowo od 2,5 do 5 godzin sportu. Niestety, wśród narodów europejskich jesteśmy fatalnym przykładem; niżej w rankingu są tylko Grecy i Portugalczycy.

Z kolei raport OECD i WHO sporządzony na podstawie ankiet zrobionych w 27 krajach w 2022 r. podaje, że „z pewną regularnością” ćwiczy w naszym kraju 21 proc. obywateli, a tylko 4 proc. podejmuje wysiłek fizyczny kilka razy w tygodniu. Część z tych osób bierze udział amatorsko w zawodach dla dorosłych i do tej wąskiej grupy również kierują swoją ofertę firmy handlujące odżywkami.

– Coraz częściej otrzymujemy wnioski o przeprowadzenie kontroli antydopingowej podczas zawodów o charakterze masowym lub amatorskim. W oparciu o nasze statystyki mogę stwierdzić, że najczęściej do naruszenia przepisów antydopingowych dochodzi w dyscyplinach siłowych i sportach walki. Kulturystryka i fitness są w szczególności zagrożone występowaniem dopingu w postaci steroidów anaboliczno-androgennych, hormonów i stymulatorów – przyznaje Michał Rynkowski, dyrektor Polskiej Agencji Antydopingowej.

W praktyce jednak organizatorzy dużych imprez sportowych dla amatorów, takich jak maratony, zawody kolarskie czy triathlonowe, rzadko wnioskuje o kontrole, bo to zwiększa koszty. Tymczasem wiele wskazuje na to, że niedozwolone wspomagacze poprawiające wydajność mogły przeniknąć szeroko do środowisk, które zajmują się sportem hobbystycznie. Kiedy 2 marca podczas amatorskich zawodów kolarskich w hiszpańskiej Villonie wśród zawodników rozeszła się wieść, że na mecie czekają kontrolerzy z Komisji ds. Zwalczenia Dopingu w Sporcie, ze 182 startujących do mety dotarło ledwie 52 zawodników. Aż 130 zgłosiło nagle poważne problemy techniczne, które uniemożliwiły im ukończenie wyścigu...

– Łatwiej zrozumieć używanie dopingu w sporcie zawodowym, gdzie są duże pieniądze, rywalizacja bardzo ostra, a przygotowania wymagają wielu wyrzeczeń. Trudniej to pojąć w zawodach amatorskich, w których ludzie powinni uczestniczyć, szukając radości i przyjemności. Jednak ważną rolę może tu odgrywać fakt, że nawet amatorzy uzależniają swoją samoocenę od tego, jak ich postrzegają inni. Nie akceptują porażek, nie chcą wyglądać „brzydko” czy staro. Myślę, że żyjemy w społeczeństwie naryczmu; ludzie za wszelką cenę starają się stworzyć atrakcyjny wizerunek i doświadczają na tym wiele lęków – uważa dr Agnieszka Skorupa, psycholog z UŚ. Jej zdaniem powinniśmy propagować inny model życia. Taki, w którym amatorski sport nie będzie kolejnym polem walki, ale wróci do korzeni i stanie się jednym ze sposobów na zachowanie ciała i umysłu w zdrowiu, tworzących zarazem dojrzałe relacje społeczne.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK



**DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA”** co tydzień
są gośćmi Roberta Łuchniaka

w Polskim Radiu RDC.

Audycję można także odsłuchać w podkastach
na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

Płock 101,9 FM

TOMASZ

Stawiszyński:

Gdzie oni są (ci wszyscy moi przyjaciele)?



NIE WIEM, JAKIE DOKŁADNIE RELACJE łączą Karola Nawrockiego z „Wielkim Bu” i innymi gangsterami, pensjonariuszami zakładów karnych czy w ogóle ludźmi ulicy, wydaje mi się jednak, że gdyby faktycznie wykraçały poza znajomość z ringu czy podwórka, już byśmy na ten temat czytali rozległe teksty. Oczywiście, może jeszcze jakieś kompromitujące sprawy ktoś wydobędzie. Jak na razie jednak – stawiam tezę – wszystko, co na ten temat zostało upublicznione, raczej Nawrockiemu pomoże, niż go osłabi. Dlaczego? Dlatego, że w wyborach głosują ludzie

wychowani na wsiach, podwórkach i blokowiskach, chodzący do państwowych szkół, w których zawsze panowała – i wciąż panuje – totalna różnorodność. Charakterów, talentów, rodzinnych wzorców, predylekcji, wartości i etycznych kodeksów.

A zatem także: późniejszych losów, które przez te okoliczności są wszak kształtowane. Choć w jakim stopniu i przez co jeszcze – tego nie wiemy. Dlaczego ktoś, kto ma wszelkie dane, żeby zrobić wielką karierę – np. artystyczną – łąduje na manowcach? Dlaczego ktoś, kto ma wszelkie dane, żeby stać się pospolicym przestępcą, wyrasta na tzw. porządnego człowieka, ba, staje się wybitnym naukowcem, pisarzem, prawnikiem? Takich historii nie da się całkiem wytłumaczyć ani z pomocą psychoanalizy, ani uwarunkowań klasowych, ani astrologii, ani dowolnego innego zestawu pojęć czy teorii. W trajektoriach, którymi podążają nasze życia, jest coś niemożliwego do zoperacjonalizowania, przewidzenia, racjonalizacji. Coś, co się ostatecznie wszelkim takim procedurom wymyka. Tajemnica.

Zajmuje mnie to też dlatego, że moje dzieciństwo i młodość rozgrywały się w społecznie różnorodnym krajobrazie. Warszawska Chomiczówka, klasyczne blokowisko schyłkowego PRL, lata 80. i 90. W podstawówce pełen przekrój, od dzieci zubożałej, zaangażowanej w opozycję inteligencji (ja i mój nieżyjący od dawna szkolny przyjaciel P.), przez drobnych prywaciarzy, po tzw. margines. Dziś potrafię te podziały wskazać, ale wtedy nie miały żadnego znaczenia. Może dlatego, że wszyscy zanurzeni byliśmy w socrealistycznej mgłę, a prawdziwe przepaście – w dochodach, statusie, kapitale symbolicznym – miały się rozewrzeć dopiero później (z wszelkimi tego konsekwencjami). Choć, naturalnie, na podwórku i w szkole rządziło prawo silniejszego. Doprawdy, gdyby ktoś zechciał rozliczyć mnie z różnych znajomości, miałby niemałe użycie.

Weźmy J. – prawdziwy postrach okolicy. Zasłynął podpaleciem wycieraczki pewnemu znanemu wówczas dziennikarzowi, który przedstawiał to później w mediach jako zemstę służb i mafii. Tak naprawdę – naraził się, bo regularnie przepędzał J. i jego koleżków z klatki schodowej, na której uwielbiali przesiadywać. Mało efektywna motywacja, nieprawdaż?

Albo W., sąsiad J. z bloku, przez kilka lat jeden z moich najbliższych przyjaciół. Wybitnie inteligentny, paradujący po osiedlu w koszulce „The Doors” i ze „Światłością w sierpniu” pod pachą. Czytujący filozoficzne traktaty, którymi z upodobaniem zaginał kumpli w dysputach na przerwie. Z tzw. dobrego domu. W wieku 15 lat zajął się kradzieżą samochodowych odbiorników („Chodzić na kwary” – tak to się w slangu nazywało). Dalej już samo poszło. Dziwne układy, kradzieże, rozboje, jeden wyrok, odsiadka, drugi wyrok.

A., z naszej małej paczki, w której byli jeszcze m.in. późniejszy teatralny performer, pracowniczka korporacji, dziennikarka prasy lifestyle’owej i urzędnik bankowy. Próbował sił w rapie, niespecjalnie to wyszło, potem trafił do więzienia za handel narkotykami. Wyszedł, zaczął rozkręcać jakieś półlegalne działalności, znowu trafił do paki, w międzyczasie brał udział w walkach MMA, z marnym skądinąd skutkiem.

No i D., zawsze pięknie rysował, ogromny talent, wszystkie nauczycielki zachwycaly się jego dziełami. Filigranowy blondynek, w VIII klasie zafascynował się filmami ze Schwarzeneggerem, Stallone’em i Van Damme’em. Któż z nas się nimi wtedy nie fascynował? Tyle że on od razu zamienił papier i farby na treningi kickboxingu w osiedlowym klubie i jakąś chałupniczą siłownię w piwnicy w bloku. Do tego własnoręcznie wstrzykiwał sobie nielegalne sterydy. W krótkim czasie filigranowy blondynek zamienił się w napompowanego blondyna. Ostatni raz spotkałem go w autobusie, chyba w 1995 albo 1996 r., chwalił się, że zwerbowali go jacyś gangsterzy. Potem słuch po nim zaginął. Wyszedł z domu i więcej nie wrócił.

Z tych rozmaitych dziwnych więzi, splecionych życiorysów, obiecujących początków i tragicznych końcówek wyniosłem wiele bezcennych lekcji. Czy dziś się tych znajomości wstydzę? Ani trochę. Czy z niektórymi spośród tamtych kolegów czuję się nadal związany? Oczywiście. I założę się, że wielu z nas ma do opowiedzenia podobne historie. Powtórzę – o ile tylko się nie okaże, że Nawrocki sam był uwikłany w jakieś ciemne sprawy, okoliczność, że spotykał na treningach i na podwórku gości podobnych do tych wyżej opisanych, tylko mu w wyścigu o fotel prezydencki pomoże. To jest przecież standardowa pokoleniowa sytuacja. Jeśli więc ktoś chciałby jego szanse osłabić, musi poszukać innych argumentów. ©

Niektóre inicjały oraz szczegóły biograficzne zostały zmienione.

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podcastu „Skądinąd”. Autor książki, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności”, „Reguła na czas chaosu” i „Powrotu fatum”.

Wierzymy, że świat da się naprawić. Dziękujemy Wam za wsparcie w tej misji.

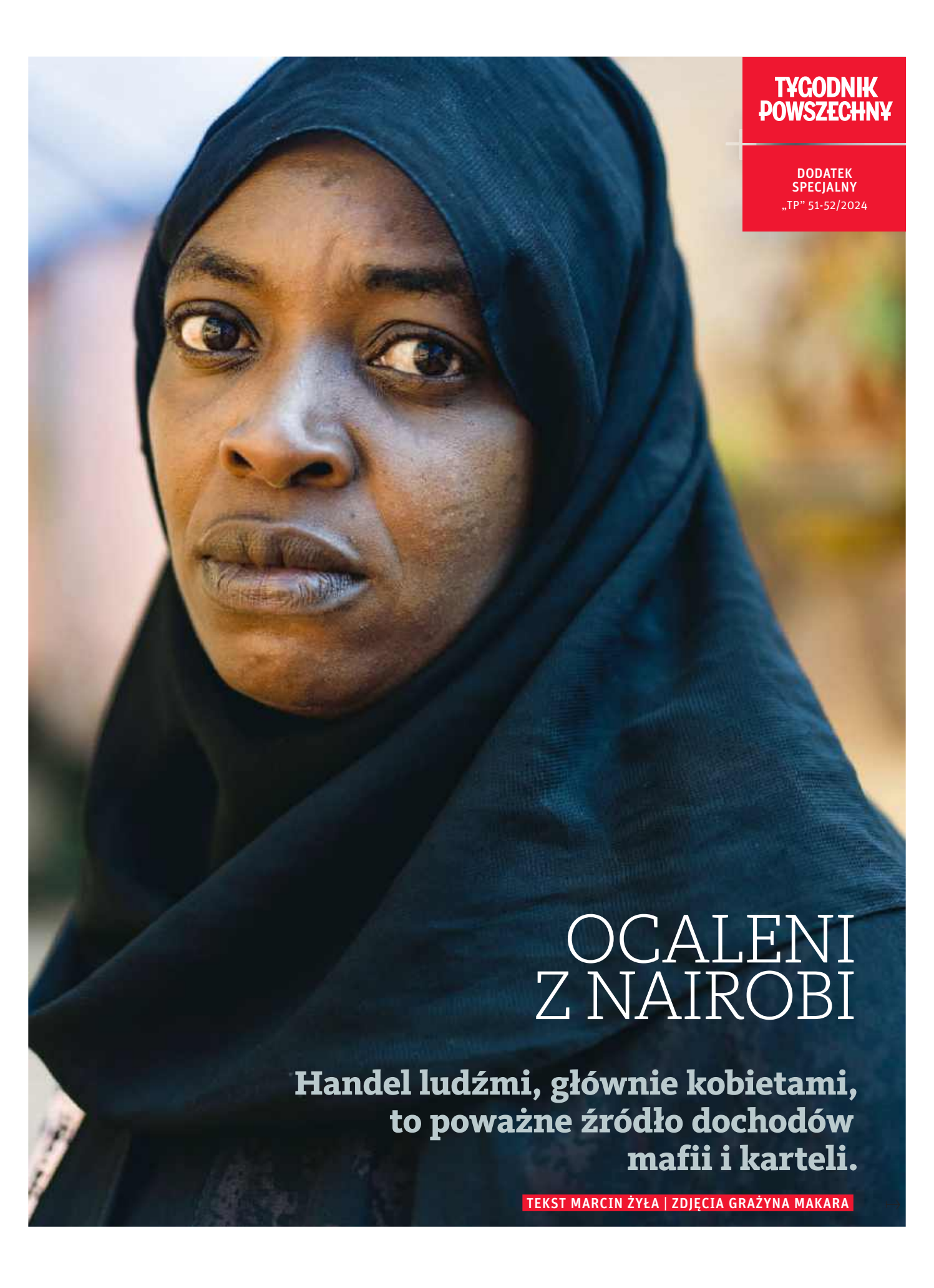
W 2024 roku **w ramach odpisu 1,5%** podatku wsparli Państwo Fundację Tygodnika Powszechnego kwotą **430 572,60 złotych**.



GRAŻYNA MAKARA

DZIĘKI WAM możemy stać na straży niezależności naszych dziennikarek i dziennikarzy, podejmować nowe projekty społeczne, kulturalne i edukacyjne oraz dbać o jakość pracy całego zespołu „Tygodnika Powszechnego”.

Dziękujemy, że jesteście z nami. Życzymy dobrych i spokojnych Świąt Bożego Narodzenia.
Fundacja Tygodnika Powszechnego

A close-up portrait of a woman with dark skin, wearing a blue headscarf. She has a serious expression and is looking slightly to the side. The background is blurred.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK
SPECJALNY
„TP” 51-52/2024

OCALENI Z NAIROBI

**Handel ludźmi, głównie kobietami,
to poważne źródło dochodów
mafii i karteli.**

TEKST MARCIN ŻYŁA | ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA



Mother Mary idzie walczyć

Po przemyśle broni czy narkotyków sprzedaż ludzi – głównie do pracy przymusowej – to największe źródło dochodów mafii i karteli. Ucieczka z rąk handlarzy jest trudna. Niektórym się udaje.

ZAMZAM OMBOJGATO MÓWI DUŻO, więcej, niż można napisać. Ale ważniejsze są pauzy. Robi je, gdy wspomina syna.

Maleńki Bilal został w Arabii Saudyjskiej. Może nigdy się nie dowie, że jest pół-Kenijczykiem? W ambasadzie odmówili wystawienia dziecku paszportu. „Przecież przyjechała tu pani sama”, powtarzali. Pytali: „A gdzie ojciec?”

Charles Gitunga śmieje się, gdy nazywamy go „Karolem IV”. Ale królewski tytuł mu się należy.

W slumsach Kahawa West w Nairobi, w baraczkach z dykty i blachy, stworzył enklawę. Wokół narkotyki i rozboje,

w środku on – z kotem, psem i wielkim ekranem. Montuje teledyski. „Nigdy tak bardzo nie czułem, że kocham swoją matkę”, powtarza, odkąd wrócił z Malesji.

I jeszcze Mother Mary – najbardziej elegancka kobieta w pięciomilionowym mieście. Wyprostowane plecy, delikatny uśmiech i pewny głos, którym każdemu opowiada tę samą historię. Powtarza: „Bóg miał dla mnie plan”.

Dali pracę i zamknęli

Planem Boga dla Mother Mary było wyciągnięcie jej z niewoli. Była w niej dwadzieścia lat.

– Chcę o tym mówić wszystkim – zaczyna, gdy siadamy obok kościoła w południowej dzielnicy Nairobi. – Bo to, przez co przeszedłam, jest realne. Może się zdarzyć każdemu. Mogą nas namówić: sąsiad, rodzina, bliscy.

Do niej zadzwoniła przyjaciółka. Był rok 2000. Wielu Kenijczyków wyjeżdżało za pracę do RPA. Gdy dotarła tam Mary, przyjaciółki już nie było. Ślad się po niej urwał.

– Jechałam ładem i po drodze wydałam wszystko. Potrzebowałam zarabiać, szybko, już. Jakaś rodzina zaproponowała, żebym u nich sprzątała. Zgodziłam się. Zamknęli mnie w domu na pięć lat

NA OKŁADCE

ZAMZAM OMBOJGATO: „Mam 37 lat i jestem muzumanką. Konwersji dokonałam w Arabii Saudyjskiej. Dała mi ukojenie, przyniosła spokój umysłu. Jestem wdzięczna Allahowi za znalezienie mnie. Bo to On mnie znalazł”.
Kenia, Nairobi, listopad 2024 r.

Po lewej: **ROSA WAITHERA**

Patrząc na jej uśmiech, trudno się domyślić, przez jakie piekło przeszła. 42-letnia Rosa Waitthera pracowała przymusowo w Arabii Saudyjskiej. Pojechała tam śladem tysięcy innych Kenijek, aby zarobić i wyrwać się z Mathare, największych slumsów Nairobi. Głodzono ją, zabrano dokumenty. Wróciła do domu tylko dzięki interwencji mediów. Założyła biznes – sprzedaje drewno wykorzystywane tu w kuchni. „Pozyskuję je z rozbiórek budynków – mówi. – Spotykam się z ich właścicielami, ustaliam szczegóły transportu. Zaczęłam od kupienia wagi i pierwszej dostawy drewna. Ale w biznesie nie obejdziesz się bez ryzyka. Tu, w swoim kwartale Mathare, znam prawie każdego. Ludzie pamiętają, jak się ich traktuje. Dlatego się uśmiecham – klienci mnie po tym rozpoznają”.

Po prawej: **EUNICE THAMDE**

Po 8 miesiącach pracy przymusowej za granicą Eunice Thamde wróciła do Kenii z niczym – ale za to cała i zdrowa. Mówi, że radość dają jej dzieci, a siłę przynoszą rozmowy z innymi ocalonymi z procederu handlu ludźmi.



– mówi kobieta, wciąż tym samym tempem, jakby lata uwięzienia dało się skrócić chociaż we wspomnieniach: – Bili, głoździli, kazali spać z psami.

Na twarz wraca uśmiech. Bo wtedy pierwszy raz interweniował Bóg. – Mówiłam o nim rodzinie, która mnie przetrzymywała. Opowiadałam o religii. Przekonałam, żeby pozwolili mi chodzić z psami na spacer. Dzięki temu kolejne miesiące stały się lepsze – opowiada.

Podczas spacerów zwrócił na nią uwagę ksiądz. Zauważył, że wygląda źle. Za którymś razem, opasana łańcuchem – tylko tak utrzymywała większego psa – opowiedziała mu wszystko. Kazał jej ucie-

kać. Któregoś dnia wpuściła zwierzęta do domu, lecz sama została na zewnątrz. Bez paszportu, pieniędzy, zdana na pomoc katolickiego klasztoru.

– Dopiero wtedy poczułam ból w plecach – mówi Mother Mary. Gdy ustąpił stres, odezwał się zniszczony przez niewolniczą pracę kręgosłup. – Na trzy miesiące siostry umieściły mnie w szpitalu. Gdy wyszłam, chciałam znów zarabiać pieniądze.

W drugiej rodzinie, u której pracowała w RPA, było już lepiej: – Nie płacili mi, ale traktowali dobrze. Gdy robili zakupy dzieciom, kupowali też coś dla mnie. Zostałam z nimi następne 5 lat. Nie wiedzia-

łam, że na to, czego byłam przez ten czas ofiarą, jest osobna nazwa.

Szlaki niewolników

Handel ludźmi – po handlu bronią i narkotykami – to trzecie największe przestępstwo międzynarodowe. Częścią procederu jest praca przymusowa. Według ONZ zniewoleni w ten sposób ludzie przynoszą swoim „właścicielom” ponad 30 mld dolarów rocznie.

– To sposób na zarabianie na ludziach poprzez ich wykorzystywanie – mówi Radosław Malinowski, założyciel oraz prezes fundacji Haart Polska i Haart Kenya, które pomagają ofiarom i ocalonym z handlu



MOTHER MARY powrót do Kenii zajął dwie dekady. Mieszka na wsi, lecz często przyjeżdża do Nairobi. Opowiada młodym o tym, co przeżyła w RPA i Jordanii – i o ludziach, których samodzielnie sprowadziła do domu.

↳ ludźmi. – Nie ma jednej metody. Zwykle chodzi o zmuszanie ludzi do pracy za darmo lub za głodowe stawki. Albo do prostytucji czy pobrania organów.

W Kenii proceder najczęściej dotyczy kobiet i dzieci. – Chodzi głównie o pracę za granicą, zwłaszcza w krajach Bliskiego Wschodu i Zatoki Perskiej – wyjaśnia Malinowski. – W Kenii ofiary można liczyć w dziesiątkach tysięcy rocznie. Czasem proceder trwa latami. Ofiarami są często osoby, które posiadają pewne umiejętności. Nauczyciele, pielęgniarki, osoby z wykształceniem technicznym.

Mechanizm bywa podobny. Wyjazdy za granicę organizują prywatne agencje pracy. Oficjalnie w zamian za prowizję – sama podróż ma być darmowa. W rzeczywistości kenijskie firmy są opłacane przez ich odpowiedniczki w kraju docelowym. Po wylądowaniu Saudyjczycy mówią: macie dług do spłacenia. Kilka tysięcy dolarów. Zabierają dokumenty i telefony.

Jeszcze kilkanaście lat temu handel ludźmi kojarzył się z werbowaniem kobiet do przymusowej pracy seksualnej. Dziś to złożone zjawisko, którego charak-

ter lepiej oddają angielskie słowa *human trafficking* – bo chodzi właśnie o swobodne dysponowanie ludźmi.

Radosław Malinowski: – Handel odbywa się też w Omanie, Katarze, Jemenie. Gdy spojrzymy na mapy dawnego handlu niewolnikami, okaże się, że to te same szlaki. Mechanizmy, które działały w starożytności i średniowieczu – działają i dziś.

Biała tesla

Wielkie lotnisko wczesnym rankiem. Pasażerowie mijają się na ruchomych schodach. Niektórzy obudzili się o świcie we własnych łóżkach. Inni podróżują od wczoraj, ledwo wylądowali po nocnych lotach. Różne pory, nowa strefa czasowa. Wielkie lotnisko wczesnym rankiem – dosłowna granica snu i jawy.

Pod ścianą, przy wielkim ekranie z reklamą samochodu elektrycznego, stoi z tuzin osób. Zwróceni twarzami do siebie, z pochylonymi głowami. Nie usiądą w kawiarni, a gdy na tablicy wyświetli się numer ich bramki, pójdą do niej od razu.

Czy po przylocie ktoś odbierze im dokumenty i każe pracować za darmo?

Żyletka

Ona ma inne oczy. Te oczy tęsknią.

– Nazywam się Faith Omboigato – przedstawia się. – Ale teraz: Zamzam Omboigato. Mam 37 lat i jestem muzułmanką. Konwersji dokonałam w Arabii Saudyjskiej. Dała mi ukojenie, przyniosła spokój umysłu. Jestem wdzięczna Allahowi za znalezienie mnie. Bo to On mnie znalazł.

Zamzam – jeszcze jako Faith, chrześcijanka – wyjechała z Kenii w 2014 roku. W pierwszym domu, w którym sprzątała, przez większość czasu była głodna.

– Brat gospodyni pomógł mi z jedzeniem. Chciał jednak, żebym z nim spała. Pomyślałam, że to jedyny sposób, aby nie umrzeć z głodu. To z tym człowiekiem zaszłam w ciążę ze swoim pierwszym dzieckiem. Ma na imię Bilal.

Gdy ciąża wyszła na jaw, gospodarze chcieli pobić Zamzam. Uciekła. Trafiła do „dalali”.

– Dalale to w Arabii Saudyjskiej kobiety, które pomagają zniknąć, sprawiają, że pozbywasz się umów i możesz zacząć życie jako nielegalna imigrantka – tłum-



MAXMILAN WITHIRA założyła myjnię – samochody i motocykle czyści do muzyki Boba Marleya. Biznes rozwinęła dzięki pomocy fundacji Haart. W planach ma otwarcie drugiej myjni.

czy kobieta. – Moja dalala powiedziała, że w zamian za gościnę i jedzenie będę pracować dla niej. Nie wiedziałam, że oznacza to zostanie prostytutką.

Zamzam ścisza głos: – Nadszedł czas porodu. Kiedy wróciłam ze szpitala, kazali mi go oznaczyć – na plecach. Wzięłam żyłtkę i...

Placze: – Przykro mi to powiedzieć, ale nacięłam mu na plecach litery BW. Ludzie w takich miejscach oznaczają swoje dzieci, aby im się nie pomyliły.

Zostawiłam go im

Na tych, którym uda się wrócić do domu, mówi się *survivors* – ocaleni.

Kenia jest sygnatariuszem Protokołu z Palermo, który nakłada na państwa obowiązek zapobiegania handlowi ludźmi, opieki nad ofiarami i ścigania przestępców. I choć na tle innych państw regionu nie radzi sobie z tym całkiem źle, gdyby nie organizacje pozarządowe, ludzie znacznie dłużej wychodziliby z traumy. A ucieczka – czy też, jak się często mówi, „wyzwolenie” – byłaby jeszcze trudniejsza.

O tym, że chce wrócić do domu, Zamzam powiedziała swojemu saudyjskiemu przyjacielowi. Tak go nazywała – był stałym klientem, policjantem. Obiecał, że pomoże, kazał przyjechać do swojego domu. Do Afryki miała się dostać przez Zatokę Adeńską – jeden z niewielu morskich szlaków migracyjnych, bo statki z wielu migrantami płyną tam w obie strony.

Zamzam znów mówi cicho. Szlocha. Nie przerywam.

– Kiedy przyjechałam do przyjaciela, nie pomógł mi. Przez dwa dni zabawiał się ze mną razem ze swoimi przyjaciółmi. Musiałam wybrać: albo ratować siebie, albo swoje dziecko.

Wybrała siebie.

– Znów pracowałam jako prostytutka. I, niestety, ponownie zaszłam w ciążę. Zorientowałam się po czasie – to był zbrojowy gwałt, nie było mowy o antykoncepcji. Postanowiłam się zabić. Kiedy rzucałam się pod samochód, ten gwałtownie zahamował. Kierowca był moim saudyjskim zbawcą. Powiedziałam mu o wszystkim. Zabrał mnie do domu. Zostałam tam prawie cztery miesiące. To on sprawił, że

zostałam muzulmanką. Nauczył mnie dużo o islamie, o cierpliwości.

To wtedy Faith została Zamzam. Trzy tysiące riali, które dostała od mężczyzny, starczyły na bilet powrotny do Kenii. Ale ambasada odmówiła wydania dokumentów małemu Bilalowi. Nie dało się udowodnić, że dziecko nie jest Saudyjczykiem.

– Znów musiałam wybrać – kończy swoją historię Zamzam. – Albo stracić oboje dzieci, albo zostawić to tam urodzone i uratować siebie w ciąży. Dalala zaproponowała, abym wróciła sama, ona potem sama przywiezie mi dziecko. Odkąd wróciłam, minęły trzy miesiące. Zadzwo niła tylko raz. Powiedziała, że ją aresztowano. I to wszystko. Zostawiłam im go... Nie wiem, gdzie jest mój syn... Nie wiem, czy jest bezpieczny.

Maria z Ammanu

Mother Mary wyjmuję gruby segregator, który przytaczała do Nairobi. Dziesiątki skanów biletów i rezerwacji lotniczych. To bilety powrotne Kenijczyków. Trasa: Amman–Nairobi. Sprowadziła ich do domu więcej niż jej rząd.



→ Do Jordanii trafiła za sprawą drugiej rodziny, u której pracowała w RPA. Tak miało być łatwiej wrócić do domu. Owszem, naokoło – ale takim jak ona trasy wyznaczają ceny i otwarte granice, a nie prosta geografia. Mary miała już wtedy paszport uchodzący ONZ-u.

Jednak ktoś, kto na przylotach w Ammanie czekał z kartką z jej nazwiskiem, zabrał ją do kolejnego domu. Znow stała się własnością – starszej, bezdzietnej kobiety, która mocno biła. Wtedy, opowiada Mother Mary, Bóg pomógł jej znowu.

– Gdy moja gospodyni wróciła ze szpitala po operacji, nie mogła ruszać się szybko. Nigdy by mnie nie dogoniła. Stała się niedołączna. Ubrałam się jak Arabka i wyszłam na ulicę – mówi.

A Bóg nie próżnował. Kenia podpisała z Jordanią umowę, dzięki której Mary mogła zalegalizować swój pobyt. Ostatnią część swojej odysei opowiada jak Forest Gump: – Kiedy tylko mogłam, chodziłam po mieście. A wszędzie, gdzie chodziłam, spotykałam innych Kenijczyków. Mówili, że przyjechali za pracą, ale odebrano im dokumenty i nie mają jak wrócić. Każdego, z którym rozmawiałam, brałam do domu. A gdy zebrało się dziesięć osób i zabrakło miejsca, poszłam do ambasadora Kenii, który wynajął nam większy dom. Zaczęłam zabiegać o pieniądze na bilety.

Pokazuje zdjęcia z oficerami imigracyjnymi z Ammanu. W ich gabinetach była prawie codzienność. Wyjmuje dyplomy, podziękowania. I odznaczenie z jordańskiego ministerstwa. Ktoś ją wtedy pierwszy nazwał: Mother Mary. Matka Maria z Ammanu – opiekunka rodaków.

Pozostawić wybór

Powrót – to nie koniec problemów. Ocaleni często mierzą się z oczekiwaniami rodzin. Bliscy czekali nie tylko na nich. Także na pieniądze, których nie udało się zarobić.

– Nie wszyscy, którzy jadą do pracy za granicą, zostają ofiarami handlu ludźmi. Ale tej mniejszości, która ma pecha,



Do **CAROLINE OENSY**, właścicielki sklepu z trzciną cukrową, wspomnienia z Dubaju wciąż wracają. „Tam było najgorzej. Kiedyś, podczas dyskusji z właścicielami, jeden z nich wyjął nóż i naciął mi ucho” – opowiada.

trudno wytłumaczyć się potem przed rodzinami – mówi Radosław Malinowski. – Czasem bliscy podejrzewają, że ktoś nie chce się dzielić pieniędzmi. Dlatego do pomocy staramy się włączyć także rodziny.

Dla fundacji Haart najważniejsze wsparcie zaczyna się w tym momencie. – Ocalonym musimy pozostawić wybór.

Jedną z najważniejszych cech handlu ludźmi jest to, że ofierze ciągle mówi się, co ma robić. Nie ma wyboru, jest pod kontrolą właściciela – tłumaczy Malinowski.

Haart Kenya zatrudnia psycholożkę i prawniczkę. Czasem udziela pomocy medycznej – zwłaszcza gdy ofiary były zmuszane do pracy ponad siłę. Gdy były

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK DO „TYGODNIKA
POWSZECHNEGO” 51-52/2024**

REDAKCJA: GRAŻYNA MAKARA I MARCIN ŻYŁA
OPIEKA WYDAWNICZA: ANNA PIETRZYKOWSKA
PROJ. GRAF. MAREK ZALEJSKI
TP TYPOGRAFIA: ANDRZEJ LEŚNIAK

 **polska pomoc**
www.polskapomoc.gov.pl

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY
W RAMACH POLSKIEJ WSPÓŁPRACY
ROZWOJOWEJ MINISTERSTWA SPRAW
ZAGRANICZNYCH RP

PARTNER
WYDANIA





Na 28-letniego **CHARLESA GITUNGĘ** na lotnisku w Nairobi czekała matka. „Wcześniej nie było dnia, aby nie zadzwoniła. Przeżyłem to wszystko dzięki niej” – mówi prowadząc do swojego domu na osiedlu Kahawa West.

gwałcone, bite, torturowane. W podziemiach kościoła w dzielnicy South B w Nairobi regularnie odbywają się szkolenia i warsztaty. Ocalonych uczy się wystąpienia w mediach. Do tych, którzy zaczynają życie na nowo, regularnie przyjeżdżają pracownicy fundacji.

Zmusił rząd do działań

Z jednym z nich jedziemy jeszcze do slumsów Kahawa West, odwiedzić 28-letniego Charlesa Gitungę. Do jego enklawy – przytulnego pokoiku, który dzieli z psem i kotem – trzeba dojść wąską ścieżką między blaszanymi ścianami baraków. Jest mokra, choć nie padało. Ubiorki nie mają tu odpływów.

Z kraju wyjechał w 2023 r., aby zarobić na wyprowadzkę z tego niebezpiecznego osiedla. Powtórzył się typowy scenariusz: zabrano mu dokumenty, zmuszono do pracy, kazano sypiać na podłodze.

– Musiałem tam pojechać – uśmiecha się Charles, patrząc na rudego kota o ponadprzeciętnie długim ogonie, który właśnie wskoczył na kanapę. – Po pande-

mii covidu, która w Kenii zamknęła tysiące biznesów i wielu ludzi zmusiła do przeprowadzki do slumsów, nie miałem tu żadnych perspektyw. Skończyłem liceum, miałem dyplom z nowych mediów i animacji 3D. Ale pracy dla mnie nie było.

W kenijskiej agencji pośrednictwa Charlesowi powiedziano, że pojedzie do Singapuru. Potem okazało się, że trafi do Malezji. I że o pozwolenie na pracę musi starać się na miejscu.

– Na miejscu spotkałem piętnastu innych Kenijczyków – opowiada chłopak. – Przez trzy tygodnie nie było obiecanej pracy. Zbliżał się czas wygaśnięcia wizy turystycznej, więc postanowiłem wracać. Ale malezyjski agent odmówił zwrotu kaucji. Kazano nam pracować w magazynach portowych. A na koniec nas wyrzuciono.

Charles pokazuje na YouTube fragment programu telewizyjnego. Na filmie widać, jak z kolegami opowiada o tym, co go spotyka w Malezji. W Kenii ten program stał się głośny. Zmusił rząd do działań. Tym bardziej że film nagrano w kenijskiej am-

basadzie, gdzie się schronił. Nawet tu pozwolono mu spać tylko na schodach.

Dzięki temu w końcu wrócił do domu. Na lotnisku czekała na niego mama. Wcześniej nie było dnia, aby nie zadzwoniła. – Przeżyłem to wszystko dzięki niej – mówi.

■ ■ ■

Dzisiaj Charles jest szczęśliwy. Dwie godziny temu dowiedział się, że dostał pracę. Pierwszą po powrocie z Malezji. Zaczyna w poniedziałek.

W nowym tygodniu Mother Mary znów wróci do osiedla slumsów Mathare. – Chodzę tam walczyć o młodych. Opowiadam o tym, przez co przeszedłem – mówi. Po slumsach kręcą się pośrednicy pracy. Mówią o bogatej Arabii. Pokazują zdjęcia Burdz Chalify, najwyższego władcy Dubaju.

Zamzam też ma plany: spotkanie rekrutacyjne dla młodych Kenijek. Chodzi o pracę w Arabii Saudyjskiej. Wprasa się na takie imprezy od czasu swojego powrotu. Mówi, że dużo dziewczyn odwoła od wyjazdu. © MARCIN ŻYŁA

Epoka dostępności

Mimo ogólnego postępu nadal żyjemy w epoce nierówności, w której tylko część obywateli może w pełni korzystać z praw należnych każdemu człowiekowi. To świat, w którym ciągle królują niewiedza, ignorancja, stereotypy i brak empatii.

Wyobraź sobie, że nie zawsze możesz wyjść z domu, kiedy chcesz. Zrobienie zakupów, skorzystanie z bankomatu albo pójście do fryzjera jest bardzo trudne czy wręcz niemożliwe, a zwykły chodnik to tor pełen przeszkód. Mimo kwalifikacji, rzadko przechodzisz do kolejnego etapu rekrutacji. Masz internet, ale nie możesz z niego w pełni korzystać. Kupujesz bilet do kina, ale musisz siedzieć tylko w pierwszym rzędzie. Chcesz coś przekazać, ale nikt cię nie rozumie. Nie założysz modnych butów, nie pójdziesz do popularnego klubu, nie umówisz się na randkę, nie dlatego, że nie chcesz, po prostu nie możesz. Brzmi niewiarygodnie? Dla ciebie może tak,

ale dla 5 milionów osób z niepełnosprawnościami, które żyją w Polsce, brak dostępności to codzienność. Problem braku dostępności dotyczy tak naprawdę wszystkich, którzy ze względu na różne życiowe sytuacje doświadczają barier.

Jedną z podstawowych przeszkód blokujących coraz powszechniejszą dostępność przestrzeni życiowej dla osób z niepełnosprawnościami jest brak ogólnie pojętej świadomości społecznej. Brak świadomości o rzeczywistych problemach i barierach, z jakimi osoby z ograniczoną sprawnością muszą się mierzyć każdego dnia. Dlatego Fundacja Avalon postanowiła rozpocząć ogólnopolską kampanię „Epoka dostępności”, której celem

jest uświadomienie społeczeństwu, czym jest brak dostępności i jaki wpływ na powstawanie barier dla osób z niepełnosprawnościami mają wszyscy obywatele.

Dostępność kojarzona jest najczęściej z barierami architektonicznymi. Jest to jednak zagadnienie dużo bardziej złożone, dotyczące niemal każdej ludzkiej aktywności. Fundacja Avalon chce zwrócić uwagę na fakt, że problem braku dostępności można rozwiązać na wiele sposobów. Wdrożenie skutecznych działań przez władze, instytucje czy firmy to jedno, ale kluczowe jest wsparcie całego społeczeństwa. Dlatego warto przekonywać, że dostępność powinna być w interesie wszystkich oraz że każdy powinien ją wspierać i o nią walczyć!

Fundacja Avalon stawia sobie za cel zwrócenie uwagi odbiorców na bariery informacyjne, technologiczne, edukacyjne, finansowe oraz te, które występują w życiu zawodowym i prywatnym. Szczególne akcenty położone zostaną na braki dostępności w projektowaniu oraz luki w systemie wsparcia osób z niepełnosprawnościami. Fundacja

Avalon chce obalić stereotypy i mity, które przez lata narosły wokół sytuacji osób ze specjalnymi potrzebami.

Nie można też zapomnieć o tym, w jaki sposób kształtowany jest wizerunek osób z niepełnosprawnościami w mediach. To ważny punkt kampanii. Fundacja Avalon chce wpłynąć na budowę wizerunku oraz tworzenie dostępnych treści poprzez zaangażowanie w pracę osób najbardziej zainteresowanych zmianą. Dlatego, aby wpłynąć na zmianę stereotypowego wizerunku, prowadzić będzie autentyczną narrację z udziałem osób z niepełnosprawnościami w myśl zasady „nic o nas bez nas”. Służyć temu ma udostępnianie i generowanie komunikatów dostępnych dla nich oraz zwiększanie ich reprezentacji w przekazie medialnym.

Fundacja Avalon zaprosiła do współtworzenia działań zwiększających świadomość społeczną na temat osób z niepełnosprawnościami dziesięcioro bohaterów i bohaterów, którzy są gotowi podzielić się swoimi doświadczeniami związanymi z tą tematyką. ■





MATERIAŁ PRASOWY

Lekcja anatomii w Cricotece

MICHAŁ SOWIŃSKI

Agata Skwarczyńska przełamuje tradycyjne narracje sztuki. Zapraszając osoby z niepełnosprawnościami, w spektaklu „Lekcja anatomii – rekonfiguracja” stawia pytania o ciało, pamięć i wspólnotę.

W przestrzeni teatralnej „Lekcji anatomii – rekonfiguracji” to, co martwe, zaczyna mówić, a to, co zwykle niewidoczne, wychodzi na pierwszy plan. Agata Skwarczyńska, w dialogu z obrazem Rembrandta i happeningami Tadeusza Kantora, podejmuje próbę opowiedzenia o ludzkim ciele, pamięci i wspólnocie w sposób, który burzy tradycyjne hierarchie wiedzy i przedstawiania. Spektakl, stworzony we współpracy z osobami z niepełnosprawnościami intelektualnymi, stawia fundamentalne pytanie o to, kto ma prawo mówić, kto jest słuchany i co właściwie oznacza „widzieć”.

W oryginalnym obrazie Rembrandta spojrzenia mężczyzn zebranych wokół stołu sekcyjnego wykraczają poza kadr – ku przyszłym widzom, ku nam. Ten gest, niczym zawiązana w obrazie narracja, otwiera przestrzeń refleksji: kim są ci, którzy patrzą? Kim jest ciało na stole? I czy sekcja, zamiast dawać odpowiedzi, nie staje się raczej początkiem pytań? Kantor w swoich happeningach wykorzystał ten potencjał, przekształcając sekcję zwłok w deambalaż – rozcinanie ubrań, które, skrywając ludzkie resztki, stały się nośnikami pamięci i tożsamości. Ubranie w jego interpretacji było niczym mapa ludzkiego życia, z jego radościami, traumami i zapomnianymi drobiazgami.

Skwarczyńska podąża tym tropem, ale wybiera inną ścieżkę. Jej spektakl nie jest próbą wierniej rekonstrukcji, lecz gestem rekonfiguracji, w którym tradycyjny porządek zostaje podważony. Sekcja staje się aktem zsywania: łączenia tego, co rozdzielone, w nową całość. Ciało nie jest już obiektem poddawany analizie, lecz przestrzenią spotkania – między ludźmi, różnymi formami życia, między tym, co widzialne, a tym, co ukryte.

„Lekcja anatomii – rekonfiguracja”.

Koncept i inscenizacja: Agata Skwarczyńska

W centrum spektaklu znajdują się wykonawcy – osoby z niepełnosprawnościami, których obecność zmienia dynamikę przedstawienia. To oni wprowadzają perspektywy, które zwykle pozostają niewidoczne w narracjach artystycznych i społecznych. W tej pracy nie ma mistrza i uczniów, nie ma obserwatora i obserwowanego obiektu – wszyscy są uczestnikami procesu, który rozgrywa się tu i teraz. Każda scena jest wyzwaniem dla widza, by porzucić utarte schematy patrzenia i otworzyć się na nowe formy współobecności.

„Lekcja anatomii – rekonfiguracja” to spektakl, który się nie kończy – nie dlatego, że trwa wiecznie, lecz dlatego, że jego znaczenia wymykają się zamkniętym ramom. Na przykład ciało człowieka na stole sekcyjnym zostaje zestawione z wypchanym lisem i rośliną – co te formy życia mogą nam powiedzieć? W jakiej relacji jesteśmy z nimi jako ludzie? Spektakl uczy, że patrzenie i wiedza to proces wymagający czasu, empatii i gotowości do rezygnacji z pewności.

Skwarczyńska tworzy świat, w którym wszystko jest w ruchu. Kompozycja spektaklu przypomina organizm, który zmienia się z każdym ruchem wykonawców, z każdą reakcją widza. To nieustanne przeobrażanie sprawia, że spektakl jest jednocześnie dziełem sztuki i laboratorium badawczym. Widz zostaje zaproszony nie do kontemplacji, ale do uczestnictwa – do bycia częścią tej kruchej, a jednocześnie dynamicznej wspólnoty.

W tym świecie nie ma miejsca na porządek narzucany przez jedną perspektywę. Widzowie, wykonawcy i obiekty – manekiny, rośliny, wypchane zwierzęta – w równym stopniu współtworzą przestrzeń, w której wiedza i zrozumienie nie są narzucane, lecz wyłaniają się w procesie wspólnego działania. To gest radykalny, bo podważa hierarchie, na których opiera się nie tylko tradycyjny teatr, ale i wiele modeli społecznych.

Spektakl Skwarczyńskiej to także wyzwanie rzucone wykluczeniu. Zaproszenie osób z niepełnosprawnościami do procesu twórczego to nie tylko gest polityczny, ale też propozycja nowego modelu współpracy – opartego na równości i szacunku dla różnorodności. To, co w tej pracy najważniejsze, to otwartość na inne formy bycia i poznawania. „Lekcja anatomii – rekonfiguracja” przypomina, że sztuka może być przestrzenią, w której redefiniujemy nie tylko sposób patrzenia, ale i nasze relacje z otaczającym światem. © ®

Koncept i inscenizacja:

Agata Skwarczyńska

Wykonawcy:

Amelia Blus, Julia Karaś, Władysław Kita, Anna Komorek, Magdalena Mrzygłocka, Maciej Rams, Agnieszka Sito, Klaudia Surman, Maciej Trybus, Dorota Wach

Konsultacja dramaturgiczna:

Monika Świerkosz

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



ROZMOWA
NA ŚWIĘTA

NIEPOKÓJ PRZY WODOPOJU

ADAM ZBYRYT, BIOLOG:

Zwierzęta cały czas są na wojnie. Myśliwi zagrażają im bardziej niż drapieżniki. W sylwestra dobija je hałas. W wigilię ich opowieść nie byłaby szczególnie miła.

BARTEK DOBROCH: Legenda o tym, że zwierzęta mówią w wigilię ludzkim głosem, zaczyna się odzwierciedlać w nauce? Coraz więcej rozumiemy?

ADAM ZBYRYT: Mamy coraz lepszy kontakt ze zwierzętami, nie tylko emocjonalny. Komunikację między nimi rozumiemy dużo lepiej niż 20, a jeszcze bardziej niż 100 lat temu. Mówi się, że XXI wiek jest w badaniach naukowych wiekiem zwierząt. Nie ma tygodnia bez nowych publikacji, pokazujących, jak złożona i wyrafinowana potrafi być ko-

munikacja wewnątrzgatunkowa, międzygatunkowa, a także między zwierzętami innymi niż ludzie i człowiekiem.

Ale gdyby rzeczywiście mogły przemówić ludzkim głosem, nie byłaby to miła pogawędka.

Na pewno nie miałyby nam nic miłego do powiedzenia kury, produkowane, bo nie można tego nazwać hodowlą, krowy masowo zamykane w oborach przypominających fabryki mleka i mięsa, niemające wiele wspól-

nego z krowami znanymi sprzed lat z pastwisk.

Wobec traktowanych tak zwierząt hodowlanych zachowujemy jednak pozory szacunku. W stosunku do zwierząt dzikich kończy się często na deklaracjach przykrytych niewiedzą i strachem.

W tym, że traktujemy zwierzęta towarzyszące dużo lepiej niż hodowlane, te zaś lepiej niż dzikie, wychodzi nasza dycho-
tomiczna natura. Jakby zwierzęta dzikie

*Łania na ulicach Zakopanego.
31 maja 2021 r.*

były najgorszą kategorią, która jest tylko po to, by nam przeszkadzać albo by ją użytkować.

Życzymy sobie spokojnych świąt, ale dla zwierząt to niespokojny czas, począwszy od naszej wielkiej świątecznej migracji po huczno sylwestra.

Pomimo szeroko zakrojonych kampanii i dobrze znanych opiekunom zwierząt domowych negatywnych konsekwencji. Coraz większa liczba badań pokazuje, że to wielki dramat także dzikich zwierząt.

Jak on wygląda?

To najwyższa forma strachu, panika. Kiedy rozpoczyna się ten ostrzał, właściwie niemal artyleryjski, wiele zwierząt zaczyna biegać szaleńczo po lesie. Jeśli są blisko zabudowań, potrafią wpadać na ogrodzenia. Co roku mamy doniesienia, jak dużo zwierząt przebywających czasowo w ośrodkach rehabilitacji, w szaleńczym pędzie rozbija się i ginie przy próbie wydostania się za ogrodzenie. Sarny i inne zwierzęta umierają w wyniku miopatii – czyli uszkodzenia mięśni – prowadzącej do zawałów serca i śmierci. Ptaki zaczynają latać w różne strony i często rozbijają się o szyby. W mieście, gdzie zwłaszcza krukowate i szpaki zimują w ogromnych stadach, prowadzi to do ich masowych śmierci.

Były przypadki wybudzenia ze snu zimowego niedźwiedzia brunatnego...

Bo zwierzęta te zapadają w kilkudziesięciodniowe okresy drzemki (tzw. torpor), przerywane, aby zmienić pozycję, a czasami nawet coś przekąsić i wrócić do gawrowania. Wybudzenie wiąże się z dużym kosztem energetycznym dla takiego zwierzęcia.

Problem jest dużo szerszy, bo w miastach, w których strzelają fajerwerki, są zimowiska nietoperzy, które zachowują się w podobny sposób, choć stan, w jaki zapadają, hibernacja, jest jeszcze głębszy i energetycznie kosztowniejszy w przypadku wybudzenia. Swoje nory w pobliżu ludzi mają też śpiące borsuki.

To podobny strach, którego doznają zwierzęta podczas wojny?

Zwierzęta cały czas są na wojnie. Tej z ludźmi, a właściwie myśliwymi w naszych lasach. Przez większą część roku można polować na wiele gatunków. Okresy polowań są różne dla różnych gatunków, ale kiedy naniesie się je na kalendarz, wychodzi, że przez prawie cały rok można do czegoś strzelać. Zwierzęta nie mają pewności, czy akurat nie na nie, muszą żyć pod ciągłą presją łowiecką i hałasu.

We wspólnych badaniach z Instytutem Biologii Ssaków PAN w Białowieży wykazaliśmy, że presja ze strony drapieżników – wilków i rysi – nie miała w ogóle wpływu na poziom hormonu stresu w badanych populacjach. Okazało się, że zwierzęta były najbardziej zestresowane w lasach, w których nie było żadnego drapieżnika, za to pozyskanie zwierząt przez myśliwych było najwyższe. To nie wilk, nie ryś stresuje najbardziej jelenie czy sarny, tylko myśliwy.

Nieprzewidywalny, działający w sobie znanych nieczytelnych dla zwierząt okresach.

Jelenie potrafią doskonale odczytywać, jak świeże są odchody zostawione przez wilki, czyli jak długo powinny unikać danego miejsca, żeby nie narażać się na ataki. W innych badaniach IBS wykazał, że jelenie unikają miejsc, gdzie położona jest nora wilcza, i trzymają się na obrzeżach terytoriów wilczej rodziny. Wyczuwają to na podstawie całorocznego schematu poruszania się tych zwierząt, zostawianych przez nich śladów, znakowania terytorium. Natomiast myśliwy może się pojawić na ambonie przez pięć nocy z rzędu, a potem przez kilka dni może go nie być. Zwierzę nie wie, czy danego dnia będzie, czy zatrzymała go wizyta szwagra.

Zwierzęta mogą odczuwać coś porównywalnego z PTSD u człowieka?

To temat, który dopiero raczkuje. Mamy doniesienia dotyczące objawów zespołu stresu pourazowego u słoń w Afryce, szczególnie młodych osobników, które straciły swoich bliskich.

Czym się objawiały?

Zaobserwowano u nich stany depresyjne i ataki niekontrolowanej agresji. Pozbawione wzorca w postaci dorosłych

samców, uczących, jak postępować w grupie, stają się niebezpieczne: w niekontrolowanym szale potrafią zabijać nosorożce czy inne mniejsze od siebie zwierzęta.

Człowiek ma zasadniczy wpływ na to, czy dane zwierzę jest płochliwe?

W zależności od różnych gatunków nasza rola bywa ambiwalentna. Raz jesteśmy wielkim wrogiem i sprawiamy, że zwierzęta się nas bardzo boją. Szczególnie pewnych grup, jak myśliwych, bo one też potrafią rozróżniać, z kim mają do czynienia. Dlatego w naszych badaniach włączaliśmy też do analiz obecność innych ludzi, miejscowych czy turystów.

Z drugiej strony tworzymy obszary, które w naukach ekologicznych nazywamy ludzką tarczą. Czasem zwierzęta przybliżają się do człowieka, szukają w jego otoczeniu schronienia przed drapieżnikami, które w danym momencie bardziej im zagrażają. Sarna w lesie będzie uciekała przed myśliwymi, ale jednocześnie szukała schronienia w pobliżu domów ludzi, którzy nie polują, chroniąc się przed wilkami albo rysiem. A także przed samymi myśliwymi, bo nie można polować w odległości poniżej 150 m od zabudowań.

Czym jest krajobraz strachu, którym to terminem zatytułowałaś książkę?

To koncepcja w badaniach ekologicznych, która mówi, że drapieżniki mają wpływ na ofiary nie tylko zabijając je i zmniejszając ich liczebność. Poprzez samą obecność w środowisku tworzą krajobraz strachu, czyli miejsca postrzegane przez ich ofiary jako niebezpieczne, co z kolei wpływa na ich rozród, prowadzi do zmiany zachowań, diety, tras wędrówek.

Na poziomie krajobrazowym wywołuje to tzw. efekt kaskadowy. Jeżeli jelenie zaczynają zmieniać swoje przyzwyczajenia ze względu na obecność wilków, np. unikać polany, na której wyjadały dotąd wszystkie drzewa próbujące tam wyrosnąć, ta zaczyna zarastać, a przez to pojawiają się tam inne gatunki. A wraz z nimi inne drapieżniki.

I superdrapieżnik, którym w świecie zwierząt jest człowiek?

Przez to, że człowiek jest najskuteczniejszym drapieżnikiem, jaki kiedykolwiek pojawił się na Ziemi, może poza

→ tyranozaurom, zwierzęta boją się nas bardziej niż wielkich mięsożerców: wilków, rysi, niedźwiedzi, a także tygrysów, lwów. Przy wodopojach w Afryce puszczano żyrafom, słoniom i antylopom głosy ryczących lwów. Uciekały albo unosiły głowy zaniepokojone, żeby się rozejrzeć. Natomiast już sam spokojny głos rozmów ludzkich niemal zawsze powodował ucieczkę. Takie eksperymenty powtarzano w przypadku borsuków w Wielkiej Brytanii, pum w Ameryce Północnej czy wilków w Polsce. Kiedy pojawiał się głos człowieka, zwierzęta natychmiast uciekały. W panice.

Zwierzęta boją się bardziej? Stąd frazeologizm „zwierzęcy strach” używany oczywiście w odniesieniu do ludzi?

Zwierzęcy strach to też ludzki strach, bo my też jesteśmy zwierzętami. U każdego ssaka, a nawet u większości zwierząt, działa podobnie. Różna może być jego ekspresja. U jednych gatunków może się wyrażać wzmożonym ruchem, zaczerwienieniem skóry, reakcją pilomotoryczną, czyli gęsią skórą, wydawaniem specyficznych odgłosów. U innych będzie się przejawiał w postaci zamrożenia, udawania martwych. Natomiast na poziomie hormonalnym u wszystkich przebiega bardzo podobnie. W obliczu strachu następuje uwolnienie dużych ilości kortykosteronu, noradrenaliny, adrenaliny, hormonów stresu, które wprowadzają nasz organizm w stan ucieczki, walki albo zamrożenia.

Jak w sytuacjach, w których dochodzi do wypadków drogowych z udziałem zwierząt? Mogą nie rozumieć zagrożenia?

Gdy kilkadziesiąt lat temu pierwsi Europejczycy pojawiali się w Ameryce Południowej czy w Afryce, byli traktowani jak bogowie. Żyjący tam ludzie nie rozumieli, czym są konie i strzelby, zachowywali się w sposób, który z dzisiejszej perspektywy ocenilibyśmy jako nieodpowiedzialny czy wręcz, jak czasami mówimy o zwierzętach, głupi. A one, podobnie jak ówczesni rdzenni mieszkańcy, nie mają skąd się dowiedzieć, dlaczego pędzący samochód jest zagrożeniem. Ważne jest też odniesienie do ich fizjologii. Jelenie albo sarny, które

wychodzą na drogę nocą, nagle nieruchomieją nie dlatego, że się boją samochodu, tylko dlatego, że ich oczy są doskonale przystosowane do wychwytywania nawet najmniejszych ilości światła. Świecąc reflektorem w ich oczy powodujemy, że stają jak sparaliżowane, ale w rzeczywistości zostały po prostu oślepięte.

W języku angielskim jest nawet określenie na ludzi, którzy stremowani nie mogą nic powiedzieć w czasie występu publicznego ani zejść ze sceny: *like a deer in headlights*.

Powodem stresu jest zatem inny, niekoniecznie ciągły odbiór światła przez zwierzęta?

Uświadomimy sobie to włączając w telefonie aparat i nakierowując na światło, szczególnie na nowe energooszczędne żarówki. Na ekranie będzie doskonale widać, jak to światło miga, ponieważ częstotliwość odświeżania telefonu mierzona w hercach jest inna niż w naszym oku. Wiele zwierząt widzi to właśnie tak, jak oko naszej kamery. Wyobraźmy sobie, jak musi się czuć trzymaną w domu papuga, dla której światło nowoczesnych żarówek działa jak stroboskop. Tak stresujące środowisko powoduje wiele przewlekłych chorób.

Zatem postulaty, by zastąpić fajerwerki pokazami świateł czy laserów, niekoniecznie są najlepszym rozwiązaniem w stosunku do zwierząt?

To nie jest takie złe, ponieważ odchodzi czynnik związany z hałasem, którego propagacja jest dużo szersza niż światła. Mam na myśli ciągle oddziaływanie światła przez wiele godzin, dni, miesięcy. Stres powodowany przez czynniki antropogeniczne jest wśród zwierząt coraz powszechniejszy, co podobnie jak życie w pełnym stresogennych czynników miejskim środowisku przekłada się na ich ogólną kondycję. Przykładem chociażby sikory bogatki, które poruszają się i oddychają szybciej, bo szybciej bije ich serce, żyją na wyższych obrotach, a przez to niestety krócej.

Czy może doskwierać im odpowiednik zdiagnozowanego wśród ludzi zespołu deficytu natury?

Zwiększona podatność na choroby czy depresyjność dotykają już wielu gatun-

ków zwierząt, które zaczynają zasiedlać miasta, bo ich fizjologia jest często zbliżona do człowieka, a czynniki, którym podlegają, są takie same.

Nasz nieinwazyjny, jak się wydaje, kontakt z naturą może być także stresogenny. Dla cietrzewi i głuszców sama nasza piesza czy narciarska obecność jest zagrożeniem egzystencjalnym.

Są gatunki zwierząt, które do obecności człowieka się nie przyzwyczajają. Mają wąski zakres tolerancji na zmieniające się warunki środowiskowe i nie dostosowują się do zmian, gdy np. pojawiają się ludzie, przekształcając ich siedliska w szlaki narciarskie. Cechuje je silna antropofobia, czyli lęk przed człowiekiem. Gniazdują na ziemi i nie przeniosą się nagle na drzewa, żeby unikać ludzi czy towarzyszących im psów.

Antropofobia może prowadzić wręcz do wymierania gatunków?

Może prowadzić i prowadzi.

Tak było z ptakiem dodo? Choć on nie wykazywał antropofobii, ale raczej kompletny brak lęku.

Nie wiemy, czy się nie bał ludzi, choć nigdy wcześniej się z nimi nie spotkał. Mógł po prostu nie wiedzieć, jak się zachować. Nie zawsze wydzielanie hormonów stresu jest spójne z reakcją behawioralną. U kapturek, gatunku pokrzewek, w czasie badań prowadzonych na południu Polski udokumentowano zjadanie ich jaj i piskląt przez wchodzące do gniazd ślimaki, śliniki luzytańskie, obcy gatunek inwazyjny pochodzący z Ameryki Północnej. Dzieje się to tak powoli, że ptaki nie wiedzą, jak traktować takie zagrożenie: potrafią wysiadywać jaja i pisklęta w gnieździe ze ślinikiem, który zjada ich potomstwo żywcem.

Stres nie zawsze jest więc szkodliwym czynnikiem?

Ma też funkcję adaptacyjną, pozwala przystosować się do nowych warunków. Bez niego – zwłaszcza tego chwilowego – nie byłibyśmy zmotywowani do podejmowania wyzwań i radzenia sobie z nimi. Nie wszystkie jednak gatunki mają tak dużą jak człowiek tolerancję na

ten stres. Niektóre, żyjące w bardzo specyficznych środowiskach, jak wyspy czy bardzo zimne rejony Ziemi, nie są w stanie się szybko dostosować, co często prowadzi do ich wyginięcia.

Zima jest dla zwierząt najbardziej stresogenną porą roku?

Wiele badań wskazuje, że zimą, zwłaszcza w czasie załamania pogody, poziom hormonu stresu w zwierzęcych organizmach jest najwyższy. Zwłaszcza w lasach o uproszczonej strukturze wiekowej i gatunkowej, jak drągowina sosnowa, w których nie ma gdzie się ukryć i nie ma też za dużo pokarmu.

Zwierzęta miewają też reiseieber, czyli rodzaj napięcia przed podróżą?

To też motywujące! Poziom hormonu stresu zwiększa się u ptaków, kiedy zbierają się do odlotu, bo dni robią się coraz krótsze i robi się chłodniej. Odczuwają, jak mówią ornitologzy, niepokój migracyjny.

U bocianów, podobnie jak u ludzi, zwiększony stres czy trauma z młodości może się przekładać na jakość i na długość ich życia.

Związane jest to, jak u ludzi, z biomarkerem długości życia, czyli telomerami, które są krótsze, gdy wychowujemy się w stresującym środowisku, a jeżeli są dłuższe, to teoretycznie żyjemy dłużej.

Czasem myśląc o wyobrażonym dobrostanie zwierząt, przyczyniamy się do śmierci, krzywdy czy stresu innych. Chociażby wypuszczając na zewnątrz ukochane koty, spuszczając ze smyczy psy.

Trudno jest zwierzętom, jak w przypadku myśliwego, przewidzieć obecność i odczytać intencje drapieżnika wypuszczanego o różnych porach, który mimo że nakarmiony poluje. Coraz więcej badań mówi o bardzo negatywnej roli psów spuszcanych ze smyczy w lasach czy na plażach. My odpoczywamy, zwierzę też, natomiast ptaki co chwilę muszą uciekać. Nie zdajemy sobie sprawy, że szkodzimy w ten sposób ptakom, które żerują na plaży w czasie dalekiej podróży na zimowiska, co dla nich jest kwestią życia lub śmierci, bo lecą z dalekiej Syberii aż na wschodnie wybrzeże Afryki.



EDWARD ZBYRYT / ARCHIWUM PRYWATNE

ADAM ZBYRYT jest pracownikiem Wydziału Biologii Uniwersytetu w Białymstoku. Zajmuje się ochroną i badaniem ptaków, w mediach społecznościowych prowadzi profil „Człowiek z puszczy”. Wydał „Sensacyjne życie ptaków” i „Krajobraz strachu. Jak stres i strach kształtują życie zwierząt”, współautor „Bociana. Nieautoryzowanej biografii”.

Większości ptaków nie dałoby się badać tak jak gęsi tybetańskich podczas lotu w tunelu aerodynamicznym. Nie mniej ważne dla naukowców od wyników badań jest to, by samo badanie nie stało się czynnikiem stresującym?

To jeden z największych dylematów badaczy, którzy zajmują się stresem u zwierząt. Czy nieodzowna ingerencja człowieka wpłynęła w jakiś sposób na zwierzęta i czy obserwowany stres nie jest przypadkiem wynikiem naszej obecności i manipulacji? Coraz więcej jest metod mniej inwazyjnych, jak mierzenie ciepłoty ciała zwierząt, szczególnie okolic oka, za pomocą kamer termowizyjnych. Możemy badać na bieżąco zachowanie zwierząt za pomocą fotopułapek czy kamer, a poziom hormonów stresu w świeżo zebranych odchodach.

Brzęcząca dookoła technologia nie budzi w nich niepokoju?

Wszystko zależy od kontekstu i badanego gatunku. Niektóre w kontakcie z dronem radzą sobie coraz lepiej, także ze względu na coraz mniejsze urządzenia. Inne nie dostosowują się tak ła-

two. Wiele ptaków bardziej się płoszy zimą niż latem, kiedy mają większą motywację do tego, by pilnować potomstwa. Ostatnio prowadziłem badania nad zachowaniem wróbli i mazurków w gniazdach bocianich. Jak się zachowują w momencie, gdy bocian jest na gnieździe, a jak, gdy go nie ma. Leciłem w stronę gniazda dronem i sprawdzałem reakcję wróbli i mazurków. Tam, gdzie był bocian, rzadko się zdarzało, żeby uciekły. Natomiast jeżeli go nie było, prawie zawsze odlatywały i chowały się w gęstych krzewach. To tak jak u ludzi, jak mamy za plecami dużego, silnego kolegę, będziemy bać się mniej, gdy idziemy gdzieś, gdzie łatwo o bójkę.

Ale chyba nie tylko o dronach myślałeś, gdy pisałeś w swojej książce: „Musimy przygotować się na to, że nadchodzące lata będą niezwykle stresujące dla wszystkich. Nie tylko dla ptaków”.

Kryzys klimatyczny, w którym przyszło nam żyć, rozwija się w postępie geometrycznym i nic nie wskazuje na to, żeby udało nam się go zatrzymać. Coraz więcej psychologów opisuje zjawisko depresji klimatycznej...

Wśród zwierząt także się ona pojawia?

Nie nazwę tego wprost, bo związana jest z wyższą świadomością na temat zagrożeń i wiedzy na temat tego, co dzieje się globalnie. Zwierzęta tego nie mają, żyją lokalnie, ale doświadczają na co dzień skutków tych zmian klimatycznych, co jest i będzie dla nich stresujące.

A jakieś dobre nowiny dla zwierząt w nadchodzącym roku? Może zakaz polowań na ptactwo wodne?

Pomijam aspekt bezsensowności tego proceduru, bo ptaki wodne nie powodują szkód – z wyjątkiem gęsi, które mogą takowe sporadycznie powodować, ale na niewielką skalę. Wiemy, że wiele z nich prowadzi bardzo bogate i złożone życie społeczne i emocjonalne. Są tam kuzyni, ciotki, wujkowie, bracia, głębokie relacje między partnerami. Zwiększa się świadomość społeczna, że to nie tylko kwestia zabicia-niezabicia zwierzęcia, ale też tego, jak się ono czuje i w jakim świecie żyje.

© Rozmawiał BARTEK DOBROCH

FORTUNA VOLKSWAGENA KOŁEM SIĘ TOCZY

Niemiecki gigant motoryzacyjny zapowiada
zwolnienia i zamknięcia fabryk.
Kryzys tego koncernu to problem dla całych Niemiec.

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z WOLFSBURGA I HANOWERU



CIEMNE GĘSTE CHMURY OD WIELU TYGODNI utrzymują się nad centralą Volkswagena w Wolfsburgu. W północnej części Niemiec deszczowa i zachmurzona aura to nic nadzwyczajnego. Ale obecnie, gdy ludzie idący z pracy widzą, jak słynne logo, umieszczone na wierzchołku budynku ich koncernu, znika w tumanach chmur, martwią się nie tylko z powodu złej pogody, ale i niepewnej przyszłości.

Matze pracuje tu od dekad. Gdy opuszcza teren zakładu, spogląda w górę na fabryczne kominy. Pytany, co oznacza dla niego ta fabryka, odpowiada bez zastanowienia: – Wszystko. Tu pracował mój ojciec, a wcześniej dziadek. Długo nie mogłem się pogodzić, że moje dzieci nie znalazły w fabryce pracy. A dziś są szczęśliwe, że są zatrudnione gdzie indziej.

SPRZEDAŻ W DÓŁ, KOSZTY W GÓRĘ | O godzinie 13.45 poranna zmiana kończy pracę i wychodzi przez Bramę Wschodnią zakładu w Wolfsburgu. W dniu, w którym „Tygodnik” rozmawiał z Matze, w zakładzie odbywało się spotkanie załogi. W wielkiej hali numer 11 kilka tysięcy osób, wspartych przez przedstawicieli związków zawodowych, stanęło naprzeciw kierownictwa koncernu.

– Sytuacja jest krytyczna – Matze ocenia na gorąco po spotkaniu atmosferę w firmie. W koncernie, który przez dekady był jednym z kół napędowych niemieckiego eksportu, trwa spór, który wiele mówi o kryzysie, w jakim jest niemiecka gospodarka. Szefostwo koncernu rozważa masowe zwolnienia i zamknięcie kilku zakładów produkcyjnych na terenie Niemiec.

Główna przyczyna to spadki sprzedaży, zwłaszcza na najważniejszym dziś rynku dla Volkswagena, czyli w Chinach. Drugi powód to ogromne koszty prowadzenia działalności w Niemczech w porównaniu do innych krajów, w których produkuje Volkswagen. Za sprawą silnych związków zawodowych niemieccy pracownicy VW wywalczyli sobie, prócz sowitych pensji, także 35-godzinny tydzień pracy, więcej dni urlopowych i liczne premie. W efekcie koszty pracy (i energii) są w Polsce, Rumunii, Chinach i Indiach wielokrotnie tańsze.

Główny zakład Volkswagena w Wolfsburgu, grudzień 2024 r.

Problemy VW to typowe bolączki całej niemieckiej gospodarki. Dlatego oczy Niemców z całego kraju nerwowo spoglądają na kolejne wieści z Wolfsburga.

SAMOCHODY, MUZEA, PARÓWKI | Miasto Wolfsburg to przykład, jak strategicznie ważny jest Volkswagen. Miasto liczy 120 tys. mieszkańców, podczas gdy w fabryce „pojazdu dla mas” pracuje 60 tys. osób. Rzecz jasna nie wszyscy mieszkają na miejscu, ale wielu tak. Niemal każdy ma w rodzinie kogoś, kogo zawodowe życie zależy od tej jednej firmy.

Na ulicach widać niemal tylko auta rodzimego koncernu. Basen, muzeum sztuki i centrum naukowe, a także należący do piłkarskiej czołówki klub VfL Wolfsburg – wszystkie te miejskie instytucje są utrzymywane przez koncern VW. Jest on wręcz dosłownym żywicielem swych pracowników – produkuje bowiem także parówki, które są następnie serwowane w zakładowej stołówce.

Ale też poza Wolfsburgiem ten największy motoryzacyjny koncern Europy pozostaje dominantą. W landzie Dolna Saksonia swoje siedziby mają też poddostawcy Volkswagena. Firmy zakorzenione w regionie, zatrudniające kolejne tysiące osób.

Właściwie można tak dalej poszerzać granice geograficzne i analizować, jak tapnięcia w Wolfsburgu przełożą się na pracowników zakładów VW w Poznaniu, Győr na Węgrzech czy tureckiej Ankarze. Koncern posiada bowiem łącznie 121 zakładów produkcyjnych na całym świecie, a w swoim portfolio ma też inne marki: Škoda, Seat, Cupra, Porsche i Audi.

Przy takiej skali działalności możliwy jest gospodarczy „efekt motyla”: decyzja z najwyższych piętér biurowca w Wolfsburgu wpływa na sytuację życiową pracowników w Changchun na wschodzie Chin, gdzie 20 tys. zatrudnionych montuje nowe modele Audi.

W RĘKACH (TAKŻE) POLITYKÓW | – Gdyby patrzeć tylko na koszty pracy, to teoretycznie nie tylko fabryki w Niemczech, lecz także w Polsce czy Hiszpanii nie mają sensu – mówi „Tygodnikowi” Frank Schwope, który wykłada zarządzanie branżą motoryzacyjną (*automotive management*) w Szkole Nauk Stosowanych w Hanowerze. – Wtedy musielibyśmy przenieść wszystko do Chin, Filipin czy

Tajlandii, czy gdziekolwiek, gdzie siła robocza jest najtańsza.

– W dłuższej perspektywie VW z pewnością będzie budował nowe zakłady w Indiach – uważa Schwope. – Ale dziś to nie jest takie proste. Bo w Volkswagencie zawsze istniał i dalej istnieje duży kompromis między maksymalizacją rentowności a odpowiedzialnością społeczną.

Ten kompromis ma wyraźny polityczny rys. Bo Volkswagen to częściowo koncern państwowy: 11,8 proc. akcji i 20 proc. praw głosu w przedsiębiorstwie należy do landu Dolna Saksonia. Stąd w radzie nadzorczej zasiadają politycy, w tym premier landu, socjaldemokrata Stephan Weil. Co więcej: land Dolna Saksonia ma w kwestiach strategicznych prawo weta.

Łatwo sobie wyobrazić, że zarządzanie takim olbrzymem przez organy mające często sprzeczne interesy to sztuka wyższa. Landowym politykom zależy w pierwszym rzędzie na zadowolonych obywatelach. Zadowolony zaś obywatel to taki, który ma pewną i dobrze płatną pracę.

Ta polityczna perspektywa jest jednak odmienna od tej, którą wypracowują najwyższe piętra centrali w Wolfsburgu (tam biura mają najwyższą rangą menedżerowie). Ich zadaniem jest zadbanie, by koncern był konkurencyjny i przynosił zyski akcjonariuszom.

NIE JEST TAK ŻŁE | W rozmowie z „Tygodnikiem” Frank Schwope przestrzega przed zbyt daleko idącym defetyzmem i zwraca uwagę na sukcesy, które Volkswagen wciąż odnosi.

W 2023 r. zysk operacyjny wyniósł ponad 22 mld euro. Koncern VW to drugi po Toyocie największy producent aut na świecie: w 2023 r. sprzedał 8,26 mln egzemplarzy (Toyota 10,48 mln). Mimo ogromnej medialnej krytyki, jakoby koncern miał przespać rewolucję elektryczną, liczby wskazują na sukcesy również i na tym polu.

Owszem, symbolem tej zmiany stała się amerykańska Tesla, która jest też globalnym liderem sprzedaży w segmencie elektryków. Model Y, produkowany przez koncern Elona Muska również w Niemczech, w 2024 r. sprzedaje się najlepiej. To na pewno bolesny cios dla Volkswagena, który w XX w. produkował motoryzacyjne legendy – modele dla mas: VW garbusa, Golfa, Passata.



ŁUKASZ GRAJEWSKI

Pracownicy wychodzą z fabryki Volkswagena w Wolfsburgu, grudzień 2024 r.

→ Równocześnie niemiecki koncern sprzedaje na tyle dużo elektryków (od stycznia do września br. ponad pół miliona), aby znaleźć się w skali globalnej na czwartym miejscu. Od będącego na trzecim miejscu chińskiego producenta Geely dzieli go tylko kilkaset sprzedanych aut.

KONKURENCJA SIĘ ZAOSTRZA | – Volkswagen nadal osiąga miliardowe zyski, ale jednocześnie zarząd martwi się o przyszłość – ocenia Frank Schwope. – Zaskoczył ich tak dynamiczny rozwój chińskich producentów. Mają obawy ze względu na nowe cła ze strony Unii Europejskiej na chińskie auta elektryczne i spodziewany odwet chińskiego rządu, a także zapowiedzi Trumpa, że nałoży cła na import samochodów do USA – tak

Schwope opisuje coraz bardziej napiętą sytuację w globalnym handlu.

Ekspansję chińskich producentów oddają wszelkie statystyki dotyczące rynku motoryzacyjnego. Na liście 30 głównych producentów aut elektrycznych aż 15 to firmy chińskie. Schwope zwraca jednak uwagę, że większość z nich nadal nie ma zysków i wiele z nich może zniknąć z rynku.

Jednocześnie Schwope uważa, że trzeba się przygotować na sytuację, gdy na europejskich drogach będzie coraz więcej chińskich aut: – Sytuacja z chińskimi markami przypomina lata 70. XX w., gdy japońscy producenci pojawili się w Europie. Później, w latach 90., dołączyły samochody firm koreańskich. Można założyć, że od pięciu do dziesięciu chińskich marek sa-

mochodów zdomowić się teraz w Europie i w dłuższej perspektywie zdobędzie około jedną dziesiątą rynku.

To oznacza globalnie coraz ostrzejszą konkurencję. Dlatego właśnie, myśląc nie o „tu i teraz”, lecz o najbliższych kilkunastu latach, szefowie koncernu VW chcą teraz ciąć koszty.

Z WYBORAMI W TLE | Matze, z którym rozmawiam przed fabryką w Wolfsburgu, ma jednak nadzieję.

– Przechodziliśmy już różne kryzysy. W połowie lat 90. XX w. mówiono o potrzebie zwolnienia nawet 30 tys. osób – wspomina. – Potem jednak osiągnięto porozumienie: wszyscy pracownicy zrezygnowali z dużych pieniędzy tylko po to, by uniknąć zwolnień. Zmniejszono liczbę godzin pracy. I udało się przetrwać.

Dziś związkowcy naciskają na koncern, aby także najlepiej zarabiający menadżerowie zrezygnowali z bonusów, a akcjonariusze z dywidendy. Nie wiadomo jednak, kiedy zapadnie decyzja o przyszłości niemieckich zakładów i pracowników. Wkrótce, 23 lutego 2025 r., są przedterminowe wybory do Bundestagu i ciężko sobie wyobrazić, by politycy po cichu nie wpływali na szefostwo VW, aby do tego czasu wstrzymało się z trudnymi decyzjami.

Jednak te w końcu będą musiały zapasć. Frank Schwope uważa, że najpierw dojdzie do zamknięcia mniejszych zakładów, jak ten w Osnabrück, którego moce produkcyjne są wykorzystywane tylko w 18 proc. ze względu na mniej zamówień.

JAZDA SERPENTYNAMI | Wobec tak niepewnej przyszłości wielu pracowników woli myślami wspominać stare dobre czasy. – Była nas trójka rodzeństwa. Rodzice zapakowali nas do garbusa, wraz z konserwami i słoikami z wcześniej ugotowanym jedzeniem. Pojechaliśmy na camping do Włoch. Wtedy jeszcze nie jechało się przez tunele, tylko wąskimi serpentynami przez górskie przełęcze. Nawet teraz dostają gęsiej skórki – wspomina Matze.

Podróż, w której znajduje się obecnie cały koncern, jest dziś trudniejsza. Jej cel to otwarcie nowego rozdziału w historii samochodu. Tyle że prostej drogi prowadzącej do tego celu nie pokazuje na dziś jeszcze żadna mapa. © ŁUKASZ GRAJEWSKI

W pierwszą rocznicę śmierci, z wdzięcznością za cały dorobek, wizję i inspirację, które pozostawiły trwały ślad w historii Comarchu, wspominamy

Ś.†P.

Profesora Janusza Filipiaka

(ur. 3 sierpnia 1952, zm. 17 grudnia 2023)

współzałożyciela firmy, wybitnego uczonego,
przedsiębiorcę i pasjonata piłki nożnej.

ZARZĄD, RADA NADZORCZA I PRACOWNICY FIRMY COMARCH

POZEGNIANIE



ALAMY / B&EW

Najsłynniejszy jawor na Wyspach Brytyjskich przed zniszczeniem

Drzewo z Jaworowego Przesmyku

PATRYCJA BUKALSKA

W Wielkiej Brytanii zaczął się proces, który wywołuje ogólnokrajowe zainteresowanie: mężczyźni oskarżonych o ścięcie drzewa, które rośnie przy antycznym murze Hadriana. Będzie to jednak historia przede wszystkim o nadziei i odrodzeniu.

JAWOR, A DOKŁADNIEJ KLON JAWOR CZY klon jaworowy (po łacinie *acer pseudoplatanus*), nie jest drzewem rzadkim, przeciwnie. Są też w Wielkiej Brytanii drzewa starsze i większe. Jednak to właśnie ten jeden jawor, szczególny, był chyba najczęściej fotografowanym drzewem na świecie.

Nazywano go *Sycamore Gap Tree*, w wolnym przekładzie Drzewem z Jaworowego Przesmyku. Od prawie 200 lat rośnie – samotne i idealnie symetryczne – w zagłębieniu terenu przy pozostałościach muru Hadriana. To kamienny wał obronny, który w II wieku naszej ery Rzymianie zbudowali w północnej Anglii, by chronić zajęte przez siebie tereny przed najazdami plemion piktyjskich.

Świat zobaczył je w filmie „Robin Hood. Księżę złodziei” z 1991 r. (rolę ty-

tułową zagrał w nim Kevin Costner) i od tego czasu pielgrzymowali tam turyści i zakochani. Drzewo było świadkiem oświadczeń i pożegnań, punktem spotkań i odpoczynku ludzi wędrujących wzdłuż antycznego muru. Dzieliło z mieszkańcami i przybyszami chwile radości i smutku.

Aż do poranka 28 września 2023 r., gdy okazało się, że minionej nocy ktoś je ścinał. Informacja o tym stała się newsem ogólnobrytyjskim i wywołała powszechne oburzenie.

Teraz wiadomo już, że w jakiejś formie jawor będzie jednak żyć nadal.

„KOPIE” NADZIEI | Jest ich czterdzieści dziewięć: małych jaworków. Na razie to niewielkie, bo ledwie ponadmetrowe sadzonki. Skrywane są w ośrodku The

Plant Conservation Centre (PCC), który w hrabstwie Devon prowadzi organizacja The National Trust.

Dokładna lokalizacja tego ośrodka nie jest ujawniana ze względów bezpieczeństwa – przechowywane są tam najcenniejsze genetyczne „kopie zapasowe” słynnych brytyjskich drzew. Wśród nich np. „kopie” jabłoni, z której miał pochodzić owoc, jaki dał inspirację dla podstaw teorii grawitacji Izaaka Newtona. Albo „kopie” liczącego przynajmniej 1400 lat cisa, w którego cieniu król Henryk VIII miał adorować Anne Boleyn (według niektórych źródeł tam się jej oświadczył).

Rok temu do tych znakomitości ze świata drzew dołączyły kielkujące nasiona ściętego nielegalnie jaworu. Teraz zdecydowano, gdzie trafią małe drzewka, gdy będzie już można je przesadzić. O pozyskaniu słynnych sadzonek aplikowało prawie 500 organizacji i fundacji z całej Brytanii. Wybrano 49, bo tyle stóp liczyło drzewo, gdy je ścięto (to ok. 15 metrów). „Drzewa nadziei”, jak je nazwano, w 2025 r. będą zasadzone w miejscach publicznych – tak, aby ich przesłanie dotarło do jak największej liczby ludzi.

O PRZETRWANIE | W tamten wrześniowy poranek 2023 r., gdy media obiegała wieść o niezrozumiałym akcie wandalizmu, nikt jeszcze nie myślał, jak przekuć to zło w coś dobrego.

Policja zaczęła szukać sprawców, a dla ludzi z National Trust zaczął się wyścig ➔

→ z czasem. Jak relacjonowała później BBC, miejscowa ogrodniczka Rachel Ryver wspięła się na powalone drzewo i zebrała tzw. zrazy – młode gałązki z pąkami, które można przeszczepić na sadzonkę innego drzewa (sadzonka taka zwana jest podkładką). W ten sposób w ogrodnictwie uzyskuje się identyczne genetycznie drzewa.

Żywe gałązki i kilka toreb z zebranymi nasionami Rachel wysłała jeszcze tego samego dnia do PCC w Devon. Skrzydlaki, owoce jawora, dojrzewają jesienią, była więc szansa, że nasiona wykiełkują. Gorzej było z żywymi gałązkami, które mogły po drodze wyschnąć i obumrzeć. Co więcej, drzewa szczepi się zimą, gdy są uspione – jesień to nie jest dobra na to pora.

Cenny ładunek dotarł do Devon następnego dnia rano i tamtejsi ogrodnicy rzucili się do pracy. Odetchnęli jednak dopiero kilka miesięcy później, gdy mogli poinformować, że przetrwało dziewięć szczepionych drzewek, a około stu kiełkuje z nasion.

W maju 2024 r. po raz pierwszy pokazano publicznie sadzonkę Drzewa z Jaworowego Przesmyku – miało to miejsce na wystawie ogrodniczej RHS Chelsea Flower Show, gdzie zaprezentowała ją Judi Dench. Aktorka nie kryła, że drzewa mają dla niej szczególne znaczenie. Szczepkę, mierzącą ok. 15 centymetrów, nazwała Antoninus – tak miał na imię adopto-

wany syn i następca cesarza Hadriana. „Drzewo musi mieć imię” – powiedziała Dench.

ŁUDZIE I DRZEWIA | Być może wszystkie „Drzewa Nadziei” otrzymają kiedyś swoje imiona. Na razie zdecydowano, komu zostaną przekazane.

I tak, jedną z sadzonek już wcześniej obiecano rodzicom 12-letniego Fergus, który miał wybrać się z ojcem na wyprawę wzdłuż muru Hadriana, ale zdiagnozowano u niego raka. Fergus zmarł w 2022 r. „Największym lękiem po śmierci dziecka jest to, że zostanie zapomniane” – mówiła matka chłopca w BBC.

Jawor zostanie zasadzony ku pamięci Fergus w pobliżu zielonych terenów rekreacyjnych niedaleko Bristolu, gdzie grał ze swoim tatą w krykieta. W zamyśle rodziców ma również zwrócić uwagę na wszystkie dzieci dotknięte chorobą nowotworową.

Kolejne drzewko zostanie przekazane do budowanego ośrodka opieki nad chorymi na stwardnienie boczne zanikowe przy szpitalu w Leeds. Sercem ośrodka będzie ogród, który ma być miejscem refleksji i komfortu, przeznaczony dla chorych i ich rodzin. To dobre miejsce dla „drzewa nadziei”.

Jeszcze kolejne trafi do ośrodka wsparcia dla weteranów w Sunderland. Na-

stępne – na południe, na wyspę Wight. A jeszcze kolejne: na Orkady, do Walii i Irlandii Północnej – wszędzie tam, gdzie poprzez mały jawor ludzie chcą opowiedzieć coś ważnego.

TROJE PRZYJACIÓŁ | Gdy Martina Irwin z Coventry usłyszała o ścięciu słynnego jaworu, postanowiła działać. Już wcześniej zajmowała się drzewami: na terenie ogródków działkowych założyła wraz z przyjaciółmi The Tree Sanctuary, gdzie swoje miejsce znajdują drzewa uszkodzone i niechciane.

„Kiedy usłyszeliśmy o utracie drzewa z Sycamore Gap, nasza grupa Tree Amigos postanowiła zasadzić lokalnie zebrane nasiona jaworu, aby stworzyć żywe dziedzictwo tego gatunku” – opowiadała. Tree Amigos to trzej nastolatki: Tom (syn Martiny) i jego koledzy Adam i Owen.

Zwykle jeśli jakieś drzewo niszczy lub choruje w przestrzeni publicznej, lokalne władze usuwają je i sadzą nowe. Tymczasem chłopcy zabierają je do azylu stworzonego przez Martinę: tam zdrowieje i jest potem przesadzane w inne miejsce, np. do lasu Liberty Wood, który powierzyli im lokalne władze.

Przygoda nastolatków z drzewami zaczęła się w 2022 r., gdy deweloper chciał usunąć 25 brzoź. Chłopcy, wtedy 16-letni, przekonali go, żeby im je przekazał, a oni znaleźli dla nich nowe miejsce i dbali o nie, dopóki się nie zakorzeniły. Z czasem do ich trójki dołączyli inni. Teraz The Tree Sanctuary i Tree Amigos dostaną jedno z 49 „Drzew Nadziei”.

„To wyjątkowe drzewo zostanie zasadzone wśród innych zagubionych drzew znajdujących się pod naszą opieką” – mówiła szczęśliwa Martina, licząc, że jawor będzie inspiracją dla ludzi, zwłaszcza młodych, że zbliżą się do natury, nauczą szacunku i odpowiedzialności za wszystkie drzewa.

WYPOŻYCZALNIA | Swoją jaworową szczepkę Tree Amigos, tak jak wszyscy, dostaną dopiero w 2025 r. Tu nie ma wyjątków, drzewka muszą być dość silne, by przetrwały przesadzanie. Na sadzonkę jaworu z Sycamore Gap czekać musi nawet król Karol III.

Mimo zimy nastolatki z Tree Amigos i tak mają jednak co robić: zaczął się se-

Judi Dench z sadzonką drzewa z Sycamore Gap na wystawie Chelsea Flower Show. Wielka Brytania, 20 maja 2024 r.



zon świąteczny, a oni prowadzą program recyklingu choinek. Po świętach zbierają choinki doniczkowe, które inaczej trafiłyby na śmietnik. Dbają o nie, jeśli trzeba przesadzają, i przechowują do kolejnych świąt Bożego Narodzenia, aby wtedy wypożyczać je chętnym.

Z „choinkowej wypożyczalni” korzystają np. lokalne organizacje charytatywne, które nie mają pieniędzy na zakup nowych drzewek.

„W naszym Tree Sanctuary skupiamy się na ratowaniu niechcianych i zniszczonych drzew, a część choinkowa jest po prostu tego przedłużeniem. Każdemu drzewu, które tu trafia, dajemy wszelkie możliwe szanse na przetrwanie” – wyjaśniała mediom Martina.

I dalej: „Nie jesteśmy firmą. Jesteśmy grupą wolontariuszy, którzy połączyli siły”.

CO POZOSTANIE | Tamtego dnia, gdy Drzewo z Jaworowego Przesmyku zostało ścięte, jednym z dominujących uczuć było niedowierzanie. Dla czego ktoś miałby zrobić coś takiego? Brytyjczycy byli w szoku.

Motywy dwóch 30-latków, których właśnie postawiono przed sądem, nie są znane; obaj nie przyznają się do winy. Usłyszeli zarzuty celowego uszkodzenia drzewa i uszkodzenia muru Hadriana (drzewo spadło na zabytkową konstrukcję). Szkody wyceniono na ponad 620 tys. funtów. Proces ma być kontynuowany w styczniu.

Tymczasem w Devon sadzonki rosną, nabierają sił i za niecały rok trafią do swoich nowych domów. „Mamy nadzieję, że każde drzewko będzie niosło ze sobą przesłanie nadziei, rozpoczynając nowy rozdział. Nie tylko dla drzewa, ale dla wszystkich 49 osób i społeczności, które otrzymają drzewko w przyszłym roku, a także dla osób, które będą je odwiedzać” – informuje fundacja The National Trust.

Życie też nie całkiem zniknęło z Sycamore Gap. Z pniaka ściętego jaworu miały jednak wyrosnąć młode pędy. To znak, że drzewo może się jeszcze odrodzić.

© PATRYCJA BUKALSKA



VINCENT ISORE / ZUMA PRESS / FORUM

Inauguracja Vitrynes de Noël. Paryż, listopad 2024 r.

W tym domu mieszka magia

DOROTA MALINA Z PARYŻA

Tuż przed Bożym Narodzeniem odbywają się w Paryżu coroczne zawody wystawienniczej maestrii, czyli wyczekiwany przez dużych i małych spektakl Vitrynes de Noël – ruchome święto luksusu.

OSOBĘ, KTÓRA ODPOWIADA ZA ARANŻACJĘ sklepowych wystaw, nazywa się we Francji *étalagiste*, „rozkładaczem”. Słowo pochodzi z niewinnych czasów, kiedy faktycznie chodziło o to, by ładnie ułożyć oferowane towary, zachęcając klienta do wejścia. Szykownie udrapowany szal na manekinie czy piramidki kandyzowanych owoców kusily dobrym gustem i obietnicą słodczy. Reklama oparta była na przeświadczeniu, że witryna podprogowo kształci. Słowem: sprzedaż zaczyna się od okna.

Apaszkki u Hermesa

Tak było dawniej. A jak jest teraz, kiedy walka o portfel klienta urosła do rangi dyscypliny naukowej, coraz częściej kupujemy w internecie, „fizyczne” sklepy zaś sprzedają coraz cienie? Oczywiście wszystko zależy od budżetu. Prestiżowe

marki, które stać na czynsze w centrum Paryża, nie szczędzą funduszy. Wiedzą, że warto. Im ciekawsza aranżacja witryny, tym więcej zdjęć wrzucanych na Instagram przez modowych i lifestyle’owych influencerów z całego świata. Wieść się niesie i reklama robi się sama, przyciągając na zakupy rzesze japońskich eleganek i włoskich dandysów.

Wymaga to jednak inwestycji sił i środków. To, co rodzima plastyczka robiła w jedno popołudnie, wykorzystując brytol i marszczoną bibułę, francuskim dekoratorom zajmuje długie miesiące i wymaga współpracy z rzeszą specjalistów. Zaprzyjaźniony architekt opowiadał mi, że zaraz po studiach, zanim znalazł etat w agencji, przez trzy miesiące robił witryny u Hermesa. I choć potem zdarzało mu się zarywać noce nad deską kreślarską i toczyć bitwy z konserwatorem →

→ zabytków (którego motto brzmi: „Niczego nie zmieniać”), twierdzi, że nigdy nie harował ciężiej niż aranżując apaszkę.

Zanim odszedł, miał swoją kanciapę z napisem *set designer*. Tym bowiem nieeleganckim anglicyzmem określa się osobę, która odpowiada za scenografię spektaklu pod tytułem luksusowa witryna. Scenograf tłumaczy na język przedmiotów wizję dyrektora artystycznego, który na moodboardach stara się przekazać, co mu w duszy gra. I dlaczego fuksja numer 34 wprowadza fałszywą nutę.

Repertuar w tym teatrze zmienia się często, mniej więcej co pięć tygodni, bo wystawa nie może się opatrzyć. Nieustannie trzeba mieć więc nowe, fotogeniczne i zaskakujące pomysły. Związane z tożsamością marki, ale niezbyt dosłownie, nawiązujące do aktualnej mody, ale oryginalne, w dialogu z tradycją, ale twórczo ją reinterpretujące. Walentynki, wiosna, letnie wyprzedaże czy powrót do szkoły to nie lada wyzwania, zwłaszcza że nie wolno powtarzać – siebie ani sąsiadów.

Manekin à la Modigliani

Moja prababcia w święto Matki Boskiej Gromnicznej zakładała folię na ubraną choinkę i zanosila ją do komórki, skąd 24 grudnia tego samego roku rytualnie ją wyjmowała. Latami nie zmieniał się nawet układ bombek (tylko plastikowego igliwia ubywało). I choć powtarzalność stanowi nieodłączny element świątecznych rytuałów, Le Bon Marché czy Printemps wtórny użytek robią wyłącznie z manekinów – a i to nie zawsze, bo nawet plastikowe ciała ewoluują pod wpływem mody: obecnie stawia się wydłużone sylwetki i owalne twarze à la Modigliani.

Wielkie domy handlowe miesiąc oryginalności napinają szczególnie w Boże Narodzenie. To wtedy odbywają się doroczne zawody wystawienniczej maestrii, czyli wyczekiwany przez dużych i małych, szeroko komentowany spektakl *Vitrines de Noël*, ruchome święto luksusu.

Rok przygotowań, trzy tygodnie montażu, dziesiątki zaangażowanych osób – tyle sił i środków pochłonęła zainaugurowana 7 listopada wystawa świąteczna w galerii Printemps. Uśmiechnięta Juliette Binoche przecina wstęgę, błyskają flesze, kukiełki za szybą ruszają w tan. A raczej w podróż, bo tegoroczny temat to „Orient Express”. Odziane na zielono ludziki jadą do krainy zabytków i uciech, a każde okno

wielkiego sklepu stanowi osobny rozdział ich zaczarowanej podróży.

Tymczasem w sąsiednich Galeries Lafayette Szwajcar Kevin Germanier (autor złotego kostiumu Golden Voyageur, w którym akrobata i tancerz Arthur Cadre zamykał olimpiadę) zaproponował konkurencyjny pokaz ruchomych obrazów pełen brokatu, elfów i chimery. Chwali się, że wystawa jest ekologiczna, bo wykorzystał przetworzone materiały z upcyklingu. O tym, że spektakl „światło i dźwięk”, którym w gruncie rzeczy jest jego witryna, pochłania mnóstwo energii – tysiące lamp i świetlików działa niemal bez przerwy przez osiem tygodni – już nie wspominał. No ale uśmiech na twarzach przyklejonych do szyby dzieci jest bezcenny.

Poza tym ten rok jest wyjątkowy, bo jubileuszowy. Na inauguracji witryny w obecności Germaniera i popularnego piosenkarza Vianneya obwieszono, że to już 130. wspólne Boże Narodzenie paryzan i ich ulubionego sklepu.

Automaty Decamps’a

Ruch i fabułę do paryskich witryn wprowadzono na początku XX w. dzięki automatom słynnego zakładu Maison Roullet-Decamps. W 1909 r., kiedy świat żył zdobyciem bieguna północnego, dekorator Le Bon Marché postanowił umieścić w witrynie ruchomą relację z wyprawy. Inne domy handlowe natychmiast podchwyciły pomysł i odtąd co roku – z przerwami na wojny – znani rysownicy i karykaturzyści projektowali nowy świąteczny spektakl: „Wiatr ze Wschodu”, „Tour de France”, „Zimowa opowieść”.

Choć tematów nie brakuje, zawsze jest ryzyko, że konkurencja wymyśli podobną koncepcję. Zwłaszcza że od lat 80. marionetki i automaty Decamps’a zaczęto zastępować pluszowymi zabawkami na sznureczkach, a żeby wprawić je w ruch, domy handlowe korzystają z marionetkarzy Ducloux-Dehix (rodzinna firma o ponad półwiecznej tradycji). A po „aktorów” wszyscy dyrektorzy artystyczni wyprawiają się do Norymbergi.

To w tym bawarskim mieście odbywają się międzynarodowe targi zabawek Spielwarenmesse. Myli się ten, kto spodziewa się bajkowej krainy w stylu londyńskiego Hamlejsa. Po wielkiej hali pełnej lalek i pluszaków biegają nie dzieci,



lecz zaaferowani właściciele sklepów, hurtownicy i set designerzy. Wyslannicy paryskich domów handlowych przyjeżdżają tu na casting – mają scenariusz wystawy i moodboardy z tendencjami na następny rok (barwy, motywy, słowa klucze), a teraz szukają odpowiednich postaci. Jeśli nic ich nie zachwyci, zamawiają pluszowe zabawki na miarę.

O całorocznych przygotowaniach do świątecznego *show* opowiada dostępny w internecie dokument Didiera Fasio „Les secrets des vitrines de Noël des grands magasins” („Tajemnice witryn świątecznych wielkich domów handlowych”). Warto na niego zerknąć, nawet jeśli nie zna się francuskiego. Zaaferowana ekipa debatuje nad scenariuszem przy stole. Cięcie. Dyrektor artystyczny (w czarnym golfie) z asystentką biegają po targach zabawek, obmacując wielkie pluszowe strusie. Cięcie. W pracowni krawieckiej strusie dostają kostiumy – peniuary, woalki, strusie (sic!) pióra i zamieniają się w elegancką strusicę Dafne. Cięcie. Dafne uczy się tańczyć w zakładzie lalkarskim. Cięcie. Studio muzyczne i ustalanie ścieżki dźwiękowej. Cięcie. Spotkanie z oświetleniowcem.



Inauguracja *Vitrines de Noël* 2024.
Tegorocznym tematem
świątecznych witryn jest „Orient Express”.
Paryż, listopad 2024 r.

Główną rolą witryny jest jednak przyciąganie uwagi. Oswajanie małych klientów z marką Printemps czy Lafayette i podprogowy przekaz, że to w tym domu mieszkają magia, luksus i przyjemność. Magnes działa – pod markizami kłębią się takie tłumy, że w weekendy policja kieruje ruchem, a maluchy dosłownie uprawiają *window shopping*, który po francusku nazywa się *lèche-vitrine* (czyli lizaniem wystaw).

Aniołek skarbonka

Jeśli witryna to, jak mówi słownik języka polskiego, „duże okno w sklepie lub punkcie usługowym, w którym właściciel prezentuje to, co ma do zaoferowania klientom”, paryskie galerie handlowe obiecują nam zaczarowane święta. I zachwycają jak teatrzyk marionetek – zresztą już w latach 80. André Barret napisał: „Parada sklepowych wystaw mocno fascynuje; tylko ich efemeryczna natura i konszachty z komercją skłaniają do rezerwy i odmawiania im statusu dzieł sztuki”.

Kiedy byliśmy małe, zabierano nas z siostrą na oglądanie szopki w klasztorze bernardynów w Kalwarii Zebrzydowskiej. Tylko w tym czasie msze nam się nie dłużyły, bo w tłumie podziwialiśmy ruchomą, mrugającą scenografię: pasterz potrząsał laską, krówka ruszała ogonem, trzej królowie jechali po szynie do żłóbka. W laickiej Francji biblijną historię o Jezusie, który „nie ma poduszeczki ani kolebeczki”, zastępuje świecka opowieść o obfitości i przyjemnościach.

Żeby jednak zbyt mocno nie kontrastować *sacrum* i *profanum*, dodam, że elementem kalwaryjskiej szopki był (a może nadal jest) aniołek-skarbonka, który kiwał główką, kiedy wrzuciło mu się pieniążek. Tym mocniej, im wyższy nominal. Za dwadzieścia groszy dostawało się nieznaczne skiniecie, za piątkę energiczny ruch wahadłowy. Figurki na wystawach domów handlowych ruszają się gratis.

© DOROTA MALINA

Rok i wiele roboczogodzin później uroczysta inauguracja spektaklu. Dzieci zachwycone przygodami sztywnego ptaszycy. Dyrektor artystyczny ma worki pod oczami i szeroko się uśmiecha. Pewnie pójdzie na urlop. Bo za tydzień czas planować przyszłoroczną wystawę.

Piramidka Ferrero

Na pomysł poruszenia witryny wpadły też swego czasu peerelowskie dekoratorki jednego z dużych domów handlowych. Otóż postanowiły wykorzystać stale otwierane drzwi przez wchodzących i wychodzących klientów do poruszania Mikołaja ulokowanego na kolorowym spadochronie, wśród stosów słodczy. W tym celu przeciągały w oknie cienki drut stalowy, wzdłuż którego miał Mikołaj fruwać na umocowanej do górnej części drzwi wejściowych żyłce. Co prawda Mikołaj posuwał się zrywami, w zależności od energii wchodzących ludzi, ale i tak gromadził przed oknem tłumek zaciekawionych.

Zaradność Polek, które do dyspozycji miały metody chałupnicze, własną pomysłość i żyłkę, wzbudza podziw. W tym samym czasie (koniec lat 50.) w Paryżu nad wystawami *grands magasins* już

pracują scenografowie, lalkarze, oświetleniowcy i rzesza innych rzemieślników. Ważną różnicą jest też to, że francuskie wystawy twórczo interpretują motyw świąt – rzadko widuje się Mikołaja i renifery. Bożonarodzeniowym akcentem są raczej barwy, brokat, delikatne odniesienia. Widocznie celujące w zamożną międzynarodową klientelę sklepy nie mogą pozwolić sobie na judeochrześcijańską monokulturę. Ponadto wiele z nich centralizuje koncepcje witryn, tak że – z wielkimi modyfikacjami – te same aranżacje mają przyciągać klientów Galeries Lafayette w Paryżu, Dosze i Szenzen.

Co ciekawe, wystawę niekoniecznie wypełniają sprzedawane w sklepie produkty. Niemal od początku wystawy luksusowych domów handlowych pomyślano jako serie ruchomych obrazów wyzwolonych z przymusu reklamy – scenografia miała jak najlepiej realizować motyw przewodni, a nie na siłę opychać dobra klientom. Co nie znaczy, że gapiom od czasu do czasu nie mignie walizka ze znanym logo czy piramidka czekoladek Ferrero Rocher. A na framudze dyskretna informacja, że niektóre zabawki są do nabycia w środku.

Świąteczne witryny można oglądać w Paryżu do 31 grudnia 2024 roku.

W ogrodzie Europy

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z NÍJAR (POŁUDNIOWA HISPANIA)

Tam, gdzie żyją, w slumsowych osiedlach Hiszpanii, nie ma prądu i bieżącej wody. Ale powstają tu szkoły. Zakładają je imigranci, którzy pracują tu przy uprawie warzyw i owoców. Pojechaliśmy tam z wizytą.

NA MIEJSCE DOCIERAM WIECZOREM. NIE można go znaleźć na mapie. Trzeba kierować się do El Barranquete w andaluzyjskiej gminie Níjar. Dalej potrzebne będą już współrzędne geograficzne.

Miejsce ukryte jest za wzgórzem i otoczone białymi połaciami plastiku, popularnie zwanymi szklarniami. Przy wjeździe do osady mijam górę śmieci, niewywożonych pewnie od tygodni. Aby przemieszczać się po tym osiedlu, potrzebna jest latarka, inaczej można się tu zgubić.

Także przy wjeździe do osady imigranci zmobilizowali się i postanowili zbudować trzy szkoły-szałas. To drewniane pale otoczone plastikiem, od góry pokryte prześcieradłami. W środku są krzesła i szkolne tablice. Mimo prowizorycznego charakteru, budowle wydają się stabilne i chronią przed wiatrem, który daje się tu we znaki zwłaszcza późną jesienią i zimą.

Celem tego grupowego wysiłku była edukacja.

W MROKU | W tej osadzie slumsowej, nieformalnie zwanej El Hoyo (dosłownie: dół, wykop), mieszka kilkadziesiąt osób z Maroka. Większość dotarła na prowizorycznych łodziach. Niektórzy żyją tu

od kilkunastu lat, ale ledwie potrafią się przedstawić po hiszpańsku. Otoczenie rodaków i fizyczna praca w rolnictwie nie służą nauce języka.

– Dziś zaczniemy później. Niektórzy uczniowie dopiero wracają z pracy – mówi Clara z Jezuickiej Służby Migrantom (JSM, pozarządowej organizacji). Z wykształcenia prawniczka, spełnia się w roli pracowniczki socjalnej. Widać, że tu dowodzi. Rozkłada krzesła. Oraz, co najważniejsze, włącza małe lampki, aby oświetlały tablice.

Uczniowie schodzą się na zajęcia. Dzielią się na trzy grupy, każda w innej „sali”. Najmłodsza składa się z trzech osób: to Fátima, Samira i Najoua. Prosiły o lekcje w kamestralnej atmosferze, z dala od wzroku mężczyzn. Uczą się hiszpańskiego pod okiem Chadidży, nauczycielki z Maroka.

WIELKIE PLANY | To ich trzecie zajęcia, ale 37-letnia Najoua już snuje wielkie plany. – Nauczę się hiszpańskiego, zdobędę lepszą pracę i odłożę pieniądze. Potem pobierzemy się z moim chłopakiem i zamieszkamy we własnym domu. Chcemy mieć kilkoro dzieci. Nie chcę, aby wychowywały się w slumsach, bez

dostępu do wody i prądu. Jaki los by ich tu czekał? Nie chcę, żeby bawiły się przy tej górze śmieci – mówi mi Najoua.

W drugiej sali, w grupie najbardziej licznej, uczy się kilkunastu mężczyzn; średnia wieku to około 30 lat. Trwa sprawdzanie listy. – Barek, Mustafa, Youseef, Muhammad – nauczycielka-wolontariuszka z JSM wyczytuje listę, a uczniowie co chwila wybuchają śmiechem, gdy przekręci czyjeś imię.

Będą ćwiczyć hiszpański, rozmawiając o codziennych czynnościach, pracy, zakupach, odpoczynku. Choć słuchanie ich odpowiadać uświadamia, że w ich życiu pojęcie „odpoczynek” prawie nie istnieje.

OD ZERA | W trzeciej sali dowodzi Nuria, emerytka i wolontariuszka JSM. To z nią przez rok imigranci uczą się hiszpańskiego alfabetu. Wielu po raz pierwszy trzyma ołówek i uczy się pisać. Niektórzy mają po czterdzieści kilka lat.

– Łatwiej pracuje mi się z osobami, które nigdy nie nauczyły się pisać po arabsku – opowiada Nuria. – Wtedy zaczynamy od zera. Ci, którzy wcześniej mieli styczność ze szkołą, zapisują wszystko od prawej do lewej, jak po arabsku, i wszystkie litery na odwrot.

Nuria rozdaje sprawdzone prace z poprzednich zajęć, gdy jej uczniowie musieli opisać kilka części ciała. Teraz uczą się nazw kolorów, a w ich rozróżnieniu pomaga im tłumacz internetowy. Widać, że nie całkiem rozumieją nauczycielkę.

O 19.20 lekcje zakłóca alarm – na kilkunastu telefonach odzywa się islamskie wezwanie do wieczornej modlitwy.

Takie lekcje w slumsach odbywają się kilka razy w tygodniu, dzięki pracownikom różnych organizacji pozarządowych.



wych. A wszystko zaczęło się z inicjatywy samych imigrantów i przypomina prawdziwą szkołę: są dwa semestry nauki, zeszyty i zadania domowe.

LISTA REZERWOWA | – Chcesz się zapisać na zajęcia? – do Clary przychodzi nowy uczeń. Clara pyta, czy potrafi pisać, jak długo mieszka w Hiszpanii i czy ma tu krewnych. Gdy pada pytanie o rezydencję czy pozwolenie na pobyt, sąsiedzi z osiedla wybuchają śmiechem. Tutaj prawie nikt nie ma umowy o pracę.

Clara mówi mężczyźnie, że na razie nie ma miejsca, ale może przychodzić i jak inni z listy rezerwowej przysłuchiwać się lekcji. Nie można zapisać wszystkich, bo zabrakłoby krzeseł w szkołach-szałasach.

Przysłuchuje się temu Abdelahami, wysoki 36-latek zwany „tłumaczem”. W ciągu czterech lat nauczył się tak dobrze języka, że dziś pomaga wolontariuszom w porozumieniu się z innymi Marokańczykami. – Gdy tylko odłożę więcej pieniędzy, wyjadę stąd do miasta i znajdę lepszą pracę. Mam tu tylko brata. Z mojego szafasu wezmę tylko koce i poduszkę, najcenniejsze rzeczy, które tutaj mam – mówi Abdelahami.

– Pytasz, po co to robię? Mam czas na emeryturze i chcę go dobrze spożytkować. Tak naprawdę dostaję od nich w zamian więcej, niż daję od siebie. Widzisz ten dywan przy tablicy? Przynieśli mi go któregoś dnia. Chcieli w ten sposób podziękować – wzrusza się Nuria i mówi, że musi wracać na lekcje.

ZAROBIĆ I WRÓCIĆ | Do El Hoyo wracam jeszcze kilka razy. Poznaję tu Abderrahima, 31-latkę z Maroka. Przybył do Hiszpanii siedem lat temu przez Libię i Włochy. Pracuje codziennie od rana do wieczora. Wyjątkiem jest niedziela, gdy może skończyć pracę przed czternastą (w uprawie warzyw i owoców nie może być dnia przerwy).

Abderrahim pozuje do zdjęcia tyłem, przy wejściu do swojego szafasu z plastyku. Nie chce pokazywać twarzy, bo wstydzi się warunków, w jakich żyje.

Marzy, że zarobi dość pieniędzy, by wrócić do rodzinnej miejscowości w Maroku, parotysięcznej wsi Ouaoumana i kupić tam ziemię. Na razie jednak potrze-

buje umowy o pracę, by zalegalizować pobyt i dostać dokumenty. Od pracodawców ciągle słyszy, że muszą minąć trzy lata. – Oszukali mnie tak już dwa razy – mówi. – Siedem lat pracuję bez umowy i ubezpieczenia. Bolą mnie plecy, ale nie mogę iść do lekarza.

O nieuczciwych praktykach właścicieli szklarni pisze w mediach społecznościowych Związek Zawodowy Pracowników Andaluzji SOC-SAT. O warunkach bytowych, łamaniu prawa do płacy minimalnej i wypoczynku. „Pracownicy, którzy swoimi rękami, potem i biedą uprawiają tysiące kilogramów warzyw i owoców, znaczną część z etykietą BIO, mają prawo do godnych warunków życia. (...) Władze powinny rozliczyć się z subwencji unijnych i krajowych, które dostają na poprawę sytuacji migrantów i wywóz śmieci z osiedli biedy” – pisze SOC-SAT.

EKSMISJE | W sierpniu 2022 r. rząd Andaluzji uruchomił program mający na celu, jak to określono, „likwidację mieszkań o niskim standardzie”. Chodzi właśnie o osiedla biedy, gdzie żyją pracownicy szklarni. W roku 2023, roku wyborczym, władze nasiliły eksmisje i burzenie osiedli slumsowych, zwłaszcza w najbardziej turystycznych miejscach. Na terenie gminy leży bowiem jedna z głównych atrakcji Andaluzji: park naturalny Cabo de Gata. Słynie z oryginalnych formacji geologicznych, wpisanych na listę UNESCO.

Półtora roku temu wybory w gminie Níjar wygrali ponownie socjaliści, ale ostatecznie koalicję rządzącą utworzyła niechętna imigrantom koalicja prawicowej Partii Ludowej i ultraprawicowej VOX. Na czele gminy stanął José Francisco Garrido Requena.

Zmiany już widać. W osiedlu slumsowym w Atochares, domu dla niemal pół tysiąca osób, zakrecono jedyne ujęcie wody. Teraz jego mieszkańcy muszą iść do kolejnego punktu oddalonego o kilometr, a ta woda i tak nadaje się tylko do sprzątania i mycia.

OGRÓD EUROPY | Gmina Níjar należy do prowincji Almería, zwanej „ogrodem Europy”: ten region Hiszpanii zapewnia całoroczne dostawy owoców i warzyw. Co roku produkuje się tu ok. 4 mln ton warzyw i owoców, zwłaszcza pomidorów, papryki i cukinii. Trzy czwarte tra-

fia na eksport, głównie do Niemiec, Francji, Wielkiej Brytanii i Holandii.

Gmina należy też do najsuchszych miejsc w Europie. Dawniej ze względu na susze zakładano pola uprawne przy plażach. Bywało, że wiatr niszczył zbiory. Tradycyjne rolnictwo było tu trudne, nasilała się emigracja na północ Hiszpanii.

Ponad pół wieku temu pojawiły się pierwsze szklarnie i wkrótce przyczyniły się do wzrostu zamożności prowincji. W ciągu ostatnich 20 lat ich powierzchnia w gminie podwoiła się: z prawie 3,4 tys. hektarów w 2001 r. do ponad 6,5 tys. hektarów w 2022 r. Dziś Almería nazywana jest „morzem plastiku”.

BEZ ALTERNATYWY | Według władz lokalnych alternatywą dla slumsów jest osiedle przy Los Grillos. Rząd Andaluzji i rząd centralny w Madrycie przeznaczyły 1,5 mln euro na budowę 62 tymczasowych mieszkań do wynajęcia dla pracowników rolnych. „Mieszkania po przystępnej cenie, każde ma salon z kuchnią i jadalnią, sypialnię, łazienkę, a dodatkowo miejsca parkingowe i tereny zielone” – gmina chwali się inwestycją.

– To ładnie brzmi, ale za tę kwotę można byłoby zbudować więcej mieszkań. W dodatku potrzebne są mieszkania stałe, a nie tymczasowe – uważa Fernando Plaza ze stowarzyszenia Pro Derechos Humanos de Andalucía.

– Być może szansą na poprawę sytuacji pracowników rolnych w Hiszpanii byłyby międzynarodowe kontrole. Wierzę, że wszyscy kontrolerzy są niezależni, ale kontroler z Francji czy Polski byłby bardziej odporny na ewentualne naciski właścicieli szklarni – mówił mi dwa lata temu José Miguel Ramos z lewicowej partii Podemos.

Od tego czasu niewiele się zmieniło w tej okolicy. Dlatego imigranci z kolejnych slumsów biorą sprawy w swoje ręce. Chcą uczyć się języka, by zaważać o lepsze warunki pracy i miejsce do życia.

Organizacje pozarządowe prowadzą już bezpłatne lekcje hiszpańskiego w kilku osiedlach. Prośb o kolejne przybywa. – Nie wiem, czy chciałoby mi się iść na zajęcia po całym dniu ciężkiej pracy fizycznej, na kolanach czy w pochylonej pozycji – mówi mi Nuria. – Podziwiam ich i trzymam za nich kciuki. ©

Osiedle imigrantów koło Nijar, Hiszpania

Wojna o lit

ANTONINA PALARCZYK

Z OBWODU DONECKIEGO (UKRAINA)

W Donbasie rosyjska armia dotarła do wielkich złóż ukraińskiego litu – metalu, który jest dziś niezwykle cennym surowcem. Grabież tych zasobów, wartych kilkaset miliardów dolarów, to ważny cel Kremla. Choć nie mówi się o tym głośno.

SĄ BLISKO, CORAZ BLIŻEJ. UTRZYMUJĄC inicjatywę na froncie, rosyjskie wojsko najszybciej idą dziś do przodu w okolicy miast Pokrowsk i Kurachowe. Codziennie zajmują kolejne setki metrów, czasem więcej.

Postępy w tym rejonie mają dla celów wojennych Rosji szczególne znaczenie. Od granicy obwodu dniepropietrowskiego – to już centralna Ukraina – dzieli ich kilka kilometrów. Od złóż litu, jednych z największych w Europie, a znajdujących się na zachód od Kurachowego, jeszcze mniej.

SUROWCOWE ELDORADO | Złóża te, rozciągające się między Kurachowem a wsią Szewczenko (nie mylić z miejscowością o tej samej nazwie koło Pokrowska), odkryto w 1982 r. podczas głębokiego mapowania geologicznego.

Roman Opimach, szef ukraińskiej Państwowej Służby ds. Geologii i Zasobów Naturalnych uważa, że ukraińskie zasoby litu stanowią jeden procent światowych lub jedną trzecią wszystkich europejskich zasobów. Obok Kurachowego, na Ukrainie lit zlokalizowano też w pobliżu miasta Krzywy Róg (obwód dniepropietrowski), a także na terenach dziś okupowanych, w tym w obwodzie zaporoskim.

Jednak to nie tylko lit sprawia, iż ziemia wschodniej Ukrainy jest tak pożądana dla Rosji. To eldorado: Zagłębie Donieckie, potocznie Donbas, to jeden z najbogatszych w surowce regionów Ukrainy i Europy. Złóża węgla kamiennego,



Ukraińscy żołnierze pod miasteczkiem Kurachowe w obwodzie donieckim; w jego okolicy znajdują się duże złoża litu. 4 grudnia 2024 r.

który jest tu wydobywany od 1869 r., szacuje się wciąż na 40 mld ton (ok. 4 proc. światowych zasobów). Ukraiński wschód bogaty jest też w metale ziem rzadkich – niezbędne do produktów wysokich technologii.

KONCESJA NA WYROST | Na początku 2024 r. Petro Andruszczenko, kiedyś doradca mera Mariupola, poinformował, że przedstawiciele rosyjskiego koncernu Rosatom spotkali się z przywódcami Donieckiej Republiki Ludowej (kontrolowanego przez Rosję parapaństwa, utworzonego w 2014 r., we wrześniu 2022 r. anektowanego przez Putina) i otrzymali od nich koncesję na wydobycie litu w regionie donieckim. Następnie na ich podstawie mieli podjąć starania o licencję w rosyjskim Ministerstwie Przyrody.

Rzecz w tym, że było to wówczas dzielenie skóry na niedźwiedziu: w tamtym momencie złóża litu obok Kurachowego dzieliło od linii frontu kilkadziesiąt kilometrów. W dodatku był to wtedy jeden z kilku odcinków frontu (obok Awdiiwki i Nju-Jorka), gdzie armia ukraińska utrzymywała aż dotąd swoje pozycje niezmienne od 2014 r.

„To dlatego Rosjanie nie planują przerwania ani zakończenia wojny. A prorozyjskie środowiska powinny się zastanowić, o co tak naprawdę walczy Rosja. O »ruskich« czy może o ukraińskie zasoby. Odpowiedź jest oczywista” – pisał Andruszczenko na swoim kanale w komunikatorze Telegram.

PO CO ROSJI MALI? | Odpowiedź jest oczywista także dla rosyjskich internautów, którzy wspierają „specjalną operację wojskową”. Zresztą ukraińskie złóża litu pojawiają się w rosyjskim dyskursie jako nie jedyne, gdy idzie o walkę o ten surowiec.

„Ostatnia aktywizacja Grupy Wagnera i jej Afrika Korps rodzi uzasadnione pytanie: po co Rosji Mali? Odpowiedź nie jest tu tajemnicą: chodzi o zasoby, które można pozyskać nie od zachodnich firm, lecz od zaprzyjaźnionych reżimów. A najważniejszym z nich jest lit” – pisze kanał Departamentu, wspominając wydarzenia w północnym Mali latem 2024 r. Tuaregowie, którzy walczyli z malijskim reżimem, rozbili wówczas oddział wagnerowców, który wspierał armię rządową.

Rosyjski autor wyjaśniał czytelnikom: „Lit jest tam eksploatowany głównie przez zachodnie firmy. Jednak biorąc pod uwagę trend idący w stronę retoryki antykolonialnej, ich pozycje słabną i równie dobrze mogą [one] zostać przejęte przez krajowe [afrykańskie] firmy. A najlepszym sposobem na wzmocnienie przyjaźni jest pomoc w pokonaniu wszystkich rebeliantów i islamistów w regionie. Tym samym wzrasta zaufanie społeczeństwa, a przywódcy chętniej godzą się na porozumienia”.

BIAŁE ZŁOTO | Lit, należący do minerałów rzadkich, ma zastosowanie w hutnictwie, medycynie i przemyśle ceramicznym oraz chemicznym. A przede wszystkim: jest niezbędny do produkcji akumulatorów.

rów litowo-jonowych do pojazdów elektrycznych. Baterie litowe służą też do magazynowania energii pochodzącej z paneli słonecznych i turbin wiatrowych. Ze względu na te ostatnie zastosowania, lit nabiera statusu strategicznego surowca; coraz częściej nazywany jest „białym złotem”.

Kontrola nad takimi surowcami, bez których nie da się prowadzić zielonej transformacji, zwiększałaby zdolność Rosji do wywierania presji na kraje Zachodu. Zwłaszcza kraje Unii Europejskiej, które muszą importować ponad 90 proc. zużywanego przez nie litu (obecnie głównie z Chin).

„Interesy gospodarcze były jedną z motywacji rosyjskiej agresji na Ukrainę. Rosja jak dotąd potrafiła wywierać wpływ [na Europę] jako dostawca paliw kopalnych. Biorąc pod uwagę duże złoża litu na Ukrainie, wydaje się, że obecnie chce ona uzyskać dostęp do materiałów niezbędnych do dekarbonizacji krajów zachodnich” – czytamy w artykule pt. „Surowce Ukrainy i ich znaczenie strategiczne – analiza geopolityczna”, opublikowanym w niemieckim piśmie naukowym „Sirius”.

KWESTIA WYDOBYCIA | Dalej czytamy tam: „W rosyjskiej narracji wschód Ukrainy, Donbas, od dawna postrzegany jest jako kluczowy dla rozwoju i przetrwania rosyjskiej gospodarki”. Autorzy wnioskują, że pragnienie zagarnięcia złóż mogło być „motywem handlowym” dla inwazji.

Zwłaszcza że wiele spośród ukraińskich zasobów nie było dotąd eksploatowanych. To ułatwia ich zabór. Trudniej by było, gdyby eksploatację prowadziły już międzynarodowe firmy, które mogłyby potem dochodzić odszkodowań przed sądami arbitrażowymi.

Gdy idzie o złoża pod Kurachowem, w styczniu 2024 r. australijska spółka wydobywca European Lithium kupiła ukraińskie przedsiębiorstwo Jewropejskij Litij Ukraina, posiadające koncesję na zagospodarowanie tych zasobów. Jednak w rozmowie z „Forbesem” jej prezes zarządu Tony Sage powiedział ostatnio, że firma nie ubiega się już o donieckie złoża. Planuje za to zainwestować miliard dolarów w wydobycie litu w obwodzie kirowogradzkim (to centralna Ukraina).

ROSYJSKIE PLANY | Tymczasem ma ruszyć wielka fabryka Rosatomu produkująca akumulatory trakcyjne, pierwsza taka w Rosji. Jeden z zakładów zostanie uruchomiony w 2025 r. w obwodzie kaliningradzkim, drugi w 2026 r. w Moskwie. Do końca 2026 r. produkcja ma wynieść 100 tys. akumulatorów do pojazdów elektrycznych rocznie.

Rosatom jest zainteresowany rozwojem elektromobilności w Federacji Rosyjskiej, przejściem na transport elektryczny regionalnych przewoźników, firm taksówkowych i carsharingowych, publicznego transportu, przewoźników ładunków, a także rozwojem sieci elektrycznych stacji ładowania.

„Mamy dość obszerną mapę. Myślę, że dalej ruszymy na Syberię, na Ural, obalając tym samym mity, że samochód elektryczny nie może pracować w warunkach surowej rosyjskiej zimy. Bo może” – mówiła na konferencji w Kaliningradzie Natalia Nikipelowa, prezes firmy TVEL, zarządzającej częścią paliwową koncernu Rosatom.

Tak wielka inwestycja wymaga ok. 360 ton węgla litu rocznie. Jak na razie wydobycie surowca w Ukrainie, a tym bardziej w Mali to wciąż odległa perspektywa – nawet jeśli w ciągu najbliższych tygodni rosyjscy żołnierze zajmą okolice Kurachowego, pozostaną one w zasięgu ukraińskiej artylerii i dronów.

Podobnie, według „Kommersanta”, ma się sprawa rosyjskich zasobów litu – ze względu na nieprzygotowaną infrastrukturę, rozpoczęcie wydobywania w obwodzie murmańskim (tam są rosyjskie złoża) zacznie się nie wcześniej niż w 2028 r. Obecnie rosyjskie zapotrzebowanie na lit zaspokaja import z Ameryki Południowej. Szacowane przez „Kommersanta” wydobycie w Boliwii i w samej Rosji pozwoli Kremlowi kontrolować do 17 proc. światowego rynku.

Z DALEKIEJ BOLIWII | Największe zasoby „białego złota” na świecie koncentrują się w pustynnych solniskach tzw. trójkąta litowego: na terenie Boliwii, Argentyny

i Chile. Największa ilość przypada Boliwii – według szacunków Amerykańskiej Służby Geologicznej jest to ok. 21 mln ton, czyli ponad 21 proc. światowych zasobów tego metalu. Jednak w przeciwieństwie do Argentyny i Chile (będących największymi na świecie producentami litu, mającymi udziały na rynku odpowiednio 55 proc. i 26 proc.), w Boliwii do tej pory lit nie był wydobywany na skalę przemysłową.

30 kwietnia 2021 r. Boliwia ogłosiła międzynarodowy konkurs na wydobycie litu w solniskach Uyuni, Coypasa i Pastos Grandes. We wrześniu 2024 r. służba prasowa Rosatomu poinformowała, że kontrakt na budowę kompleksu przemysłowego do produkcji węgla litu został podpisany między spółką Uranium One Group (należy do Rosatomu) a boliwijską spółką państwową YLB (Yacimientos de Litio Bolivianos).

Projekt zakłada uruchomienie instalacji w drugiej połowie 2025 r., a następnie stopniowe zwiększanie mocy wydobywczych i pozyskanie do 14 tys. ton węgla litu rocznie. Rosatom najpewniej wykorzysta boliwijski surowiec w swoich zakładach produkujących akumulatory trakcyjne.

ZNÓW KURACHOWE | Gdy w minioną środę 11 grudnia kończyłam ten tekst, rosyjscy żołnierze z 5. Brygady Strzelców Zmotoryzowanych zajęli już wieś Stare Terny i posuwali się dalej na zachód północnym brzegiem rzeki Wowczy. Od wsi Szewczenko dzieliły ich 2-3 km. Atakująca południowym brzegiem rzeki 110. Brygada Strzelców Zmotoryzowanych zajęła już większość miasteczka Kurachowe i także parła na zachód (nazwy zidentyfikowanych jednostek za portalem DeepState).

Utrata południowej części ukraińskiego Donbasu wydawała się kwestią kilkunastu dni. A wraz z nim – utrata surowców, których wartość może sięgać jednej trzeciej rosyjskich wydatków na tę wojnę. Te, wedle szacunków amerykańskich, mają sięgać dziś półtora biliona dolarów.

©

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

LABORATORIUM W KIESZENI

Wróg, którego trzeba przepędzić, czy najlepszy, choć dotąd niewykorzystany sojusznik?

Czym są dla uczniów smartfony i inne urządzenia mobilne?

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa. Ale eksperci z Centrum Nauki Kopernik starają się stworzyć podstawy pod zupełnie nowe podejście do stosowania elektronicznych gadżetów w nauce.

„Wymyśliłem zestaw zasad, które opisują nasze relacje z technologiami” – pisał brytyjski satyryk i baczny obserwator technologicznego postępu, Douglas Adams.

„1) Wszystko, co istnieje, gdy się rodzisz, jest normalne, zwyczajne i jest naturalną częścią porządku świata;
2) wszystko, co zostało wynalezione, gdy masz między 15 a 35 lat, jest nowe, ekscytujące, rewolucyjne i zapewne można w tym zrobić karierę;
3) wszystko, co zostaje wynalezione po tym, jak skończysz 35 lat, jest wbrew naturze”.

POKOLENIA

I to jest najlepsze streszczenie źródła napięć, jakie widzimy w dzisiejszej szkole. Z jednej strony mamy pokolenie iksów, milenialsów i ich rodziców, którzy często dopiero jako dorośli mieli kontakt ze smartfonami i możliwością pozostawiania w stałej łączności z siecią – bo wcześniej ich po prostu nie było. Z drugiej – nastolatków i ich jeszcze młodsze rodzeństwo, dla których jest ona tak naturalna jak oddychanie. Jedni traktują smartfony z podejrzliwością, drudzy – nie rozumieją, jak świat mógł funkcjonować bez nich.

W badaniach* przeprowadzonych przez Centrum Nauki Kopernik w szkołach widać, jak to zaczyna się zmieniać. Wielu nauczycieli wykorzystuje technologię i widzi w tym korzyści.

„To jest naturalne środowisko komunikacji, nawiązywania więzi i budowania relacji” – mówi **KATARZYNA POTĘGA VEL ŻABIK**, kierująca Działem Badań nad Kompetencjami Przyszłości w Koperniku.

Badania mówią, że wiek, w którym młody Polak otrzymuje swojego pierwszego smartfona, obniżył się z 10 lat w 2019 r. do zaledwie 8 i pół roku w 2022. Jednocześnie czas spędzany przez młodzież w sieci wzrósł z 3 godzin 40 minut w 2014 r. do 5 godzin i 36 minut dwa lata temu. Smartfona ma już 96 proc. nastolatków. Tablet – 39 proc. Niemal 60 proc. z nich regularnie zabiera smartfona do szkoły.

Dzieje się tak, mimo że aż 67 proc. rodziców obawia się, że urządzenia rozpraszały dzieci. To właśnie te obawy, wraz z solidnie ugruntowanymi wątpliwościami dotyczącymi negatywnego wpływu mediów społecznościowych na psychikę młodych ludzi prowadzą do coraz częstszych apeli o zakaz używania w szkołach smartfonów. U nas na razie regulacje należą do poszczególnych placówek. We Francji, Włoszech,

Grecji czy Portugalii zakazy wprowadzono oddzielnie, decyzją rządu.

CZY MOŻNA INACZEJ?

– Telefon czy tablet nie jest naszym wrogiem, ale musimy wiedzieć, jak sensownie go wykorzystać – podkreśla **KAMIL WACHOL**, koordynator projektów badawczo-rozwojowych w Koperniku. – To nadal jest tylko narzędzie. Pytanie, jak korzystać z niego mądrze?

Problemem jest wciąż niski poziom kompetencji cyfrowych – tak nauczycieli, jak i młodzieży. – Niezależnie od tego, że telefony są i w naszym życiu, i w życiu uczniów, dalej kompetencje technologiczne nie rozwijają się samoistnie – zauważa Potęga vel Żabik.

DR ILONA IŁOWIECKA-TAŃSKA, dyrektor innowacji w Koperniku, podkreśla: – Pytanie, co ze smartfoniem uczeń robi teraz, a co mógłby robić.

Sytuacja nie jest różowa. Według raportu NASK pt. Nastolatki 3.0, tylko 12,6 proc. uczniów deklaruje, że urządzenia mobilne pełnią w ich szkołach funkcję pomocy naukowych podczas niektórych lekcji. A i wówczas często ich wykorzystanie ogranicza się np. do zastępowania czy uzupełniania tradycyjnych podręczników e-bookami. – To w zasadzie to samo, tylko w trochę innej formie. I to jest zastępowanie tego, co już było – mówi Potęga vel Żabik. – To, na co ta technologia pozwala i co jest rzeczywiście ekscytujące, to to, że możemy rozszerzać środowisko edukacyjne.

Bo w zasadzie każdy uczeń ma dziś w kieszeni urządzenie, którego moc obliczeniowa milion razy przekracza moc komputerów, które umożliwiły lądowanie na Księżycu. A to zaledwie czubek góry lodowej. Każdy, nawet najtańszy smartfon czy tablet jest bowiem nafaszerowany całą baterią czujników, które mogą być pomocne w samodzielnym przeprowadzaniu doświadczeń i eksperymentów. Jest to więc sprzęt, który mógłby gruntownie wzbogacić lekcje biologii, fizyki czy chemii.

– Wyobraźmy sobie, że na lekcji fizyki chcemy zrobić z uczniami jakiś projekt. Szkoła jest na przykład zlokalizowana w pobliżu ekranów dźwiękochłonnych, więc ucząc tematów związanych z falami dźwiękowymi, możemy mierzyć natężenie dźwięku w różnej odległości od ekranów – mówi Kamil Wachol. – Normalnie potrzebowalibyśmy decybelomierza, który nie jest tanim urządzeniem, więc jeśli nawet szkoła takie urządzenie ma, to najwyżej jedno. Co oznacza, że jeden uczeń robi pomiary, a reszta patrzy. Tymczasem takie urządzenie z powodzeniem mogą zastąpić smartfony

czy tablety, które często pojawiały się w szkołach przy okazji różnych programów.

NAUCZYCIELE

– Trzeba powiedzieć, że bardzo ważna tutaj jest rola nauczyciela i tego żadna technologia nie zastąpi – podkreśla Potęga vel Żabik. – W ich rękach te narzędzia nabierają zupełnie innego znaczenia i te lekcje stają się zupełnie inne. Ale wdrożenie wymaga przygotowania. Można użyć takiego porównania, że tablet jest trochę jak nóż – jeżeli go wykorzystamy mądrze, możemy nim przygotować posiłek. Równocześnie ten sam nóż może nas skaleczyć.

Aby wspomóc nauczycieli, Centrum Nauki Kopernik finalizuje program „Szkoła z Technologią”, którego celem jest przygotowanie scenariuszy lekcji wykorzystujących możliwości oferowane przez urządzenia mobilne, a także stworzenie około setki zestawów, które trafią do szkół i umożliwią prowadzenie takich zajęć „z marszu”, bez konieczności poszukiwania przez nauczycieli jakichkolwiek akcesoriów czy aplikacji.

– To jest pudełko, które zawiera tablet oraz masę gadżetów niezbędnych do przeprowadzania lekcji – mówi Wachol. – Są tam kostka do rozszerzonej rzeczywistości, mikrokontroler, przystawka zmieniająca tablet w mikroskop. Ale sprzęt to jedno, druga rzecz to wiedzieć, jak z tego korzystać, i dlatego opracowaliśmy w trakcie ostatniego roku zestaw scenariuszy ze wszystkich przedmiotów szkoły podstawowej, od fizyki i chemii po doradztwo zawodowe czy WF.

100 zestawów ma być gotowych do końca grudnia. Na początku przyszłego roku Kopernik planuje przeprowadzić rekrutację szkół chętnych do uczestnictwa w projekcie. Te, które zestawów nie dostaną, będą mogły jednak skorzystać z wszystkich przygotowanych w ramach projektu scenariuszy, które mają być udostępnione na stronie internetowej i stale aktualizowane.

– Mamy nadzieję, że uda nam się stworzyć w przyszłym roku społeczność szkół, które rzeczywiście aktywnie korzystają z sensu z tych urządzeń mobilnych – podkreśla szef projektu.

Jednocześnie sami nauczyciele coraz częściej odkrywają, że choć przed postępem nie da się uciec, warto zastanowić się nad tym, jak efektywnie go wykorzystywać, by wspomagać młodych ludzi.

– Nauczyciele mówili nam, że często czują, iż tracą kontakt z uczniami – stwierdza Potęga vel Żabik. – Ale na przykład wykorzystanie aplikacji do prowadzenia z uczniami anonimowej rozmowy o trudnych tematach na godzinie wychowawczej pozwala na poznawanie problemów, o których w innych okolicznościach nauczyciele mogliby zupełnie nie wiedzieć. Z perspektywy nauczyciela to jest po prostu trochę inne pokolenie i należy iść za nim. ©



* Urządzenia mobilne w uczeniu się i nauczaniu.

Raport z badań ilościowych i jakościowych, który powstał dzięki współpracy Centrum Nauki Kopernik i firmy Samsung.



FOT. MATERIAL PARTNERA

PRAWDZIWE PRZYPADKI GASPARA DA GAMY

Zostawił ślad w dokumentach pierwszej portugalskiej wyprawy do Indii, potem płynął z Pedro Cabralem przez Atlantyk do Brazylii. Król Portugalii mianował go doradcą. Kim był Gaspar da Gama, za młodu mieszkaniec późnośredniowiecznego Poznania?

MONIKA OCHĘDOWSKA

W PORZE MONSUNOWEJ MORZE U ZACHODNICH wybrzeży Indii staje się wzburzone i niebezpieczne. To właśnie wtedy, pod koniec sierpnia 1498 r., portugalskie okręty wypełnione drogimi przyprawami i kamieniami szlachetnymi pod wodzą Vasco da Gamy odpływają z portu w Goa w kierunku Afryki. Chcą wrócić do Europy, skąd przybyły tu kilka miesięcy wcześniej.

Álvaro Vello – marynarz uczestniczący w wyprawie, później twórca pierwszego podręcznika z zakresu nawigacji – notuje: „Rozwinęliśmy żagle i ku powszechnej radości ruszyliśmy w drogę do domu, uważaliśmy się za szczęśliwców”.

Euforia załogi trwa jednak krótko. Pogoda jest fatalna. Karawelami mio-

tają sztormy. Po nich przychodzą bezwietrzne dni, gdy żaglowce tylko kołyszą się na falach. Wśród marynarzy narasta frustracja. Okazuje się też, że są ścigani – władca Kalikatu, portu w południowych Indiach, postanowił zniszczyć ich ekspedycję, by wieść o przetartym właśnie przez tę wyprawę szlaku morskim do Indii nie trafiła z powrotem do Europy.

Tajemniczy poliglota

Vasco da Gama zarządza przystań na jednej z wysepek. Ale tam też nie jest bezpiecznie: na horyzoncie pojawiają się grasujący na tych wodach korsarze.

Podczas starcia z piratami na pokład dostaje się przedziwnie ubrany człowiek, mówiący, jak się okazuje, w wielu językach – między innymi hebrajskim i we-

neckim. Prosi o rozmowę z kapitanem. Twierdzi, że jest chrześcijaninem, że został porwany z Europy i przez wiele lat był przetrzymywany w Indiach. Błaga, aby zabrali go do Lizbony.

Kapitan jest zbyt podejrzliwy, by wierzyć na słowo. Zaleca najlepszy dostępny wówczas wariograf, czyli poddańcze przybysza torturom. Podczas nich wychodzi na jaw, że w rzeczywistości przybysz szpieguje na rzecz władcy Goa.

Całe to zajście oraz rozmowę Vasco da Gama ze szpiegiem skwapliwie notuje w swoich dziennikach Álvaro Vello.

Tajemniczy poliglota, którego prawdziwego nazwiska nigdy nie poznamy (imię Gaspar przyjmie później), przedstawia się ostatecznie jako Żyd pocho-





Przybycie Vasco da Gamy do Kalikatu w Indiach w 1498 r. Litografia z przełomu XIX/XX w., Biblioteka Nacional w Lizbonie

dzący z Poznania. Twierdzi, że urodził się w Królestwie Polskim, i że następnie wraz z rodziną wywędrował do Aleksandrii, wówczas międzynarodowego centrum życia gospodarczego w północnej Afryce.

Mimo wątpliwości załoga postanowiła zabrać go ze sobą – z nadzieją, że jego wiedza na temat świata, a szczególnie Indii, przyda się na dworze króla Manuela, władcy Portugalii.

Nowe mapy świata

W tamtych czasach potrzeba było setek lat, by świat realny i ten wyobrażony przez kartografów zaczęły sobie odpowiadać.

Aż do początków wieku XV wiedza o układzie mórz i kontynentów opierała się na starym, pochodzącym z II stu-

lecia systemie Ptolemeusza. Antyczny uczony stał się autorytetem w dziedzinie geografii i kartografii, kiedy jego pisma przełożono na łacinę. Po rozpowszechnieniu się druku zostały bestsellerami.

Jak wpływały na podejmowane w tym czasie wyprawy morskie? Ptolemeusz był zdania, że Ocean Indyjski jest otoczony lądem ze wszystkich stron, a więc opłynięcie Afryki od południa i dopłynięcie tą drogą do Indii miało być niemożliwe.

Wizję tę podważyła dopiero wyprawa pod wodzą żeglarza Bartolomeu Diasa z 1488 r., która dotarła w okolice dzisiejszego Kapsztadu. Czyli miejsca, które – z myślą o kolejnych podróżach w stronę Indii – nazwano wtedy właśnie Przylądkiem Dobrej Nadziei.

Jeśli więc na początku wieku XV ufano Ptolemeuszowi jeszcze w ciemno, to sto lat później mapy uzupełniających (korygujących) jego dzieła było już kilkanaście. Nakładano je jedna na drugą, a świat zaczął się przeobrażać, przyspieszył też proces jego poznawania.

Ciekawość Europejczyków napędzana była głodem towarów luksusowych: drogocennych kamieni i przypraw. Wśród żeglarzy krążyły opowieści o afrykańskich kopalniach złota, ale przez lata sądzono, że popłynięcie na południe od Wysp Zielonego Przylądka jest niemożliwe. Pomijając fantastyczne opowieści o czyhających tam niebezpieczeństwach, obawiano się zabójczego klimatu. Mówiono, że ziemia Afryki jest piaszczysta, brakuje wody i drzew, a morze jest tak płytkie, że na odległość →

→ mili od brzegu jego głębokość sięga jednej stopy.

Karawela dobra na wiatr

Istniało też całkiem racjonalne uzasadnienie dla dzielonych przez żeglarzy niepokojów: tamtejsze wiatry. Statki płynące na południe od Wysp Zielonego Przylądka czy wybrzeży dzisiejszej Sahary Zachodniej miały problemy z drogą powrotną – zawrócić w stronę Portugalii udało się dopiero w 1434 r.

Okazało się wówczas, że zamiast kierować się na północ, należy zrobić ostry zwrot w kierunku północno-zachodnim i dopiero na wysokości Azorów skierować się na wschód (pokazuje to mapa obok). Taki manewr nie udałby się, gdyby nie budowa popularnych w tamtym czasie karaweli: ich lekkość i zwrotność zrewolucjonizowała dalekomorskie podróże – żeglarze byli w stanie ustawiać okręty pod kątem ostrym do kierunku wiatru.

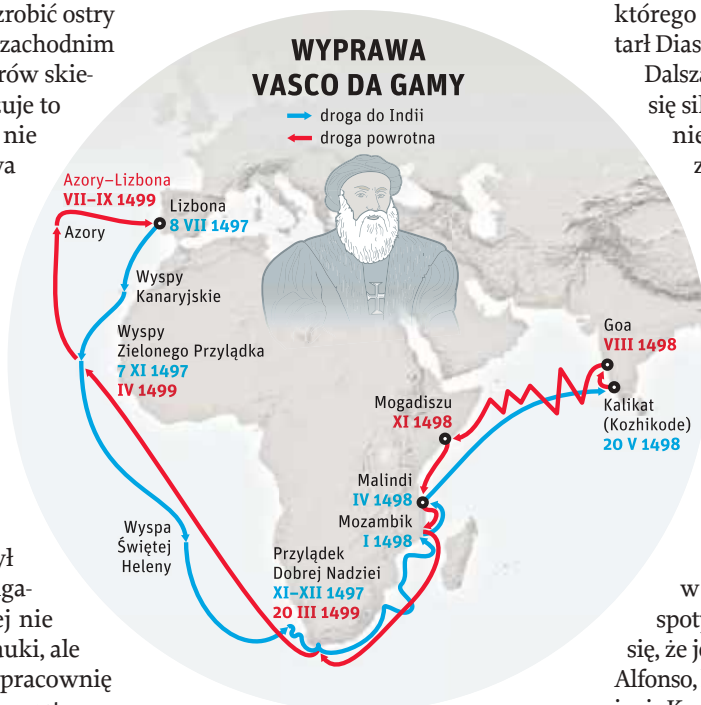
Ten sukces mobilizował Infanta (następcę tronu) Henryka, trzeci syn króla Portugalii (nazwany potem Henrykiem Żeglarzem), utworzył coś na kształt szkoły nawigatorów. Zgromadzono w niej nie tylko najemniejszych ludzi nauki, ale też stworzono nowoczesną pracownię kartograficzną i obserwatorium astronomiczne.

Kiedy żeglarzom udało się przekroczyć zwrotnik, zaczął się też ciemny rozdział portugalskiej historii: wyprawy łupieżcze i handel niewolnikami z Afryki. Równolegle toczył się, nie do końca dziś możliwy do zrekonstruowania, czas tajnych misji i przespiegów: wiedza o nowych szlakach handlowych była przecież, nomen omen, na wagę złota. Posłowie portugalskiego króla podróżują więc pod przykrywką, często w strojach kupców; wsiadają na arabskie statki płynące do Indii. Pierwszy raz słyszą tam o Madagaskarze.

Kierunek Indie

Kiedy Vasco da Gama dostaje propozycję pokierowania ekspedycją do Indii, jest prawdopodobnie jeszcze przed trzydziestką (dokładna data jego narodzin nie jest znana).

Właściwie na czele wyprawy powinien stanąć bardziej doświadczony Bartolomeu Dias – ten, który jako pierwszy dotarł do Przylądka Dobrej Nadziei i wrócił cały (co nie było oczywiste). Sponsorom wyprawy zależy jednak, by jej dowódca nie czuł się zbyt pewnie, szczególnie, gdyby jakimś cudem zakończyła się sukcesem. Łatwiej poradzić sobie z nieopieczonym młokosem. Vasco dla pewności zabiera ze sobą zaufanego człowieka – swojego starszego brata Paula.



ekwipowano cztery okręty. Trzy z nich, tzw. *nãos*, były trójmasztowcami nieco większymi od karawel, dzięki czemu dało się na nich umieścić pokaźną liczbę armat. Statek transportowy załadowano sprzętem, żywnością i lekarstwami, przewidując, że podróż może potrwać latami (planowano go potem po drodze porzucić lub rozebrać, a uzyskane w ten sposób części zużyć jako zapasowe).

Załogi wszystkich okrętów liczą łącznie ok. 150 ludzi. Wśród nich znajduje się grupa skazanych na śmierć złoczyńców, których, w zamian za darowanie życia, zamierzano wykorzystać do szczególnie niebezpiecznych przedsięwzięć.

Pół roku na morzu

8 lipca 1497 r. flotyła opuszcza port w Lizbonie.

Pierwszy etap wyprawy to wyspa Santiago należąca do Archipelagu Zielonego Przylądka, gdzie załoga uzupełnia zapasy wody i żywności. Vasco da Gama korzysta tam z drogocennej wiedzy zdobytej przez Diasa, doskonale zna już rozkład wiatrów. Wie, że w okolicach 40. równoleżnika należy szukać tych wiejących z zachodu.

Dzięki temu na początku listopada trójmasztowce znajdują się już w bezpośrednim sąsiedztwie Afryki, a w połowie grudnia mijają ostatni punkt, do którego w czasie swojej ekspedycji dotarł Dias.

Dalsza podróż nie jest łatwa, pojawiają się silne prądy, a wiatr wymusza konieczność halsowania i nagłych zwrotów. Wreszcie, po niemal pół roku, w dniu Bożego Narodzenia 1497 r., Vasco da Gama dociera do 30. stopnia szerokości południowej – i od łacińskiego Dies Natalis Domini nazywa ten teren Nantalem.

W kierunku Ziemi Dobrych Ludzi

Kilkanaście dni później, 10 stycznia 1498 r., statki rzucają kotwice u ujścia rzeki Zambezi w obecnym Mozambiku. Żeglarzy spotyka niespodzianka, gdy okazuje się, że jeden z członków załogi, Martin Alfonso, który przez pewien czas żył w rejonie Konga, dogaduje się z tubylcami. Portugalczycy dowiadują się, że w delfcie Zambezi często cumują duże okręty. Późniejszy pięciodniowy postój w zatoce Maputo upływa już w tak sielskiej atmosferze, że Vasco da Gama nazwie ten kraj Ziemią Dobrych Ludzi.

W końcu stycznia dobra passa zdaje się kończyć, żeglarze zawijają do kolejnej zatoki, gdzie mieszkańcy nie odnoszą się już do nich tak przyjaźnie. Z konieczności postój trwa jednak ponad miesiąc. Załoga naprawia maszt jednego z okrętów i próbuje się podleczyć – wielu marynarzy cierpi na skorbut.

W tym czasie Portugalczycy oglądają statki należące do Arabów („białych Maurów”) z ładunkami pieprzu, imbiru, goździków, pereł, a także srebra i złota. Kiedy dowiadują się, że część ładunku pochodzi z Indii, rośnie ich apetyt na kontynuowanie wyprawy.



DOMENA PUBLICZNA

Mapa autorstwa nieznanego portugalskiego kartografa (1502 r.)

– świat znany Europejczykom po wielkich wyprawach odkrywczych przełomu XV/XVI w. Biblioteca Universitaria Estense w Modenie

Z początkiem wiosny 1498 r. portugalska flotylla staje na redzie w Mombasie (dziś w Kenii). Tamtejszy sułtan stwarza pozory gościnności, ale stara się zniechęcić Vasco da Gamę do dalszej podróży, twierdząc, że u niego załoga może nabyć wszelkie produkty indyjskie, a także afrykańskie: złoto, srebro i kość słoniową.

Ale to tylko jeszcze bardziej zachęca Portugalczyków do kontynuowania wyprawy i ożywia ich nadzieje na wielkie zyski z handlu z Indiami. Płyną dalej.

W kraju szmaragdów

W ostatnim tygodniu kwietnia flotylla opuszcza port w Malindi (dziś Kenia) i przy korzystnym wietrze monsunowym od rufy rozpoczyna ostatni odcinek podróży do Indii.

W niedzielę 29 kwietnia oczom żeglarzy ukazuje się Gwiazda Polarna – znak, że minęli równik. Wreszcie 18 maja – ponad 10 miesięcy od opuszczenia Portugalii – widzą brzeg i góry tak wysokie, że wzbudzają one zdumienie. Góry, jak się potem okaże, otaczają Kalikat, bogate indyjskie miasto Wybrzeża Malabaru.

Zacumowanie w Kalikacie dwa dni później nie okazuje się wcale proste. Na spotkanie z portu wypływają łodzie, a Vasco da Gama nie jest pewien, co czeka go w mieście, którego zamożność każe domyślać się potęgi władcy. Wysła na przespługi skaźników.

Wracają oni na pokład z człowiekiem, który przedstawia się jako Musaid. Mówi on przybylszom, że znaleźli się w kraju rubinów, szmaragdów i in-

nych dróg kamieni i przypraw. Zapewnia, że chętnie będzie służyć Portugalczykom, zdradzając im tajemnice miejscowego władcy, którego zwą tu Zamorinem, Panem Mórz.

Tymczasem władca przyjmuje europejskich żeglarzy na audyencji. Rozmowy idą pomyślnie, Portugalczycy robią zakupy i ładują towary. Jednak doradcy Zamorina zaczynają judzić. Na jego dworze przeważa pogląd, że najlepiej wymordować całą załogę, aby informacja o drodze do Indii nie dotarła z powrotem do Europy.

Jak to wszystko potoczy się dalej, wiemy z pierwszych akapitów tej historii.

Losy Gaspara da Gamy

No dobrze, a co się stało z tajemniczym człowiekiem, który dołączył do Vasco da Gamy, twierdząc, że urodził się jako poddany polskiego króla?

Z różnych przekazów, które przetrwały do naszych czasów, wynika, że przed spotkaniem z Portugalczykami był on człowiekiem uczonym i zasobnym, dobrze znającym Azję. Miał odbywać dalekie podróże, parał się handlem, prowadził negocjacje z zagranicznymi kupcami w imieniu władcy Goa.

Nieoczekiwane przygarbienie przez Portugalczyków otwiera przed nim drogę do nowej kariery. Vasco da Gama szybko orientuje się w jego wiedzy i zdolnościach, a z czasem się z nim zaprzyjaźnia. Gdy we wrześniu 1499 r. wyprawa wraca do Lizbony, mężczyzna przyjmuje chrzest i imię Gaspar, zaś Vasco da Gama nadaje mu swoje nazwisko rodowe.

W ten sposób Gaspar da Gama, nazywany też Gasparem da India (Gasparem z Indii), staje się doradcą króla Manuela i bierze udział w wielu późniejszych wyprawach Portugalczyków. Między innymi towarzyszy Pedrowi Álvaresowi Cabralowi w drodze do Brazylii. Wiemy, że napisał relację ze swoich podróży, opatrzoną też mapą – niestety nie zachowała się ona do naszych czasów. Wiadomo też, że w latach 1505-10 pracuje dla portugalskich wicekrólów na terenie Indii.

Potem ślad po nim się urywa. Niektóre źródła podają, że zginął. Inne, że mógł dowodzić obroną miasta Diu w 1531 r. – tym razem: przed Portugalczykami... (dowódca ów przedstawiał się co prawda jako Mustafa Khan, ale źródła twierdzą, że pochodził z Polski).

Tymczasem Vasco da Gama raz jeszcze udaje się do Indii. Tam umiera 500 lat temu, 24 grudnia 1524 r., na malarię. Droga, którą wytyczył, wkrótce popłyną kolejne wyprawy, utwierdzając pozycję niewielkiej Portugalii na Oceanie Indyjskim oraz w Azji.

©© MONIKA OCHĘDOWSKA

Korzystałam z: José Gentil Da Silva „Morskie dzieje Portugalczyków” (przetł. Vera Soczewińska), Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1987; Marian Małowist „Konkwistadorzy portugalscy”, PIW, Warszawa 1992; Wojciech Iwańczak „Magiczny rok 1497”, PIW, Warszawa 2024.

KIEDYŚ SIĘ ZNAJDĘ

RENI JUSIS, PIOSENKARKA:

Bardzo lubię stać za DJ-ką. Na co dzień nie robię tego, czego uczyłam się na studiach muzycznych, nie dyryguję chórem ani orkiestrą. Ale w klubie czuję moc, by panować nad tańczącym, rozwibrowanym tłumem.

EWELINA BURDA: „Reni, ta płyta to soundtrack mojego życia” – przygotowując się do naszej rozmowy znalazłam to zdanie, którym słuchaczka podsumowała Twoją płytę „Trans Misja”.

RENI JUSIS: Znam je! I choć nie mam w zwyczaju czytać komentarzy, bo wolę z ludźmi rozmawiać na żywo, to tę opinię słyszałam już wielokrotnie.

Ucieszyła Cię?

Myślę, że dla każdego muzyka to jeden z najpiękniejszych komplementów. To, że ktoś chce, by moja muzyka towarzyszyła mu w życiu, to spełnienie zawodowych marzeń.

„Trans Misja” wyszła ponad dwadzieścia lat temu, a teraz ukazuje się Twoja nowa płyta „Re Trans Misja”, na której razem z grupą polskich muzyków – tych, którzy zaczęli wtedy co Ty, i tych, którzy zaczęli całkiem niedawno – aranżujecie Twoje hity z tamtej płyty.

Lubię to, że ta płyta żyje w moich słuchaczach i żyje też w innych muzykach, którzy ją lubią, jakoś się nią inspirują, a niektórzy pamiętają ją przecież tylko ze szkolnych dyskotek. I ta „Re Trans Misja” to takie nasze wspólne, trochę międzypokoleniowe spotkanie, żeby się tą muzyką bawić.

A Ty od zawsze chciałaś się nią bawić? Jakie jest twoje pierwsze muzyczne wspomnienie?

To nie będzie moje wspomnienie, ale historia, którą mi opowiedziano: gdy byłam małą, moja mama odkryła, że gdy mi leżącej w łóżeczku włączy radio, to robię się dużo spokojniejsza, a muzyka mnie zabawia. Wtedy ona mogła na chwilę wyjść z domu na szybkie zakupy spożywcze – w PRL-owskich realiach nikogo to nie dziwiło.

Co jeszcze zapamiętałaś?

Jako małą dziewczynkę zafascynowało mnie poruszenie, jakie wywoływało oglądanie konkursu chopinowskiego: te emocje i szczery entuzjazm także u tych, którzy z muzyką kłasyką czy w ogóle z muzyką, jak moi rodzice, nie mieli na co dzień wiele wspólnego. Wtedy narodziło się we mnie marzenie, by zostać chopinistką: bo te dźwięki mnie szczerze wzruszały.

Gdy miałas siedem lat, poszłaś do szkoły muzycznej w Koszalinie.

Miałam predyspozycje, ale tam szybko sprowadzono mnie na ziemię, bo dowiedziałam się, że dzieciom nie pozwala się grać Chopina. „Może za cztery czy pięć lat, gdy dojrzejesz emocjonalnie” – usłyszałam. A że byłam raczej wytrwała od małego, to postanowiłam doczekać do tego momentu. I soundtrackiem mojego dzieciństwa, nawiązując do komentarza słuchaczki, była ta szkolna muzyka klasyczna.

Coś jeszcze?

Równolegle grał mi w radiu i duszy Program Trzeci Polskiego Radia. Prowadziłam taki wyjątkowy dla mnie zeszyt, w którym bardzo skrupulatnie spisywałam każde miejsce z listy przebojów. Co to miało mi dać? Do dziś nie wiem, ale było to dla mnie bardzo ważne. Szybko kole-dzy i koleżanki kojarzyli mnie z muzyką, to ja robiłam didżejke na wszelkich Andrzejkach i szkolnych dyskotekach. Cieszyło mnie również, kiedy mogłam te popularne wtedy piosenki zaimprovizować na fortepianie.

Grałaś je w szkole?

W szkołach muzycznych obowiązywał wtedy oficjalnie zakaz grania muzyki rozrywkowej. Ale miałam cudownych profesorów, którzy wiedzieli, że klasyka to nasza baza, ale ciągnie nas w różne strony. Po egzaminach pozwalali nam zagrać to, co chcieliśmy. Wtedy też usłyszałam o takim gatunku jak jazz, który do dzisiaj budzi we mnie bardzo duże emocje i który bardzo często wybieram do towarzyszenia w życiu.

Chopin, klasyka, jazz. Wciąż jesteśmy daleko od muzyki tanecznej, z którą się kojarzysz jako artystka.

Po maturze moim marzeniem było pójść na studia do Katowic na Wydział Jazzu i Muzyki Rozrywkowej. Ale coś mnie powstrzymywało, miałam takie wrażenie, że wszyscy wokaliści, którzy go kończą, śpiewają bardzo podobnie. Jakby dostawali taki stempel. ➔

**RENI JUSIS**

(właśc. Renata Jusis)

jest wokalistką,

kompozytorką,

autorką tekstów

i producentką nagrań.

Wyspecjalizowała się

w muzyce elektronicznej

i tanecznej, ale przez ponad

dwadzieścia lat obecności

na scenie eksplorowała

różne gatunki, tworząc

także akustycznie.

Wydła dziewięć

płyt studyjnych,

została nagrodzona

ośmioma Fryderykami.

Gra na fortepianie

i wibrafonie.

→ Z moim profesorem fortepianu zastanawialiśmy się, gdzie powinnam pójść, żeby nie odebrano mi tej przygody, jaką jest odnalezienie własnego stylu.

I co wybraliście?

Z północy kraju wyjechałam do Poznania, zaczęłam się uczyć na Akademii Muzycznej, na wydziale Dyrygentury Chóralnej i Muzyki Kościelnej. Chciałam zgłębić śpiew, jak tylko mogłam, wiele wieków wstecz. Mam w sobie taką potrzebę bardzo głębokiego poznawania i porządkowania rzeczy.

Dalej nie brzmi jak coś, co miało Cię zbliżyć do muzyki elektronicznej.

Po moich pierwszych sukcesach wokalnych, kiedy zaczęłam współpracować z producentami i profesjonalnymi muzykami, zachęcano mnie: „Poszukaj w tym, co się teraz rodzi, czegoś dla siebie”. Wyrosłam na klasyce, kochałam jazz, ale to nie znaczyło, że muszę śpiewać jak Sarah Vaughan, której muzyka mi wtedy towarzyszyła. Posłuchałam tych głosów z branży, ludzi bardziej doświadczonych. I znowu miałam coś do zgłębienia, wsłuchałam w muzykę nowoczesną, francuska elektronika i berlińska scena klubowa zaczynały mnie wciągać na dobre.

Szybko się polubiłyście? Ty i elektronika?

Ważny dla mojego otwarcia się na muzykę był wyjazd w latach 90. do Nowego Jorku do Michała Urbaniaka. Poznawaliśmy tam, co to jest hip-hop, skąd jest cały ten jazz. Uczylałam się, jaką moc mają mariaże gatunków. I zrozumiałam zdanie, które Michał bardzo często powtarzał: że Bóg stworzył muzykę, a ludzie ją podzielili na gatunki. I że nie powinniśmy się skupiać na ich nazywaniu, tylko na wyrażaniu emocji.

Na sukces komercyjny nie czekałaś długo. Pierwsza płyta „Zakręcona”, z tytułowym hitem, który nuciło pół Polski, wyszła w 1998 roku.

To była konsekwentna praca, czekałam cierpliwie na ludzi, z którymi chciałam nagrać swoją pierwszą płytę. I udało się, dostałam za nią trzy Fryderyki. Do dziś pamiętam, jak ktoś z branży powiedział mi wtedy: „Współczuję ci, że taki sukces trafił ci się z pierwszą płytą”. Kompletnie nie rozumiałam wtedy, o co mu cho-

dzi. Czy chce mi dogryźć? Dziś zgadzam się z tym zdaniem w pełni. Bo taki duży, komercyjny sukces może łatwo przynieść zobowiązaniami i oczekiwaniami, zwłaszcza jeśli jesteś początkująca w tej branży i na nie nieprzygotowana.

I ta „Zakręcona” Cię jakoś przyniosła?

Dużo myślałam, co robić dalej: nie chciałam odcinać kuponów. Przecież ja miałam dopiero szukać tego, co chcę robić, co chcę śpiewać, szukać nowych rzeczy. I o to „nowe” zawalczyłam kolejnymi piosenkami, singlami i płytami.

Kiedy wiedziałaś, że to jest „to”, że masz już swój kierunek?

Przy trzeciej płycie, „Elektronice”, poczułam, że to jest styl, za którym chcę dłużej podążać, nawet jeśli gdzieś zobaczę po drodze. A wtedy zainteresowanie płytą było niewielkie, na koncerty przychodziła garstka ludzi, często po występie nocą wracaliśmy do domu przez pół Polski, bo nie mieliśmy na hotel. I pamiętam nasze spotkanie z managerem, który zapytał mnie: „To jaka będzie kolejna płyta?”. I ja niezrażona powiedziałam wtedy: „Będzie znów taneczna”. Potem ukazała się „Trans Misja”, to był 2004 rok. I dopiero wtedy to zaczęło się znów jakoś układać.

Jak myślisz, dlaczego?

Muzyki tanecznej i elektronicznej nauczyliśmy się razem: muzycy i publiczność. Wtedy moja muzyka idąca w elektronikę była grana tylko w nielicznych klubach LGBT *friendly*. Kultura klubowa dopiero zaczynała się w naszym kraju, tam gdzie już pojawiały się kluby, ludzie jeszcze nie wiedzieli często, jak tańczyć, wstydzieli się, to wszystko było za świeże. Minęły dwa, trzy lata... i się rozkręciło.

Jakie były te pierwsze kluby?

Były ciasne i tłoczne, ocieraliśmy się o siebie, pot płynął po nas i po ścianach. Paliło się papierosy, rzecz jasna, w środku. Dusząco i kolorowo jednocześnie. To były naprawdę... dziwne miejsca, ale bardzo charakterystyczne. Nawet ciężko mi je opisać. Ale były magnetyczne. I szybko zaczęły się do nich ustawiać wielometrowe kolejki.

Gdzie Ty lubiałaś potańczyć?

Utopia, Piekarnia... Wielu nazw już nie pamiętam. Było też mnóstwo klubów, które pojawiały się i znikwały. To była ciekawa koncepcja, którą znałam z Berlina: otwierasz klub i kiedy on osiąga apogeum popularności, zamykasz go i otwierasz w innym miejscu. Żeby cały czas dawać poczucie czegoś ulotnego, co chcesz schwytać.

A kiedy ostatnio byłaś potańczyć?

Dobre pytanie. Nie tak dawno byłam na co prawda hip-hopowej imprezie, w oldschoolowym stylu, ale świetnie się bawiłam. Na ścianach leciały stare teledyski. Bardzo fajny klimat.

Lubię chodzić do La Pose, gdzie gram czasem swoje sety didżejskie, bywam też Pod Gigantami, tam grałam w zeszłym tygodniu. I tam dziś też jest bardzo tłoczno.

A imprezy, które Ty robisz?

Lubisz siebie w roli didżejki?

Bardzo lubię to robić. Na co dzień nie robię tego, czego uczylałam się na studiach muzycznych, nie dyryguję chórem ani orkiestrą. Ale w klubie czuję moc, by pannaować nad tańczącym, rozwibrowanym tłumem.

Opowiem ci, dlaczego to takie wyjątkowe. Na koncerty ludzie przychodzą po coś: chcą usłyszeć nową płytę lub żebym zagrała stare hity. Na secie didżejskim jestem wolna od tych oczekiwań, cel jest jeden: dobrze się bawić. I jako didżejka próbuję dopasować się do miejsca, do tych ludzi. Obserwuję ich. Sprawdzam. Eksperymentuję. To świetna łamigłówka: co im sprawi przyjemność? Szukam w bibliotece, kombinuję. I przychodzi w końcu nagroda: pełny parkiet. Z tych bardzo udanych na długo zapamiętam mój set w Poznaniu, grany na rynku po Paradzie Równości, gdzie na koniec nie przejmowałam się sprzętem, tylko razem z ludźmi tańczyłam na DJ-ce.

Ale pamiętam też jeden set, który był obiektywnie dość wymagający, ale bardzo mi się podobał. Gram go i w pewnym momencie podchodzi do mnie chłopak, który mówi: „Reni, ale to brzmi jak festiwal wiertarek”. Czułam, że przesadziłam (*śmiech*). Lubię w tym grzebać, sprawdzam, co się dzieje na rynku, szukam nowych remiksów. Nie wiem w sumie, kiedy to się tak na poważnie zaczęło.

Mówiłaś przecież, że bawiłaś się tak w podstawówce, jak puszczałaś kawałki na Andrzejkach.

No w sumie tak (*śmiech*).

A w ciszę też lubisz się bawić?

Nawet nie tylko czasem. Muzyka elektroniczna jest tak bardzo intensywna i w odbiorze, i w tworzeniu, że musiałam nauczyć się od niej odpoczywać. Także po to, żeby móc zateśnić za tą intensywnością.

Mam też za sobą etapy w życiu, kiedy nie słuchałam prawie nic. Którejś wiosny, po urodzeniu dzieci, jedyną muzyką, jaką potrafiłam słuchać, był śpiew ptaków, jak otworzyłam okno, tylko tyle bodźców dźwiękowych mogłam przyjąć. Potrzebowałam spokoju, skupienia się na innych rzeczach, na byciu matką. Potem wróciłam do klasyki i, stopniowo, do elektrowniki, aż w końcu na scenę.

Teraz na płycie „Re Trans Misja” wraca w kilku aranżacjach twój hit „Kiedyś Cię znajdę”. Gdy słuchałam go na nowo, bo mi też towarzyszył na szkolnych dyskotekach, zaczęłam się zastanawiać: czy to od początku miała być piosenka o szukaniu miłości? Czy może też o szukaniu siebie?

Kiedy pisałam tę piosenkę, wydawało mi się... a raczej wtedy byłam tego pewna, że aby czuć się szczęśliwą i kompletną, potrzebuję drugiej osoby. Pamiętam, jak lata temu mój kolega w Londynie powiedział mi, że on najbardziej lubi czas spędzony sam ze sobą. Zrobiłam wtedy wielkie oczy. „Czy ty jesteś z innej planety?” – zastanawiałam się. Bo ja czułam się niejako uzależniona od ciągłego kontaktu z ludźmi. Byciu z kimś. Wizja, że mam pójść sama do restauracji czy kina, wydawała się niesatysfakcjonująca.

A jak jest u Ciebie dziś?

Ostatnie lata bardzo mi to przekonanie zweryfikowały. Teraz naprawdę, jakkolwiek by to zabrzmiało banalnie, zaczęłam doceniać i lubić spędzanie czasu ze sobą. Nie przestając przy tym lubić czasu z ludźmi. To ściśle się łączyło z życiowymi doświadczeniami. I to przyszło też z wiekiem: mając dwadzieścia lat nie miałam w sobie takiej wyrozumiałości i łagodności dla siebie. Duże wrażenie na mnie, jak i na wielu kobietach w Polsce, zrobiła książka Natalii De Barbaro „Czuła



■ **ZAKRĘCONA**
(czerwiec 1998,
Pomaton EMI)

Pierwszym solowym albumem Reni Jusis zadebiutowała na początku lata, a niedługo później w kraju masowo rozbrzmiewał tytułowy singiel, który popularne stacje radiowe grają do dziś. Pierwszy album artystki wyprodukował i skomponował raper Yaro (Jarosław Płocica), a płyta została wyróżniona Fryderykiem w kategorii „Najlepszy album rap/hip-hop”.



■ **TRANS MISJA**
(sierpień 2003,
Pomaton EMI)

Czwarty album wciąga słuchaczy w wir tanecznych imprez, syntezatorowych melodii i klubowych bitów już na dobre. Staje się sukcesem komercyjnym i ugruntowuje pozycję Reni Jusis na scenie muzyki rozrywkowej. To z niego pochodzi hit „Kiedyś Cię znajdę”, który pokonuje w popularności „Zakręconą”.



■ **JE SUIS RENI**
(lipiec 2021, Kayax)

W tym albumie artystka pokazuje słuchaczom swoją miłość do Francji i piosenek z regionu, które chce opowiedzieć melancholijnie, ale też pobawić się aranżacjami. Klasyczne francuskie utwory miłosne z lat 60. i 70. łączy z popularnymi hitami. Na płycie oprócz wokalu Reni Jusis słyszymy także jej grę na wibrafonie.



■ **RE TRANS MISJA**
(grudzień 2024)

Najnowszy album pomyślany został jako międzypokoleniowy dialog. Utwory z płyty „Trans Misja” trafiają w ręce polskich artystów, zarówno doświadczonych, jak i tych z młodszych pokoleń, którzy tworzą ich nowe aranżacje. Usłyszemy na nim m.in. Otsochodzi, Mery Spolsky, Kubę Karasia, Skubasa, Bovską. Album otwiera Leszek Możdżer 9-minutową, transową improwizacją na fortepianie. © P EB

przewodniczka”. Łącznie bardzo wiele rzeczy mnie doprowadziło do tego szczerego przekonania dziś, że ja sama jestem kompletna. I można tak to podsumować, że się w końcu znalazłam. To piękne tak spojrzeć na tę piosenkę. Dziękuję ci za to. I pozwolę sobie podzielić się z tym z siostrą.

Oprócz siostry, kto jeszcze jest w Twoim najbliższym kręgu?

Bardzo długo kobiety w moim życiu postrzegałam jako konkurencję: na studiach, w młodości wydawało mi się, że my głównie rywalizujemy ze sobą. Silna potrzeba „siostrzenia się” przyszła z macierzyństwem. Dziś w moim życiu najsilniejsze są te relacje ze szkół czy przedszkoli moich dzieci. Bo w tej grupie mamy podobne problemy, doświadczenia i potrzebę wspierania się nawzajem. Dajemy sobie poczucie tej mitycznej wioski.

Chciałabym jeszcze zapytać o tatę.

A dokładniej o jego litewskie korzenie. Byłaś kiedyś w tamtych stronach?

Nigdy nie byłam na Litwie. I muszę to nadrobić, bo jestem tam stale zapraszana i mile widziana. Mieszka tam mój daleki kuzyn, który zbiera informacje i pamiątki o naszym rodzie i który doszedł w tych badaniach aż do XIV wieku. Odkrył, że nasza rodzina wywodzi się od rzymskiego plemienia Jus, którego nazwę z biegiem lat zmieniono na Jusis, dodając popularną w tamtych rejonach końcówkę. Jest też taka jedna historia związana z moimi korzeniami i muzyką, która dała mi do myślenia.

Opowiedz.

Parę lat temu wzięłam udział w projekcie dokumentalnym „Szlakiem Kolberga”, zaproszono do niego wielu muzyków. W odcinku ze mną pojechalismy na Suwalszczyznę do Puńska, który wraz z wioskami obok jest taką litewską enklawą, dba się tam o wiele tradycji, także tych muzycznych. I gdy z tamtejszym chórem śpiewałam dawne litewskie przyspiewki, to miałam wrażenie, że one bardzo rezonują ze mną, dobrze się czułam w tych skalach. Były mi jakieś takie... bliższe? I zastanawiam się do dziś: ile w tym jest mojej romantycznej projekcji, a ile prawdy, że ten głos, dźwięk i muzyka są w nas zapisane od pokoleń.

© P Rozmawiała EWELINA BURDA

PODEJRZANE POMIARY SZCZĘŚCIA

Wyobraź sobie drabinę, której szczeble ponumerowano od 0 na dole do 10 na górze. Najwyższy reprezentuje najlepsze możliwe życie dla ciebie, a najniższy – najgorsze. Na którym szczeblu stoisz?

ŁUKASZ LAMŻA

WIZUALIZACJA TAKA – ZWANA DRABINĄ Cantrila – to popularne narzędzie badania poziomu zadowolenia z życia. Albo „dobrostanu”. Albo nawet i „szczęścia” – bo właśnie na takiej wizualizacji opiera się publikowany corocznie World Happiness Report (WHR), zawierający międzynarodowy ranking szczęśliwości narodów. Jego organizatorzy od 2005 r. przedstawili drabinę ponad 2,5 mln respondentów z niemal wszystkich krajów świata. W bieżącym wydaniu WHR znajdziemy 143 państwa, od Finlandii na pierwszym miejscu (średnia z odpowiedzi Finów to 7,7) do Afganistanu na ostatnim (1,7). Wynik Polski to 6,4 i solidna lokata nr 35.

Czy szczęście da się jednak zmierzyć? Ba, czy da się je w ogóle zdefiniować?

Kwestia fińska

Zacznijmy od raportu WHR, którym każdego roku ekscytują się światowe media i rozmaite instytucje. Powołują się na niego m.in. Organizacja Narodów Zjednoczonych (ONZ) i Organizacja Współpracy



Gospodarczej i Rozwoju (OECD) w swoich analizach tego, jakie rozwiązania społeczne i polityczne najlepiej służą ludziom. Nic dziwnego. WHR brzmi poważnie: powstaje na Uniwersytecie Oksfordzkim, we współpracy z ONZ i Gallupem, czyli najstarszym ośrodkiem badania opinii publicznej na świecie. Jest to też miara precyzyjna: każdy kraj otrzymuje wynik z dokładnością do trzech miejsc po przecinku – poziom szczęścia Finów to tak naprawdę 7,741, a Polaków – 6,442. Nic tylko dostawiać kolejne liczby, krzyżować parametry i wyliczać korelacje, konstruując racjonalną politykę społeczną na bazie „obiektywnego poziomu szczęścia”.

Corocznie z ust dziennikarzy, polityków i analityków padają wciąż te same pytania. Czemu Skandynawowie są tacy szczęśliwi? Jakie decyzje polityczne najsilniej decydują o szczęściu obywateli? I co zrobić w naszym kraju, aby doprowadzić do tego samego?

Tym ciekawsza jest „kwestia fińska”. Kraje skandynawskie zajmują zawsze czołowe miejsca w rankingu WHR, a Fin-

landia została w 2024 r. „najszcześliwszym krajem świata” po raz siódmy z rzędu. Tradycyjnie ogłoszeniu nowego raportu WHR towarzyszą dwa typy głosów. Jedni zastanawiają się na wyścigi, na czym polega sekret fińskiego sukcesu. Kontakt z przyrodą, system emerytalny, wysoki poziom zaufania do instytucji, pieniądze, silne wspólnoty lokalne, edukacja... Każdy komentator ma swoją teorię.

Równolegle zawsze padają jednak głosy sceptyczne: niektóre istotne statystyki malują bowiem dość ponury obraz tego kraju. Przez długie lata Finlandia była w ścisłej czołówce europejskich krajów z najwyższym współczynnikiem samobójstw; dzisiaj jest już nieco lepiej, choć i tak według Eurostatu Finowie popełniają samobójstwo częściej od przeciętnego Europejczyka. Finlandia ma też trzeci najwyższy w Unii odsetek osób uzależnionych od substancji i najwyższy odsetek osób z zaburzeniami psychicznymi, jak podaje OECD. Dwa najczęstsze z nich, zaburzenia lękowe i depresja, dotyczą łącznie ponad 7 proc. Finów. Poziom

bezpieczeństwa w Finlandii, mierzony choćby liczbą rozbojów czy zabójstw, też jest w najlepszym razie przeciętny.

Istnieją heroiczne próby przedstawienia tych statystyk jako czegoś dobrego, zgodnie z zasadą, że „musi wyjść dobrze”. Przykładowo, tak częste występowanie problemów psychicznych można by tłumaczyć wysoką jakością opieki medycznej – w Finlandii „każdy chory jest zdiagnozowany”. Trudno jednak znaleźć jakiegokolwiek twarde dane potwierdzające, że to właśnie Finlandia ma najlepszy w Europie system opieki zdrowotnej. W 2023 r. w „Helsinki Times” ukazał się gorzki artykuł o życiu w „najszcześliwszym kraju świata” – Finowie bardzo lubią komentować w ten sposób w mediach spotykający ich corocznie zaszczyt. Przytoczono tam choćby niepokojącą statystykę EMCDDA, europejskiej agencji ds. problemów narkotykowych, że tylko 20 proc. osób uzależnionych od substancji otrzymuje w Finlandii leczenie, podczas gdy w sąsiedniej Szwecji jest to 70 proc. Czy brzmi to jak wizytówka kraju, który ma w statystykach tak wielu ludzi z problemami tylko dlatego, że jest tak świetny w zajmowaniu się nimi?

Na szczycie drabiny

„Problem fiński” to świetna odskocznia do pytania, co właściwie mierzy drabina Cantrila. Z WHR dowiemy się tak naprawdę tylko tyle, że Finowie podają najwyższe liczby, gdy zapyta się ich o swoje miejsce na „drabinie jakości życia”. Twórcy raportu twardo utrzymują, że mierzą w ten sposób szczęście, i powtarzają to za nimi rok w rok media na całym świecie. Psycholodzy są jednak ostrożniejsi.

Specjaliści mówią dziś chętniej nie tyle o „szczęściu”, co o poziomie subiektywnego dobrostanu, a najchętniej skrótowno o SWB (*social well-being*). W SWB wyróżnia się zwykle dwa komponenty: poznawczy i afektywny (dla nas, profanów: intelektualny i emocjonalny). Ten pierwszy mierzy się, każąc ludziom dokonać namysłu nad swoją sytuacją życiową – zostajemy zachęceni, aby rozważyć pewną skalę albo definicję, a następnie się do niej odnieść. Drabina Cantrila to typowa miara tego typu. Komponent afektywny ma z kolei związek z faktycznie

Sauna w Ruka, Finlandia



THOMAS LINKEL / LAIF / FORUM

→ przeżywanymi emocjami. Czysto teoretycznie, aby go wyznaczyć, najlepiej by było sprawdzić, czy dana osoba przeżywa więcej emocji pozytywnych/przyjemnych czy negatywnych/nieprzyjemnych. Ponieważ nie za bardzo się da, w praktyce robi się z tego kolejny kwestionariusz. Pytamy jednak nie o naszą opinię na temat swojego szczęścia, ale o to, jakie emocje dominują w naszym życiu codziennym.

Problem z kwestionariuszami „poznawczymi” polega na tym, że *nolens volens* prezentujemy badanym pewną koncepcję teoretyczną i każemy się do niej ustosunkować. Narzucamy więc ludziom wszelkie nasze założenia, jawne i niejawnie. W przypadku drabiny Cantrila największe wątpliwości budzi jej drabinowość.

W 2010 r. ekonomista-noblista Daniel Kahneman i Angus Deaton stwierdzili, że drabina Cantrila pyta nas nie o poziom zadowolenia z życia, lecz sukcesu życiowego, zwłaszcza finansowego. W wykonanym przez nich badaniu poziom na drabinie Cantrila był najsilniej związany (technicznie: skorelowany) z dochodem, a nie z dobrostanem emocjonalnym. Wygląda więc na to, że gdy mamy sobie zwizualizować „najgorsze i najlepsze życie” na pionowo ustawionej drabinie, to zaczynamy podświadomie myśleć o wspinaniu się po niej i podbijaniu świata, a nie o tym, jak bardzo jesteśmy... szczęśliwi. Ba, „nieszczęśliwy człowiek na szczycie drabiny” to globalnie rozpoznawana, kanoniczna wręcz postać tragiczna.

W lutym 2024 r. August Nilsson i współpracownicy potwierdzili te przypuszczenia, prosząc 1581 osób o opisanie swoimi słowami, jak rozumieją ideę drabiny Cantrila i frazę „najlepsze możliwe życie”. Automatyczna analiza językowa wykazała, że najsilniejszymi komponentami były składowe o nazwach „władza” i „majątek”. Co ciekawe, gdy pytanie było po prostu o najlepsze życie, bez wspomniania o drabinie, to uczestnicy częściej używali słów związanych z relacjami międzyludzkimi i zdrowiem, a pieniądze i władza schodziły na drugi plan. Czyżby więc wynik WHR był nieodwracalnie skażony przez tę nieszczęsną drabinę? Patrząc z tej perspektywy, trudno się też dziwić, że kraje „najszcześniejsze” wg WHR to jednocześnie te najbogatsze.

Kto się śmieje?

Wróćmy teraz do komponentu afektywnego SWB, czyli, mówiąc prościej, udziału w naszym życiu pozytywnych stanów emocjonalnych, jak radość czy spokój, i negatywnych, jak smutek czy ból.

Największe badanie tego typu to Gallup Global Emotions. W 2024 r. wzięło w nim udział 146 tys. osób ze 142 krajów. Ankieterzy pytają zawsze o 5 zjawisk pozytywnych (czy byłeś wczoraj wypoczęty; traktowany z szacunkiem; czy się dużo uśmiechałeś; czy nauczyłeś się lub robiłeś wczoraj coś interesującego; czy czułeś dużo radości) i 5 negatywnych (czy czułeś wczoraj ból, niepokój, smutek, stres i gniew). To badanie również ma swoją tradycyjną czołówkę – tylko zupełnie inną niż WHR. W 2024 r. pierwsza dziesiątka w kategorii pozytywnych emocji to: Paragwaj, Panama, Gwatemala, Meksyk, Indonezja, Salwador, Kostaryka, Malezja, Senegal, Filipiny i Tajlandia, czyli kraje, które nie wypadają za dobrze w „teście drabiny”. Finlandia zajęła miejsce nr 44.

Wygląda więc na to, że ludzie, którzy są najbardziej wypoczęci i uśmiechnięci, a ich życie jest interesujące i radosne, to niekoniecznie ci sami, którzy widzą się najwyżej na abstrakcyjnej drabinie życia. Ba, okazuje się, iż sama idea, że wyższe położenie na „drabinie szczęścia” jest zawsze dobre, najwyraźniej nie jest uniwersalna.

Musisz się dobrze bawić!

Wyobraźmy sobie, że wędrujemy po świecie ze skalą „zadowolenia z życia”, której zakres to 0-35, i prosimy ludzi, aby zaznaczyli, jaki jest ich zdaniem idealny poziom na tej skali. Zrobił to Ed Diener w 2000 r., sprawdzając w 41 krajach, czy ich mieszkańcy tak samo rozumieją „idealny poziom zadowolenia z życia”. Można by naiwnie pomyśleć, że idealny poziom to 35 na 35, a jednak warto samemu spróbować odpowiedzieć na to pytanie; mnie na przykład jakoś dziwnie by było wskazać na maksimum. Polacy niestety nie brali udziału w tym badaniu, ale Europejczycy, czy to z kręgu słowiańskiego, germańskiego, czy romańskiego, zgodnie udzielali odpowiedzi z zakresu 29-31. Maksymalne wartości zgłaszały mieszkańcy Ameryki Łacińskiej; cóż, taki temperament. Dużo ciekawsze są jednak skromne głosy z Afryki (Nigeria:

25,6; Zimbabwe: 23,9; Ghana: 25,6) i z Dalekiego Wschodu (Nepal: 23,8; Indie: 25,7; Japonia: 25,8; i – uwaga – Chiny: 19,8!). Powtórzmy: oznacza to, że „ideałem” dla Chińczyków jest poziom zadowolenia na poziomie 20 na 35.

Nie jest to aż tak zaskakujące. 2500 lat wcześniej niż Ed Diener opisał to niejaki Lao Tsy. O, proszę bardzo: „Jeśli masz trzymać naczynie, aż się przepełni, lepiej tego zaniechaj. Jeśli swój miecz doprowadzisz do niezwyklej ostrości, nie będziesz w stanie długo jej zachować. Jeśli dom swój wypelnisz złotem i nefrytem, nie zdołasz ustrzec go przed grabieżą”. Albo: „Kto wspina się na palce, nie stoi mocno. Kto chce zrobić dwa kroki jednocześnie, nie idzie szybko”. Po polsku powiedzielibyśmy pewnie: „Spokojnie. Nie ma co się pchać”. W kontekście wspinania się po drabinie życia warto też wspomnieć klasyczną przestrożę: „w górze zawsze silniejszy wiatr wieje”. Podobną nutę ma też rosyjskie: „wolniej idziesz, dalej zajdziesz”.

To szalenie interesujący wynik. Jeżeli ktoś uważa, że idealny poziom zadowolenia z życia to 20/35, najlepszym miejscem na 10-stopniowej drabinie będzie dla niego szczebel szósty. Ciekawe, że WHR podaje dla Chin właśnie taki wynik na drabinie Cantrila (a konkretniej: 5,973). W rankingu zapewnia to niestety „tylko” pozycję nr 60, ale co, jeżeli jest to dla samych Chińczyków wynik najlepszy z możliwych? Czy trzeba ich koniecznie uszczęśliwić na siłę, aby za rok zameldowali już z dumą ankieterom, że wspięli się właśnie na siódmy szczebel i są na dobrej drodze, aby dogonić Skandynawów w międzynarodowej olimpiadzie sukcesu? A tak właśnie bywa. W 2013 r. ówczesna kanclerz Niemiec, Angela Merkel, podobnie zareagowała na wieści, że Niemcy zajęły „tylko” 30. miejsce w rankingu WHR, przedstawiając następnie długofalową wizję wspinania się Niemców w tabeli ligowej szczęścia.

Odważne odpowiedzi

Im więcej się czyta o badaniach szczęścia, tym bardziej podejrzane się one wydają. Psychologowie są w kłopotliwej sytuacji, ponieważ to ich własna nauka podpowiada im najlepsze powody, aby jej samej nie ufać. W 2013 r. OECD opublikował 270-stronicowy „poradnik mierzenia szczęścia”, opisujący szczegółowo liczne

problemy związane z globalnymi porównaniami subiektywnego dobrostanu. Po jego lekturze trudno się opędnąć od myśli, że zaczepianie ludzi z kwestionariuszem z nadzieją, że dowiemy się czegoś o ich poziomie szczęścia, to strategia niemal komicznie niepewna.

Ot, ciekawostka: ludzie w różnych stronach świata mają różną skłonność do zaznaczania w kwestionariuszach – na dowolny temat! – wyników skrajnych. Szczególnie chętni do „dramatyzowania” (wszystko jest albo cudowne, albo tragiczne) są mieszkańcy Ameryki Łacińskiej. Na Dalekim Wschodzie tymczasem mało kto odważa się zaznaczyć 0 albo 10 w skali 0-10. Nie zawsze efekt ten znika w uśrednieniu, przestrzega OECD: spośród dwóch krajów, w których ludzie są zasadniczo zadowoleni z życia, w kraju „bardziej dramatycznym” wynik będzie trochę wyższy tylko za sprawą większej odwagi w zaznaczaniu skrajnych cyferek.

Ze spraw poważniejszych: w kulturach kolektywistycznych, jak kultura chińska, kłopotliwe jest pytanie ludzi o ich własny poziom szczęścia. Dla nas, żyjących w kulturze typowo indywidualistycznej, nie stanowi problemu, że jesteśmy znacząco szczęśliwsi od siostry, wuja lub sąsiada. Pewnie sobie zasłużyliśmy! W kulturach kolektywistycznych nie tylko nie za bardzo wypada się tak wywyższać, ale ponadto poziom zadowolenia z życia faktycznie jest współdzielony z najbliższym środowiskiem. Pokazują to zresztą badania, jak to z 2009 r. (Shigehiro Oishi i Ed Diener), w którym wyszło, że osoby pochodzenia azjatyckiego częściej niż biali Amerykanie definiują swoje cele w odniesieniu do innych osób („chcę zrobić X, ponieważ rodzice będą ze mnie dumni”), a ponadto realizacja takich celów naprawdę podnosi im stopień zadowolenia z życia. Wszelkie kwestionariusze, które skupiają się na m o i m dobrostanie, są więc skonstruowane pod zachodni model szczęścia.

Między słowami

Długa jest też w raporcie OECD sekcja poświęcona słowom stosowanym w kwestionariuszach. Prosta demonstracja: choć *happy* to podstawowe tłumaczenie słowa „szczęśliwy”, po angielsku można być *happy* nawet z poziomem wysmażenia steka – coś, co po polsku podpada raczej

Furora, jaką robi
ranking szczęścia,
to kolejny
przejaw naszej
cyferkowej obsesji
– irracjonalnego
przymusu, by każde,
nawet najbardziej
subtelne i intymne
zjawisko umysłowe
sprowadzić do liczby.



THOMAS LINKEL / LAIF / FORUM

pod „zadowolenie”. Ostatecznie, „Are you happy?” to znacznie bardziej blade pytanie niż „Czy jesteś szczęśliwy?”.

W 2018 r. psycholog Tim Lomas wydał świetną książkę „Translating happiness”, w której zestawia 900 słów związanych z dobrostanem, pochodzących z tak różnych języków jak angielski, walijski, grecki, arabski, chiński, nawaho czy sanskryt. Rozpina następnie „przestrzeń pozytywnych emocji”: słowa z różnych języków zajmują w niej rozmaite miejsca, czasem sąsiednie, ale nigdy dokładnie tożsame. Przykładowo, odmianami „zadowolenia” jest duńskie *hygge*, norweskie *kos* i chińskie *xing fú*, ale każde z tych pojęć ma inny koloryt. To zresztą ogólniejszy problem nieprzetłumaczalności słów, a z nimi doświadczień, znany dobrze etnografom, kulturoznawcom i tłumaczom. Gdy więc przyjeżdżamy do Nigerii, Ekwadoru, Nepalu i Filipin ze swoim badaniem na temat

szczęścia, przyjeżdżamy nie tylko ze słowem *happy*, ale też z głową sformatowaną przez własną siatkę pojęciową.

A może dałoby się oszukać system i opracować uniwersalnie zrozumiałą koncepcję szczęścia? W 2023 r. potężna międzynarodowa grupa badaczy (której przewodził Kuba Krys z Instytutu Psychologii PAN) opisała nową miarę zadowolenia z życia, która miałaby w końcu być wyczulona na różnice kulturowe. Po przetestowaniu jej w 49 krajach otrzymali swój własny ranking najszczęśliwszych krajów świata – odmienny zarówno od WHR, jak i Gallupowego badania emocji. W ścisłej czołówce światowej ich dwóch głównych miar znalazła się np. Austria, Gwatemala, Szwajcaria, Norwegia, Niemcy, Malezja i Węgry. Kluczowy przekaz tego badania to jednak nie sam ranking, tylko wniosek, że różne miary „szczęścia” dają znacząco różne wyniki w różnych kulturach.

Wspinaczka po cyfrę

Biorąc pod uwagę niekończące się problemy projektu zmierzenia szczęścia, wypadałoby się chyba zastanowić, po co to właściwie robimy. Autorzy raportu WHR i jego komentatorzy z ONZ i OECD lubią powtarzać, że ich celem jest opracowanie społeczno-politycznego przepisu na szczęśliwe życie. Trudno jednak zaprzeczyć, że musieliby najpierw przekonać krytycznie myślących czytelników, dlaczego mamy właściwie szukać rozwiązań w Finlandii, Danii i Szwecji, a nie w Paragwaju, Panamie i Gwatemali? I czy naprawdę jedna liczba, opierająca się na jednym pytaniu, to mądry punkt wyjścia do zastanawiania się nad szczęściem?

Myślę, że furora, jaką robi corocznie WHR, to kolejny przejaw naszej cyferkowej obsesji – irracjonalnego przymusu mentalnego, aby każde, nawet najbardziej subtelne i intymne zjawisko umysłowe sprowadzić do liczby. Gdy patrzę na „tabelę ligową szczęścia”, natychmiast na myśl przychodzi mi trudna historia IQ. Coś, co miało być skromnym narzędziem pomagającym edukatorom dostosować tempo nauczania do możliwości dziecka, przerodziło się w kolejny wyścig zbrojeń. Geniusz, przeciętniak, idiota. Przez dziesięciolecia hordy entuzjastycznych psychometristów dokonywały też inwazji na najdalsze zakątki Syberii i Sahelu, machając ludziami przed oczami →

→ wystandaryzowanymi narzędziami, zawierającymi szeregi kropek i figur geometrycznych. Wszystko po to, aby przypisać Bardzo Ważny Parametr każdej grupie etnicznej na świecie, a następnie pochylić się nad nią z troską.

Jeszcze dziś trudno przekonać niektórych ekspertów, że liczba nie jest w stanie zamknąć w sobie subtelności ludzkiej inteligencji, a sam fakt jej przypisania może być szkodliwy. Szczególnie trudno jest im zrozumieć, że potęga umysłu może przejawiać się również w umiejętności sprytnego obsadzenia ogródka, pocieszenia zawiedzionego dziecka albo błyskawicznego rozpoznania, komu podać piłkę w dynamicznej sytuacji podbramkowej – zdolnościach, których bledzi i sztywni psychologowie, mistrzowsko rozwiązujący zagadki logiczne, dziwnym trafem jakoś nie czują. Teraz przechodzimy podobną historię ze szczęściem, które próbuje się sprowadzić do szeregu starannie wyskalowanych miar, w których wyższa cyferka jest zawsze – zawsze! – lepsza.

W 2013 r. Angela Merkel zareagowała na wieści, że jej kraj zajął „tylko” 30. miejsce w rankingu World Happiness Report, i przedstawiła **długofalową wizję wspinania się Niemców w tabeli ligowej szczęścia.**

■■■

Im więcej czytam o szczęściu, tym bardziej mętne i odległe się ono staje. Trochę jak po dwudziestym powtórzeniu na głos słowa „krzesło”, kiedy trudno już uwierzyć, że to słowo miało kiedykolwiek jakieś znaczenie. A przecież przed chwilą miało! W przeglądarce mam otwartych 89 kart z badaniami, raportami i artykułami prasowymi. Ych. Na szczęście na

stole leży jeszcze „Tao Te King”. Zerkam. „Tao, które można wyrazić słowami, nie jest prawdziwym tao. Nazwa, którą można je określić, nie jest prawdziwą nazwą”.

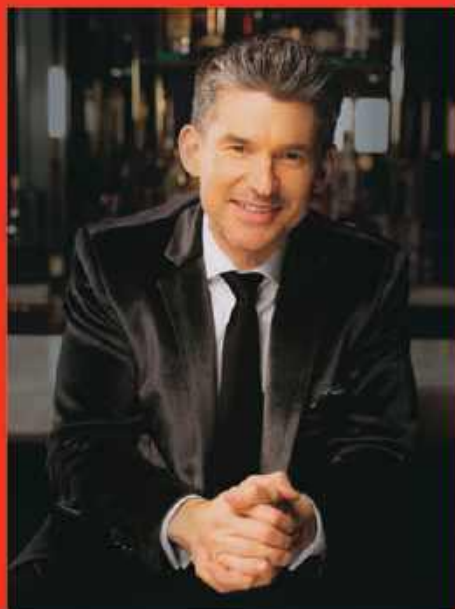
Cóż, o ile Lao Tsy nie znał się chyba zbyt dobrze na metodach wyznaczania afektywnego komponentu dobrostanu subiektywnego, mam do niego niejakie zaufanie w sprawie szczęścia. Wylączę komputer, biorę do ręki kubek. Już nie jest gorący, ale napój wciąż parzy przelyk. Basilur ma taką serię czarnych herbat minimalnie aromatyzowanych. Mlaskam. To chyba skórka pomarańczy? Wstaję od biurka, podchodzę do okna. Dzisiaj rano dosypywaliśmy z dziećmi ziarna ptakom i, pańskim gestem, sypnąłem nieco więcej niż zwykle larw mącznika. A co mi tam. Kowaliki powariowały od tego dobrobytu, a sroki są tak przejęte, że nie mają nawet czasu odganiać tej jednej zalęknętej sójki. Boże, ale się zestarzałem, stoję i gapię się na karmnik. Hehe. Łyk herbaty. Ale, tak ogólnie, nie jest źle.

A jak u ciebie? © P ŁUKASZ ŁAMŻA

REKLAMA

NAJLEPSZE MUZYCZNE EMOCJE

GOOD TASTE!



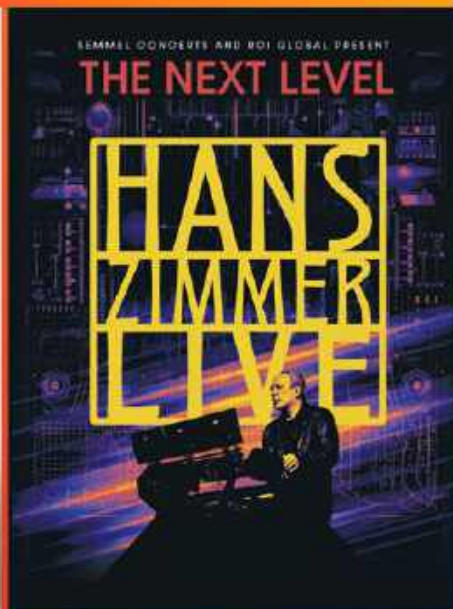
MATT DUSK

31.03-16.04.2025
13 POLSKICH MIAST



JAMIE CULLUM

25.05.2025 KATOWICE
25.05.2025 WARSZAWA

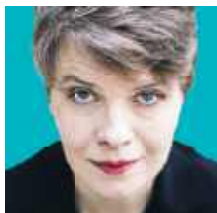


HANS ZIMMER LIVE

15.03.2026 KRAKÓW

ELIZA

Kącka: Pięćdziesiąt z mięsem



ZNAJOMY PUNKT GARMATERYJNY NA stacji metra przy Polu Mokotowskim. Rodzina J. obsługuje. „Dwa schabowe i małą zasmażaną poproszę”. „Krokiecik i cztery ziemniaczane. I niech pan młody dopchnie tej marchewki po denko, a potem zafo-

liuje, żeby mi w torbę nie pocięło – staruszek cmoka z błogością – lubię dużo marchewki”. Sprzedająca: „Żona podgrzeje”. Staruszek: „Jak żona żyła, to mi robiła marchewkę z groszkiem”. „Przepraszam, nie wiedziałam”. „Nie szkodzi, jak jem marchewkę, Marynia się uśmiecha”. „Na pewno”. „Ja bym tak w niebie chciał, marchewkę z groszkiem. Razem, z jednego talerza”. Idą zamówienia świąteczne: „Pięćdziesiąt pierogów z mięsem, pięćdziesiąt wigilijnych, teściowie będą, inwestujemy w relacje, haha, a państwo takie dobre mają. Nie powiem, że to państwa robota”. Sprzedająca: „Nie zdradzi nas pani? Dziękuję”. „Nieee, haha, powiem, że ja robiłam”. Przede mną starsza o kulach, chroma, utykająca, a kolejkę zamyka druga starsza z siatą. Siatowa do Chromej: „Co pani tak stęka, zaraz panią obsłużą”. Chroma: „Niech pani nie będzie przykra”. Siatowa: „Ja nie jestem przykra, ja widzę, ile będę musiała czekać”. „Jak każdy”. Siatowa sarkastycznie: „No, pani nie”. „Żartuje pani! Pół godziny stałam”. „Nie w mojej kolejce”. „Jak to: nie w pani...?”. „W mojej kolejce stoi pani pięć minut”. Gość zza pleców: „Ależ wyliczenia!”. Siatowa: „A pan siedem. I niech pan nie podsłakuje”. Marchewkowy: „Nie trzeba się kłócić. Niech państwo sobie kupią coś dobrego”. Siatowa do staruszka: „Pan już kupił, niech pan idzie. Ponięktórzy tu stoją tylko osiem minut”. Gość zza pleców: „Mam pani ustąpić miejsce?”. Siatowa: „Jakby pan był mężczyzną...”. Gość na wkurzeniu: „Co za babsztyl!”. Siatowa: „Głosuj pan dalej na Tuska!”. Staruszek od marchewki usiadł na krzeselku, wyciągnął serwetkę z torby jedzeniowej, wytarł nos i zapłakał.

WROCŁAWSKIE TARGI DOBRZYCH KSIĄŻEK W HALI STULECIA, łączę sobie. Nad nami kopuła, jakiej nikt nie ma, wspaniale patronująca architektonicznie. Rama naszych starań i zabiegów. Krążę od stanowiska do stanowiska. A potem puszczam się w obwodnicę jarmarczną, czyli hol okalający stoiska księgarskie. Suweniry, rzemiosła, toalety. Z toalet prześkakuję ku rzemiosłom. Przysiadam na schodkach dla złapania oddechu. Obok mnie dwie zwiedzające: „Mam już książki”. „Ja też”. „Gość wyglądał inteligentnie i była do niego kolejka. To pewnie wie, co mówi. Wzięłam podpis dla matki”. „No i dobrze”. „Napisał »Mamie«, ale trudno, powiem matce, że go poniosło”. „Hahaha, jakby znał swoją

matkę...”. „...to by tak nie napisał. Ale wiesz, oni w ogóle nic nie wiedzą o życiu”. „Racja”. „»Mamie«, »Tacie«, a przecież to tylko literki”. „Tylko”. „Nic to nie kosztuje”. „Dlatego tak łatwo mija”. „Dlatego”.

WARZYWNIAK LOKALNY, ZAKUPY. NAD SKRZYŃKĄ WARZYW zderzam się z koleżanką: „O! Eliza, widziałaś »Matki pingwinów«?”. Ruda patrzy się na mnie badawczo: „O co chodzi?”. Ja: „Aaa, wiesz, taki serial...”. Koleżanka: „Oj, nie »taki«, ale świetny. Serial o takich jak my”. Ruda: „O takich jak my”. Pauza. „Pingwin, czyli o tobie, bo jesteś Pingwinem”. Ja: „Jestem Pingwinem, ale wiesz, to jest opowieść o matkach pingwinów, nie o pingwinach, no”. Ruda myśli nad korytkiem z kartoflami i fasolą. Rozkłada ręce, gestykuluje, przetwarza tę fabułę nazewniczą. Koleżanka ładuje śliwki do reklamówki. Ruda do mnie: „Ty jesteś Pingwin bez żadnego związku”. „Zawodowego” – dopowiadam. Nie słyszy. Mówi z przejściem: „Ty jesteś Pingwin bez związku. Masz soczyste pletwy. Ty jesteś jedyna”. Koleżanka się rozkleja: „Jak ty miło mówisz o mamie”. Ruda na podbuntowaniu: „Nie o to chodzi!”. Koleżanka stropiona: „Ja wiem, że możesz mieć dość bodźców”. Ruda: „Nie o to chodzi!”. Kuca przy skrzynce z jabłkami, podnosi się: „Pingwin jest jeden”. Uśmiewam się: „Jedna”. Ruda: „Mogę obejrzeć serial”. Mówię: „Ja też”. Ruda: „Ale Pingwin jest jeden”. Koleżanka: „O, kochanie, zobaczysz, tam jest cała klasa pingwinów”. Ruda: „Pingwin jest jeden. Podpływa ku mnie czułością”. Ja: „Bo ma soczyste pletwy”. „Tak, Pingwinie”.

DZWONI STARUSZKA OD CIŚNIENIA: „PANI ELIZO! WNUK MI mówi, że będzie pani w teatrze!”. „Aha”. „Na scenie!”. „Ano”. „Dlaczego ja o tym nie wiem?!”. „Myślałam, że to pani nie zajmie...”. „Teatr? Brednie. Scena to scena. W czym pani zagra?”. „Aaa, w niczym. Moja książka będzie grana”. „Ach, w ten sposób. Bez pani scenicznego udziału?”. „Bez”. „Tak czy owak, pani Elizo, to jest wielka rzecz: myśli pani, pisze, kombinuje, a potem hyc: i scena”. „Ano, owszem”. Pauza, chwila milczenia. Staruszka zaczyna w tonie innym niż znam: „Bo wie pani, mało kto umie zrobić z siebie spektakl”. „Aha”. „Znaczący się, jak to powiedzieć, tak siebie wystawić ludziom, by wiedzieli, że trzeba to zagrać”. „Prawda, mało kto”. „To nie jest kwestia tematu. Nie powinna być. Wie pani, że ja gram od lat?”. Pauza. „Gram pani i mieszkańcom tej kamienicy spektakl. Dzięki temu zakładam, że mnie zapamiętacie”. „O, wyróżnia się pani. Ale ten spektakl nie wymaga scenariusza”. „Owszem, gram sobą”. „Tak myślę”. „Tak najlepiej”. „Może tylko tak można w takim teatrze”. „Tak”. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu” i „Idiomy”. Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono”.



Teatr Im. J. Słowackiego
w Krakowie

teatrwnakrakovie.pl

REPERTUAR styczeń 2025



Jordan Tannahill

BOTTICELLI

reżyseria Paweł Świątek

GRAMY: 3, 4, 5 stycznia 2025 | SCENA MOS

2 CZW.	Serce ze szkła. Musical zen reż. C. Tomaszewski Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie	Duża Scena	15 ŚR.	Lalka reż. W. Klemm	Duża Scena
3 PT.	Serce ze szkła. Musical zen reż. C. Tomaszewski O dwóch doktorach i jednej pacjentce, czyli seks, władza i medycyna reż. M. Wojtyśko Botticelli reż. P. Świątek Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie	Duża Scena Dom Machin Scena MOS	16 CZW.	Lalka reż. W. Klemm	Duża Scena
4 SOB.	Serce ze szkła. Musical zen reż. C. Tomaszewski O dwóch doktorach i jednej pacjentce, czyli seks, władza i medycyna reż. M. Wojtyśko Botticelli reż. P. Świątek Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie	Duża Scena Dom Machin Scena MOS	17 PT.	Lalka reż. W. Klemm Wielki Gatsby reż. J. Roszkowski Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie	Duża Scena Scena MOS
5 NDZ.	Serce ze szkła. Musical zen reż. C. Tomaszewski O dwóch doktorach i jednej pacjentce, czyli seks, władza i medycyna reż. M. Wojtyśko Botticelli reż. P. Świątek Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie	Duża Scena Dom Machin Scena MOS	18 SOB.	Chory z urojenia reż. G. Pampiglione Wielki Gatsby reż. J. Roszkowski Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie	Duża Scena Scena MOS
7 WT.	Spóźnione odwiedziny reż. I. Kempa	Dom Machin	19 NDZ.	Chory z urojenia reż. G. Pampiglione Wielki Gatsby reż. J. Roszkowski	Duża Scena Scena MOS
8 ŚR.	Spóźnione odwiedziny reż. I. Kempa	Dom Machin	22 ŚR.	Dziady reż. M. Kleczewska	Duża Scena
9 CZW.	Proszę Państwa, Wyspiański umiera reż. A. Duda-Gracz Romeo i Julia reż. D. Feiglewicz-Penarska, Z. Pszczółowska Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie	Duża Scena Scena MOS	23 CZW.	Dziady reż. M. Kleczewska Szyborska. Kropki, przecinki, papierosy reż. A. Gryszkówna Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie	Duża Scena Scena MOS
10 PT.	Proszę Państwa, Wyspiański umiera reż. A. Duda-Gracz Justine&Juliette reż. E. Hütt Romeo i Julia reż. D. Feiglewicz-Penarska, Z. Pszczółowska Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie	Duża Scena Dom Machin Scena MOS	24 PT.	Dziady reż. M. Kleczewska PREMIERA Australia reż. T. Pyrczak Szyborska. Kropki, przecinki, papierosy reż. A. Gryszkówna Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie	Duża Scena Dom Machin Scena MOS
11 SOB.	Proszę Państwa, Wyspiański umiera reż. A. Duda-Gracz Justine&Juliette reż. E. Hütt Język polski na dwa głosy – warsztaty edukacyjne IMPRO KRK Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie	Duża Scena Dom Machin Scena MOS Scena MOS	25 SOB.	Dziady reż. M. Kleczewska Australia reż. T. Pyrczak Szyborska. Kropki, przecinki, papierosy reż. A. Gryszkówna	Duża Scena Dom Machin Scena MOS
12 NDZ.	Justine&Juliette reż. E. Hütt Myślnik. Jazz – filozofia – stand-up	Dom Machin Scena MOS	26 NDZ.	Australia reż. T. Pyrczak Szyborska. Kropki, przecinki, papierosy reż. A. Gryszkówna	Dom Machin Scena MOS
14 WT.	Wielki Gatsby reż. J. Roszkowski	Scena MOS	28 WT.	Wesele reż. M. Kleczewska	Duża Scena
			29 ŚR.	Wesele reż. M. Kleczewska	Duża Scena
			30 CZW.	Act of Killing reż. J. Kłata Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie	Scena MOS
			31 PT.	Szczeliny istnienia reż. I. Kempa Act of Killing reż. J. Kłata Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie	Dom Machin Scena MOS



Teatr Im. J. Słowackiego
w Krakowie

INSTYTUT KULTURY
WARSZAWY
MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA

OFICJALNI
PARTNERZY
TEATRU

BMW
M-Cars Group

Bielenda

Face
Spoon

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**KSIĄŻKI
W TYGODNIKU**
magazyn literacki
„TP” 51-52/2024



Leonora Carrington
w swojej pracowni.
Zdjęcie z wystawy
podczas 34.
Międzynarodowego
Festiwalu Cervantino
w Guanajuato. Meksyk

BIOGRAFIE *odkryte*

Kobieta kot

KAROLINA MOCHNIEJ

Była bardzo płodną artystką: pisała, malowała i rzeźbiła, projektowała plakaty i scenografie teatralne. Jej opowiadania są takie jak obrazy: oniryczne, groteskowe, pełne ekscentrycznych, ludzko-zwierzęcych bohaterów.

Leonora Carrington urodziła się 6 kwietnia 1917 r. w hrabstwie Lancashire w północno-zachodniej Anglii, w katolickiej rodzinie o klasowych aspiracjach. Jej ojciec był bogatym przedsiębiorcą z branży tekstylnej, a pochodząca z Irlandii matka zajmowała się domem, Leonorę i trójkę jej braci. Rodzina żyła w luksusie, w wiktoriańskiej posiadłości Hazelwood Hall.

Rodzicom Leonory zależało na zapewnieniu córce elitarnej edukacji. Od dziecka uczona przez guwernantki, jako nastolatka uczęszczała do prestiżowych szkół z internatem prowadzonych przez zakonnice. Rygor katolickich placówek nie działał na nią dobrze, podobnie jak ograniczenia związane z byciem dziewczynką. Mała Leonora buntowała się, zazdroszcząc braciom wolności. Z obydwu szkół z internatem została wydalona, gdyż, jak twierdziły zakonnice, była niezdolna do przystosowania się do zasad.

Państwo Carringtonowie bardzo starali się ugruntować swoją pozycję w arystokratycznych kręgach Lancashire, a Leonora miała pomóc im w realizacji tych ambicji. W 1935 r., gdy miała 17 lat, przyszła pisarka wzięła udział w balu debutantek w pałacu Buckingham. Dla jej rodziców stanowiło to nie lada wyróżnienie – debiuty młodych panien z zasady zarezerwowane były dla rodów o arystokratycznym pochodzeniu i wielopokoleniowej tradycji; co roku tylko kilka nowobogackich rodzin otrzymywało ta-

kie zaproszenia. Rodzice nie zamierzali zmarnować szansy na umocnienie towarzyskiego statusu i rozwiązanie problemu krnąbrnej córki przez wydanie jej bogato za mąż. Leonora, z braku innego wyjścia, chodziła z matką na przymiarki sukien i lekcje dygania.

Debiut w Londynie

Rygor i sztuczność klasowych przymusów miały później znaleźć odzwierciedlenie w twórczości Carrington. W opowiadaniu „Debiutantka” (1938) narratorka rozmawia z zaprzyjaźnioną hieną o tym, że nie chce iść na debiutancki bal, na który posyła ją matka. Hiena nigdy nie była na żadnym balu, proponuje więc, że zastąpi na nim dziewczynę. Wspólnie mordują pokojówkę, a jej twarz przyszywają do pyska zwierzęcia, które, zakamuflowane w ten sposób, udaje się na imprezę, podczas gdy bohaterka zostaje w pokoju i spokojnie czyta książkę. Hienę demaskuje ostatecznie brak manier i zapach. Ku oburzeniu gości zdziera ludzką twarz, wyskakując przez okno i ucieka. Do poczucia uwięzienia, związanego z domem rodzinnym, nawiązuje też obraz „Zielona herbata” (1942) przedstawiający wypielęgnowany angielski ogród – na pierwszym planie widać unieruchomioną, zmumifikowaną postać, a obok uwiązane do drzewa konie.

Leonora bardzo chciała zostać artystką. Rodzice, postrzegający malarstwo jako nieszkodliwe hobby, posłali córkę do

Londynu, gdzie miała uczyć się malować pod okiem francuskiego nauczyciela. Przez pierwsze kilka miesięcy Carrington intensywnie studiowała podstawy, techniki i metodologię pracy artystycznej, chętnie odwiedzała galerie i muzea, zobaczyła też międzynarodową wystawę surrealizmu. To właśnie wtedy dowiedziała się, że istnieje nurt sztuki wyrosły z rozczarowania burżuazyjnymi wartościami, które doprowadziły do wybuchu I wojny światowej, promujący ideę introspekcji, eksploracji snów i podświadomości.

Wystawa surrealistów sprowadziła do Londynu Maxa Ernsta, 46-letniego wówczas niemieckiego malarza. Max i Leonora poznali się na kolacji u wspólnych znajomych. Jak oboje wielokrotnie wspominali, obopólna fascynacja nastąpiła natychmiast, szybko zostali też kochankami (ku oburzeniu rodziców dziewczyny, informowanych o całej sytuacji przez znajomych ojca).

Para spędziła razem idylliczne lato w Kornwalii, wraz z grupą pochodzących z artystycznej bohemy przyjaciół malarza. Gdy dla Maxa nadszedł moment powrotu do Paryża, decyzja, by z nim zamieszkać, przyszła Leonorze naturalnie. Na krótko wróciła do Lancashire, żeby poinformować rodziców o swoich planach, mierząc się tym samym z rozpaczą matki i wzburzeniem ojca, którego, wyjechawszy z domu w atmosferze skandalu, miała już nigdy nie zobaczyć.



Autoportret Leonory Carrington na wystawie Tate Modern. Londyn, Wielka Brytania

Z Paryża do Madrytu

Przedwojenny Paryż był światową stolicą sztuki, inkubatorem nowych nurtów i idei, mekką artystów, pisarzy, poetów, aktywistów i myślicieli. Max Ernst znajdował się w awangardzie tego środowiska. Zaledwie dwudziestoletnia wówczas Leonora wylądowała w środku artystycznego tygla. Towarzysząc Maxowi chłonęła idee, uczestniczyła w dyskusjach. Była też, z wzajemnością, bardzo zakochana. Nie zważając na dzielącą ich różnicę wieku, Max i Leonora wiedli we Francji – w Paryżu, a później na wsi – sielankowe życie, wypełnione intensywną pracą twórczą, rozmowami o sztuce, malowaniem swoich portretów i spotkaniami z innymi artystami.

Na tym idealnym obrazku powoli kładły się jednak cienie. Młoda malarka coraz wyraźniej dostrzegała rolę, jaką w tym środowisku pełniły kobiety, zwłaszcza młode i piękne jak ona. Dla wielkich artystów, mężczyzn w średnim wieku, miały być muzami i źródłem inspiracji. Nie było im dane partycypować w świecie sztuki na równych zasadach. Choć Max wspierał jej artystyczne aspiracje, zaczęła przeżywać, że przy nim zawsze będzie niesamodzielną, zostanie zaledwie epizodem jego barwnej biografii.

Tymczasem gęstniało zagrożenie ze strony hitlerowskich Niemiec. Ernst, jako niemiecki obywatel, obawiał się przesładowań, zarówno ze strony francuskiego rządu, jak i goebbelsowskiej propagandy, która okrzyknęła go degeneratem, podobnie jak resztę środowiska surrealistów. Wybuch wojny rozdzielił parę. Max został aresztowany przez francuską policję, a Leonora, po nieudanych próbach wyciągnięcia go z więzienia, musiała uciekać do Hiszpanii.

Dotarłszy do Madrytu po długiej podróży, przyniesiona ciągłym poczuciem zagrożenia, samotnością i niepewnością jutra, przeszła ciężki epizod załamania nerwowego, który przerodził się w psychozę. W sierpniu 1940 r. trafiła do szpitala psychiatrycznego w Santander, gdzie poddawano ją brutalnej terapii elektrostrząsami oraz zmuszano do zażywania Cardiazolu – leku, który został później wycofany z użytku ze względu na wywoływanie silnego lęku. Mimo krótkiego pobytu w placówce zawsze już miała wspominać to doświadczenie jako najbardziej traumatyczne w jej życiu. Opi-

sała je później w opowiadaniu „Na dole” (1943), które, obok „Szklanego klosza” Sylvia Plath, jest jednym z najbardziej przejmujących literackich opisów osuwania się w szaleństwo.

Ucieczka do Nowego Jorku

Ojciec Leonory, wykorzystując swoje wpływy, próbował kierować dalszymi losami córki. Artystka została przewieziona do Lizbony, stamtąd zaś miała popłynąć do RPA i trafić do kolejnej placówki psychiatrycznej. Zdołała jednak uciec z pomocą spotkanego przypadkiem znajomego z czasów paryskich. Renato Leduc, poeta i przyjaciel Pabla Picassa, zaproponował Leonorze ustawnione małżeństwo w meksykańskiej ambasadzie, umożliwiające odcięcie się od ojca i legalny pobyt w USA. Leonora z wdzięcznością skorzystała z tej pomocy i 11 lipca 1941 r. na pokładzie statku pasażerskiego opuściła Europę, a po dwóch tygodniach wraz z mężem trafiła do Nowego Jorku. Na zawsze pozostała odcięta od rodzinnego bogactwa, ale z dumą płaciła cenę za życie na własnych zasadach.

To wtedy definitywnie zakończył się jej związek z Ernstem, na którego trafiła jeszcze w Lizbonie, będącej wówczas punktem przesiadkowym dla milionów Europejczyków uciekających przed nazistami. Ernst wyostał się z więzienia i tak jak ona uciekł do Nowego Jorku. Leonora czuła jednak, że musi zostawić przeszłość za sobą i zacząć samodzielnie budować swoje życie. Jej prace znalazły się na nowojorskiej wystawie poświęconej surrealizmowi, zaczęła również malować na zlecenie.

Gdy Renato postanowił wrócić do rodzinnego Meksyku, Leonora nie miała żadnego racjonalnego powodu, żeby mu towarzyszyć – nowojorska scena artystyczna stała przed nią otworem, a ich małżeństwo było całkowicie fikcyjne. Może kierowała nią ciekawość, intuicja, albo potrzeba podążenia nieoczywistą ścieżką? Cokolwiek to było, w 1942 r. wyjechała jednak z Nowego Jorku. Ernsta miała już nigdy nie zobaczyć, ale w walizce wiozła pożegnalny prezent – namalowaną przez niego „Leonorę w świetle poranka”.

Dom w Mexico City

Carrington łatwo odnalazła się w Mexico City lat 40. – mieście innym niż wszystkie, które dotąd знаła. Wkrótce rozwiodła się z Renato, wchodząc jednocześnie w środowisko artystów, którzy, podobnie jak

ona, uciekli z ogarniętej wojną Europy. W ten sposób, krótko po przyjeździe, poznała swojego przyszłego męża. Emérico Weisz, nazywany „Chiki”, był Węgrem żydowskiego pochodzenia i utalentowanym fotografem. Podobnie jak Leonora, w wyniku złożonych kolei losu trafił w latach 30. do Paryża, z którego wkrótce musiał uciekać. Ich związek był pełen ciepła i przyjaźni, stabilny i oparty na równości. W roku 1946 wzięli ślub, wkrótce pojawiły się też dzieci: Gabriel i Pablo.

Najważniejszą znajomością zawartą w środowisku artystów na wygnaniu była hiszpańska surrealistka Remedios Varo, która wywarła duży wpływ na Leonorę. Kobiety zaprzyjaźniły się, przez pewien czas nawet mieszkwały razem w domu Remedios, wypełnionym kotami, kryształami i talizmanami. Pozostawały w bardzo bliskiej, siostrzanej relacji przez 20 lat, aż do śmierci Hiszpanki. Tworzyły obrazy w oparciu o wspólne tematy, gotowały, dyskutowały o ezoteryce, mitologii, Jungu. Przyjaciele zwykli nazywać je dwiema czarownicami.

W okresie tej przyjaźni i pod jej wpływem Leonora stworzyła własną talię tarota. W jej pracach z tego czasu wiele jest ukrytej ezoterycznej symboliki. Obraz zatytułowany „Syssig” z 1957 r. może nawiązywać do astronomicznego terminu określającego opozycję planet – syzygium. Przedstawia siedzącą na krześle kobietę, z trzema postaciami w ciemnych okularach za jej plecami, i stojącego przed nią brodatego mężczyznę, oferującego tajemnicze przedmioty. Para zdaje się przypominać postacie z tarota – Kapłankę i Magika. Mniej znana praca, „Seans”, przedstawia z kolei kuchenny stół Leonory. Siedzące przy nim ludzkie i zwierzęce postacie odbywają spirytystyczny rytuał.

Powrót do Stanów

Malarstwo Carrington było w Meksyku cenione, już po kilku latach pobytu artystka zorganizowała tam świetnie przyjętą wystawę. Leonorę polubiła nawet Frida Kahlo, która – silnie związana z meksykańską kulturą – uważała zwykłe artystów przybyłych z Europy za pretenstjonalnych i przeintelektualizowanych, unikając kontaktu z nimi.

Leonora nie wykorzystywała elementów lokalnej tradycji w swojej twórczości, zdawała się celowo unikać zawiązków kulturowych. Wyjątkiem jest →

→ mural „El Mundo Magico de los Mayas” z 1960 r., stworzony na zlecenie Narodowego Muzeum Antropologii w Chapultepec Park, w którym zobrazowała wierzenia i rytuały Chiapas, potomków Majów.

Kiedy meksykański rząd brutalnie stłumił protesty studenckie roku 1968, zaangażowała się w ruch antyrządowy i z obawy przed prześladowaniami wyjechała do USA. W tym okresie jej synowie byli już na studiach, a ona i Chiki żyli osobno – przez kolejne lata artystka mieszkała w Nowym Orleanie, później w Nowym Jorku i Chicago. W czasie okazjonalnych wizyt w Meksyku udzielała się w Ruchu Wyzwolenia Kobiet – feministycznej organizacji sprzeciwiającej się mizoginistycznej latynoskiej narracji o roli kobiet w społeczeństwie. W latach 80. wróciła na stałe i przeżyła w Meksyku jeszcze długie lata, do śmierci w 2011 roku.

Zmagania z historią

W jej twórczości jest wiele powtarzających się biograficznych wątków, prób rozprawienia się z czasem dorastania w Anglii. Jednym z takich motywów są zwierzęta, między innymi ptaki, konie i hieny, które nasuwają skojarzenia z potrzebą ruchu i wolności. W dzieciństwie Carrington miała konie, toteż w jej malarstwie zwierzęta zdają się symbolizować nią samą. Autoportret z 1938 r. przedstawia Leonorę siedzącą na krześle w zdobionym wnętrzu, podczas gdy konie – ten na bieżniach, wiszący na ścianie, i ten za oknem – skaczą. Przed nią z kolei siedzi hiena, symbolizująca dziką część jej tożsamości.



■ **Leonora Carrington, TRĄBKA DO SŁUCHANIA.** Przetłumaczyła Maryna Ochab, ilustracje Pablo Weisz. Carrington, posłowie Olga Tokarczuk. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023



■ **Leonora Carrington, SIÓDMY KOŃ. OPOWIADANIA ZEBRANE.** Przetłumaczyli Michał Kłobukowski i Maryna Ochab, posłowie Agnieszka Taborska. Wydawnictwo Filtry, Warszawa 2022

Do doświadczeń z młodości zdaje się też nawiązywać obraz „Ptasia kąpiel” z 1974 r. Dwie starsze kobiety ubrane na czarno trzymają czerwoną kaczkę w balii z wodą, myją ją i przemalowują na białą. Widoczny w tle zarys domu z ptakiem może odnosić się do jednej z posiadłości z dzieciństwa Leonory, Crookhey Hall, zdobionej ptasimi ornamentami. Splata się tu kilka nawiązań do zniewolenia, odebrania sprawczości: kąpiel, symbolizująca katolicki chrzest, kobiety przypominające zakonniczki ze szkół z internatem. Unieruchomienie w balii z wodą może też odnosić się do doświadczeń ze szpitala psychiatrycznego.

W 1974 r. Leonora Carrington wydała powieść „Trąbka do słuchania”, której przekład niedawno u nas wznowiono (opublikowano również tom opowiadań). Opowiada ona historię 92-letniej Marion, która otrzymuje od swojej ekscentrycznej przyjaciółki Carmelli (inspirowanej postacią Remedios) tytułową trąbkę. Dzięki niej podsłuchuje, że rodzina ma zamiar umieścić ją w domu spokojnej starości, który zdaje się być połączeniem szkoły z internatem ze szpitalem psychiatrycznym. Na miejscu zaczynają się przygody – Marion i pozostałe starsze panie buntują się wobec dyktatury srogiego, charyzmatycznego doktora Gambita. Kobiety angażują się w sekretną misję poszukiwania zaginionej ewangelii, która ma obalić lata patriarchy i ocalić świat przed zagładą. Surrealistyczna powieść została już przeniesiona na deski teatru. Spektakl autorstwa Marty Konarzewskiej i Agnieszki Głińskiej miał premierę w 2021 r. w krakowskim Starym Teatrze.

Tymczasem niespełna miesiąc temu podczas Modern Evening Auction w domu aukcyjnym Sotheby's wylicytowano legendarne dzieło Carrington, rzeźbę „La Grande Dame (The Cat Woman)” z 1951 r. Praca została sprzedana za rekordowe 11,38 mln dolarów. Na zainteresowanie twórczością Carrington wpłynęła nie tylko większa dziś widoczność artystek na międzynarodowych aukcjach i wystawach. Także 59. edycja Biennale w Wenecji nawiązywała do dorobku Carrington. Jak widać, jej czas dopiero nadchodzi. © KAROLINA MOCHNIEJ

REKLAMA

OCTAVO

WZNOWIENIA POSZUKIWANYCH KSIĄŻEK



słowo/obraz terytoria



Stulecie surrealistek

PIOTR KOSIEWSKI

W ŻADEN INNY RUCH AWANGARDOWY NIE ZAANGAŻOWAŁO SIĘ TAK WIELE ARTYSTEK. Ich twórczość została jednak skutecznie wymazana przez tych, którzy po latach pisali o surrealizmie. Przez dekady nurt kojarzył się przede wszystkim z nazwiskami André Bretona, Salvadora Dalí, Maxa Ernsta czy René Magritte'a. Whitney Chadwick, autorka klasycznego, wydanego także w Polsce opracowania „Kobiety, sztuka i społeczeństwo”, postanowiła wypełnić ten brak. Napisała o kobietach, które odważyły się odrzucić konwencje społeczne i tworzyć w czasach, w których „w sztukach wizualnych brakowało żeńskich wzorów do naśladowania, a kobiet nie zachęcano do funkcjonowania w świecie zawodowym”.

„Artystki i surrealizm” zostały wydane w 1985 r., jednak dopiero teraz ukazało się ich polskie tłumaczenie. W ten sposób została wypełniona także w naszym piśmiennictwie poważna luka, bo ta napisana ze swadą i pozbawiona akademickiego stylu książka jest świetnym wprowadzeniem w świat surrealistów odmienny od tego, do którego przyzwyczaiła nas historia sztuki. Co więcej, autorka rozmawiała z wieloma twórczyniami, co nadaje temu opracowaniu szczególnie, także osobisty charakter.

Whitney Chadwick pisze o kobietach, które były modelkami, ale przede wszystkim inspiratorkami znanych ar-

tystów. O będącej uosobieniem surrealistycznej muzy Gali, żonie Paula Éluarda, przez lata związanej z Salvadorem Dalí, czy o Lee Miller znanej z legendarnych już zdjęć Mana Raya, która sama była wybitną fotografką. Jednak przede wszystkim książka „Artystki i surrealizm” poświęcona jest własnej twórczości kobiet.

„Nie miałam czasu, żeby być czyjąkolwiek muzą... Byłam zbyt zajęta buntowaniem się przeciwko mojej rodzinie i uczeniem się, jak być artystką” – wyznawała po latach Leonora Carrington. To jej słowa stały się punktem wyjścia dla opowieści o Eileen Agar, Leonor Fini, Dorze Maar, Lee Miller, Meret Oppenheim czy Remedios Varo. Wreszcie o samej Carrington, która była nie tylko malarzką, ale też oryginalną pisarką – jej polski przekład „Trąbki do słuchania” otwierał serię wydawniczą ulubionych książek Olgi Tokarczuk.

Książka Chadwick była przełomem. Jednak przez kolejne dekady od jej wydania właściwie tylko twórczość Fridy Kahlo przebiła się do świadomości szerszej publiczności. Ostatnie lata przyniosły w tej materii zmianę. Dziś, gdy świętujemy 100-lecie ogłoszenia „Manifestu surrealizmu”, nie sposób pominąć w nim udziału kobiet, co dobrze ilustruje trwająca właśnie

w paryskim Centre Pompidou wystawa rocznicowa. Kobiety odzyskują należne im miejsce w historii. ©



■ Whitney Chadwick, **ARTYSTKI I SURREALIZM**, przeł. Anna Arno, Wydawnictwo Smak Słowa, Sopot 2024

Spacer po labiryncie

JACEK TARAN

P OCZĄTKUJĄCY ODKRYWCA WGLĘBIAJĄCY SIĘ W ZAWIŁOŚCI historii sztuki może łatwo przerazić się ogromem symboli, kontekstów i terminów. To jak labirynt, w który wybrać się bez przewodnika niepodobna. Poruszanie się po omacku po tak skomplikowanym, wielopoziomowym i rozległym świecie może sprawiać, że na wiele obrazów będziemy patrzeć nie wiedząc, co naprawdę widzimy. Camille Jouneaux w swoim monumentalnym dziele „Leonardo, Frida i przyjaciele” podejmuje próbę wyposażenia nas w warsztat historyka sztuki oraz kompas, który pozwala przejść przez świat ponad ośmiuset lat malarstwa.

Autorka w tej wspaniale ilustrowanej pozycji prowadzi nas po historii sztuki niczym za nicią Ariadny. Nawleka na nią różnorodne drobiazgi, opisuje symbole, pokazuje nam ich obecność na obrazach i uczy na nowo czytać dzieła, które wydają nam się znane, bo oglądane setki razy. O wyjątkowości wydawnictwa świadczą dwa aspekty. Jeden z nich to skrupulatna dbałość o umieszczenie sztuki w kontekście szerszym niż zatoczony przez europejski punkt widzenia. Co działo się w Indiach, gdy w Europie renesans osiągał swą szczytową formę? Co ma-

lowali chińscy malarze, gdy powstawała „Straż nocna” Rembrandta? Jouneaux rzuci europejskie malarstwo na światowe tło, nie zapominając o jego oddziaływaniu na kolejne pokolenia artystów rodzących się po obu stronach oceanu. To odejście od europocentrycznego postrzegania sztuki jest jedną z największych zalet albumu. Drugim, równie ważnym aspektem, jest rezygnacja z męskiego paradygmatu wyznaczającego bieg historii. Autorka w każdej niemal epoce odkrywa przed nami dzieła artystek, które przez wieki były zapomniane. Dzięki temu poznajemy twórczość choćby Lavinii Fontany, Artemisii Gentile-schi czy Judith Leyster – ich nazwiska mają szansę stać się mocnymi punktami opowieści o historii tworzenia.

Można oczywiście zadać sobie pytanie, czy w czasie do-stępu do tych wszystkich dzieł w internecie potrzebne nam są takie potężne, albumowo-encyklopedyczne wydawnictwa. Po-mimo łatwo dostępnego dziś ogromu wiedzy, coraz trudniej jest jednak trafić na kompetentny i przejrzysty przewodnik po świecie sztuki. Przewodnik, który nie przytłaczałby kronikarską szczegółowością i nie odpychał źle reprodukowanymi ilustracjami. ©©



■ Camille Jouneaux
LEONARDO, FRIDA I PRZYJACIELE
przekład Eliza Kasprzak-Kozikowska
Znak, Kraków 2024

Gwiazdozbiór Boya

ELIZA KĄCKA

Kiedy Boy – jako człowiek, nie marka – stał się Boyem? Ten pseudonim, esencja dezynwoltury, na którą pozwolić sobie mogą ludzie wolni od środowiskowego konwenansu, do dziś zastanawia.

KIM BYŁ? TŁUMACZEM GENIALNYM, acz nie bez uchybień. Przekładowcą literatury francuskiej, który pominął gigantów naturalizmu (może wiedział to samo, co już oni wiedzieli – i nie potrzebował tłumaczyć?). Przeszedł tak wiele wcielen w światy literackie, że skompromitował wehikuł czasu.

Dr Tadeusz Żeleński, lekarz medycyny, rozdał więcej wejściówek do krain wyobraźni niż jego uprzywilejowani i nadkompetentni koledzy wytłoczyli biletów (na pojedyncze spektakle literackie). Pracował za dziesięciu. Ba, nie za dziesięciu, ale za dwudziestu, bo przecież prowadził swoją kampanię społeczną o prawa ludzkie (do dziś niezakończoną) i walkę o rozum, której zakończyć niepodobna.

Nadto okazał się charyzmatycznym wykładowcą. Wykładowcą, przed którym w latach 30. – wbrew słuchaczom – zamknięto sale. A większego demokraty niż on nie można było mieć – choćby i za murami tymczasowych akademii. Dużo zrobiono, by został zapomniany. Może był zbyt niepojęty.

Nad Sekwaną

Rzadko się zauważa, iż powtarzanie to jedna z głównych cech manieri Boya. Powraca wciąż do wspomnień krakowskiej bohemy, praktyki lekarskiej, lat Wielkiej Wojny. Nie jest to tylko sentymentalne, nie jest to wyłącznie natrętnie. Jest to umocowywanie się w istnieniu, które stało się Boyem. Właśnie! Kiedy Boy – jako człowiek, nie marka (sygnatura) – stał się Boyem? Mniemam, że przed performansami w Zielonym Baloniku. Nie opowiedzą nam o tym kalendaria oplecione anegdotą. Pytam siebie: czy Boy był już Boyem jako niesforny uczeń, bywalec knajp dorożkarzy? Czy jako student medycyny, krajacz trupów w prosektorium? Czy jako hazardzista – gracz w bakarata?

Czy jako nieszczęsny kochanek oziębłej Dagny Przybyszewskiej? Ten pseudonim, esencja dezynwoltury i samoumnieszenia, na które pozwolić sobie mogą ludzie wolni od środowiskowego konwenansu, do dziś zastanawia.

Odpowiedź sama na siebie naprowadza: Boy stał się Boyem w Paryżu, w roku 1901. Zima była sroga, początkujący medyk spędzał ją głównie pod kołdrą, szczękając zębami i czytając złachane książki – nabyte na chybił trafił u bukinistów na wybrzeżu Sekwany. Wspominał to po latach wielokrotnie – w tekstach tak ważnych, jak odczyt autobiograficzny, wygłoszony pod kopułą Sorbony (jedno z istotnych powtórzeń). Tym samym odpowiadał na pytanie, którego nie stawiamy. Przełomem w jego życiu była lektura Balzaka: „...pochlonałem kolejno kilkadziesiąt tomów (...). Ta lektura (...) przy akompaniamencie odgłosów Paryża dolatujących z ulicy dała mi parę tygodni spędzonych jakby w fantastycznym świecie. Wieczorem, kiedy trzeba było wyjść z domu, aby coś zjeść wreszcie, szedłem na miasto, błakając się po ulicach, żyjąc w dalszym ciągu z bohaterami »Komedii ludzkiej«”. Chłonał Paryż – i został wchłonięty.

Nad Balzakiem

Przygoda ta doprowadziła po latach do przekładu pięćdziesięciu siedmiu tekstów Balzaka (liczę wedle kalendarium Barbary Winklowej), w większości powieści. Zdaje się, iż tak zapamiętałym trudem spłacał Boy zaciągnięty u autora „Straconych złudzeń” dług. Co jednak, prócz młodzieńczej fascynacji, Boy mu zawdzięczał? By to zrozumieć, nie trzeba brnąć – choć zachęcam – przez dwadzieścia trzy tomy Czytelnikowskiej edycji „Komedii ludzkiej”. Dość sięgnąć na inną półkę, i to po jedno zdanie. W szkicu Theodora W. Adorna („Lektura Balzaka”, 1958) czytamy: „Utrata złudzeń, która

dała tytuł jednej z największych powieści Balzaka oraz nazwę rodzajowi literackiemu, ma swe źródło w doświadczeniu, że ludzie i ich funkcje społeczne zmierzają w przeciwnych kierunkach” (przeł. K. Krzemień-Ojak).

Adorno streszcza sytuację egzystencjalną Boya. Wyczerpany utratą złudzeń dwudziestosiedmioletni medyk odkrył nad Balzakiem, iż życie postępuje sobie, a wrogi mu reguły gry społecznej – na odwrót. A Balzak opisuje takich jak on nieudaczników, wtrąconych między bezwzględnych giełdżarzy, puszczałskie damy, nadętych arystokratów i cynicznych młodzieńców. Że patriarchalna tyrania takiego ojca, jakiego miała trójka młodych Żeleńskich, musi źle się skończyć (jeden z braci omal się stoczył, drugi niebawem miał odebrać sobie życie, trzeci wylądował w domu obłąkanych). Że dla kobiety można (jak on) zaprzedać się na lata. Że chciałoby się być poetą, a trzeba z miejsca wyrecytować po łacinie nazwę każdej z dwudziestu siedmiu kostek dłoni ludzkiej.

Cała późniejsza publicystyka Boya, od satyr „Zielonego Balonika” po najostrzejsze wypady w ćwierć wieku później, bierze stronę jednostki przeciw przemocy tego, co oficjalne i niepodważalne. Idzie pod prąd „funkcji społecznych”. Krytyka zakrawa na rewoltę.

Nad Dwudziestoleciem

Doktor Żeleński, acz internista, jak mówią, średniej miary, sam siebie zdiagnozował bezbłędnie. Istotnie, podlegał „wyobrażeniom przymusowym” (*Zwangideen*) i z zapamiętaniem im folgował. Stąd jego niepowtarzalny styl, gust do szyderstwa i pasji, opętańczej pracy i podszytych autoironią prowokacji. Działiał, jakby nie znał lęku, nie sobie nie robił z przyjętych poglądów i postaw. Zdawał się fizjologicznie impregnowany na oportunizm i łgarstwo: nad-



zwyczajny okaz indywidualisty kierowanego wyłącznie nakazem wewnętrznym. Dałoby się znaleźć jeszcze paru takich (Stanisław Brzozowski na przykład), lecz pozbawionych jego wdzięku, topornych jak taran. Boy to fenomen bez precedensu. I następców, niestety.

Dwudziestolecie międzywojenne, na które przypada dwie trzecie jego aktywności twórczej, ma szczególny status. Liczące sobie trzy wieki klasycyzm i pseudoklasycyzm odwoływały się wciąż do antyku i grecko-rzymskiej mitologii. Zadaniem artysty było „pobieranie” stamtąd postaci, fabuł i wzorów – ze świadomością, że dawnym mistrzom nigdy nie dorówna. Któż mógłby przewyższyć Sofoklesa, Horacego? Otóż taką rolę w imaginariu zbiorowym twórców polskich odgrywa dziś Dwudziestolecie. To nasz wiek złoty, źródło legend i mitów. Kto dorówna Gombrowiczowi, Schulzowi, Witkacemu? Kto dosięgnie wyżyn „Kronik tygodniowych” Słonimskiego, wierszy Leśmiana, piosenek Hemara? Kto może równać się z Boyem?

W samej pełni Dwudziestolecia opublikował Gałczyński poemacik „Piekło polskie” (1926). Tam, jako następca Dantego, zwiedza kręgi piekielne zaludnione przez literatów. Dostaje się wszystkim – z wyjątkiem jednej postaci bytującej poza strefą infernum, w zonie serio:

→



Powyżej:
Józef Rapacki,
W kawiarni „Ziemiańska” w Warszawie,
pastel, ok. 1926 r.

Obok:
Karykatura Boya-Żeleńskiego
autorstwa
Kazimierza Sichulskiego,
ok. 1920 r.



→ *Nad Acherontem Boy, bóg zamyślony, chodził samotny, pluł i liczył gwiazdy.*

Jak wiele zmieścić można w dwóch wersach: hołd, diagnozę melancholii, pochwałę abstrakcyjnych, mało komu potrzebnych zatrudnień. Osobność zamyślenia. Boy pozostaje, w tłumie kosmicznych graczy, jedynym bogiem. Wdzięcznam dziś za tę projekcję, delegującą Żeleńskiego, tytana spraw społecznych, w kosmos obecności czystych. Może trzeba było lunety mistrza Ildefonsa, by dostrzec na niebie gwiazdozbiór Boya?

Nad stolikiem

I jeszcze jeden portret. Słonimski, dziesięć lat później, postanowił odmalować ekskluzywne towarzystwo spotykające się przy stoliku na legendarnym półpięterku Małej Ziemiańskiej. O czym to twórcy z kręgu Skamandra mogli rozprawiać przez kilkanaście lat – średnio pięć razy w tygodniu – i nigdy im to nie zbrzydło?

Pan Antoni daje próbkę dialogów, w których, rzecz jasna, uczestniczy Boy. A właściwie: nie uczestniczy. Podrzuca, owszem, dość drastyczny wątek, a potem tylko wzdycha. Co więcej: to Tuwim, Lechoń, Grydzewski, Parandowski, Wit-tlin, Nałkowska, Krzywicka, Leśmian, sam Słonimski i reszta popisują się przed nim. Boy jest ich publicznością. Ponoć był z tego znany, żywił zbiorowego dowcipu bardziej przygnębiał go, niż bawił. Choć, warto pamiętać, niczego nie robił bez przyjemności.

Trzydzieści lat wcześniej, z estrady Zielonego Balonika, syłał rymowane facecje, mając przed sobą wyborową publiczność. Teraz sam okazał się publiką. Tak czy owak, dwukrotnie w życiu znalazł się Boy w centrum środowiska ożywionego nadzwyczajnym poczuciem humoru, kipiącego od talentów – i nie bez zachwyty wpatrzonego w siebie. „Zielonobalonikowcy” byli światem w sobie – skamandryci także. Dwa razy to samo doświadczenie – to niemal nie mieści się w jednym losie. Nawet jedna taka przygoda wykraczałaby poza średnią.

W roku 1934 ukazał się we Lwowie traktat Floriana Znanięckiego „Ludzie terazniejsi a cywilizacja przyszłości”. Socjologia bywała wówczas domeną idei prostych. Jeden z patentów Znanięckiego to podział ludzi na cztery grupy. I tak: człowiek dobrze wychowany to ktoś, kto uwewnętrznia opinie środowiska i stara się do nich



Witkacy, Portret Tadeusza Boya-Żeleńskiego, 1928 r.

dostosować. Człowiek pracy podporządkowuje się kontrolującej go grupie; zgadza się na uczestnictwo w strukturze hierarchicznej. Człowiek zabawy, gardząc pracą najemną, działa w kręgu towarzyskim kreującym wciąż nowe, bezinteresowne gry. Wreszcie człowiek zboczeniec (ta nazwa!), tzw. nadnormalny, inicjuje bunt przeciw regułom społecznym, dążąc do zmiany zastanego ładu.

Znanięcki uznał tym samym symboliczny patronat nadnormalnych, widząc w nim szansę na niedogmatyczność, otwartość na „inne kręgi kulturowe”. Podtyp zboczeńca sam stawia sobie cele, sam dobiera środki. Innymi słowy, uosabia geniusz samorozwoju. Boy mógł tam przeczytać o sobie. Byłby tym samym, paradoksalnie, nadnormalnie wyzwolonym człowiekiem pracy (mało co może opinia ocenić tak obiektywnie jak prze-

kłady). W sumie: melancholik-entuzjasta – wielka rzadkość!

Nad słówkiem

Jerzy Giedroyc, Jerzy Stempowski, Konstanty Jeleński, Czesław Miłosz – znakomite grono, dla którego Boy-Żeleński tak jakby nie istniał. Dla kręgu paryskiej „Kultury” to kompletny *noname*. Wyjątkiem Gombrowicz: ten darzył go szacunkiem. Stempowski raz jeden poświęcił mu słówko, pisząc o „zaglądaniu pod ogon historii literackiej”. A w grubym tomie przedwojennej publicystyki Miłosza Boy wspomniany jest szerzej tylko raz: że sprowadził do Warszawy pamiętnikarza Jakuba Wojciechowskiego i wprowadzał go po lokalach niby małpę na sznurku.

Słowem: ci niewątpliwi modernizatorzy cywilizacji polskiej w arcy-polskim stylu skreślili konkurenta. Cała proble-

matyka społeczna Boya: reforma małżeńska, regulacja urodzin, przesady stanowe, zapóźnienie obyczajowe, ingerencja kleru w prawodawstwo, załganie historyków literatury, a nawet prawo autorskie, by nie wspomnieć o próbie nawrócenia publiczności czytającej na racjonalizm francuski traciły, jak się zdaje, wagę wobec faktu, że Boy współtworzył literacki establishment. A zatem wszystko, co jego, było z zasady fe. Znać w tym reakcję pokoleniową, efekt awersji ludzi lat 30. do „Wiadomości Literackich”.

Podobnie z niechęcią środowisk socjalistycznych. W wydanej parę lat temu ogromnej biografii Jana Strzeleckiego, który był socjalistą wzorowym, człowiekiem bez skazy, podejmującym całe życie kwestie modernizacji społeczeństwa polskiego, nazwisko Żeleńskiego nie pada ni razu.

Nie nadawał się i na wolnomularza, choć – zbrojny w mocne rekomendacje łóż francuskich – postanowił tam znaleźć jakiegokolwiek instytucjonalne zaplecze. W Warszawie oznajmiono mu, że nie może być masonem, „bo jest błazen”. Łoża to nie kabaret. Istotnie, trudno przedstawić sobie członka tej zacnej konfraterni, który – jak opisuje – zaszedłszy do kawiarni, widzi wokół „same dziry” i chciałby im rzec: „Czemu mnie nie witacie? To ja, siostra wasza, dziwka, dobrze znana w Kielcach i Radomiu, która wyrwana z ojczyzny przyjechała, zawadziwszy o Paryż, obrabiać portowe miasta...”. O to słowo „dziwka”, które zmieniono mu w druku, Boy procesował się wkrótce z redaktorem „Czasu”. W oczach wolnomularzy był skończony.

Nad Mickiewiczem

Mimo aplauzów w Ziemiańskiej i entuzjazmu czytelników, Boy czuł się samotny. Co można zdziałać w pojedynkę? Dopiero w 1925 r., po kongresie PEN-Clubów, doznał w Paryżu „olśnienia”: „Zastanawiałem się mianowicie, że w naszej epoce są ludzie uczeni i mniej uczeni, mędrsi i mniej mądrzy, ale że zanikła profesja, która istniała w starożytności: mędrzec. (...) Mędrzec nie potrzebował pisać książek, nie potrzebował robić wynalazków; (...) wystarczyło parę rysów, parę gestów – mędrzec. To był pewien stosunek do życia, do siebie samego, do świata. Taki Diogenes zerwał z kobietami i sprawił sobie drewniany kubek: mędrzec. Jakiś tam

Greczyn nie uznawał innej linii, tylko prosta: przyjaciele musieli za nim chodzić i pilnować go, aby nie wlaźł do rzeki albo nie rozwalił sobie głowy o drzewo: mędrzec”. Słowem, sam poczuł się mędrce, co skończyło się marzeniem o zamówieniu sobie wizytówek z inskrypcją „Boy mędrzec”. Nigdy ich nie zamówił. Nie miał czasu.

Nie miał, gdyż – zyskawszy właściwą samotnikom świadomość pełnej niezależności – rzucił się w swoje najśtyńniejsze kampanie. Mickiewicz wyszedł z jego palni już nie tym samym Mickiewiczem: nie była to rewizja, lecz rewindykacja człowieczeństwa. Boy trafił w najsłabszy punkt kultury polskiej: obłudę. Wielkiego poetę przywłaszczyli sobie hipokryci. Czego tam nie ma: od bezwstydnego niszczenia dokumentów po rozerotyzowane sekciarstwo. Czasem trop wiódł na manowce, lecz sama możliwość wentylowania spraw, o których trzy czwarte wieku milczano, stanowiła ewenement. Boy po raz pierwszy okazał się groźny. „Całe pokolenie polonistów uprawiają wciąż swoje ewolucje na fałszowanych listach Mickiewicza”. I nikt tego już nie rozplące.

Boy miał z lat krakowskich znajomego prawnika, który w Jamie Michalikowej zwykł strzelać z rewolweru w sufit. Zwał się Zdzisław Piernikarski i w wolnej Polsce został prokuratorem Sądu Najwyższego. To on instruował Witkacego, jak opisać w „Nienasyceniu” kwaterymajstra Kocmołuchowicza, by nikt nie mógł oskarżyć powieści o obrazę Marszałka (Witkacy w rewanżu uczył go jazdy na nartach na stokach Antałówki).

Tytułem dawnej znajomości Piernikarski stał się wtyczką Boya w Sądzie Najwyższym, gdzie debatowano właśnie nad nowym kodeksem karnym. Opowieści zaś o tym, co dzieje się w Komisji Kodyfikacyjnej, były porażające. Boy poświęcił im osobne studium. Gdy Komisja Kodyfikacyjna – wskutek protestów Kościół – przegrała walkę o reformę prawa małżeńskiego i niekaralność przerywania ciąży, kontynuował zmagania z „piekłem kobiet wciąż otwartym”: „12-letnia dziewczynka, zgwałcona i zapłodniona przez własnego ojca, musiała donosić i urodzić dziecko, bodaj kosztem własnego życia; i żaden lekarz nie mógł jej uwolnić od tej potwornej ciąży...”. Była to bodaj najważniejsza, a z pewnością najgłośniejsza

kampania Boya: argumentuje w niej, jakby pisał to dziś.

Nad listami

Czyta Boy list swego podopiecznego. Opisuje mu Wojciechowski los sąsiada, któremu z łaski dano lokum w chlewie, chlew spłonął, chłop ze zmartwienia umarł i wdowę z piętnaściorgiem [!] dzieci umieszczono na jakimś strychu. „Jeszcze troje żyje z tego całego mendela, ale drugie pomarły”. I tu Boy bierze do ręki ółwek („wyobrażenia przymusowe”). „Piętnaścioro dzieci na troje żywych. (...) To znaczy sto trzydzieści pięć miesięcy ciąży; może drugie tyle karmienia; piętnaście porodów i połówów. (...) Piętnaście taks za chrzciny, a dwanaście za pogrzeby (...). I to wszystko, aby wyprodukować troje dzieci, o ile tych troje się wychowa”.

Oto czemu pisarz ma obowiązek – w zastępstwie wszystkich innych – zabrać głos. Wielkie kampanie Boya dały mu nieporównaną wiedzę o polskim społeczeństwie, a ta ostatnia – świadomość mrocznych stron II Rzeczypospolitej, jakże odległych od beztroskiego grona z półpięterka Ziemiańskiej.

Boy bierze drugą kartkę. „Ile zabobonów, ile interesów wspiera się na nieograniczonej płodności? Najpierw kler, który pod naciskiem częściowo ustępuje, ale niechętnie. Dalej kapitalizm, widzący taniość robotnika w jego nadmiernej podaży. (...) Militarizm, widzący siłę obrony czy agresji w ilości rekruta. Wreszcie rozmaite interesy zawodowe związane z tym, aby się ludzie mnożyli, choćby po to, aby mieli rychło zegnać się ze światem: fabrykanci kołysek, smoczków, mączki Nestle’a i trumien”. Za takie dywagacje okrzykną go marksistą. A żywym nie pomoże. Zresztą, nawet Fredry nie udało się Boyowi uratować: stał się szacownym (czyli fasadowym) zabytkiem. Wszystkie kampanie dr. Żeleńskiego okazały się przegrane.

© ELIZA KĄCKA



■ Monika Śliwińska, **KSIAŻKI. BIOGRAFIA TADEUSZA BOYA-ŻELEŃSKIEGO**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2024

Co daje siłę

DARIUSZ KOSIŃSKI

Nad biografiami Swinarskiego i Szajny zawisa to samo pytanie: dlaczego ci niezwykle, uważani za genialnych ludzie zwrócili się ku teatrowi? A jeszcze bardziej – dlaczego to właśnie teatr w ich czasach stał się tak potężnie oddziałującą dziedziną społecznych doświadczeń?

BIOGRAFIA POSTACI MITYCZNEJ TO zadanie niemal niemożliwe do realizacji. Zawsze pozostaje coś, czego opowiedzieć się nie da, choć właśnie to opowiedzieć chce się przede wszystkim. Tym większy podziw i uznanie dla autorek dwóch wydanych niemal w tym samym czasie książek, poświęconych takim właśnie postaciom wielkich artystów teatralnych: Agnieszki Berlińskiej („Szajna, Szajnisko”, Teatr Studio) i Beaty Guetzalskiej („Konrad Swinarski. Biografia ukryta”, Wydawnictwo Literackie).

Czytając książki jedna po drugiej można zauważyć, jak odmienne zostały w nich zastosowane strategie i taktyki pisarskie, wynikające z odmiennych doświadczeń i pozycji obu autorek, a jednocześnie dostrzec, jak przy wszystkich oczywistych różnicach łączy je to, co może najważniejsze – próba zmierzenia się z osobowościami niezwykle ludzi, ich sztuki oraz czasu, który przemienił ich w mit.

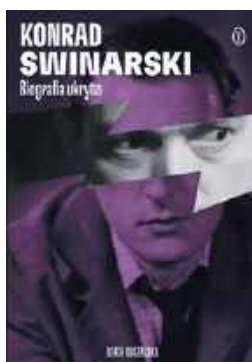
Mozaika i montaż

Książka Berlińskiej poświęcona Józefowi Szajnie nosi podtytuł „Portret zakulisowy”. Jest to jednocześnie obietnica wejścia poza oficjalnie wytworzoną fasadę, jak i określenie gatunkowe. Portret tworzony przez Berlińską nie jest klasycznym wizerunkiem „wielkiego artysty”, ale dynamiczną, niemal migotliwą kompozycją, złożoną z wielu niewielkich fragmentów. Autorka „Szajny” świetnie zna współczesnych odbiorców przyzwyczajonych do szybkiego przechodzenia między wyrazistymi obrazami i słowami ułożonymi w krótkie, mocne komunikaty. Jej narracja oparta jest na zasadzie montażu, który angażuje czytelnika w kreatywną grę w interpretowanie i dopowiadanie.

Autorka stosuje styl reportażowy, w błyskawicznym i wyrazistym skrócie



■ Agnieszka Berlińska
SZAJNA, SZAJNISCO
Teatr Studio,
Warszawa
2024



■ Beata Guetzalska
KONRAD SWINARSKI. BIOGRAFIA UKRYTA
Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2024

zarysowuje sytuację, kilkoma zdaniem wyznacza temat czy problem, ale sama ich zazwyczaj nie analizuje, nie komentuje i nie ocenia – co najwyżej cytuję opinie innych. Zestawia jednak elementy zgromadzonego materiału w taki sposób, by stworzyć komunikat mocno sugerujący perspektywę, z jakiej chce, by jej czytelnicy daną scenę widzieli. Na wyższym poziomie łączy tak zbudowane całości bez dążenia do jednoznaczności, dzięki czemu, jeśli rzeczywiście powstaje portret, to przekraczający ramę książkowego obrazu i współtworzony przez czytelnika.

Konstruowana jest w ten sposób biografia bardzo atrakcyjna i wciągająca, a zarazem daleka od stereotypowego wyobrażenia „spokojnej lektury”. Powiedziałbym, że jest to (w najlepszym tego słowa znaczeniu) książka popularna

nie tylko dlatego, że pisana bez żargonu i z nastawieniem na osoby niekoniecznie posiadające wiedzę teatralną, ale przede wszystkim dlatego, że dąży do wzbudzenia zainteresowania. To biografia otwierająca liczne drzwi, także te dotąd szczelnie zamknięte, a zarazem stroniąca od łatwych sensacji. Dla ich uniknięcia, jak sądzę, Berlińska czasem tylko zagląda do znajdujących się za owymi drzwiami pomieszczeń i zaraz biegnie dalej.

Przy całym uznaniu dla autorki „Szajny”, dynamika jej narracji w niektórych momentach wydała mi się jednak problematyczna. Nie wszystko, co składa się na osobowość i mit Józefa Szajny jako człowieka i artysty, da się chyba przedstawić w reportażowej formule. Niektóre zagadnienia dotyczące i biografii, i twórczości (zwłaszcza stosunek do zespołu, a szczególnie do jego kobiecej części) wymagałyby uspokojenia narracji, próby pogłębienia refleksji i przedstawienia oceny własnej. Czasem – jak w przypadku oceny Szajny przez Konstantego Puzynę czy w kwestii autorstwa „Akropolis”, jałowo walczonej do znudzenia od lat – autorski montaż wydał mi się zbyt stronicowy. Ale może też i na tym polega sukces Agnieszki Berlińskiej, że przez owe niedopowiedzenia budzi potrzebę kontynuowania opowieści i nie pozwala miłowi zasklepić się w kanonicznej formie.

Monografia rozważna

Beata Guetzalska, doświadczona badaczka teatralna, autorka wysoko cenionych monografii teatru Jerzego Jarockiego i współczesnego aktorstwa polskiego, przyjmuje zupełnie inną strategię. Jej biografia Konrada Swinarskiego posługuje się narracją o tonie i rytmie o wiele spokojniejszym, a przede wszystkim nie uciekającym od komentarza, analizy i interpretacji. Łączy to, co najlepsze w pisarstwie akademickim, z klarownością języka, zapra-

szając czytelnika do podążania za narratorką, która zarówno stawia pytania, jak i usiłuje na nie odpowiedzieć. W efekcie podtytuł jej książki wydać się może paradoksalny: to nie jest biografia ukryta, ale właśnie odkryta, także w tym, co w życiu Swinarskiego długo stanowiło tajemnicę (niekiedy już poliszynela), a z czym autorka mierzy się bez lęku. Wypasowana w odpowiednią wiedzę, współczesne perspektywy uchylające dawne tabu, a przede wszystkim w osobistą uważność, wysiłek zrozumienia nie tylko głównego bohatera i osób mu bliskich, ale nawet jego antagonistów.

Nie mam wątpliwości, że szczególnie intensywnie czytane będą te rozdziały, które dotyczą długo ukrywanych aspektów biografii Swinarskiego: jego losów wojennych, „homobiografii” czy relacji z władzami i służbami PRL. Gućalska mierzy się z nimi nie ukrywając, jak wiele jest tu luk i niejasności. Wprost przeciwnie – ujawnia je i na tym buduje jedno z najlepszych fragmentów swojej książki. Nie waha się używać wyobraźni (wyrażnie zaznaczając, gdzie ją uruchamia), stawia pytania także tam, gdzie nie jest w stanie udzielić odpowiedzi, oraz wyjaśnia podstawowe konteksty historyczne, zręcznie szkicując złożoność sytuacji.

Powiedziałbym, że w tym ostatnim aspekcie jest utalentowaną uczennicą swojego bohatera: tak jak Swinarski w swoich przedstawieniach zderzał różne perspektywy, skupiając się na niepowtarzalności i niejednoznaczności doświadczenia, tak i autorka jego biografii konsekwentnie broni się przed jednostronnością, nawet w takich dziś chętnie sprowadzanych do „tak, tak – nie, nie” kwestiach, jak współpraca z SB. Dzięki temu jest w tej książce w sposób subtelny opowiedziane bardzo wiele rzeczy, które przez innych mogą być traktowane jako „skandaliczne”. Szczęśliwy paradoks: delikatność, rzetelność i wyrozumiałość Gućalskiej sprawiają, że jeśli ktoś robi z tego, o czym ona w swojej książce opowiada, sensację, sam siebie skompromituje.

Jednocześnie jest to książka niezapominająca o teatrze, syntetycznie pokazująca tak kształt i sensy poszczególnych przedstawień, jak całościowe znaczenie oraz oryginalność Swinarskiego. Przynosi nowe odczytania jego twórczości, pokazując artystę jako reżysera wcale nieodległego od współczesności.

Mit teatru złotej ery

Przy wszystkich różnicach między obiema książkami ich lektura pozwala zobaczyć fascynujący obszar wspólny, dotyczący tak osobowości i biografii mitycznych twórców (nie tylko tych dwóch), jak też ich artystycznych dokonań. I Szajna, i Swinarski (oraz inni wielcy z ich pokolenia) naznaczeni zostali w sposób szczególny doświadczeniem historycznym: najpierw wojny i Zagłady, a potem życia w zniewolonym kraju, w którym każdy rodzaj działalności, a już szczególnie działalność publiczna i artystyczna o takiej sile oddziaływania, jaką miał wtedy teatr, wymuszała nieustanną konfrontację z pytaniem o granice kompromisu.

Silne osobowości zderzone z nawastwającymi się ograniczeniami, wcześnie i traumatycznie skonfrontowane z radykalnym okrucieństwem historii, nie tylko zostały napiętnowane, ale też uzyskały wrzące źródła niedającej spokoju aktywności twórczej. Nie ma wątpliwości – nie byli to ludzie i artyści letni, zarówno w tym, co przynosiło im podziw i uznanie, jak też w tym, co ich niszczyło i ścigało głosy krytyki, a nawet potępienia. Naznaczeni naprawdę straszliwymi doświadczeniami, działający w skrajnie nieprzychylnych warunkach, wydobyli z siebie siłę, która nie tylko ich ocaliła, ale też przyciągnęła do nich tysiące innych, którzy w ich przedstawieniach doświadczały czegoś, czego w sposób absolutnie podstawowy i niezakłamyany potrzebowali.

To dla mnie bodaj najważniejszy punkt obu biografii, na pewno wspólny też biografom innych osób tworzących mityczny polski teatr „złotej ery”, która zaczynała dobiegać końca równo pół wieku temu (mocną cezurą może tu być właśnie rok 1975 – rok śmierci Swinarskiego i premiery – *nomen omen* – „Umarłej klasy” Tadeusza Kantora). Nad obiema książkami zawisa to samo pytanie: dlaczego ci naprawdę niezwykli, uważani za genialnych ludzie zwrócili się ku teatrowi, a jeszcze bardziej – dlaczego to właśnie teatr w ich czasach stał się tak potężnie oddziałującą dziedziną społecznych doświadczeń.

Oczywiście – był to spłot wielu czynników, ale poza wszelkimi historycznymi i historycznoteatralnymi uwarunkowaniami pozostaje wielka tajemnica całej serii przedstawień, które nie były jedynie wielkimi osiągnięciami artystycznymi, ale stawały się dla setek ludzi doświadcze-

niami osobistymi o niezwyklej mocy. Najważniejsze przedstawienia Swinarskiego i Szajny (a jeszcze przecież Grotowskiego, Kantora, Jarockiego, Wajdy, Dejmkę, teatrów studenckich) przekraczały swoim wpływem i znaczeniem wszystko, co zwykło się wiązać z „dziełem sztuki”. Dochoodziło w nich do jakiegoś spiętrzenia energii, potrzeb, pragnień, wyobrażeń, które kulminowało w doświadczeniach zmieniających bieg życia wielu osób.

Doświadczenie pełni

Pytanie o tę siłę, której dziś już tylko echa w teatrze słyszeć, i to coraz rzadziej, i coraz słabiej, nie jest tylko pytaniem o teatr, choć dla niego to kwestia podstawowa. To pytanie dotyczące całej kultury, rozumianej nie jako przestrzeń oderwania czy ceremonialnego wywyższenia się nad codzienność, lecz jako samo sedno życia, którego się nie ma przez sam fakt urodzenia, ale które się zdobywa i tworzy do świadczenia o nim. Nie da się go może inaczej sformułować niż przez strywalizowane politycznie pytanie podstawowe: jak żyć?

Lektura opowieści o życiu, które stworzyli i do świadczenia o nim dali Szajna i Swinarski, nie przynosi na nie odpowiedzi. Oczywiście nie może, przede wszystkim dlatego, że tej odpowiedzi nie da się sformułować, ale trzeba jej czynnie samemu sobie i swojemu czasowi udzielić. W książce Gućalskiej pojawia się jednak pewna sugestia, która mnie uderzyła. Usiłując odpowiedzieć na pytanie: „Co przede wszystkim dostrzegano w teatrze Swinarskiego?”, autorka pisze: „Jego spektakle odbierano jako doświadczenie pełni, zanurzenie w świecie, który wprawdzie jest teatrem, ale tak nasyconym materią życia, jakby był samym życiem”.

To jest odpowiedź, za którą aż chce się iść dalej. Bo może o to właśnie chodzi – że w tym teatrze widzowie doznawali życia, którego nie doświadczały nigdzie indziej – nie tylko dlatego, że był PRL, opresja itd. Ale dlatego, że nie potrafili sami tak żyć. Przychodzili do teatru Swinarskiego, Szajny, Grotowskiego i innych po życie, którego nie mieli.

Czy dziś – przy wszystkich fundamentalnych różnicach sytuacji – życie w swojej oszałamiającej istocie nadal nie jest gdzie indziej? A skoro nie ma teatru, który by to „gdzie indziej” przywoływał, to czy pozostaje nam tylko opowiadanie mitów i wywoływanie zjaw? ©

Wielka iluzja Angeli Merkel

ANNA KWIATKOWSKA

**Autobiografia byłej kanclerz to podręcznikowy przykład,
jak się buduje tzw. przewagę interpretacyjną.
To również kolejny sygnał, jak trudno Niemcom rozliczyć się z błędną
polityką ostatnich dekad – nie tylko wobec Rosji.**

ANGELA MERKEL OBIECAŁA SOBIE, że po przejściu na emeryturę będzie odbywała tylko „miłe jej sercu spotkania” (na co w języku niemieckim jest osobne słowo: Wohlfühltermine). Takim też była promocja jej autobiografii pt. „Wolność. Wspomnienia 1954-2021”, która odbyła się w Deutsches Theater w Berlinie. Przygotowana grzecznie i nienachalnie przez moderującą spotkanie znaną dziennikarkę Anne Will, Merkel zaprezentowała zachwyconej publiczności swoją wersję historii – i własnej, i Niemiec ostatnich kilku dekad.

Reakcja publiczności na rozmowę o wartości tej prawdziwej cegły, liczącej blisko siedemset stron, mogła zadowolić wyimagując Angelę Merkel. Kiwano ze zrozumieniem głowami i śmiano się nawet w momentach, które – z punktu widzenia obserwatora niemieckiej sceny politycznej ostatnich 20 lat – mogą wydać się najbardziej absurdalne.

Spektakl ten oglądało się z podziwem dla kunsztu byłej kanclerz. Ale też z lekkim absmakiem. Zdolność Merkel do panowania nad salą i całe instrumentarium manipulacji, jakie zastosowała (tak, takie określenie jest tu adekwatne), były najwyższej próby – i nie napotykały oporu.

I po co to drążyć

Jednak nie wszystkie z kilkunastu już wywiadów i spotkań, które Angela Merkel odbyła w Niemczech w ostatnim czasie – w imieniu swoim i współautorki książki, swej wieloletniej doradczynie Beate Baumann – były sympatyczne. Miłe nie były także niektóre komentarze, jakie pojawiały się w trakcie imponujących rozmiarów kampanii promocyjnej.

W końcu byli i tacy, którzy chcieli się jednak dowiedzieć, czy w obliczu obec-

nego kryzysu niemieckiej gospodarki albo też w związku z napaścią Rosji na Ukrainę Angela Merkel ma sobie coś do zarzucenia. Cokolwiek.

Bo choć jesienią 2021 r. kończyła urzędowanie – po długich 16 latach w Urzędzie Kanclerskim – na swoich warunkach oraz ze społecznym poparciem sięgającym 80 proc., to jednak liczni eksperci zarzucali jej już wtedy, że skoncentrowana na utrzymaniu status quo, nie dostosowała polityki państwa i nie przygotowała go na nieuchronne zmiany. Że przyłożyła rękę i do kryzysu migracyjnego, i w efekcie także do sukcesów politycznego populizmu. Że ma na sumieniu zaległości w digitalizacji edukacji i cyfryzacji usług oraz przemysłu. A nade wszystko: że ma udział w tym, iż polityka Rosji i Chin przybrała tak destrukcyjny kształt.

Nie było alternatywy

Odpowiedź Merkel na te zarzuty można uznać nie tylko za emanację – dość powszechnej wśród niemieckich polityków – kultury wyparcia i zaprzeczenia (patrz gwałtowna reakcja Franka-Waltera Steinmeiera na wystąpienie pisarza Marko Martina, który podczas obchodów 35. rocznicy obalenia muru berlińskiego przypomniał obecnemu prezydentowi jego niesławne wypowiedzi na temat Rosji i rzekomo rusofobicznej Europy Środkowej).

Jest ona też, w gruncie rzeczy, zaskakująco niedojrzała. Bo Angela Merkel winna się nie czuje. Niczemu. Błędów nie popełniła, zarzuty są niesprawiedliwe i bazują na ahistorycznym podejściu (czytaj: wtedy nie dało się inaczej). Czego by nie robiła, było bezalternatywne, w imię ratowania Europy, praktykowania humanizmu, dla dobra innych. A w ogóle, jeśli to wam w czymś pomoże, możecie mówić: „Tak, to Merkel za tym (lub owym) stała”.

Dodajmy, że za oceanem promocja angielskiego przekładu przebiegła zgrabnie: na prezentacji w Waszyngtonie Barack Obama nie pytał o Putina. Było miło i radośnie.

Narracja tworzy rzeczywistość

Wracając do książki (i sądząc po komentarzach innych jej czytelników): najwyraźniej jestem w mniejszości tych, którym czytało się ją całkiem dobrze. Może chodziło o zarządzanie oczekiwaniami – znając styl byłej kanclerz, nie należało spodziewać się brawurowego thrillera politycznego.

Interesująca jest zwłaszcza pierwsza część, dotycząca młodości Merkel (rocznik 1954), jej życia w komunistycznej NRD i początku kariery politycznej, który przypadł na czas transformacji ustrojowej po zjednoczeniu Niemiec w 1990 r. To ciekawy, choć w niewielkim stopniu osobisty dziennik.

Za to drugą część, traktującą o władzy (w partii CDU i potem w Urzędzie Kanclerskim), czyta się z pewnym trudem. Nie tylko dlatego, że jej charakter traci stylem protokołu zdawczo-odbiorczego, ale także dlatego, że jest retrospekcją wydarzeń, które znamy.

Siłą rzeczy, wraz z opisem każdego kolejnego kryzysu czytelnik – pamiętający go jednak nieco inaczej – musi zadawać sobie pytanie: czy to jego, czytelnika, problem, czy może permanentny u Angeli Merkel stan dysonansu poznawczego? A może to słynna niemiecka machina marketingu politycznego, która kunktatorskiego Olafa Scholza kreuje na najważniejszego europejskiego sojusznika Ukrainy w jej wojnie z Rosją, a Angelę Merkel – na niezbędną siłę, która w latach 2014-21 wspierała rozwój ukraińskiej armii?



TOPFOTO / NOVOSTI / TOPFOTO / FORUM

Podczas spotkania w Soczi w 2007 r. Putin – na oczach dziennikarzy – próbował ośmieszyć Merkel: wiedząc, że pani kanclerz boi się psów, wpuścił swoją labradorkę Koni, która próbowała zaprzyjaźnić się z nią. Merkel wspomina w książce, że z trudem panowała nad sobą.

Słowem – narracja ponad wszystko! Liczą się nie wydarzenia, ale opowieść o nich. Ale o tym więcej za chwilę.

Zamilczeć na śmierć

W obu częściach autobiografii brakuje za to ironiczno-sarkastycznych komentarzy, z których słynęła kiedyś była kanclerz; jest ich zaledwie garść. Drażnią fragmenty, które są rodzajem statementów, sztucznych deklaracji, bywa, że po prostu kłamliwych. Nagle oto, w środku opowieści o jakimś wydarzeniu, pada kilka quasi-filozoficznych zdań, że przyznawanie się do błędów to siła, a nie słabość, albo że państwo to nie firma komercyjna, lecz byt, który odpowiada za wspólne dobro. Wszystko prawda. Tyle że akurat nie przestrzeganie tych zasad słusznie zarzucono polityce samej Angeli Merkel.

Tworząc tę opowieść, zastosowano przy tym jedną z norm niemieckiej kultury politycznej, którą określa czasownik *totschweigen*. Zamilczano mianowicie

„na śmierć”, czyli uczyniono niebyłymi i niewartymi wzmianki, kilka kluczowych postaci, jakie pojawiały się na politycznej drodze Angeli Merkel, a z którymi miała ona wyraźnie na pieńku.

Nie znajdziemy więc wzmianki o Sebastianie Kurzu, byłym kanclerzu Austrii, który wbrew niemieckiej narracji przyczynił się walenie do rozwiązania ostrej fazy kryzysu migracyjnego z lat 2015/16, jeżdżąc po wszystkich państwach szlaku bałkańskiego i negocjując z ich władzami. Ukaranym milczeniem został także Janis Warufakis, grecki minister finansów, który buntował się przeciw obcemu traktowaniu Greków w trakcie kryzysu strefy euro.

Zaprzepaszczone szanse

Przyznajmy: zawarte w pierwszej części książki opisy życia rodzinnego, potem szkolnego i wejścia w dorosłość czyta się nawet ze wzruszeniem. Gdyby nie obecna wiedza, czytałoby się je także z przeświad-

zeniem, że jesteśmy świadkami wydarzeń formatujących Merkel jako polityka. Że przeżywszy upokorzenia i przedmiotowe traktowanie w NRD, że obserwując wywrócone do góry nogami życiorysy w trakcie transformacji, Angela Merkel – otoczona wszędzie, od uczelni po politykę, pysznymi i aroganckimi samcami alfa z Niemiec Zachodnich – zawsze będzie walczyć o równe prawa i szanse obywateli byłej NRD i kobiet w ogóle.

Jednak nic takiego nie miało miejsca. Niestety konstatacja jest taka, że Angela Merkel nie skorzystała w trakcie swojej kariery politycznej z tych kilku, jak by się wydawało, swoich wcześniejszych kluczowych doświadczeń.

Solidny fundament, jaki dała jej kochająca rodzina, bycie aktywną i ambitną kobietą, obywatelką NRD, biorącą udział w trudnej transformacji (także już jako posłanka i minister), z jej podobno licznymi i dobrymi kontaktami z Polakami i Czechami – otóż wszystko →



CHRISTIAN RÖDEL / IMAGO SPORT / FORUM

→ to nie odegrało roli w jej późniejszej działalności i prowadzonej przez nią polityce.

Porzucana Europa Środkowa

Zwłaszcza to ostatnie może dziwić, gdy czytamy, z jaką estymą traktować miała swoich przyjaciół z Europy Środkowej, rozmowy z nimi. Oraz jaką miała, jak twierdzi dziś, świadomość ich przewagi i dojrzałości politycznej w rozumieniu ówczesnej sytuacji międzynarodowej.

Tymczasem nic z tego nie odzwierciedliło się potem w jej karierze politycznej, gdy weszła w rolę – jak ją nazywano – „liderki liberalnego świata” i „cesarzowej Europy”. Nie te państwa i nie ich obywatele wpływali na politykę Niemiec, mimo że to z nimi Republika Federalna była i jest w sojuszu zarówno w Unii, jak i w NATO.

I chyba nie ma sensu dociekać, czy to wyparcie, czy może mimikra spowodowała, iż Angela Merkel, starając się dopa-

sować do (zachodnio)niemieckiej kultury politycznej, stała się bardziej papieska od papieża, że porzuciła na swojej drodze i kobiety, i dawnych enerdownców, i Europę Środkową.

Wielka iluzja

Naprawdę frustrująca staje się lektura autobiografii Angeli Merkel, gdy dochodzimy do 16 lat jej kanclerstwa. Widać, że nie przeszła ona żadnej ewolucji poglądów i nadal żyje w wielkiej iluzji, bezrefleksyjnie broniąc wątpliwego dziedzictwa.

Odnajdziemy w tej autobiografii wszystkie dotychczasowe narracje, z których wynikać ma jedno: że w strategii RFN ostatnich 20 lat nie było zasadniczych błędów. Np. znów jesteśmy pocucani, że polityka zagraniczna i gospodarcza, oparta na imporcie tanich surowców z Rosji, była poprawna i miała kluczowe znaczenie dla zdobycia dominującej pozycji gospodarczej przez Niemcy.

Angela Merkel na spotkaniu autorskim w Stralsund, listopad 2024 r.

Po polsku książka ukazała się w tym roku pod tytułem **WOLNOŚĆ. WSPOMNIENIA**

1954-2021 nakładem wydawnictwa Znak Horyzont, w przekładzie Justyny Sarny i Emilii Skowrońskiej.

Jedynym błędem i wypaczeniem, zresztą obecnie naprawianym, ma być zbyt ufną wobec Putina. Ale już ni zabezpieczenie innych źródeł i tras dostaw surowców błędem nie było; oba gazociągi (Nord Stream 1 oraz Nord Stream 2) były potrzebne. Decyzja szczytu NATO w Bukareszcie z 2008 r. o nieprzyznaniu Ukrainie i Gruzji tzw. MAP-u („mapy drogowej” do Sojuszu) również się broni, bowiem obowiązkiem Merkel było dbanie o interesy i bezpieczeństwo samego Sojuszu. Zresztą oba te państwa były do członkostwa w NATO nieprzygotowane, podzielone w tej sprawie, a Putin po takiej decyzji prawdopodobnie natychmiast by je zaatakował.

W ogóle to wszystkie te lata, od roku 2014 aż do inwazji z 24 lutego 2022 r., były Ukrainie potrzebne, aby mogła wzmocnić swoje państwo, a zwłaszcza armię. Powinniśmy – my, ludzie z Europy Środkowej i Wschodniej – w zasadzie zakrzyknąć: dziękujemy, Angelo Merkel!

Fałszywe alternatywy

Z punktu widzenia Europy Środkowej rozzarowujący może być też sposób, w jaki ta opowieść zostaje nam podana. Często jest to bowiem rozkładanie odpowiedzialności na różnych aktorów, a zwłaszcza kreowanie fałszywych alternatyw.

Takim jest np. twierdzenie, że Polsce nie przeszkadzał gaz z Rosji, a w naszym sprzeciwie wobec rurociągu Nord Stream chodziło tylko o utracone zyski z opłat tranzytowych. Dalej czytamy, że gdy idzie o kryzys migracyjny, winni byli też Zieloni, bo blokowali latami wpisanie krajów bałkańskich na listę państw bezpiecznych. Ale już nie Putin, który przyczynił

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA
POWSZECHNEGO” 51-52/2024

REDAKCJA: Monika Ochędowska
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: Jacek Taran
TP TYPOGRAFIA: Agnieszka Cynarska-Taran

PARTNEREM WYDANIA
JEST ERGO HESTIA

**ERGO
HESTIA**



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury.

się do wojny totalnej w Syrii, co wywołało kolejne fale uchodźcze.

Gdyby pociągnąć dalej tok myślenia przedstawiony w tych rzekomych alternatywach, jakie prezentuje nam Merkel, robi się iście absurdalnie. Skoro Rosja nie zniknie z mapy, należy z nią wchodzić w coraz większe deale. Wygrana Ukrainy oznacza eskalację, może nawet trzecią wojnę światową. Granice albo mają być otwarte dla wszystkich, albo będziemy strzelać do ludzi z co najmniej wodnych armatek. Trump to wyznawca gry o sumie zerowej z mentalnością chciwego komiwojażera, więc nie może mieć racji w swoich zarzutach wobec Niemiec, cokolwiek by dotyczyły.

Jednym słowem: nie ma nic pośrodku, są tylko skrajne (i fałszywe) alternatywy.

Rosja w centrum uwagi

Wisienką na tym torcie jest wszechobecność Władimira Putina. Wspomniany jest w tej książce, jak ktoś obliczył, około dwustu razy. A z lektury można odnieść

wrażenie, jakby to jego, Putina, percepcja szans i zagrożeń kierowała niemalże polityką Niemiec. Gdybyż nie było pandemii! Gdybyż można było z nim rozmawiać – wszak każdy dialog jest dobry, gdyż obniża napięcie – to wojny na pewno by nie było!

Z książki tej można odnieść też wrażenie, że niemiecka polityka wobec Rosji – ta, z której polityczne Niemcy nie chcą się dziś za bardzo rozliczyć – polegała na uczynieniu z Putina oraz z Federacji Rosyjskiej niemal punktu referencyjnego dla ich działań. Że poświęcano im nieproporcjonalnie dużo uwagi w przeświadczeniu, iż jedynie zrozumienie dla rosyjskiego postrzegania świata oraz ewentualne ustępstwa mogą doprowadzić do deeskalacji.

Idź i głós

Można pogratulować Angeli Merkel instynktu (bądź zbiegu okoliczności): wydanie jej książki – po tym, jak przez ostatnie trzy lata niemal nie zabierała publicznie głosu – zbiegu się z rozpadem koali-

cji Olafa Scholza. Jej „Wolność”, przetłumaczona i wydana jednocześnie w 30 językach, sprzedaje się więc jeszcze lepiej, a Merkel, po krótkim odpoczynku popromocyjnym, zapewne zacznie jeździć z wykładami po całym świecie.

Z zarobionych na autobiografii pieniędzy (a zostanie zapewne milionerką, co rzecz jasna nie jest zarzutem) 70-letnia dziś Angela Merkel założy być może jakąś fundację i będzie nauczać swojej wersji historii młodzież oraz wszystkich tych, którzy będą chcieli jej słuchać.

Trudno nie skonstatować wreszcie, że autobiografia ta będzie kolejnym elementem sprawnie działającej niemieckiej maszyny, której zadaniem jest oprowadzanie i utrzymanie pola interpretacyjnego. Nie tylko w kraju, lecz także w Europie, a najchętniej na świecie. Jedną z najważniejszych zasad strategii politycznej Niemiec, czyli właśnie budowanie i zdobywanie przewagi interpretacyjnej, zyska w ten sposób kolejny instrument.

© ANNA KWIATKOWSKA

Pod prąd

KATARZYNA KUBISIOWSKA

DZIĘKI „DEZORIENTACJOM” NAZWISKO KONOPNICKIEJ PRZEStało brzęczeć pusto w worku ze słowami: rota, szkap, jagody, sierotka, krasnoludki, Mendel Gdański. Pisarce należało się odbrazowanie. A czytelnikom – możliwość spojrzenia na nią w codziennym sztafazu, w rutynie. Bez binokli i kapelusza. Spojrzenie na Konopnicką liczącą każdą kopiejkę, zastawiającą w lombardach złote pierścionki, w roli matki sześciorga dzieci (w tym córki kleptomanki, bywalczyń komisariatów i pacjentki zakładów psychiatrycznych). Zobaczenie w narodowej poetce osoby prawej, z silnym moralnym kręgosłupem, a równolegle manipulującej i małostkowej. Obdarzonej otwartym umysłem i ograniczonej mieszczańską mentalnością. Tyleż konserwatywnej, co progresywnej.

Magdalena Grzebałkowska, pracując nad tą książką, musiała cofnąć się do Polski rozgrabionej między zaborcami. A to oznacza, że nie miała możliwości pozyskania bezpośrednich informacji (złoto dla reportera!) od świadków epoki. Wiedzę na temat czasów i swojej bohaterki czerpała z kwerend prowadzonych w rozmaitych archiwach, głównie bazując na obfitej korespondencji. Z listów pisanych w obie strony – do i od Konopnickiej – od i do rodziny, wydawców, przyjaciół, koleżanek i kolegów po fachu. Materiał okazał się pełnym emocji

źródłem zasilającym kolejne akapity „Dezorientacji”. To dzięki nim w trakcie lektury da się słyszeć nawet kaszel Konopnickiej – przypadłość męczącą ją praktycznie całe życie.

„Dezorientacje” uzmysławiają, że o ile historyczne dekoracje nieustannie się zmieniają, niezmiennie pozostają dramaty ludzkie. Identyfikacja jest smutkiem wynikającym z rozczarowania aberracją męża lekkoducha (Konopnicka miała pecha). Tak samo silny jest niepokój rodzica o los własnych dzieci. Zdumiewa natomiast odkrycie, że środowiskiem literackim dawnym i współczesnym rządzą te same mechanizmy. Błyszcza w nim gwiazdy, zdarzają się meteory, kwitnie zawiść, ale znajdzie się też miejsce na przyjaźń, solidarność i wspólnomyślność. Choć sama Konopnicka jako twórczyni traktowana była o wiele surowiej niż jej koledzy po piórze (zmuszona była nawet do tego, by publicznie pokajać się za ideową dezynwolturę).

Fascynujące jest w „Dezorientacjach” prześladowany proces metamorfozy bohaterki: przeistaczanie się z kobiety podległej systemom i obyczajom w osobę niezależną, żyjącą na własnych warunkach, pod prąd. Nie chodzi tu nawet o to, że przez ostatnie 20 lat życia Konopnicka tworzyła związek partnerski z Marią Dulebianką, lecz o to, że spełniła dziewczęce marzenie o pisaniu, z którego uczyniła swój zawód. ©



■ Magdalena Grzebałkowska,
DEZORIENTACJE.
BIOGRAFIA MARII KONOPNICKIEJ,
Znak, Kraków 2024

Mała fantastyka

OLGA DRENDA

OD KIEDY ZAANGAŻOWAŁAM SIĘ W FESTIWAL CONRADA, moje obowiązki zawodowe polegają bardziej na czytaniu niż pisaniu. Wiele książek, z którymi przyjechałam do Krakowa goście ostatniej edycji festiwalu, naprawdę mi się podobało i z czystym sumieniem mogłabym je polecić, ale postanowiłam, że skupię się na tym, co czytałam zupełnie bez związku z pracą.

Wolne od zobowiązań – to dla mnie słowo klucz, gdy chodzi o lektury. Używam go w najbardziej pozytywnym znaczeniu. Po raz kolejny przekonałam się bowiem, że warto docenić nie tylko literaturę, która zestrzaja się z duchem czasu czy mierzy z tematami najbardziej palącymi, ale i taką, która oferuje coś pomiędzy laboratorium a placem zabaw, przewietrza umysł. Taka lektura uwalnia od spraw bieżących, jednocześnie lepiej przygotowując do pełniejszego i bardziej wnikliwego zastanawiania się nad nimi. Nie „o”, lecz „à propos” – takie książki zapisuję sobie w kąciku na użytek własny.

Przypadkiem zawędrowały ostatnio w moje ręce opowiadania Piotra Kofty ze zbioru „Lejek”. To mała książka, napisana w niezbyt modnej konwencji umiarkowanej dziwności. „Małe fantastyki”, w których sprawy wymykają się spod kontroli w sposób zupełnie normalny i niezaskakujący – trzeba sobie po prostu z nimi poradzić. Znikanie, albo wręcz koniec świata, ma u Kofty przebieg dojmująco zwyczajny. Świat tych opowiadań to świat osobliwości, do tego opowiedziany w sposób zdystansowany, a nawet żartobliwy. Można odnieść wrażenie, że był konstruowany z przyjemnością i przyjemność ta udziela się podczas lektury. Nie jest to jednak rzecz błaha – raczej spacer dyskretnie filozoficzny, podczas którego zabawa idzie za rękę z niepokojem.

Nieco zagubiony, samotny bohater opowiadań Kofty ma w mojej głowie poważną twarz Ratmana, bohatera komiksów Tomasza Niewiadomskiego. To nie przypadek, bo opowiadania z „Lejka” pobrzmiwają nieco miniaturami Grzegorza Janusza z „Nowej Fantastyki”, a Janusz współpracował przy niektórych „Ratmanach” jako scenarzysta. I dobrze się składa, bo chciałam polecić również antologię komiksów Niewiadomskiego. W wydany w tym roku tomie „Z motyką na słońce” superszczur o mimice Bustera Keatona znów podróżuje w czasie i przestrzeni. Te dwie lektury łączy jakoś, którą szczególnie doceniam – dowartościowanie swobodnych gier wyobraźni, pozaczasowość i żart. ©



- Piotr Kofta, **LEJEK**, Nisza, Warszawa 2024
- Tomasz Niewiadomski, **RATMAN, TOM 3. Z MOTYKĄ NA SŁOŃCE**, Kurc 2024

Drobne pomyłki

EDWARD AUGUSTYN

TO BYŁA MOJA PIERWSZA „PRAWDZIWA” WŁOSKA KSIĄŻKA przeczytana w oryginale. Egzemplarz „...twierdzi Pereira” Antonia Tabucchiego, który dostałem od kogoś bliskiego w połowie lat 90., do dziś traktuję jako trofeum, naznaczone śladami walk z obcymi słowami. O autorze tamtej powieści wtedy wiedziałem niewiele. Że pochał Pessoe, dzięki czemu stał się najbardziej znanym we Włoszech tłumaczem, znawcą i wykładowcą literatury portugalskiej. Że angażował się społecznie, pomagając mniejszościom etnicznym, i politycznie, walcząc na łamach prasy z Berlusconim i narastającym populizmem.

O tym, że był ważny także dla wielu polskich czytelników, dowiedziałem się dopiero po jego śmierci, w marcu 2012 r. Poinformowałem o niej na portalu poświęconym literaturze włoskiej, który wtedy prowadziłem. Pamiętam, że była niedziela, pora obiadu i rodzinnych spacerów, nie spodziewałem się więc dużego odzewu. Tymczasem strona została zasypana komentarzami osób opowiadających, kim Tabucchi dla nich był i jak wiele mu zawdzięczają. Zawstydzony, zacząłem nadrabiać zaległości, czytając zachłannie wszystko, co napisał.

Teraz wspomnienia wróciły. Kilka dni temu od innej bliskiej osoby dostałem nowo wydany zbiór czterdziestu opowiadań, w tym kilku po raz pierwszy przetłumaczonych na język polski. Różnorodność form (listy, senne marzenia, opisy wędrówek labiryntem ulic), miejsc (już nie tylko Portugalia i Włochy, ale też cała Europa, włącznie ze Wschodnią, i dalej – Izrael, Indie, Ameryka) oraz postaci (realnych, historycznych, mitologicznych) dopełnia obrazu niezwykłego autora. Jest w nich wszystko, co było dla niego najważniejsze. I co lubił najbardziej, jak choćby literackie i filmowe cytaty, muzyczne i malarskie motywy. Ich odnajdywanie da czytelnikom wiele satysfakcji, choć nie jest konieczne, by wejść w ten przedziwny świat, gdzie przeszłość miesza się z teraźniejszością, jawa ze snem, a fakt z wyobraźnią.

Tabucchi, jak mało kto, umiał prostymi słowami i precyzyjnymi zdaniami oddać rzeczywistość niejednoznaczną, pełną paradoksów i sprzeczności. Potrafił opisać sytuacje graniczne, bez perspektyw wyjścia. Jak w życiu, gdzie drogę wyznacza los, przypadek i „drobna pomyłka bez znaczenia”. Literatura nie jest po to, by dawać odpowiedzi – mówi Tabucchi. Raczej by mnożyć wątpliwości i szukać innej niż narzucająca się (albo narzucana) wizji świata. ©®



- Antonio Tabucchi **PRZYSZEDŁEM DO CIEBIE, ALE CIĘ NIE ZASTAŁEM. OPOWIADANIA WYBRANE** wybór i przekład Joanna Ugniewska, PIW, Warszawa 2024

Czas kłopotów

ANNA GOC

Język „Mleczarza” jest precyzyjny i gęsty. Nie ma tu opisów tego, co najgorsze, choć nie da się nie zauważyć, że to najgorsze dzieje się ciągle.

W

„MLECZARZU” ANNY Burns nie ma imion i nazwisk, nie ma nazw miejscowości.

Są „brat pierwszy” i „brat drugi”, „dziewczyna od tabletek” i „siostra dziewczyny od tabletek”, „Ten McTamten” i „być-może-chłopak”, kucharz i mleczarz – ten Mleczarz i ten drugi, który naprawdę rozwozi mleko. Są „oni” i „my”. Są ludzie „ich wyznania” i ludzie „naszego wyznania”. Są ci „z tamtej części ulicy” i są „zza wody”. „Kobiety tradycyjne” i „kobiety od spraw kobiet”. Są „masło stosowne. Masło niestosowne. Herbata sojuszników. Herbata zdrajców. »Nasze sklepy« i »ich sklepy«”.

Jest przemoc, o której mówi się mimochodem. „Słońce czy deszcz, ostrzał czy bomba, starcie czy zamieszki, codziennie wracałam z pracy pieszo z nosem w najnowszej książce”. Jest przemoc wobec kobiet, która pojawia się przy okazji charakteryzowania postaci, jako stały element. „Pierwszy szwagier” ma trzydzieści pięć lat i mówi do dwunastolatki o: „gniazdku, ciagotce, o mojej pieprznicy, muszce, myszółwce, ciastku z dziurką, dwóch sylabach”. „Trzeci szwagier” „to był gość, który bił się z innymi mężczyznami. Nigdy z kobietą”.

Jest inwigilacja. Ciągłe poczucie bycia obserwowaną. Dlatego w tym świecie „wszyscy trzymali swoje osobiste myśli głęboko i bezpiecznie ukryte”. Są bezpodstawne plotki, które – jeśli raz się pojawiają, stają się obowiązującą wersją rzeczywistości. Taką, której nie da się już wyprostować ani pozbyć na rzecz prawdziwej.

I jest dziewczyna. Osiemnastolatka, „średnia siostra”, narratorka. Zwykle spaceruje i czyta powieści dziewiętnastowieczne lub wcześniejsze, bo – jak mówi – dwudziestowiecznych, jak całego wieku dwudziestego, nie lubi.

Można powiedzieć, że dziewczyna chodzi na lekcje francuskiego, spotyka się z chłopakiem, nie potrafi dogadać się z matką, umawia na wspólne bieganie z jednym ze szwagrow.

Ale można też powiedzieć:

że za każdym razem, gdy idzie na lekcje francuskiego, rozgląda się, a propozycja nauczycielki, by wspólnie obejrzeli zachód słońca i powiedzieli, jakie widzą kolory, wydaje jej się niebezpieczna,

że coraz częściej prosi „być-może-chłopaka”, by nie wsiadał do samochodu,

że próbuje nie poddać się matce, która zmusza ją do ślubu mówiąc: „Ale taka, córko, taka kobieta jest przynajmniej tam, gdzie trzeba. Zameżna. Odnotowana. Z nieposzlakowaną opinią i pewna, że jak go zamkną czy zabiją, to o nią i dzieci ktoś się zatroszczy”,

i że wspólne bieganie ze szwagrem ma sprawić, że paramilitarny żołnierz, tytułowy mleczarz, zostawi ją w spokoju.

Odkąd się pojawił, a właściwie odkąd pojawiła się plotka o niej i o mleczarzu – że niby wsiada do jego samochodu, że niby się z nim spotyka, że niby coś ich łączy – nie ma spokoju.

Scena, w której narratorka próbuje opowiedzieć matce prawdę o racji z mleczarzem, a właściwie o tym, że tej relacji nie ma, jest jedną z najmocniejszych. Matka wierzy plotce, nie córce. Podobnie reaguje przyjaciółka narratorki, która nie patrząc na nią, stwierdza: „Rozumiem, czemu nie chcesz mi nic powiedzieć. To zrozumiałe, zwłaszcza teraz, kiedy zostałam uznana za przypadek beznadziejny”.

Język „Mleczarza” jest precyzyjny i gęsty. Nie ma tu opisów tego, co najgorsze, choć nie da się nie zauważyć, że to najgorsze dzieje się ciągle. A konstrukcja książki wymagająca, na co zresztą zwracali uwagę krytycy, obawiając się, że dla czytelników będzie to powieści nie do przejścia.

W 2018 r. na gali Man Booker Prize Anna Burns, odbierając nagrodę za „Mleczarza”, swoją trzecią powieść, wyglądała na zaskoczoną. Do tej pory jest jedyną północnoirlandzką pisarką, której książka została wyróżniona Bookerem. Potem mówiła o tym, że nie bez znaczenia jest pieniężna część nagrody, podobnie jak nie bez znaczenia są podziękowania na końcu książki, w których można znaleźć m.in. Bank Żywności w Newhaven.

Dla „Guardiana” Burns mówiła, że „Mleczarz” jest opowieścią o totalitaryzmie w ogóle i o społeczeństwie, które żyje w opresyjnych warunkach przez wiele lat. Wiedziała, o czym mówi. Urodziła się w 1962 r. w katolickiej, robotniczej dzielnicy Belfastu. Jej dzieciństwo przypadło na czas tak zwanych „Kłopotów”, krwawego konfliktu, który pochłoniął na kilka dekad społeczność Północnej Irlandii.

„Tak więc była nienawiść. Wielka, wielka nienawiść lat siedemdziesiątych” – mówi narratorka. I choć w „Mleczarzu” nie pada wprost, że to książka o „Kłopotach”, znajdujemy w powieści odniesienia, które sprawiają, że i tak właśnie – poprzez wątki autobiograficzne Burns – możemy ją odczytywać.

„Mleczarz” Anny Burns ukazał się w przekładzie Agi Zano i został uznany przez niektórych krytyków za jedną z najważniejszych książek tego roku. © P



■ Anna Burns,
MLECZARZ,
przeł. Aga Zano,
ArtRage,
Warszawa 2024

Za granicą

MACIEJ SZKLARCZYK

Pierwsze skojarzenia z najludniejszym miastem Zagłębia Dąbrowskiego to nazwiska Kiepury i Gierka. Oraz stereotyp regionu zacofanego cywilizacyjnie. Ale jak się tu naprawdę żyje na co dzień?

TE PYTANIA MAŁO KOMU PRZYCHODZĄ DO GŁOWY. Postawiła je Anna Malinowska, katowicka dziennikarka i reportażystka. Dotychczas w kręgu jej zainteresowania pozostawał raczej Śląsk, lecz tym razem postanowiła zająć się „bliską zagranicą” i ściągnąć z Sosnowca łatkę miasta biednego, czerwonego i śmiesznego. Świadomie wybrała się tam z bagażem śląskocentrycznych stereotypów na temat Zagłębia i jego nieformalnej stolicy, by zakwestionować je w rozmowach z mieszkańcami, ożywiając też pamięć o dawnych obywatelach.

Sosnowice (do 1902 r. kilkudziesięciotysięczna wieś, nazwę zmieniono dopiero w międzywojniu) w swych początkach przypominały rodzinne miasto reporterki (choć pruski Śląsk stał cywilizacyjnie znacząco wyżej od Kongresówki). Rozwój przemysłu na całe dekady uczynił z Zagłębia mekkę przyjeźdźnych, najpierw z pobliskich powiatów zaboru rosyjskiego, a w okresie PRL z całej Polski. Wielu mieszkańców nie ma tradycji długiego trwania w tym miejscu, co młodej psycholożce skojarzyło się z Warszawą (Sosnowiec bywa nazywany najbardziej na południe wysuniętą dzielnicą stolicy).

Budowaniu miejscowej tożsamości nie sprzyja samo miasto, pozbawione „powabu pejzażu” i pomysłu na siebie. To w większości blokowiska. Miejsc, gdzie można spędzić wolny czas, trzeba długo szukać. Nie rozwinął się ruch tożsamościowy czy kulturalno-towarzyskie życie miejskie, chociaż Sosnowiec wszedł do literatury oraz na scenę. Kafelek posadzkowy w starej kamieniczce z napisem „A. Korzeniec Sosnowice” zainspirował Zbigniewa Białasę do napisania „Korzeńca” – portretu miasta przed I wojną światową. Powieść stała się kanwą spektaklu w Teatrze Zagłębia. Zresztą sosnowiecka scena lokalność uczyniła swoim atutem.

Malinowska poprzez znanych i nieznanych bohaterów opowiada mikrohistorie miejsc i ludzi, wyszukuje je w pamięci rozmówców, w starych gazetach, w publikacjach i archiwach. Również oba wymienione na początku nazwiska pojawiają się w tych reportażach. Ale z cienia słynnego śpiewaka wydobywa np. ormiańską założycielkę pierwszej, przedwojennej szkoły muzycznej w mieście, a postać I sekretarza KC PZPR jest częścią opowieści o rzekomo „czerwonym Zagłębiu”: silnym tu ruchu robotniczym (zmilitarizowanym po II wojnie jako kolebka komunizmu), podatności na PRL-owską propagandę, o awansie społecznym i pulapce rozwojowej poprzemysłowego ośrodka. Także o skomplikowanej historii tutejszego katolicyzmu (od wizyty Jana Pawła II w 1999 r. – największego wydarzenia religijnego i społecznego w dziejach miasta – do głośnych ostatnio skandali i niskiej frekwencji *dominicanes*), a w jego tle innych wyznań. Rodzinną historię opowiada prawosławny ksiądz, który po ojcu przejął probostwo tutejszej prawosławnej parafii (a zawód jeszcze po pradziadku). Inny rozmówca prowadzi autorkę na nekropolię czterech wyznań w mieście niegdyś czterech języków (polskiego, niemieckiego, rosyjskiego, jidysz).

Malinowska wydobywa z niepamięci historię Polaków, ukrywających pod podłogą troje Żydów, czy niemieckich przemysłowców – współtwórców rozwoju miasta – którzy wobec wojny celnej Prus z Rosją (1877) przenieśli się na drugi brzeg granicznej Brynicy, by móc kontynuować swe biznesy na rynku sięgającym aż po Chiny. Ich siedziby rodowe, o ile przetrwały, mieszczą dziś muzeum, sąd rejonowy, albo znajdują się w rękach prywatnych...

Reporterka nie mogła pominąć tematu animozji, ale i licznych więzów łączących

Śląsk z Zagłębiem – i pozostawia otwartym pytanie o przyszłość realnej integracji obu regionów.

Czytamy o wyniosłym stosunku „harysów” do „goroli”, o bójkach chłopaków z przygranicznych dzielnic Katowic i Sosnowca czy obawach górników z likwidowanej sosnowieckiej kopalni, którzy po przeniesieniu do śląskich grub nie zawsze spotykali się z życzliwością nowych kolegów. Ale też o miłośniczkę godki, która na konkurs „godania” przyjechała z Sosnowca... O pomocy udzielanej przez Zagłębie podczas powstań śląskich i o przywożeniu w PRL-u „goroli” na Śląsk w teczach.

Niektórzy rozmówcy próbują mitologizować ten labirynt ulic i blokowisk. Czasem na wyrost (porównując do Dublina Joyce’a), ale nowe pokolenie, niekoniecznie tu zamieszkałe (miasto się starzeje i kurczy), odczuwa potrzebę zbudowania nowej narracji. Obok literatury czy spektakli (na „Korzeńcu” się nie skończyło), odkrywa się pamięć i promuje wybitnych sosnowiczian. Rekonstruuje ciekawą historię nieciekawego miasta.

Ta podróż „za granicę” jest mi bliska – wielokrotnie tędy przejeżdżam bez zatrzymywania się, w drodze do mojej czeladzkiej rodziny. A tam to ja jestem trochę „obcym”, który chciałby zdrapać rdzę stereotypów i dogrzebać się własnej rodzinnej historii. Bez jej mitologizowania, a przynajmniej z umiarem. ©P



■ Anna Malinowska,
**SOSNOWIEC. NIC
ŚLĄSKIEGO,**
Czarne, Wołowiec 2024

Efekt pizzy

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Anya von Bremzen napisała książkę wytrawnie erudycyjną, smakowicie efekciarską, a momentami rozkosznie beczelną.

AUTENTYCZNOŚĆ TO „POTWÓR wśród narzędzi marketingowych” – wzdycha Anya von Bremzen, dowiedziawszy się, że proklamowana przez Stowarzyszenie Prawdziwej Neapolitańskiej Pizzy (Associazione Verace Pizza Napoletana) zasada, jakoby jedynymi dozwolonymi tradycją i zwyczajem praojców obłożeniami pizzy neapolitańskiej były marinara i margherita – to czystej wody tradycja wynaleziona („Nawet Dumas opisywał pizzę ze *strutto* (smalcem), z *pesciolino* (małymi rybkami), z oliwą i oregano...”). A potem, gdy przekonuje się, że nawet opowieść o królowej Małgorzacie Sabaudzkiej, na której cześć nazwano arcywłoską pizzę z pomidorami, mozzarellą i bazylią, okazuje się raczej ówczesną zjednoczeniową propagandą.

„Autentyczność” to słowo do nudności powtarzane w kulinarnych narracjach, używane jako dowód szlachectwa i młot na odszczepieńców. Tym jednym słowem można się dziś skrzyknąć wokół wspólnotowego stołu skuteczniej niż bodaj każdym hasłem z bogoojczyźnianego repertuaru. Bo, jak twierdzi von Bremzen w swojej wydanej niedawno po polsku „Kuchni narodowej”, w reakcji na globalizację pozornie przestarzałe kategorie narodowe ożyły na powrót – właśnie w kuchni. „Nigdy jeszcze – pisze – nie byliśmy równie kosmopolityczni w naszej diecie, a jednocześnie tak bardzo pryncypialni, *locavore* i partykularystyczni. Gdy świat staje się coraz bardziej płynny, my spieramy się o kulinarne zawłaszczenia i prawa do dziedzictwa kulturowego, poszukując stałych punktów odniesienia i pociechy w mantrach o autentyczności, *terroir*, tradycji”.

Tylko ile kategorie te, wprzęgnięte w maszyny marketingu, PR-u czy polityki, mają jeszcze wspólnego z historią, ludzkim doświadczeniem, jakąś prawdą? I czy tak skrzyknięta wspól-

nota stołu wciąż potrafi być inkluzywna, otwarta, skłonna do dzielenia się pokarmem?

Anya von Bremzen, publicystka kulinarna m.in. „Food&Wine” i „New Yorker”, Amerykanka, która w dzieciństwie emigrowała z ZSRR, prowadzi swoje historyczno-kulturowe śledztwo od Paryża po Tokio. Książka jest wytrawnie erudycyjna, smakowicie efekciarska, a momentami rozkosznie beczelna. Autorka popisuje się, jak może, ze wszystkimi się zna, a język doprawia stosownymi do odwiedzanego kraju makaronizmami i porównaniami godnymi Makłowicza, by wspomnieć tylko o plastrach szynki o barwie kardynalskich szat u El Greco. Ale ten dyktans tylko sprzyja wiarygodności.

Zaczyna się jak zapis demaskatorskiej misji i almanach przekłutych baniek. W dawnym imperium kuchni paryskiej, która, zakrzepła we własnym ciężkim sosie, upokorzona przez Ferrana Adrię i Skandynawów, odradza się jako... stolica kuchni emigranckich.

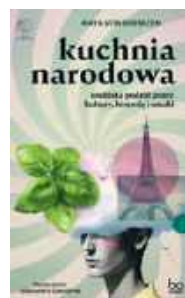
W Neapolu prześledzimy modelowy przykład „efektu pizzy” – to termin ukuty przez antropologa i hinduskiego mnicha Agehanandę Bharatiego, zresztą dla opisu popularności jogi: gdy „marginalne zjawisko kulturowe po wyeksportowaniu do innego kraju odnosi sukces wywołujący jego przewartościowanie w kraju pochodzenia”, gdzie musi też zaspokajać oczekiwania pielgrzymujących za autentycznością i tradycją turystów. Fascynująca droga pizzy z Neapolu do Ameryki i z powrotem uczyniła z dawnego bieda-placka przedmiot naprzemiennych kanonizacji i habilitacji. To samo dotyczy ramenu, w Japonii niegdyś pogardzanego. W Sewilli, na szlaku tapas, przyglądamy się próbom sprostaniania przez kulturę własnemu stereotypowi. Gdy von Bremzen pisze o autofolklorystyce Andaluzyjczyków, na myśl przychodzą podhalańscy górale.

Ale czy to w Neapolu, Tokio, czy Oaxace przekonujemy się też, jak romantyzacja autentyczności marginalizuje prawdę o głodowej proveniencji tego, co gotowała babcia, *nonna* czy *obaasan*. Tak jak po „Chłopkach” Joanny Kuciel-Frydryszak nie sposób dalej fantazjować o chłopskim jadł, tak po lekturze akapitów o meksykańskich kobietach wyrabiających tortille ciężko przełknąć fine-diningowe zaklęcia o organiczności za grube dolary.

Właśnie gdzieś w Sewilli ta opowieść jeszcze bardziej poważnieje, gdy okazuje się, że jedzenie może być też nośnikiem dyskursów przemocowych: słynna iberyjska wieprzowina była narzędziem inkwizycji testującej za jej pomocą autentyczność konwersji żydów i muzułmanów na katolicyzm. W Meksyku spożywanie pszenicy czy kukurydzy kolonizatorzy wpisali w swoje rasistowskie ideologie, a i dziś wyrób tortilli jest tyleż dumą i tożsamością, co zniewoleniem kobiet. Wizyta w Stambule to opowieść o gastronomicznym wielokulturowym niegdyś świecie i o władzy wykluczania ze wspólnoty stołu.

Jeśli spory o narodowość baklawy czy hummusu wydają się błahe, ich prawdziwą treść widać też z bliższej nam może nieco perspektywy, gdy, już z powrotem w Queens, autorka, Rosjanka z pochodzenia, gotuje barszcz ukraiński i próbuje nad jego talerzem odbudować wspólnotę stołu.

© P



Anya von Bremzen,
KUCHNIA NARODOWA. OSOBISTA PODRÓŻ PRZESZŁOŚCI, HISTORIĘ I SMAKI,
przeł. Aleksandra Czwojdrak,
Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego Bo.wiem,
Kraków 2024

Na początku i na końcu

URSZULA HONEK

WIERSZ EMILII KONWERSKIEJ – JEDNEJ Z NAJCIEKAWSZYCH DZIŚ POETEK – jest na pierwszy rzut oka jak zadanie matematyczne. Czytam, że krzywa w matematyce jest pojęciem, którego precyzyjne, jednoznaczne określenie jest bardzo trudne. Ale czy nie tak ma działać najlepszy wiersz? Poetka posługuje się językiem prostym i oszczędnym, w każdym stopniu wyczelowanym. Coraz bardziej towarzyszy mi jednak poczucie, że pisać prosto jest najtrudniej.

Poezja Konwerskiej zawsze odsyłała mnie poza horyzont. Często byłam zaskoczona obrazami i uczuciami, które temu towarzyszyły. W „Krzywej postaci” zatrzymuje mnie ostatnie zdanie, noszę je w sobie tygodniami, obracam w głowie, powtarzam na głos. Brzmi tak: „na końcu tej drogi / znajduje się most którego końca nie widać / (co prawie każdej osobie wydaje się okrutne)”. Wyobrażam sobie, że to zdanie jest zarazem początkiem i końcem. Mogłabym je wypowiedzieć stojąc nad nowonarodzonym dzieckiem albo umierającą osobą. Myślę o moich bliskich. Czy chciałabym powiedzieć im, co jest na końcu? Czy sama chciałabym mieć tę wiedzę? A jeżeli już bym ją posiadała i wiedziała, że nie ma nic, to w ostatnim momencie zdradziłabym tajemnicę?

Może ważne jest to, o czym poetka pisze na początku wiersza: sprawdzanie kształtów, zapachów, dotykanie ciała – własnego i cudzego, uczenie się bliskości. A nade wszystko: nierobienie uników dla spraw, które nie pozostawiają trwałych śladów. ©

EMILIA KONWERSKA

Krzywa postaci

kształt zwierzęcia takiego jak
faun lub syrena
jego zapach i to co czuć pod palcami
(pod warunkiem że nie jest to pierze)

prowadzi cię jak droga dookoła własnej
głowy, ramion i bioder
czasem się zatrzymujesz

pojawiają się różne pokusy

na końcu tej drogi
znajduje się most którego końca nie widać
(co prawie każdej osobie wydaje się okrutne)

EMILIA KONWERSKA

jest poetką, redaktorką i krytyczką.
Za swoje tomiki poetyckie była dwukrotnie
nominowana do Nagrody Literackiej Gdynia.

Wiersze poetek i poetów publikowane
w felietonach Urszuli Honek mają swoją premierę
na łamach „Książek w Tygodniku”

TYGODNIK
POWSZECHNY



KS. ADAM BONIECKI: „TESTAMENT”

„Bądźmy wdzięczni. Dziękujmy.
Warto sobie uświadomić, że jest za co”
– tymi słowami ks. Adam Boniecki rozpoczyna
czytany przez siebie audiobook i samą książkę.

Kończy zaś...
życzeniami: „Życzę też, byśmy
nie byli ponurakami.
Zmartwychwstanie jest
obietnicą przyszłej
nieśmiertelności,
więc na wszystko możemy
patrzeć w perspektywie
wieczności! Alleluja!”



Ryzyko, czyli aktywizm

ANNA MARCHEWKA

Co w obliczu grozy wojny, w obliczu cudzego cierpienia może robić czytelniczka? Co może robić wobec poczucia własnej bezsilności albo w bezpośrednim zagrożeniu?

Azar Nafisi, urodzona w Teheranie, od 1997 r. mieszkająca w Stanach Zjednoczonych literaturoznawczyni, profesorka anglistyki, autorka „Czytając *Lolite* w Teheranie” (jesienią 2024 r. nakładem wydawnictwa Karakter ukazało się drugie, poprawione wydanie przekładu Ivonny Nowickiej i Joanny Pierzchały), podpowiada: czytać, dużo czytać, przede wszystkim powieści, a potem spotykać się – wbrew zakazom, wbrew poczuciu niemocy – i rozmawiać o przeczytanych książkach, rozmawiać o tym, gdzie i kiedy są czytane, a także o życiu, które miało zostać zdefiniowane przez przemoc i dyktaturę, i w ten sposób zakreślać kolejne kręgi wolności.

Dla uczestniczek tajnego seminarium, które Nafisi zorganizowała po tym, jak wydalono ją z Uniwersytetu Teherańskiego za odmowę noszenia chusty, cotygodniowe dyskusje o wielkich powieściach były zarówno źródłem siły, jak i zagrożeniem. W krajach wolnych od dyktatury literatura nie wydaje się szczególnie istotna, być może jest nawet lekceważona – poza środowiskami literackimi zdaje się być jedynie ekscentrycznym dodatkiem do normalnego życia, zabawą dla wybranych i niekoniecznie najbardziej przydatnym członków społeczeństwa.

Pozbawione wsparcia, a co za tym idzie, upadające i znikające z przestrzeni książek kameralne są tego najlepszą ilustracją i dowodem na brak zainteresowania literaturą po stronie władzy – jeśli za brak zainteresowania uznać opuszczenie i skazanie na z góry przegraną walkę na tak zwanym wolnym rynku. Natomiast



KORNELIA GŁOWACKA-WOLF / MATERIAŁY PRASOWE PARTNERA

Anna Marchewka, Hanna Jankowska i Marta Zdanowska, cykl „Czytaj niebezpiecznie” przy Długiej 35 w Gdańsku

ustroje totalitarne dużo więcej uwagi poświęcają osobom czytającym, ale wcale nie po to, by je wzmacniać i wspierać, lecz by je kontrolować. Nagle okazuje się, że książki są niebezpieczne, podobnie jak ich autorzy i autorki. Zakazywane, wycofywane z obiegu treści nabierają wartości, której nie da się przeliczyć na żadną z walut – lektura może kosztować zdrowie, wolność, życie.

Trwające dwa lata seminarium Nafisi odkrywało moc fikcji – potęgę wyobraźni, która może pchnąć do społecznej zmiany, ale również wpędzić w tarapaty. Nie wszystkie z uczestniczek tamtego niewielkiego seminarium, którego prywatny wymiar uwypuklał, odbijał problemy z przestrzeni publicznej, dożyły publikacji popularnej książki swojej wykładowczyni.

„Czytając...” to rodzaj hołdu – hołdu koniecznego – dla irańskich studentek Nafisi, tych kruchych i odważnych młodych kobiet; wypełnienie powinności pamięci i wsparcie w kolejnych zagrożeniach. Skoro można wyobrazić sobie inne życie, trzeba pamiętać o tych marzycielkach, czytelniczkach i dyskutantkach, które już wcześniej zuchwale sięgały po wyobraźnię, wbrew lękowi budowały wspólnotę czytających uważnie, szeroko, nie oglądając się na obowiązujące zasady.

Obie przetłumaczone na język polski książki Nafisi – bo wcześniej, jesienią 2023 r., ukazało się „Czytaj niebezpiecznie. Wywrotowa siła literatury na burzliwe czasy” – zarysowały horyzont gdańskich spotkań i dyskusji literackich prowadzonych wiosną tego roku przy Długiej 35, gdzie dawniej mieściła się siedziba Towar-

zystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, a potem Rosyjskiego Ośrodka Nauki i Kultury.

Od 2022 r., po napadzie Rosji na Ukrainę, gdy miasto wypowiedziało ośrodkowi umowę najmu, naznaczona historią i polityką przestrzeń stała się miejscem, w którym artyści i artystki, pisarze i pisarki mogli wypowiadać posłuszeństwo silniejszemu narracjom. Metoda zaproponowana przez Nafisi, polegająca na tym, by w ramach ruchu oporu wobec obojętności i niewiedzy skupiać się na literaturze pięknej, by rozmowa o ważnych sprawach była prowadzona na podstawie książek pisanych z więcej niż jednej perspektywy, niewątpliwie się sprawdziła – jak wtedy, gdy Hanna Jankowska, Aga Zano i Marta Zdanowska rozmawiały o reprezentacji wojny w Palestynie, odnosząc się do „Drobnego szczegółu” Adanii Schibli (w przekładzie H. Jankowskiej).

ANNA MARCHEWKA

– literaturoznawczyni i krytyczka literacka. Opiekuje się rubryką „Stacja: Literatura” Miesięcznika ZNAK. Członkini redakcji kwartalnika „Czas Literatury”. Współtworzy Pracownię Pytań Krytycznych przy Katedrze Krytyki Współczesnej UJ.

GDAŃSK
MIASO
LITERATURY



WSZYSTKIE MOCE

MAX CEGIELSKI, PISARZ:

Nie ma co tak ciągle uciekać do tych Indii, Pakistanu, tylko trzeba się trochę zatrzymać nad sobą w tej Polsce. I właściwie po co lecieć do Kongo, skoro Kongo jest wszędzie, także tutaj?

MAX CEGIELSKI: Wejdz, proszę. To gabinet i palarnia, w której czasem ukrywam się przed dziećmi...

MONIKA OCHĘDOWSKA: „Klub Trzy Kontynenty”? Co to?

Teczka z materiałami do powieści, która ukaże się w przyszłym roku.

Będzie o podróżach czy o historii?

Muszę przyznać, że całe podróżowanie uważam dzisiaj za zajęcie dość podejrzane. Przekonałem się, że wszyscy, którzy tak bardzo dużo jeżdżą, zawsze przed czymś uciekają. Dlatego jedna z moich pierwszych książek, „Masala”, miała mieć tytuł „Ucieczka do Indii”... Zarówno przeszłość, jak i geografia są do pewnego stopnia tego samego rodzaju dezercją, zapewniającą chwilowe poczucie bezpieczeństwa.

Wyjaśnij.

Kiedy byłem mały, rodzice, którzy są historykami, regularnie zabierali mnie ze sobą do pracy. Jednym z moich głównych wspomnień z dzieciństwa jest biblioteka uniwersytecka – dokładnie jej dawna siedziba: bardzo wysoki, dziewiętnastowieczny budynek. Ponieważ książek było strasznie dużo, pobudowano tam drewniane półpietra i łączące je schodki – labirynt wiedzy, tak to wtedy odbierałem. Stoisz i patrzysz, a wszędzie dookoła są jakieś historie, do tego system biblioteczny jest pewnego rodzaju mapą, która po nich nawiguje.

MAX CEGIELSKI

jest pisarzem, dziennikarzem i badaczem relacji międzykulturowych. Autor i kurator projektów artystycznych oraz wystaw, członek zarządu Unii Literackiej. Jego pierwsza książka to podręcznik „Masala” (2002). Za „Oko świata. Od Konstantynopola do Stambułu” (2009) otrzymał Nagrodę im. Beaty Pawlak. Ostatnio wydał powieści „Prince Polonia” (2020) i „Nazywam się Czogori” (2022) oraz esej „Kongo w Polsce. Włóczęgi z Josephem Conradem” (2023). Współprowadził „Halę odlotów” w TVP Kultura, nagrodzoną Grand Pressem, oraz „Xięgarnię” w TVN24, uhonorowaną nagrodą Polskiej Izby Książki.

Biblioteka, ale też w pewnym sensie mapy i atlasy, to są światy idealne, idealnie uporządkowane. Wybierasz imię, nazwisko, jakiś moment historyczny, zagładasz do gablotki, spisujesz sygnaturę i – bam – wyciągasz książkę czy dokument, którego szukałaś. Biblioteka i mapa dają to samo poczucie bezpieczeństwa. Są czymś, co sobie rozkładamy przed nosem, żeby móc się chwycić czegoś pewnego.

Sam też pewnie rysowałeś mapy. Jedno idzie zwykle z drugim.

Tak, między szóstym a dwunastym rokiem życia rysowałem bardzo dużo map. Myślę, że miałem to po ojcu – on dwa razy zdawał na Akademię Sztuk Pięknych i do dzisiaj ma, że tak powiem, plastyczną rękę. Niedawno udało mi się zresztą znaleźć u mamy jakieś stare papiery i nawet sobie część tych swoich rysunków z dzieciństwa przezfotografowałem.

O, a tu mam, spójrz, atlas geograficzny z 1976 roku, który mi wtedy towarzyszył – trochę pożółkły, ale jeszcze pewnie posłuży do różnych opowieści.

A te rysunki w nim?

To chyba już z etapu moich dzieci... Mnie najbardziej intrygowało, że im dłużej przeglądasz atlas, tym częściej trafiasz na nieznane miejsca. Oraz że wyłącznie dzięki wyobraźni możesz przekraczać zaznaczone tu granice, bo wszystkie te kraje były przecież, w czasach mojego dzieciństwa, niewyobrażalnie dalekie, niedostępne. Patrząc na mapę – ukształtowanie terenu, pasma górskie i linie brzegowe – mogłem tylko wyobrażać sobie, jak tam jest.

Dzisiaj to odesłanie jest błyskawiczne, od razu możesz zobaczyć, co się kryje pod jakimkolwiek punktem takiego atlasu, a nawet obejrzeć to w 3D na ekranie telefonu. Pewnie dlatego też trudno być naprawdę zainteresowanym podróżowaniem.

Masz tu również krainy wymyślone.

Jako mały chłopiec byłem maniakalnym spisywaczem. Notowałem sobie w zeszytach zarówno imiona i nazwiska bohaterów, na przykład z „Rękopisu znalezionego w Saragossie”, ulubionej wtedy książki, ale też te miejsca wyszukane na mapach. Najbardziej lubiłem kraje oraz wyspy, które były takie maleńkie, spójrz: Ceuta, Melilla, Andora, Liechtenstein...

Obok tych miejsc rysowałem sobie jednocześnie wymyślone krainy. Dzisiaj myślę, że to też była ucieczka.

Od czego?

Mieszkaliśmy na osiedlu Stegny w Warszawie, jednym z ostatnich rzutów architektury gierkowskiej, wybudowanym w latach 70., tuż przed moim urodzeniem. Jak na PRL Stegny były dosyć fajnym osiedlem, ale jednak – osiedlem. A ja byłem wrażliwym dzieckiem, które potwornie się jękało. Mapy pozwalały na tworzenie wymaginowanych, fantastycznych, bezpiecznych światów. Gdybym dzisiaj był mały, pewnie pisałbym teksty fantasy na Wattpadzie.

A wtedy pisałeś?

Zadebiutowałem jako dziesięciolatek w magazynie „Świat Młodych”. Z okazji jakiegoś rocznicy urodzin Juliusza Verne’a ogłoszono konkurs na opowiadanie *science fiction* i wysłałem tekst o kosmitach. Obcy przylatują na Ziemię i są w szoku.

Z powodu tego, co się tu dzieje?

Nie mogą zrozumieć, o co nam chodzi – klasyczny motyw w fantastyce i kwin-tesencja mojego stosunku do rzeczywistości, zarówno wtedy, jak i dziś.

A pamiętasz pierwszą podróż za granicę?

Po raz pierwszy pojechałem jako dwunastolatek, do Berlina Zachodniego. Mój ojciec był tam wtedy na stypendium. Każdego ranka wychodziliśmy z domu razem: on szedł pracować do archiwum, a ja sobie zwiedzałem miasto. Mapy i instrukcje miałem oczywiście od niego. W porze obiadu ponownie się spotykaliśmy.

Duże przeżycie?

Szczególnie samotna podróż pociągiem i moment wjazdu: NRD-owcy, Checkpoint Charlie, mur, na który wchodziło się po schodach popatrzeć na drut kolczasty i ten martwy pas pomiędzy.

Śłuchaj, a dlaczego pisarze tak często wracają do dzieciństwa?

To chyba jest energia z samego środka. Żeby zrozumieć siebie, trzeba zrozumieć swoje dzieciństwo, bo to okres, który nas najmocniej kształtuje. Jakiś czas temu pisałem tekst o nobliście Abdulrazaku →

→ Gurnahu – wszystkie jego książki są prześiąknięte wspomnieniem dzieciństwa i w każdym wywiadzie on w zasadzie opowiada o tym samym: o zapachach portu w Zanzibarze, które pamięta sprzed lat. Orhan Pamuk ma tak samo.

A Ty jak masz?

W pierwszych książkach zastanawiałem się, kim jestem w skali makro, w świecie. A potem zacząłem się zastanawiać, kim jestem tak po prostu, skąd się tutaj wziąłem. Dlatego akcja nowej powieści, którą teraz piszę, rozgrywa się w PRL-u, w 1973 roku, tuż przed moim urodzeniem. Pomyślałem, że może nie ma co tak ciągle uciekać do tych Indii, Pakistanu i tak dalej, tylko trzeba się trochę zatrzymać nad sobą w tej Polsce. I właściwie po co lecieć do Kongo, skoro Kongo jest wszędzie, także tutaj?

Zrezygnowałeś z reportaży.

Poczułem, że trochę sam siebie okłamuję, szukając gdzieś daleko w świecie obiektywnych prawd. A najgorsze, co możemy zrobić w jakimkolwiek pisaniu, to czuć, że siebie i innych oszukujemy.

Ale Twoje pierwsze książki były uczciwym portretem pewnego pokolenia i znakiem czasów: backpacking, travellersi. Jak to pamiętasz?

Wszystko działa się w opozycji do tych przeklętych turystów, bo przecież my, z plecakami, nimi nie byliśmy. Symbolem tej iluzji był na przykład tzw. szlak bananowych placków w Indiach, *banana pancakes*, których Hindusi w ogóle nie jedzą – a to było podstawowe danie w knajpach, robione specjalnie dla travellersów. Toczyła się wtedy w naszym gronie ciągła dyskusja, czy chodzić zgodnie z *Lonely Planet*, czy *off the beaten track*, a potem *Lonely Planet* zaczęło natychmiast wydawać przewodniki „Offbeat” – symboliczne, prawda?

I kiedy Ci przeszło?



Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika”
w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.

Śluchaj na żywo lub w podkastach na [Radio357.pl](https://radio357.pl)



DAWID ZUCHOWICZ / MATERIAŁY PRASOWE

Wszystkie porządne opowieści są próbą poradzenia sobie z tym, że jesteśmy śmiertelni.

Myślę, że po pandemii stało się jasne, że potrzeba bycia w podróży to cecha pokoleniowa. I ona właśnie jako pokoleniowe doświadczenie wraz z pandemią się ostatecznie wyczerpała – z powodu zagrożenia zarazkami, strachu przed wojnami, troski o ekologię. Poza tym i tak wszystko jest na TikToku, więc po co w ogóle gdzieś jechać? Inna sprawa, że jeśli nagrywasz się na tego TikToka za pomocą selfie sticka, to nie pokazujesz świata, bo jedną trzecią kadru, jeżeli nie połowę, wypełniasz ty.

A jeszcze z innej strony wydaje mi się, że za chwilę w ogóle przestaniemy przepraszać, wiesz, przejmować się całym tym śladem węglowym i w poczuciu tego, że wszystko się kończy, będziemy chcieli się światem jak najszybciej nasyć. Za wszelką cenę.

Może po prostu opowiadamy sobie teraz świat inaczej, nie poprzez podróże.

Z pewnością. Wiesz, niedawno wróciłem na studia. Napisałem w końcu licencjat, magisterkę, a potem nawet prowa-

dziłem zajęcia dla studentów, z pisania. Zaczynaliśmy od prowadzenia dziennika, by na końcu semestru dotrzeć do pełnoprawnego tekstu naukowego, z przypisami i tak dalej. I wiesz co? Ci młodzi ludzie mieli świetne pomysły, byli wrażliwi, inteligentni, ale w ogóle nie byli w stanie stworzyć spójnej narracji. W ich opowieściach wszystko było poszatowane, jak w teledysku. Oczywiście, każdy z małych segmentów tekstu był ciekawy, tylko że to wyglądało dokładnie jak w telefonie: oddzielne historie, które nie układały się w nic większego.

Ale przecież zdawanie spójnej, szczelnej wręcz relacji z podróży bywa rodzajem sprawowania kontroli nad opisywanym miejscem. Może świat nie układa się w żadną historię?

Fakt, można powiedzieć, że Zachód w procesie podboju świata produkował wiedzę, która nigdy nie była wiedzą produkowaną wyłącznie dla niej samej. Była wiedzą służącą sprawowaniu jakiejś kontroli. Między innymi dlatego ostatecznie rzuciłem reportaż podróżniczy – w dużej mierze to jest taki sam biznes.

Co masz na myśli?

Świat podróżników i podróżniczek, wszystkie te festiwale, na które ja sam również jeżdżę, to jest zabawa dla zawodowców, którzy z tego, że podróżują, uczynili swoją etatową pracę. Robią piękne zdjęcia „egzotyki”, które potem obrabiają w Photoshopie i układają w prezentacje, z którymi objeżdżają Polskę. O co w tym wszystkim chodzi? O efekt. Fotografom zależy przecież na tym, żeby z miejsca, w którym są, wyrwać jak najwięcej atrakcyjnych obrazów.

Z pisaniem też tak jest?

Magda Heydel zauważyła, że w czasach Conrada publiczne i prasowe opowieści były przedłużeniem kolonialnego głodu Anglików. Jeśli tak, to tutaj mamy w gruncie rzeczy to samo: też chodzi o łupy. Tyle że przybierają one głównie postać filmów i zdjęć albo videoblogów. I mają budować markę osobistą, czyli charakterystyczną dla naszych czasów, jak powiedziałby modny teraz filozof Byung-Chul Han, „osobowość dokonania”.

Bohaterem Twojej powieści „Nazywam się Czogori” jest syn

himalaisty, któremu już na dokonaniach nie zależy. Wybiera się w podróż razem z tymi, którzy zdobywali szczyty i kręcili o tym reportaże, ale on sam w trakcie tej wyprawy schodzi raczej w głąb siebie i swojej historii – podąża za duchami, czyli za fikcją.

Kiedy pisałem „Czogori”, jeszcze nie do końca to rozumiałem. Potem, podczas spotkań autorskich, wszyscy koncentrowali się na pierwowzorach moich bohaterów, czyli himalaistach. Nikt nie rozmawiał ze mną o warstwie fantastycznej, która jest w tej powieści niezwykle istotna. Traktuję to jako znak czasów, objaw tego, jak bardzo poszliśmy w stronę literatury faktu, czytania faktograficznego. Nie umiemy rozma-
wiać o fikcji, uciekamy od tego.

A to jest książka o samopoznaniu. Główny bohater, Olo, wchodzi w warstwę świata, której himalaiści – ludzie dokonań – prac pod górę, w ogóle nie widzą. Ola interesują religia i historia, dlatego schodzi do podziemi, widzi duchy, rozmawia z Górą i tak dalej.

Zresztą, może jestem totalnie oldskulowy, ale wydaje mi się, że to są rzeczy, o których najlepiej nie pisać wprost.

To znaczy?

Wiesz, u Conrada czytelnik musi odbyć podróż, która zawsze jest jakimś rodzajem zasłony, podróż zasłania strach bohatera. Więc jeśli w „Czogori” masz bitwę z zombiakami, to nie chodzi tak naprawdę o te potwory, tylko pokonywanie wewnętrznych lęków. Każdy z tych moich bohaterów i ja sam musimy co jakiś czas taką wędrówkę ponawiać.

Weźmy tę książkę, o którą zapytałaś na początku, „Klub Trzy Kontynenty”. Po pierwsze: naprawdę był taki klub, istniał w Warszawie na przełomie lat 60. i 70. i zrzeszał studentów z Afryki, Azji i Ameryki Południowej. Po drugie: bohater moich „Trzech Kontynentów” boryka się z problemami psychologicznymi, ale nie mówi „jestem nieszczęśliwy”, tylko znajduje trupa i musi rozwiązać jego zagadkę.

Zawsze na początku historii – jak w Twoim ulubionym „Rękopisie znalezionym w Saragossie” – musi być jakiś trup albo wisielec?

Ktoś musi zostać złożony w ofierze bogom, żeby zaczęła się opowieść! Nigdy wcześniej o tym nie myślałem, ale rzeczywiście: „Wielkiego Gracza”, biografie Bronisława Grąbczewskiego, zacząłem od sceny samotnej śmierci bohatera, czyli momentu, w którym jego świat już nie istnieje, ludzie z jego epoki odeszli, Grąbczewskiego też zaraz nie będzie. „Kongo w Polsce. Włóczęgi z Josephem Conradem” oraz „Nazywam się Czogori” to też historie o tych, których już nie ma. Wiesz, wbrew temu, co wiele osób o mnie myśli, nigdy nie byłem budystą, hinduistą ani wyznawcą islamu. Jestem stuprocentowym ateistą, natomiast we wszystkich moich książkach był zawsze jakiś element mistycyzmu.

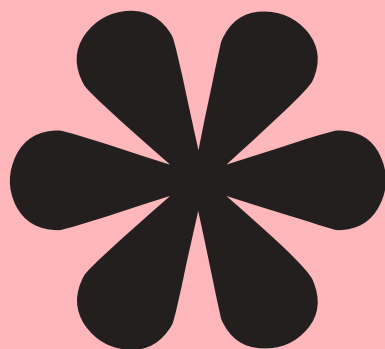
Podsumowując: może tak jest, że porządne opowieści zawsze są jakoś związane ze śmiercią. Są jej zaklinaniem, pokonywaniem albo próbą poradzenia sobie z tym, że jesteśmy śmiertelni. Wszystkie moce należą do zmarłych.

W ostatniej książce, „Kongo w Polsce”, piszesz, że byłeś małym specjalistą od państw i terytoriów, godzinami wpatrywałaś się w linie granic na mapach, czerwonym flamastrem nanosiłaś na nie swoje fantastyczne krainy. Ale to zdanie o małym chłopczyku z namiętnością do map, wpatrującym się godzinami w Południową Amerykę i Afrykę lub Australię, to tak naprawdę cytata z Josepha Conrada. To jak to jest?

Już wiesz, że zanim zaczęły się wszystkie moje podróże, dużo czytałem. Czytanie było zawsze dla mnie tak samo ważne jak podróżowanie. W „Oku świata” napisałem zresztą, że w Stambule budynki są wypolerowane od spojrzeń, co znaczy, że wiem, że nigdy nie jestem pierwszy. To zresztą zdrowa świadomość – moje spojrzenie, moje pisanie, nie będzie tak naprawdę nigdy ani stuprocentowo niewinne, ani nowe. Zawsze będzie miało korzenie w innych opowieściach.

Planeta nam się skurczyła, dlatego moim celem nie jest już przekazywanie wiedzy i emocji w reportażu podróżniczym. Ważniejsza jest narracja, która scala doświadczenia, nie tylko te egzotyczne, także bardzo bliskie, jak historia Polski.

©© Rozmawiała MONIKA OCHEŃDOWSKA



 **dynks**

**poznański
magazyn
kulturalny**



**teksty
podcasty
video**

dynks.poznan.pl

ESTRADA
POZNAŃ
ŹNISKA

POZnań*

Musiałem mrużyć oczy

PIOTR PAZIŃSKI

Piotr Sommer bardzo swoją podmiejskość pielęgnuje. Specyficzny stan skupienia: czasu, materii i języka. A także autonomię intelektualną i artystyczną wobec modnych trendów i towarzyszących im egzaltacji.

NA SERII FOTOGRAFII Z LAT 70., ZAMIESZCZONYCH w „Notesie otwockim” (2013) Piotra Sommera, widnieje kilka otwockich drewniaków zwanych „świdermajerami”. Wśród nich okazały, dwupiętrowy pensjonat Polonia Palace przy ulicy Warszawskiej 45, w 1998 r. podpalony i dziś nieistniejący. Na pojedynczych stronicach między zdjęciami Sommer, niegdyś lokator tej posesji, розміścił swój wiersz „Spóźniony list”, bardzo osobiste wyznanie o własnej rodzinie. Reszta kartek pozostała niezadrukowana, tworząc w ten sposób triadę złożoną z obrazu, języka i pustej przestrzeni. Człowiek mógł tę pustkę wypełnić po swojemu, mógł też zaczekać, aż zrobi to kiedyś sam Sommer. Uczynił to właśnie, publikując książkę „Środki do pielęgnacji chmur”.

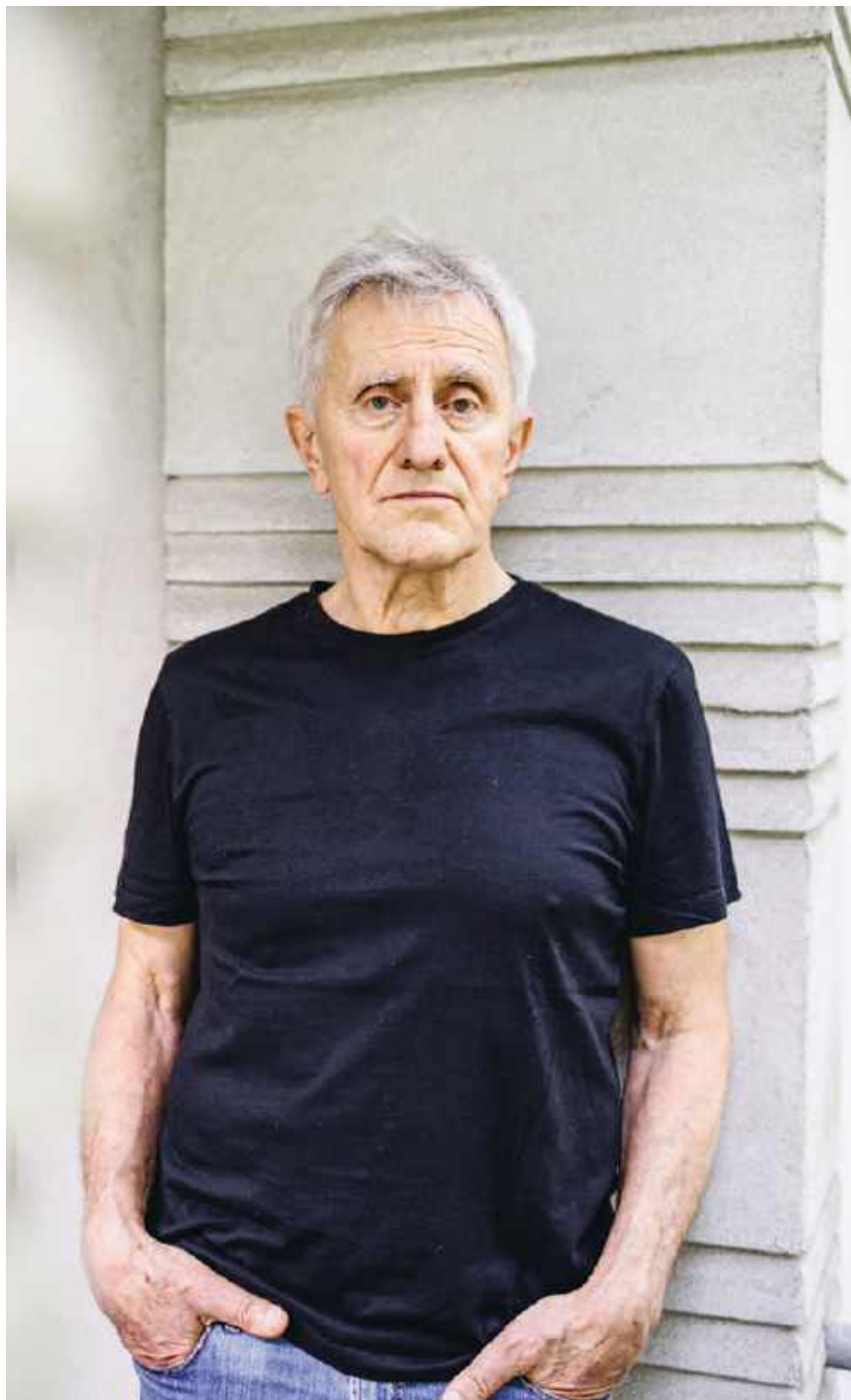
Pamiętki z doczesności

Rozproszone tu i ówdzie wzmianki o Otwocku, aluzje i kryptoaluzje do podwarszawskiego miasteczka „z sosnami i domami z drzewa, knajpą, kościołem, wymarłym kirkutem” („Kreska”, 1983) obecne są u Sommera od zawsze. Już w debiutanckiej książce „W krzesło” (1977) zjawia się postać babki, która truchcikiem obiega pokój od pieca do starej trzydrzwiowej szafy. W „Pamiętkach po nas” (1980), skąd pochodzi „Spóź-

niony list”, Sommer rysuje otwocki pejzaż: „pięćdziesięcio-, sześćdziesięcioletnie drewniaki, jedno dwa piętra trzeszczących schodów, na podwórkach otwarte doły i zdechłe koty, i piłka, która zawsze wpada dzieciom do śmieci, trochę obdartych sosen”.

Na poły żartobliwie, na poły nostalgicznie, żegna ulubiony jesień z podwórka,

czyniąc aluzję do przypadłego świdermajera: „Przy moim domu, który się spalił, był taki jeden, który wycięto” („Wiersze ze słów”, 2009). W poemacie „Mogiłki” (1997) zastanawia się, gdzie w przyszłości zostanie pochowany – i jako jedną z prawdopodobnych lokalizacji wymienia Otwock. Wspominając po latach zmarłych przyjaciół w wierszu „Suchy



Piotr Sommer. Sulejówkę, 20 sierpnia 2023 r.

mech” („Lata praktyki”, ostatni dotąd tom poetycki Sommera, 2022), wraca do lasu „z korą złuszczoną z sosen, z opadłymi liśćmi, bo las był tutaj mieszany”.

Trudno się temu wszystkiemu dziwić, idzie przecież, jak przekonywał Sommer przepytujących go ongiś kolegów, Jerzego Borowczyka i Michała Larka, o „mit początku”. Mit zawiązany w rozparcelowanym przez kwaternunek pożydowskim świdermajerze, w pokoiku, gdzie na początku lat 50. osiedliła się trzyosobowa rodzina (babcia, matka i wnuk), i gdzie mały Piotrś obserwował świat przez nieomytą szybę pojedynczego okna, patrząc na smugi kurzu prześwietlone słońcem.

U Sommera obrazy o rozstrzygającym znaczeniu wydarzają się zawsze w środowisku językowym. Język i cała reszta – mówi, wskazując swoich poetyckich mistrzów: Bolesława Leśmiana, Mirona Białoszewskiego, a zwłaszcza Jerzego Ficowskiego – to rzeczy rzadko rozłączne. Jeśli pamiętki z doczesności, bliższej i dalszej, gdzieś się przechowują, gdzieś odciskają, to w mowie.

Jego utwory często przyjmują postać kroniki życia rodzinnego i przyjacielskiego, niegdyś także, w gorszych czasach (czy są czasy lepsze?) – społeczno-politycznej codzienności, są nasłuchiwaniami tego, co w świecie piszczy. Zwłaszcza w języku. Owszem, tworzy przejmujące obrazy, ale jest poetą słuchu. W polemicznym eseju „Ładne rzeczy”, wzięwszy na cel Zbigniewa Herberta i jego utożsamienie mówienia z piaskiem (a więc z nietrwałą lichotą), nazywa mowę „czułym, może najczulszym instrumentem naszego przymierza ze światem”. Jest bowiem tak (w wierszu „Niedyskreje”, „Czynnik liryczny”, 1986), że w słowach, w składni, w „międzysensach zawiera się cały człowiek, włazi tam, gdzie widzi trochę miejsca”.

Rozmyte kontury

Teraz, w „Środkach do pielęgnacji chmur”, książce po prostu otwockiej, chwytającej minione i teraźniejsze wrażenia, mikroelementy mowy, nieważkie jak drobiny sosnowego powietrza, rzeczywistość językowa szepiła się z wizualną tak ściśle, jak u Sommera chyba jeszcze nie było. Stawka jest wysoka, chodzi o przymierze ze światem. Tym najbardziej intymnym i własnym, co nie znaczy, że ograniczonym do poruszeń duszy.

Miasteczko na Linii (nazwy Otwock i Linia Otwocka nie padają, choć czujemy, że o nich mowa) staje się namacalne.

Cóż z tego, że słowo „Otwock” się nie pojawia, skoro są ulice Warszawska, Kościelna, Szlachecka – niby pospolite, ale tworzące konstelację właściwą temu miejscu. Są kino Promyk i Teatr Jaracza, jest pensjonat Gurewicza, są nieodległe Ługi i nieco odleglejszy Karczew. No i są ludzie, tak samo niepowtarzalni, społeczność tyleż typowa, co jedyna w swoim rodzaju. Koledzy i koleżanki ze szkoły, dorośli z podwórka: Mietek Rypina, Gruszka, ślepy Olo, Łaga Adamowicz, Przemek od dziennika, profesor Rubczak od fizyki, lodziarka pani Kozłowska, Lucyna i Majka, córki filatelisty pana Jaworskiego, i on sam, z palcami wiecznie usmarowanymi tytoniem. Jest też starsza o cztery lata Lilka, która zaciągnie Piotrkę w krzaki porastające ruiny synagogi. Jest matka i matka matki. Mówiąc krótko, jest świat schwyty w gęstą sieć prozy.

Sommer nie tylko wierzy w moc założycielskiego mitu, ale pamięta, że mit, przełożony na literaturę, jest opowieścią, autonomicznym wydarzeniem o własnych konsekwencjach, skutkach i losach. Wie także, że ustalenie „stanu faktycznego”, z uwagi na taką a nie inną naturę naszych władz poznawczych, jest niewykonalne. „Nigdy nie byłem pewien, czy ruch i bezruch pyłków jest wywołany przez słońce czy przez moje patrzenie” – powie w cytowanym wywiadzie. W nowej książce, w krótkiej lirycznej całości „Dziwne spotkanie”, piękna wizja i związana z nią zasadnicza niepewność co do statusu obserwowanego świata powraca: „kiedy leżałem – mówił do mnie – słońce świeciło mi prosto w twarz, musiałem mrużyć oczy”.

Zgęszczając język, by pochwycić coś z przeszłości albo jakieś istnienie zasugerować, Sommer zgęszcza jednocześnie czasoprzestrzeń. Czas u niego niespodziewanie skraca się lub rozciąga bez powodu, spóźnia albo nadgania, przestrzeń okazuje się dalece niestabilna, nie można na niej polegać. „W obliczu tak bezprzykładnego rozmycia konturów najbliższego planu, spowolnienia ruchu, wstrzeźmiewalności wiatru (...) cała wiedza domagała się upewnien i weryfikacji”. Ten fragment jawnie przypomina język Brunona Schulza – mitotwórcy i specjalisty od manipulacji czasem. Sommer przywo-

luje charakterystyczne Schulzowskie figury (klaser z egzotycznymi znaczkami, Franciszek Józef) i prędko je porzuca na rzecz innych, topograficznie i biograficznie bliższych.

Nie przypadkiem pierwsza Schulzowska sygnatura wydarza się w języku. Niepozorne „dymensje” żartobliwie przesuwają otwocką codzienność w drohobycki zawczas, ale też, przez jawną archaiczną, ukazują ograniczenia „pisanego Schulzem”, w każdym razie Schulzem „czystym”, tym sprzed wojny. Bodaj najlepiej unaocznia to motyw drugi: postępująca entropia, zjawisko łatwo dostrzegalne dla każdego, kto odwiedził Linie nawet po krótszej nieobecności. Otóż „bezprzykładne rozmycie konturów” nie wzięło się na Linii znikąd. Jest skutkiem wojennej katastrofy i gwałtownych przemian społecznych, także powojennego niepamiętania. „Jeśli istniała jakaś przeszłość albo przyszłość – powie narrator o zaroślach wokół pawilonów dawnego szpitala żydowskiego Zofiówka – to latem były one nieczyste”.

Panie Brunonie już można

W wierszu „Mój nieocalony”, osadzonym w ludzko podobnej przeszłości, Jerzy Ficowski pozwolił Brunonowi Schulzowi przetrwać zagładę na antresoli drewnianego domu. Schulz – rzecz dzieje się we śnie – jakimś sposobem oszukał czas i ocalał, wrośnięty w belki między sufitem a sienią. A potem, kiedy już było wolno, rozwiął się w nieistnieniu. Ficowski czyta swój wiersz miękko, baśniowo, w jego głosie utrwalonym na płycie gramofonowej słychać rezygnację, że na koniec baśń pryska.

Piotr Sommer – uczeń Ficowskiego, edytor jego pism i interpretator jego poezji – ten sam tekst czyta ostrzej, jakby łobuzersko. Kluczowe zdanie: „panie Brunonie już można, niech pan schodzi”, brzmi tak, że słuchacza przechodzą ciarki. Nie wiadomo, kto wywabia Schulza z kryjówki – przyjaciel czy wróg.

Kiedy Sommer czyta wiersz Ficowskiego o Schulzu, człowiek widzi otwocki świdermajer. Odsuwa się ściana z płyty pilśniowej, wysypują szyszki, które robiły za materiał izolacyjny, wychodzi... pensjonariusz. Albo kilkoro. „Pensjonariusze”, to słowo kryptonim: „Podwórko trafiło w punkt, mówiąc o naszej trójpokoleniowej komórce społecznej →

→ »pensionariusze«. To już słowa Sommera. W swojej prozie powtarza je kilkakrotnie, nadając mu specyficzną barwę, odpowiednio akcentując sylaby. „Wolano za mną »pensionariusz, pensionariusz«, podczas gdy ja, nierzadko z matką mojej matki, szedłem właśnie ukosem przez posesję w stronę ulicy Warszawskiej”. Łatwo można sobie wyobrazić, jak brzmiało zredukowane do wyrazów krótszych, „o innym źródłosłowie”.

Tak oto w otwockiej prozie objawia się, znany z jego poezji i krytyki literackiej, Sommerowy czujny nasłuch językowej rzeczywistości. Eufemizmy, niedopowiedzenia... Pamięć pożydowska jest jak dawny cheder, „stosownie wycofana między sosny”. Nie narzuca się, nie dominuje języka ani sosnowego pejzażu, co najwyżej straszy tu i ówdzie kłopotliwą pustką (o ile ktoś ją dostrzega, a widzą wszyscy). Po trosze nielegalna, skupia się w miejscach niespodziewanych, a dla miasta centralnych – w okolicach dworca kolejowego i handlowej dzielnicy, gdzie „wygasłe lub wręcz skurczone okazywały się całe ulice”. Albo w ciasnych izbach pensjonatu Polonia Palace, gdzie słuch o poprzednich mieszkańcach, „ich imionach i nazwiskach, a także o imionach i nazwiskach ich dzieci i krewnych, dla jakichś po dziś dzień niepojętych przyczyn zagiął”.

Ale podwórkowy ton pobrzmiwa także słowami kolegi, Maniusia, któremu Piotruś zabił ponoć jakiegoś pana, „żyjącego podobno bardzo dawno temu”. Znać w nim czas, „Wielkiego Bicia”, kiedy to spece od czystości narodu i narodowej kultury chcieli wyrzucić Sommera z polszczyzny i z kraju. Marzec w „Środkach do pielęgnacji chmur” wprowadzie się nie pojawia, w każdym razie z imienia, pisarz oszczędził nam również dialogu dwóch dziewczynek, które na Warszawskiej, obok kawiarni Grażynka, wypowiadają w jego obecności kilka ciepłych słów o Hitlerze („Jakiś dłuższy czas temu”, „Dni i noce”, 2009).

Ale są przecież wyjazdy, marcowe i jeszcze przedmarcowe: „Ciągłe trzeba się z kimś żegnać. Jeszcze pół biedy, jak człowiek o tym wie albo się spodziewa”. Dzielnica pensjonariuszy pustoszeje. Kolega Gruszka, chorujący na heine-medinę lokator dawnego domku szamasa, wyjeżdża „z kraju przodków do kraju innych przodków”, i robi to tak prędko, jakby

Według Maniusia, Piotruś
zabił jakiegoś pana,
**„żyjącego podobno bardzo
dawno temu”.**

Znać w tym echo czasu,
kiedy to spece od czystości
narodu i narodowej kultury
chcieli wyrzucić Sommera
z polszczyzny i z kraju.

w przelocie, że trudno mieć do niego pretensje. Mieszkał i już, nie mieszka. Tak to jakoś się porobiło.

Podmiejski

Na początku były tory kolejowe. Od Falenicy do Śródborowa, albo i dalej. Świat Sommera zorientowany jest kolejowo, tory stanowią przecież kręgosłup Linii, czynnik organizujący czasoprzestrzeń. Nieprzypadkowo opowieść rozpoczyna się przy budynku dworca, jest również całkiem zrozumiałe, że próbując rozgryźć paradoks kolistości nieskończonej przestrzeni, tutejsi chłopcy za przedmiot rozważań biorą szyny biegnące od dworca hen do samego Lublina. Kolega Adamowicz w nieskończoność torów nie wierzy. Autor zaś, jak się zdaje, skłania się ku hipotezie odwrotnej, w przeciwnym razie nie zamykałby książki piękną wizją torów i słupów trakcyjnych, które oddalają się ogromnym łukiem ku nieznanym przestrzeniom, tworząc długą przecinkę w potężniejącym lesie.

Być może tory kolei otwockiej opasują Ziemię i wracają w to samo miejsce. Sommer sugeruje taką możliwość, przy czym ruch po okręgu staje się u niego warunkiem odwrócenia biegu czasu. Oto zamiast biec z przeszłości w teraźniejszość, czas cofałby się o pewien interwał, by następnie, niepojętym sposobem, ruszyć znów naprzód i osiągnąć przyszłość, tyle że nieco odmienioną, pełną ludzi, których w poprzedniej wersji zabrakło. Być może takimi torami przyjedzie na stację w Otwocku „długi pociąg towarowy, pozostający poza zwyczajowym rozkładem jazdy, pełen – czy to możliwe – powracających ludzi”.

Ale może ważniejsze od niemożliwej korekty przeszłości jest to, że Sommer opowiada swój mit (czy raczej jedną z wersji mitu, w której pociąg powraca) w przestrzeni podmiejskiej, z natury peryferyjnej wobec centrum: pisania i pamiętania. Bardzo swoją podmiejskość pielęgnuje, ten specyficzny stan skupienia: czasu, materii, a przede wszystkim języka. Chodzi o polszczyznę z bocznych, mniej wydeptanych duktów, niekiedy zarośniętych chaszczami, a więc o mniej słyszalne głosy. A także o autonomię i niepodległość, intelektualną i artystyczną, wobec modnych trendów i towarzyszących im egzaltacji.

Jak ma się do tego miasto na Linii? Poproszony ongiś o rozprawkę na temat „Peryferia jako centrum?”, Sommer, nim rozprawił się z proponowaną alternatywą, wskazując, ile uproszczeń i stereotypów ze sobą niesie, pozwolił sobie na osobiste i jak to u niego, na poły ironiczne, na poły poważne wyznanie: „Przeżyłem się i postanowiłem zrejterować do Otwocka, gdzie czułbym się bezpiecznie, ponieważ Otwock to nie całkiem centrum, a jednak trochę centrum i trochę prowincja” („Po stykach”, 2001). Następnie w kilku zdaniach sporządził coś, co po latach nazwał „mapą topograficzną duchowych obszarów miasteczka wraz z indeksem”. Nie zapomniął, naturalnie, o pensjonariuszach. Zbiegli się, może nie tłumnie, ale całkiem rażno. Dziś są trochę bardziej.

I on jest, pensjonat Polonia Palace. Wiedziałem go, gdy minionej jesieni włóczyliśmy się z Piotrem po otwockich zakątkach, wdychając zapach sosen, żywicy i pleśni, i gdy zmurszała podmurówka, ukryta w łopuchach, na moment ożyła, a drewniak stał się uporczywie realny. Jeśli dobrze pamiętam, słońce świeciło w twarz. Tak mocno, że musiałem mrużyć oczy.

© PIOTR PAZIŃSKI

**ŚRODKI
DO
PIELĘGNACJI
CHMUR**

Piotr Sommer
**ŚRODKI
DO PIELĘGNACJI
CHMUR**
Wojewódzka
Biblioteka
Publiczna
i Centrum
Animacji Kultury,
Poznań 2024



MATERIAŁY PRASOWE

„Miasteczko Halloween”, reż Henry Selick (1993)

Wszystko dla wszystkich

MICHAŁ WALKIEWICZ

Intuicyjnie rozumiemy, co czyni kino „świętecznym”. Przecież w tym samym trybie definiujemy „wyjątkowość” samych świąt. Bez względu na to, na którym krańcu spektrum chrześcijańskiej wiary jesteśmy.

BOŻE NARODZENIE ZA PASEM, PORA NA świąteczne bingo. W domowym zaciszu punkty nalicza się zazwyczaj za pytania retoryczne („A te pierogi to kupne?”), ewentualnie za biegłość w prowokacjach („Kiedys to żadnego wege nie było”). W mediach królują nierozstrzygalne dylematy. Wigilia pracująca czy wolna? Mariah Carey czy George Michael? Komercjalizacja świąt symbolem sekularyzacji czy może dźwignią gospodarki?

O ile święta Bożego Narodzenia łączą nas w corocznych rytuałach, o tyle kino świąteczne wcale nie jest maszyną uniformizacji gustów. Niby wszyscy czekamy,

aż Kevin McCallister zamieni domek na przedmieściach w warowną twierdzę, a John McClane roztrzaska „Szklaną pułapkę” na milion kawałków. Lecz – okazuje się – ilu ludzi, tyle filmowo-świątecznych obrządków.

Wszędzie naraz

Święty Mikołaj rozbija swój zaprzęg na plaży niedaleko Miami. W obliczu dezercji reniferów oraz buntu elfów, w sukurs ruszają mu kontrolowane telepatycznie dzieci. Wspólnie oglądają „Calineczkę” Barry’ego Mahona, jedno z arcydzieł złego smaku, a za chór grecki robią Tomek Sawyer w hawajskiej koszuli oraz

Huckleberry Finn z tresowanym szopem praczem na ramieniu. W filmie „Santa Claus and the Ice Cream Bunny” (napisanym, wyprodukowanym, wyreżyserowanym i zmontowanym przez Richarda Wina, który, jak mi nie mam, nie istnieje) znajdziemy jeszcze faceta przebranego za goryla oraz Królika Wielkanocnego o smaku lodów waniliowych. Nikogo pewnie nie zdziwi, że jest to również pełnometrażowa reklama parku rozrywki Pirates World (bez apostrofu, czyli z błędem w nazwie) i że w niektórych wersjach filmu „Calineczkę” zastępuje nakręcona przez właścicieli parku wariacja na temat „Jasia i Magicznej Fasoli”. Dzieci, nie bierzcie narkotyków. W Boże Narodzenie dostaniecie je za darmo.

„Santa Claus and the Ice Cream Bunny” może być jednym z najgorszych filmów, jakie widziałem w życiu, a przypomnę tylko, że jestem na bieżąco z polskim kinem na Netfliksie. Z drugiej strony – oto moc Bożego Narodzenia w pełnej krasie! – pozostaje celnym metakomentarzem do samej idei filmu świątecznego. Układa się w kalejdoskop rzeczy wyciągniętych z kolektywnej podświadomości, melanz gatunków, poetyk, estetycznych koncepcji, a także ilustrowany przegląd ➔

→ „alternatywnych” bożonarodzeniowych narracji. Nie da się go obronić, opowiedzieć, ani oglądać. Podobnie jak święta, trzeba go poczuć i przeżyć.

Jak na rytuał filmowy obciążony tyłoma sensami i tak pojemną symboliką, filmy świąteczne wydają się jedną z najmniej istotnych sfer kina. Jasne, otaczamy je kultem, smagamy bacikiem ironii innowierców, zastanawiamy się, czy ten albo inny twórca złapał w siatkę „ducha świąt” i krzyczymy, gdy telewizja zdejmuje z ramówki „Kevina”. O świątecznych filmach rozmawiamy jednak bez większej ekscytacji, bo funkcjonują i obok świąt, i obok kina. Nawet jeśli – oderwane od bożonarodzeniowego kontekstu – bywają arcydziełami.

Święta, czyli co?

Nie będę bronił tezy, że brak podobieństw to zawsze jakieś podobieństwo. Ale co poradzić, skoro „kino świąteczne” wymyka się wszelkim uogólnieniom i bywa twardszym orzechem do zgryzienia niż francuska Nowa Fala albo późny Krzysztof Zanussi. Gdyby jednym z kryteriów definicji była data premiery, w kanonie nie znalazłby się ani „Cud na 34. Ulicy” George’a Seaton (wprowadzony do kin w maju 1942), ani „Ja Cię kocham, a ty śpisz” Jona Turteltauba (kwiecień 1995), ani nawet „Gremliny rozrabiają!” (czerwiec 1984). Producenci większości filmów świątecznych uznali bowiem, że do kina chodzi się zazwyczaj późną wiosną i latem.

Jeśli przyjmiemy, że decyduje marketing, listę trzeba odchudzić o dziesiątki tytułów, które uznajemy dziś za bożonarodzeniową klasykę – od „Powrotu Batmana” Tima Burtona, przez „Garsonierę” Billy’ego Wildera, po... „Oczy szeroko zamknięte” Stanleya Kubricka, które zyskały drugie życie w popkulturze dzięki przekornej „świątecznej” interpretacji.

Kryterium gatunkowe to również droga donikąd. Zwykliśmy utożsamiać czas Bożego Narodzenia ze słapstickowymi szaleństwami („Świąteczna gorączka” Briana Levanta), komediami romantycznymi („To właśnie miłość” Richarda Curtisa, „Holiday” Nancy Myers czy rodzime „Listy do M” Mitji Okorna), dramatami rodzinnymi („Rodzinny dom wariatów” Thomasa Bezuchy), a także z filmami od lat pięciu do stu pięciu („101 dalmatyńczyków” Stephen Hereka).

KINO ŚWIĄTECZNE DLA ODWAŻNYCH



■ **ŚWIĘTY MIKOŁAJ I LODOWY KRÓLIK** (1972) Reż. Richard Winer (prawdopodobnie pseudonim) Wysokooktanowe paliwo waszych koszmarów. W tym filmie jest wszystko: Święty Mikołaj na Florydzie, „Calineczka” w telewizorze, waniliowy zając wielkanocny, kontrolowane telepatycznie dzieci, Tom Sawyer w hawajskiej koszuli i Huckleberry Finn z podręcznym szopem praczem. Ludziom o mocnych nerwach polecamy też poprzednią część – „Święty Mikołaj podbija Marsa”.



■ **GRUMPY CAT: NIEWESOŁYCH ŚWIĄT** (2014) Reż. Tim Hill Ho ho NO! Mem zamieniony w kino, czyli ostateczne sprzężenie zwrotne popkultury. Słynny zgryźliwy kocur (choć tak naprawdę to kotka) czeka na adopcję z firmowym, sarkastycznym wyrazem pyszczki. Kiedy ostatecznie trafia pod opiekę 12-letniej dziewczynki, zamienia życie domowników w piekło. Czy kiedyś doceni magię świąt?



■ **TERRIFIER 3** (2024) Reż. Damien Leone Klaun Art, najbardziej sadystyczny bohater popkultury, woli Halloween od Bożego Narodzenia. Dźgać, strzelać, miażdżyć i szlachtować może jednak każdego dnia w roku. „Terrifier 3” to festiwal obrzydliwości, test cierpliwości i ostateczny dowód na to, że świętym Mikołajom w galeriach handlowych nie można ufać.



■ **RARE EXPORTS: OPOWIEŚĆ WIGILIJNA** (2010) Reż. Jalmari Helander Święty Mikołaj ma dla was różgę. W „Rare Exports”, kapitalnym fińskim komedio-horrorze, Boże Narodzenie jest okazją do refleksji nad miejscem Pana w naszych sercach oraz nad liczbą kości w ludzkim ciele. Oglądajcie z namysłem.

Po drugiej stronie tęczy leży jednak królestwo świątecznych horrorów („Czarne święta” Boba Clarka, „Cicha noc, śmierci noc” Charlesa E. Selliera, „Terrifier 3” Damiana Leone), thrillerów („Better Watch Out” Chrisa Peckovera, „Dzień Bestii” Aleksa De La Iglesias) oraz filmów, które rozsadzają każdą szufladkę. Jeden z nich, kultowy „Pierniczek okrutniczek” w reżyserii Charlesa Banda, wchodzi właśnie do polskich kin. Tak, jest tak dobry, jak sugeruje tytuł.

Może chodzi zatem o akcję osadzoną w okolicach Bożego Narodzenia? Jasne, Bruce Willis, walczący z terrorystami w przepocnym podkoszulku, uznawany jest powszechnie za symbol świąt, ale morderczy yuppie Patrick Bateman z „American Psycho” – już niekoniecznie. Todd Haynes gra „koledniczym” motywem w tytule filmu „Carol”, zaś tłem burzliwego lesbijskiego romansu czyni przedświąteczny Nowy Jork lat 50. Na listach najlepszych świątecznych filmów produkcja ląduje jednak z tuzinem zastrzeżeń – zwykle rozchodzi się o niewielką fabularną wagę bożonarodzeniowych motywów.

Święta jako integralny element opowieści, katalizator fabuły albo mechanizm narracyjny? Znow – więcej pytań niż odpowiedzi. Gdyby chciwi terroryści zajęli budynek Nakatomi Plaza na Wielkanoc albo 4 lipca, „Szklana pułapka” wciąż byłaby świetnym filmem. Straciłaby jednak sporo komediowej energii (McClane nie nasunąłby martwemu zbiorowi czapki Świętego Mikołaja na czoło i nie zostawił karteczki z napisem „Teraz to ja mam karabin maszynowy, ho, ho, ho”), a katartyczny finał rozegrany w rytm szlagieru „Let It Snow” Vaughna Monroea trzeba byłoby zastąpić sceną o mniejszej sile rażenia.

Świąteczne filmy cieszą się wystarczającą estymą, byśmy regularnie do nich wracali, lecz niewystarczającą, by rozkładać je na czynniki pierwsze przy wigilijnym stole, demaskować mity, przerzucać się anegdotami z produkcji. Mało kto wie, że Rudolf Czerwononosy Renifer mówił kobiecym głosem. Albo że „To właśnie miłość” zostało złożone z dwóch różnych filmów, „Świąt Charliego Browna” (tego z „Fistaszków”) nie byłoby bez finansowego wsparcia Coca-Coli, a „Prezentu pod choinkę” – bez opowiadań publikowanych w amerykańskim „Playboyu”.

Za film świąteczny uznaje się dla przykładu „Szczęśliwy 4. Zemsta”. Wicie, dla którego jedną z najbardziej kuriozalnych ról w swojej karierze zagrał w nim Michael Caine? „Nie widziałem filmu. Podobno to straszne gówno. Widziałem natomiast dom, który kupiłem za swoją gażę. I jest wspaniały” – wyjaśnił.

Boże Narodzenie nie istnieje

Niemożliwość ustalenia jednej definicji rymuje się z współczesną, niejednorodną naturą samych świąt. Bez względu na to, czy myślimy o nich jako o chrześcijańskim rytuale skradzionym przez kapitalizm, czy opisujemy je językiem filozofii, mówimy o Bożym Narodzeniu jak o stanie wyjątkowym, w którym zmieniają się kulturalne, ekonomiczne i społeczne reguły; w którym zmieniamy się my, a co za tym idzie – nowych znaczeń nabierają hołubione przez nas dzieła.

Tradycja tzw. *Holiday Specials*, czyli świątecznych odcinków popularnych seriali bądź filmów, jest kapitalną metaforą tej optyki. Raz do roku ich bohaterowie – od kultowych postaci ze świata „Gwiezdných wojen”, przez gwiazdy superbohaterów uniwersów, po Sherlocka Holmesa, Doktora Who i rezydentów „Downton Abbey” – przerywają program i wskakują na chwilę do kina wewnątrz kina. Najczęściej po to, by przypomnieć o kulturowych przyświecających przy świątecznym stole wartościach, takich jak empatia, solidarność, równość czy miłość.

„Tradycja związana z Bożym Narodzeniem rozciąga perspektywę miłości poza człowieka i obejmuje nią cały świat. Swoje role do zagrania mają w niej choćby zwierzęta. To wymiar, który w dobie kryzysu klimatycznego i rozmaitych zagrożeń przypomina ważną prawdę o tym, że jesteśmy częściami większej całości i o tę całość powinniśmy się troszczyć. W końcu Boże Narodzenie jest również przesłaniem nadziei, wskazuje na światło, które przychodzi na ogarnięty ciemnościami świat. Wszelka celebra świąteczna, która daje radość, budzi nadzieję, łączy, hamuje gniew, przynosi pokój, wiąże się z troską, uważnością itp. jest, moim zdaniem, w pełni zgodna z duchem Bożego Narodzenia” – pisze epistemolog Marcin Bogusławski z Uniwersytetu Łódzkiego.

Kino świątecznego eskapizmu bywa narzędziem budowy podobnej afirmacyjnej filozofii. Psychologowie podkreślają,

Świąteczne filmy cieszą się wystarczającą estymą,
byśmy regularnie do nich wracali, lecz niewystarczającą, by rozkładać je na czynniki pierwsze przy wigilijnym stole.

że ta „ucieczka”, podobnie jak ubieranie choinki czy śpiewanie kołęd, ma wymiar rytualny. I że nie musi mieć nic wspólnego z faktycznym stosunkiem do Bożego Narodzenia jako święta chrześcijańskiego albo „wydarzenia kulturalnego”. Tłumaczyłoby to powszechną słabość do artystycznej subwersji w tym okresie; do horrorów, satyr czy filmów, które przekonują, że wystarczy podrapać w celofan w reniferki, by odkryć brud i rdzę. „Bombki wiszą na choinkach, wieńce na drzwiach, a wisielcy na rurach pod sufitem jak Ameryka długa i szeroka” – pisał w „The Sunset Limited” Cormac McCarthy.

Dobre filmy świąteczne, przynajmniej w moim słowniku, opowiadają o nadziei i odkupieniu. Ich scenarzyści prowadzą bohaterów, nawet tych najgorszych, krętą ścieżką do prawdy. „Zły Mikołaj” z filmu Terry’ego Zwigoffa poznaje wagę i znaczenie poświęcenia. Mały Kevin przyjmuje do wiadomości, że nad życiem samotności warto zastanowić się dwa razy. Z kolei profesor z „Przesilenia zimowego” uczy się, jak zostawić za sobą przeszłość. Wszystkie te filmy są więc w pewnym sensie remiksem klasycznej „Opowieści wigilijnej” i opowiadają o procesie moralnej reedukacji.

Te straszne święta

Jeden z pierwszych filmów świątecznych w historii, „Boże Narodzenie w lesie” w reżyserii Władysława Starewicza z 1912 roku, powstał z udziałem aktorów-insektów. Starewicz, pionier animacji lalkarskiej, entomolog oraz słynny „treser owadów”, nakręcił go w konwencji baśni. I jak to w baśniach bywa, przenika go metafizyczna groza. Mówimy w końcu w świecie, który istnieje obok nas, choć pozostaje niedostrzegalny gołym okiem.

Tego rodzaju recepcja z oczywistych względów stała się udziałem współczesnych kinofilów, którzy uznają koledujące insekty za stworzy dziwaczne i niepokojące. Narracje łączące świąteczną nadzieję z grozą istnieją jednak w rozmaitych kulturach. Weźmy Jólaköturinna, czarnego jak sadza kota o płonących oczach z islandzkiego folkloru, który pożerał dzieci paradujące w trakcie świąt Bożego Narodzenia w znoszonych ubraniach. Albo bawarsko-austriackiego Krampusa, ducha świąt i potwora w koziej skórze, który zabierał krnąbrne dzieciaki prosto do piekła.

W świecie gwałtownej konsumpcji podobne symbole interpretuje się głównie jako wyraz strachu przez sekularyzację świąt. Jednak większość mroczniejszych filmów, na przykład świetny „The Lodge” Severina Fiali i Veroniki Franz o kobiecie maltretowanej przez własnych pasierbów w domku na odludziu, lub thriller „P2” Franka Khalfouna o dziewczynie terrorizowanej na podziemnym parkingu przez psychopatycznego ochroniarza, to przede wszystkim metaforyczne obrazy samotności. Przypominają nam, że święta, jakkolwiek banalnie to brzmi, powinny być przestrzenią spotkania z drugim człowiekiem. „Dla jednych korzenie Świąt sięgać będą Boga; dla innych, jak dla mnie, wiązać się będą z wartościami świeckimi. To, jak zmieniała się nasza w ważnym wymiarze chrześcijańska kultura i samo chrześcijaństwo, pozwoliło zobaczyć laickie oblicze idei miłości, braterstwa, pokoju. Chrześcijaństwo dokonało samoprzekroczenia w stronę tego, co niereligijne” – pisze dalej Bogusławski.

I być może w tym kolektywnym doświadczeniu, w tej komunii wrażliwości tkwi cały sekret. Bez względu na to, czy w kinie szukamy cierpkiego barszczyku czy słodkiej kutii, do stołu siadamy wspólnie. Zaś siłą bożonarodzeniowych evergreenów pozostaje ich eskapistyczny powab. Rozdarci pomiędzy wiarą i sceptycyzmem, nadzieją i rezygnacją, radością i smutkiem, bez naruszania kruchej tradycji i pogrzmiwania na reguły wolnego rynku, możemy poszukać dokładnie tych emocji, których potrzebujemy. A gdy cud Bożych narodzin już się zdarzy, z niekłamana fradą możemy wrócić do bingo.

„Kevina” na którym dają?

© MICHAŁ WALKIEWICZ

Struna mocniejsza niż nerwy

OLGA DRENDĄ

Wiele piosenek świątecznych, których słuchamy do dziś, wywodzi się ze złotej epoki radia i Hollywood, sprzyjającej gromadzeniu się wokół domowego ciepła. Tę jakość producenci muzyki pop wciąż próbują wykorzystać.

WCHWILI, GDY PISZĘ TE SŁOWA, BYĆ może niektórym szczęściarzom udało się dotrzeć do połowy Whamageddonu – wyzwania polegającego na unikaniu przeboju „Last Christmas” od 1 grudnia aż do Bożego Narodzenia. Komu udało się wytrwać ten czas bez aksamitnego głosu George’a Michaela, wygrywa.

Nie jest to łatwe zadanie, ponieważ hit duetu Wham! po 40 latach wciąż przypomina, że idą Święta, i nawet gdy ktoś unika włączania komercyjnych stacji radiowych, ryzyko czyha na lodowisku, w galerii handlowej czy na okolicznościowym jarmarku. Do tego „Last Christmas” można usłyszeć w miejscu publicznym dużo wcześniej niż 1 grudnia: jak zauważyła amerykańska publicystka Anne Helen Christensen, żyjemy w czasach „całorocznego święta”, gdy jedno płynnie przechodzi w drugie bez tradycyjnej przerwy na czas świąteczny, a dekoracje bożonarodzeniowe wskakują na półki sklepów, ledwie znikną z nich dynie i znicze.

Fenomen gry Whamageddon, wymyślonej na forach internetowych w okolicach 2009 r., dobrze ilustruje mieszane uczucia, jakie wielu z nas żywi wobec komercyjnych świątecznych przebojów, równie nieśmiertelnych, co wszechobecnych. Usłyszenie tej samej melodii po raz tysięczny działa na nerwy, ale zarazem uderza we właściwą strunę.

Nostalgia radiowych list przebojów

Od świątecznej atmosfery – mam tu na myśli tę niereligijną, familijno-urlopową stronę Bożego Narodzenia – oczekujemy bowiem przede wszystkim nostalgii i poczucia powrotu do symbolicznego domu („Driving home for Christmas”, jak śpiewał Chris Rea). Dlatego tak często po raz kolejny słyszymy piosenki stare i starsze we współczesnych aranżacjach, gdy zaś powstają nowe – nadaje się im znajome brzmienie retro.

„All I want for Christmas” Mariah Carey z 1994 r., która może ścigać się z „Last Christmas” o tytuł najbardziej denerwującej, nawiązuje kompozycją i produkcją do czasów legendarnej soulowej wytwórni Motown, a świąteczna piosenka popowej sensacji ostatnich lat Sabrina Carpenter, „Santa doesn’t know you like I do”, mogłaby zostać nagrana 20 lat temu przez... Mariah Carey.

Klasyk Wham! czy o kilka lat później „Mistletoe and wine” Cliffa Richarda ociekają aranżacyjną słodczą lat 80., złotych czasów list przebojów. Umiarkowane i eleganckie brzmienie retro, w sam raz na przedświąteczną kolację firmową, zapewniają zaś standardy w wykonaniu Lady Gagi czy Michaela Bubla.

Wiele klasycznych angielskojęzycznych piosenek świątecznych, które sły-

szymy do dziś, wywodzi się z czasów okółowojennych, od Wielkiego Kryzysu do lat 50., czyli złotej epoki radia i Hollywood. Znakomitym rokiem był dla tego gatunku 1934, kiedy to wodewilowy artysta Eddie Cantor zaśpiewał w radio „Santa Claus is coming to town”, a następnego dnia otrzymał zamówienie na 100 tys. zapisów nutowych.

Romantyczna melodia „Winter wonderland” Felixa Bernharda i Richarda B. Smitha (który napisał słowa podczas pobytu w sanatorium, gdzie leczył gruźlicę) doskonale pasowała do epoki uwodzicielskich głosów Guya Lombardo i Perry’ego Como. W podobnym czasie nowego impetu nabrała kariera „Jingle bells”, prawdopodobnie najbardziej znanej świątecznej piosenki bożonarodzeniowej (pierwotnie skomponowanej jednak przez Jamesa Lorda Pierponta na Święto Dziękczynienia).

W latach 30. i 40. swoje wersje nagrywali Benny Goodman, Glenn Miller i oczywiście Bing Crosby. Jego aksamitny głos zabrzmiał też w standardzie „White Christmas”, spopularyzowanym przez film „Gospoda świąteczna” z 1942 r. W 1949 r. na scenę wbiegł reniferek Rudolf, o którym śpiewał Gene Autry. Trochę krzepiące, trochę zabawne, z pewnością wzruszające – to te melodie stanowią kanon bożonarodzeniowych przebojów, które słyszymy w dziesiątkach coverów.





Kadr z teledysku „Last Christmas” grupy Wham!, 1984 r.

Zero”, piosenkę o świętowaniu po atomowej apokalipsie. Dziś piosenka ta uderza w zbyt czuły punkt – nazwa Ground Zero przyjęła się bowiem jako miejsce po wieżach World Trade Center.

Nie tylko Beatlesi

Beatlesi nie wydali żadnego wspólnego świątecznego singla, choć utrzymywali tradycję specjalnych, często dość eksperymentalnych wydań okolicznościowych dla swoich fanklubów. Osobne przeboje stały się za to udziałem Johna Lennona, w postaci pokojowego protest songu „Happy Xmas (war is over)” oraz Paula McCartneya za sprawą skocznego „Wonderful Christmastime”.

Jednocześnie to ze świata rocka nadeszła jedna z najbardziej poruszających kompozycji z Bożym Narodzeniem w tle, „Fairytale of New York” The Pogues i Kirsty McColl. Opowieść barowa, kursująca między Nowym Jorkiem lat 40. a 80., miłością i wrogością pary o połamanym życiorysach czy wreszcie odpływająca w alkoholowy monolog, uderza w trudną strunę samotności, żalu czy straconych szans, która w czasie świętowania bliskości i więzi brzmi jeszcze bardziej dojmująco.

Pop po polsku, czyli smutne oczy karpia

Polski repertuar muzyczny w sezonie świątecznym prezentuje się nieco bardziej tradycyjnie. Jako słuchacze jesteśmy najwyraźniej przywiązani do klasycznych kolęd i pastorałek – dlatego telewizja podczas koncertów okolicznościowych, a radio od wigilijnego poranka nadaje doskonale znane, czcigodne kompozycje przypominające o Dzieciątku w betlejemskiej stajence, zazwyczaj w bezpiecznej, jazzowej lub folkowej aranżacji.

Doczekaliśmy się jednak również kanonu utworów o niereligijnym charakterze, z których szczególnym sentymentem darzony jest „Jeden dzień w roku” Czerwonych Gitar. Ta „świecka kolęda”, wykonana po raz pierwszy w 1966 r. w programie „Tele-Echo” wraz z kolędami najbardziej tradycyjnymi, ujęła w kameralny

sposób nastroj Wigilii, choć w tekście ani razu nie pada nazwa święta, o które chodzi. Podobnie z innymi „zimowymi” przebojami z epoki, jak dziarska, zawiadająca piosenka Skaldów o kuligu.

W bliższych nam czasach zrodziła się tradycja nagrywania piosenek świątecznych w konwencji radiowego popu. Najbardziej „amerykańskie” brzmienie udało się osiągnąć chyba Kayah w utworze „Ding dong”. Polską specyfiką okazały się także bożonarodzeniowe piosenki, których trwanie okazało się zdecydowanie dłuższe niż zespołów, które je nagrały.

To zapomniani, alternatywno-rockowy zespół Mancu, pamiętany dziś głównie za sprawą melancholijnej „Na twojej ulicy kolędnicy”, soulowe trio De Su, którego „Kto wie, czy za rogiem nie stoją anioł z Bogiem” zapętlały na listach przebojów centra handlowe, czy wreszcie rockowcy z zespołu Roan, który nie doczekał się wielkiej sławy w przeciwieństwie do piosenki „Ten zimowy czas”. Muzycy zaprosili do nagrań przyjaciół, m.in. Andrzeja Krzywego i Andrzeja Piaskę Piasecznego, a przebój zapisał się w powszechnej świadomości wersem „spójrz, jakie smutne oczy ma karp”.

Skoro zaś o tej tradycyjnie polskiej wigilijnej rybce mowa, to doczekała się własnej polskiej muzycznej tradycji – utworu nagrywanego najpierw przez dziennikarzy radiowej Trójki, później zaś Radia 357 jako Przyjaciele Karpia.

Milion dolarów pod choinką

Świąteczny hit to przepis na nieśmiertelność, ale także marzenie każdego kompozytora z bardziej prozaicznych przyczyn. Intensywność piosenkowego przemiaru w stacjach radiowych i podczas zakupów obiecuje corocznie solidne zarobki. Jaka może być to skala, uświadamiał bohater książki Nicka Hornby’ego „Był sobie chłopiec” (na jej podstawie nakręcono komedię romantyczną z Hugh Grantem).

Ten zdecydowanie dorosły mężczyzna nigdy w życiu nie musiał samodzielnie zarabiać pieniędzy, ponieważ żył z tantiem za jeden przebój świąteczny napisany przez swojego ojca. Czy to możliwe – jeśli wystarcza komuś skromny milion dolarów rocznie, to owszem. Co najmniej tyle bowiem, zgodnie z wyliczeniami Adama Arnolda z „Monthly Finance”, zarabia Mariah Carey co roku dzięki odtworzeniom „All I want for Christmas”. ©

Łączy je z pewnością świecki charakter. Na pierwszym planie znajdziemy raczej urodę zimy i radość z przebywania wśród bliskich niż nawiązania do Nowego Testamentu. Być może niełatwe czasy, w których powstawały te melodie, sprzyjały gromadzeniu się wokół domowego ciepła – i to tę jakość starali się wyeksponować producenci muzyki pop również i później.

Żartobliwe, rockowe i energiczne

Osobną kategorię stanowią utwory o żartobliwym czy nieco łachmaniarskim charakterze, w których specjalizują się rockowcy: energiczny, zawzięty „Run, run, Rudolph” Chucka Berry’ego; klasyk z lat 70.: imprezowy, bałaganiarski „Merry Xmas everybody” wesołej kompanii Slade; czy sporo późniejszy, bogaty w dwuznaczne podteksty i śpiewany charakterystycznym falsetem „Christmas time (don’t let the bells end)” śmieszaków z The Darkness.

Ramones w „Merry Christmas (I don’t want to fight tonight)” nawoływali do zakopania toporów wojennych, czemu cokolwiek przeczyły dantejskie sceny w teledysku. Ponury żart historia spletała zaś naczelnemu dowcipnisiowi amerykańskiego rocka, „Weird Alowi” Yankovicowi, który w 1986 r., w środku zimnej wojny, nagrał „Christmas at Ground

Różowy śnieg

ANITA PIOTROWSKA

W sterylnym, wypreparowanym „W pokoju obok”, który wręcz prowokuje niestosownym przestylizowaniem, ostatecznie zwycięża coś pozornie zwykłego – prawda dojrzałych aktorskich twarzy.

Z FILMAMI PEDRO ALMODÓVARA JEST trochę tak, jak z prezentami gwiazdkowymi – wyczekuje się ich niecierpliwie, choć wiadomo, czego się od kogo spodziewać. Coraz bardziej też jego kino zaczyna przypominać prezenty robione samemu sobie, patrz: wspaniały, rozliczeniowo-rozgrzeszeniowy „Ból i blask” czy „Matki równoległe”, które wyglądały już tylko, jakby stworzył je almodo-algorytm. Tak zazwyczaj, na dobre i na złe, wygląda okres nazywany w twórczości mistrzów schyłkowym.

Nie zmienia to faktu, że warto obejrzeć „W pokoju obok” i nie dlatego, że ma na koncie weneckiego Złotego Lwa, że grają w nim gwiazdy i jest adaptacją powieści Sigrid Nunez („What Are You Going Through”). W pierwszym anglojęzycznym pełnym metrażu, pod eleganckim opakowaniem w znajome skądinąd wzory, z udziałem Tildy Swinton i Julianne Moore, które od lat uchodzą za ekranowe ikony cierpienia czy tajemnicy, hiszpański reżyser raz jeszcze szuka prawdziwych emocji pośród ostentacyjnie wykreowanej sztuczności. W filmie, który wbrew swojej ostatecznej tematyce pragnie być pochwałą życia. Co udało mu się zbudować z tych sprzecznych żywio-

łów, dawno przezeń poskromionych i wyeksploatowanych?

Oto dwie przyjaciółki, dawna reporterka wojenna o imieniu Martha i popularna obecnie pisarka Ingrid, spotykają się po latach w Nowym Jorku i w obliczu terminalnej choroby tej pierwszej postanawiają spędzić razem ostatnie dni – załatuje uwzniośloną konfekcją, prawda? Ale fakt, iż grana przez Moore bohaterka zawodowo rzeźbi w fikcji, nadaje temu dyskretny cudzysłów. Powraca almodovarowski motyw „opowieści w opowieści”, cała zaś historia może zostać potraktowana niczym kolejna poczytna fabuła autorstwa Ingrid.

Kiedy więc osamotniona (w dużej mierze na własne życzenie) Martha prosi ją, by w tytułowym „pokoju obok” towarzyszyła jej we własnoręcznie przyspieszonym odejściu, zaczyna intrygować, w jaki sposób twórca „Porozmawiaj z nią” udźwignie temat potraktowany zrazu umownie. Równie szkodliwa byłaby śmiertelna powaga, co niwelujący ją estetyczny kicz, a intymny wymiar sytuacji łatwo zagubić w obliczu dyskutowanego prawnie i etycznie problemu, jakim jest asystowane samobójstwo. W kinie opowiadali o tym z wyczuciem Alejandro Amenábar („W stronę morza”), François Ozon („Wszystko poszło dobrze”), a u nas Sławomir Fabicki („Lęk”).

Almodóvar robi zatem rzecz ryzykowną, bo z jednej strony czyni z „Pokoju” osobiste wyznanie, z drugiej zaś mebluje go ulubionymi dekoracjami, nie bacząc na zasadę *decorum*. Nawet w scenach szpitalnych olśniewa estetyką kadru, a kiedy mówi, że cierpienie nie uszla-

chetnia, bywa teatralny albo dosłowny. Stara się je uszlachetnić na własnych artystycznych warunkach.

Wnętrzarstwo jest wpisane w sam tytuł i cały film przypomina chwilami mieszkanie nowojorskiej intelektualistki, wypełnione istotnymi dla niej książkami, płytami, gustownymi przedmiotami. W pewnym momencie akcja przenosi się do wynajętego przez Martha domu za miastem, gdzie w minimalistycznych acz luksusowych warunkach, z udziałem nielegalnie zakupionej pigułki, ma się odbyć dyskretnie pożegnanie chorej ze światem. Zamknięte drzwi od jej pokoju będą znakiem dla Ingrid, że jest już po wszystkim. Tyle że – jak łatwo się domyślić – cała ta starannie zaaranżowana sytuacja zaczyna przerastać zdrową przyjaciółkę. Widz natomiast staje wobec innego wyzwania: czy kontemplując te szykowne wnętrza, finezyjne swetrzyska, krzykliwe szminki na ustach, nie ogląda czasem podróbki obrazu Edwarda Hoppera zdobiącej ścianę domu.

W tym sterylnym, wypreparowanym filmie, który wręcz prowokuje niestosownym przestylizowaniem, ostatecznie zwycięża coś pozornie zwykłego – prawda dojrzałych aktorskich twarzy. Swinton i Moore w obiektywie Eduarda Grau odsyłają do słynnych zbliżeń bergmanowskich, zresztą już w „Wysokich obcasach” (1991) hiszpański mistrz składał hołd szwedzkiemu mistrzowi, a konkretnie „Jesiennej sonacie”. Tym razem właśnie w ewidentnie naśladowczym upozowaniu osiąga paradoksalny efekt autentyczności. Owego „zdjęcia rentgenowskiego” – zarówno postaci, jak i akto-



**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



MATERIAŁ PRASOWE GUTEK FILM

W POKOJU OBOK

(*The Room Next Door*)
– reż. Pedro Almodóvar.
Prod. Hiszpania 2024.
Dystryb. Gutek Film.
W kinach od 27 grudnia,
wcześniej pokazy
przedpremierowe.

Pedro Almodóvar,
najbardziej dziś
rozpoznawalny reżyser
hiszpański, laureat
najważniejszych nagród,
obecny jest w kinie od
półwiecza. W swych
najgłośniejszych
filmach („Wysokie
obcasy”, „Wszystko
o mojej matce”,
„Volver”) stworzył
charakterystyczny
styl, łączący popularne
gatunki filmowe,
wyraziste portrety
kobiet, społeczną satyrę,
duży ładunek emocji
i campową estetykę.

Julianne Moore
i Tilda Swinton
w filmie
„W pokoju obok”

rek czy wręcz samego siebie, o czym mówił przed laty w wywiadzie rzece udzielonym Oskarowi Hedemannowi.

„W pokoju obok” to opowieść zbudowana bardziej z szeptów niż krzyków. Zawęża też swoje dramatyczne spektrum do jednostkowych „problemów pierwszego świata” i nawet kiedy zaczyna padać różowy śnieg, pozwala zobaczyć w tym raczej indywidualne pożegnanie, aniżeli zwiastun wspomnianej przez bohaterki katastrofy klimatycznej. Powstał film w dużej mierze kaligraficzny, jakkolwiek dostarczający wiele przyjemności. Rozmowy kobiet rozpamiętujących swoją przeszłość mają w sobie pogodny czy zgoła frywolny ton, a rozstanie z życiem to równocześnie jego celebrowanie w najdrobniejszych szczegółach. Jako opowieść o czasie, który pozostał, wiele tu zapewne życzeniowości, finałowego odliczania zamienionego w ulubioną playlistę, co bynajmniej nie dyskredytuje dzieła Almodóvara jako głosu w sprawie dobrej śmierci.

Ten scenariusz dla dwóch aktorek, w tym dla jednej w roli podwójnej i z niewielką pomocą Johna Turturro, zamienia się w rozpisany na dwa głosy pożegnalny rytuał. Być może obcy język i miejsce (wcześniej Almodóvar kręcił po angielsku jedynie krótkometrażówki, w tym „Ludzki głos” z Tildą Swinton) narzuca reżyserski dystans, który sprawia, że tęskni się za dawną jego pasją i ekscysem. Dołożymy do tego dystans adaptacji, wyczuwalny kiedyś przy „Juliecie” według Alice Munro. Stąd, pomimo realizacyjnego kunsztu, pozostajemy przez cały czas w wygodnym i bezpiecznym „pokoju obok”. Obecni i nieobecni.

Jednakże w taki właśnie, zdystansowany sposób reżyser wyraża dzisiaj swoją definicję bliskości, a zarazem, po raz kolejny, tęsknotę za rodziną z wyboru. Ciekawe, że jego następny tytuł, nakręcony ponownie w Hiszpanii, ma być filmem świątecznym i choć jego tytuł brzmi „Bitter Christmas”, czyli „Gorzkie święta”, również tym razem można liczyć na specyficzne almodóvarowskie ciepłko. Takie, które godzi nieusuwalne sprzeczności, uśmierza łęki pierzbyłskami piękna i tam, gdzie na pierwszy rzut oka dominuje autorski popis kręcony na autopilocie, nadal poszukuje „ludzkiego głosu”. ©

Lektor: Łańcuch opowieści



■ Monika Śliwińska,
**KSIĄŻKI. BIOGRAFIA TADEUSZA
BOYA-ŻELEŃSKIEGO**
Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2024, ss. 624

WYSPIAŃSKI, DOM PAREŃSKICH, SIOSTRY MIKOŁAJCZYKÓWNY – książki Moniki Śliwińskiej tworzą ogniwa opowieści o naszej historii minionego stulecia. Za jej punkt wyjścia uznać można „Wesele”. Bo przecież powstały na progu wieku arcydramat nie tylko skupia dylematy swojego czasu, tkwi w nim również ziarno, z którego wyrosnie rozgałęzione drzewo polskich losów. Zesłańcze dzieje Gospodyni – Anny z Mikołajczyków Tetmajerowej, szaleństwo Poety – Kazimierza Przerwy-Tetmajera, a jeszcze Rachela – Pepa/Józefa Singer, Żydówka, konwertytka, antykomunistka, ocalona między innymi dzięki papierom z parafii mariackiej, której podlegały Bronowice i gdzie odbył się ślub Rydlów.

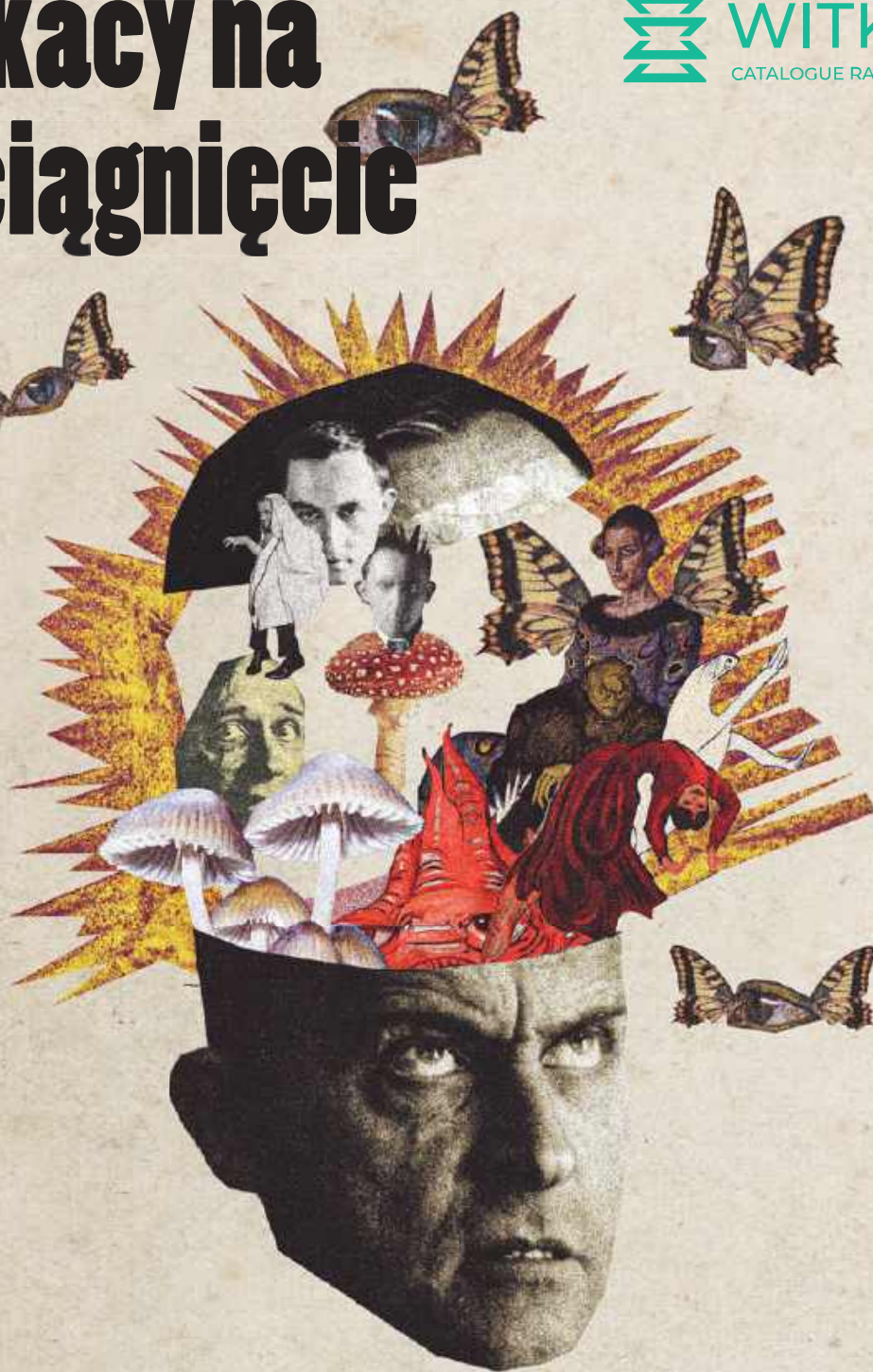
Te książki są świetne, zakotwiczone w źródłach, zwłaszcza korespondencji, i porywająco napisane. Pod piórem autorki z Lublina zmartwychwstaje niegdysiejszy Kraków. A teraz także międzywojenna Warszawa – bo tam zamieszkał później autor „Słówek” i „Plotki o »Weselu«”, twórca mitu krakowskiej Młodej Polski. I wojenny Lwów – gdzie zginął w 1941 r. z rąk niemieckich wraz z innymi polskimi profesorami, zabrany z domu prof. Jana Greka i jego żony – swojej szwagierki, Maryny z „Wesela”. Śliwińska zbiera świadectwa o Boyu w sowieckim Lwowie, przypomina ostatnią jego sympatię czy też miłość, rzeźbiarkę Wandę Ładniewską-Blankenheimową. Próbuje raz jeszcze odtworzyć okoliczności mordu na profesorach oraz rolę, jaką odegrał w nim holenderski kolaborant Pieter Menten, znawca i kolekcjoner sztuki. A Grekowie mieli piękne zbiory...

O Żeleńskim – jednym z najważniejszych naszych pisarzy, społeczniku i obrońcy praw kobiet – którego 150. rocznica urodzin mija 21 grudnia, pisze w tym numerze Eliza Kącka. Ja chciałem tylko gorąco polecić książkę, której dotychczasowe recenzje wydały mi się albo zdawkowe, albo zwyczajnie niemądre. Wyjąwszy szkic Marka Bieńczyka o Boyu-tłumaczu.

I jeszcze anegdota. Kiedyś ze sterty papierów w antykwariacie wygrzebałem broszurę: „Dr Tadeusz Żeleński, »Kropla mleka«. W Krakowie, czcionkami drukarni »Czasu«, 1905”. A u góry okładki: „Jaśnie Wielmożnemu Panu / prof. Stanisławowi Domańskiemu / z prośbą o łaskawe przyjęcie / od autora”. Dedykacja od Boya! Dla męża Radczyni z „Wesela”, Antoniny Domańskiej, autorki „Historii żółtej cizemki”! Broszurę wycofano jako dublet z biblioteki Zakładu Historii Medycyny UJ. Teraz jest moja. ©®

Witkacy na wyciągnięcie ręki

WITKACY
CATALOGUE RAISONNÉ ONLINE



Powstaje pierwszy katalog dzieł zebranych Witkacego.
Zgłoś swoją pracę do publikacji na www.witkacykatalog.com

Wydawca:

COMMON ARTS
FOUNDATION

Partnerzy:

Muzeum Tatrzańskie
Instytucja Kultury i Dziedzictwa
Narodowego

ms
Muzeum Sztuki



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji
Kultury – państwowego funduszu
celowego Program: „Kultura Cyfrowa”

Partner technologiczny:

ARTSAAS
Witkacy & Co. Manager

Patroni medialni:

TYGODNIK
POWSZEDNI

SPOTKANIA
Z ZABYTKAMI

NIEZŁA
SZTUKA

OLGA

Drenda: Smacznej kawusi



WIEDZA LUDOWA GŁOSI, ŻE JAKA WIGILIA, taki cały rok. Nowe świeckie tradycje zaś przynoszą nowe wróżby, np. z palety kolorów Pantone. Od kilkunastu lat ta amerykańska firma ogłasza kolor najbliższego roku i nie jest to deklaracja błaża, gdyż oznacza, że wybrany

kolor przez co najmniej najbliższy rok będziemy widzieć na tekstyliach, projektach graficznych, elementach wyposażenia gospodarstwa domowego, w internecie itp. Wybór opatrzonej jest opisem bogatym w symboliczne konotacje koloru i sugestie dotyczące odczuć, jakie powinien wywoływać.

Tegoroczna wróżba z palety kolorystycznej przyniosła rezultat tyle niewesoły, co znajomy. Wybór na rok 2025 nazywa się niewinnie i sympatycznie: Mocha Mousse – ot, piankowy deserek, ulotny figielek, smaczna kawusia. Pantone obiecuje, że kolor ten przynosić będzie skojarzenia zarazem przytulne i elegancie, które sprawdzą się w schludnych wnętrzach. Kawa z mlekiem, miękka sierść labradora i łagodny dotyk zamszu, cynamon, przyjemna nostalgia za latami 70. – takie deklaracje otrzymujemy, a podtekst brzmi: idzie o bezpieczeństwo, bo podobno wszyscy teraz za nim tęsknimy.

Nie każdy kupuje jednak taki zbytek dobrodziejstwa. Amerykańska dziennikarka specjalizująca się w modzie, Viv Chen, w swoim poczytnym tekście z pasją krytykowała tendencję do koniunkturalnego bezpieczeństwa, przejawiającą się w sprawach tak pozornie błahych jak wybór koloru roku. Pozornie, bo służą one za barometr szerszych trendów w społeczeństwie.



Mus
to mus

OLGA DRENDA

A spokojne beże niosą przekaz konformistyczny. Jeśli coś jest neutralne, to pasuje do wszystkiego i do niczego, jest nieznośnie letnie, pozbawione charakteru, bezproblemowo łatwe do przeobrażenia na jeszcze jedną franczyzę. Mocha Mousse, jak twierdzi Chen, to nie jest odcień przyjemny i mięciutki, a znieczulający, otepiający, zarazem snobistyczny i pozbawiony śmiałości. „Smutny beż to wielki biznes”, kwituje.

Jest jednak jeszcze jedna, lokalna warstwa. Gdy ogłoszono wybór tegorocznego koloru Pantone, nie musiałam długo czekać, by pojawiły się memy uwydatniające skrycie polski charakter barwy kawusiowej. To nie jest bowiem zwyczajny brąz ani cienki beżyk. Tu doskonale go znamy, nie znosimy go, zatrzuwamy życie, a zarazem okazuje się tak boleśnie na pierwszy rzut oka znajomy. Nasz rodzimy krajobraz obfituje w urodę koloru, szczyty się złotem zbóż, czerwienią maków, feerią polskiej jesieni, ale też doświadcza nas tym okrutnym, przynębiającym okienkiem w roku, które wydaje się dłuższe od pozostałych pór i otacza nas z każdej strony odcieniem podejrzanie zbliżonym do Pantone Mocha Mousse. To znajomy kolor scenarii PRL, błota pośniewowego i pasztetowej swojskiej, smutnych kaloszy i zmokłego pałta. Podkolanówek matowych w odcieniu mokka, obciskających bezlitośnie liczne damskie łydki. Niekochanych tkanin i dzianin z asortymentu pomniejszych domów towarowych. Linoleum i gumoleum. Skromnego luksusu na miarę możliwości, czyli kremu sułtańskiego, deseru wymarzonego przez „Dziewczyny do wzięcia”. A współcześnie – rozjechanej gleby przygotowanej pod wyizolowane i nieprzystosowane do ludzkiej skali inwestycje.

Mocha Mousse to nasza polska klątwa. Zapewne to krewny „prafarby”, którą zidentyfikował podczas swojego pobytu w NRD francuski badacz symboliki barw Michel Pastoureau – był to kolor „niemiły dla oka i kaleczący duszę, najbrzydszy z możliwych, a w dodatku było w nim coś brutalnego i niecywilizowanego”. Podejrzewam, że mogło chodzić o kolor zbliżony do odcienia surowych podrobów, którym dekorowano np. okładki na terminarze i książeczki zdrowia, a który w palecie Pantone wydaje się chyba najbliższy odcieniowi „Deep Taupe”. Na kolor roku 2025 jesteśmy przygotowani i znamy jego prawdziwą naturę – nie jest nią subtelna smaczna kawusia, lecz przynębiająca podszywka polskiej rzeczywistości, która od czasu do czasu uporczywie o sobie przypomina. To kolor, od którego chce się odruchowo kląć.

Memosfera już zauważyła to podobieństwo: zdarzyło mi się kilkakrotnie natknąć na charakterystyczny kwadrat Pantone na tle soczystego blocka czy asortymentu branży wędliniarskiej. Najciekawsze jest jednak to, że to nie pierwszy raz, gdy wielki amerykański dyktator barw wydobywa mimowolnie polski kontekst. Mijający rok upływał nam bowiem pod patronatem odcienia nazwanego Peach Fuzz, który moim zdaniem nie został wcale zainspirowany smakowitą brzaskwinia, a zabudową ulicy Wysłouchów w Krakowie.

©

Olga Drenda jest etnologą, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.



BERTRAND GUAY / AFP / EAST NEWS

PAWEŁ

Bravo: Kucharz z Notre-Dame



DWA TYSIĄCE DĘBÓW ŚCIĘTO NA ODBUDOWĘ więźby dachowej katedry pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny na wyspie Cité w Paryżu (na zdjęciu, 12 grudnia 2024 r.). Brzmi solennie, ale dla Francji to drobnostka: jest nie tylko rozległa, ale i solidnie zalesiona. Krzy-

żujące się na stu metrach belki i dźwigary same były zwane z racji swej gęstości „lasem”, a postawiono ich tak wiele, bo średnio-wieczna dębina była w istocie licha. Knieje bowiem służyły wówczas do wypasu wszelkiej trzody oraz zapewniały opał, zatem przerzedzano skrupulatnie ich dolne piętro, były mniej „puszczańskie”, niż sobie to wyobrażamy, co miało wpływ na tempo przyrostu drzewa i spoistość drewna.

Tuż po pożarze znawcy oceniali, że potrzeba co najmniej ośmiu lat, by ścięte pnie przygotować i osuszyć. Prezydent kazał uwinać się w pięć, a dla podkreślenia, że chodzi o rację stanu, mianował koordynatorem robót emerytowanego generała i dał mu biuro u siebie w Pałacu Elizejskim. Niemożliwe – to nie po francusku. Napoleon powtarzał to kilka razy w trakcie kariery, bo był równie zręczny w karmieniu swej legendy, co w oskrzy-

dlaniu kawalerią. Mamy prawo pamiętać z gorzką satysfakcją, że pierwszy raz użył tego grepsu pod Somosierrą, w odniesieniu do *mes Polonais*, którzy poszli, jak to śpiewa Kaczmarek, „gardła armatnie kolanami dławic”. Z podobnym jak niegdyś dla szwoleżerów podziwem klaskano w zeszłą sobotę na cześć woźdza innych słowiańskich szaleńców, Wołodomyra Zeleńskiego. Brawa nie zagłuszały oczywistości, że zgromadzeni wielmożowie sprzedali już jego głowę, tylko pozostaje ustalić, w jakim Wiedniu tym razem mocarstwa zagrają koncert.

Macron nie wsunął dłoni pod połą płaszcz na napoleońską modłę, gdy czekał, aż arcybiskup Paryża, w swym designerskim ornatie przypominający z daleka figurkę Lego, trzy razy po trzy razy stuknie pastorałem, by otworzyły się wrota. Ale kiedy się wreszcie rozwarły, kroczył jako pierwszy nawą, dostojnie jak cesarz podczas koronacji równie 220 lat temu. Chór zaśpiewał *Magnificat* z pierwszego rozdziału Dobrej Nowiny według Łukasza, w którym Maria wielbi Tego, który „władców strąca z tronu”. Faktycznie, Macron jest już politycznym trupem, a wolna, równa i braterska republika nie byłaby tak skuteczna, gdyby za drwali, cieśli i kamieniarzy nie zapłacili dobrodzieje. Np. za 200 milionów euro miejsce w przednich ławach kupił sobie Bernard Arnault, najbogatszy Europejczyk, właściciel konglomeratu dóbr luksusowych LVMH. To znamienne dla tej fazy upadku Zachodu, że najlepiej umie robić torebki albo kiecki dla żon oligarchów i szeków.

Stoi więc Notre-Dame wybielona na glanc jak z katalogu Castoramy i oczywiście cieszy to, że udało się ją przywrócić do stanu, jaki ponoć oglądali pierwsi użytkownicy. Choć czyisty blask nie jest jedynym sposobem budzenia podziwu lub bojaźni. Słowacki porównywał w wierszu ten przykopcony wówczas niemożliwie kościół do starej kobiety w „czarnych brabanckich koronkach” i wcale nie rymuje się to źle ze skupieniem i nabożnością w blasku świec i z głową pełną śpiewu w niezrozumiałym, acz oswojonym od dziecka języku. A genialnie pomyślana gotycka gra przestrzeni i światła kruszy niedowiarka nawet w najgorszym stanie zabrudzenia.

Tyle opowiadał o otwarciu katedry, boście może nie mieli czasu w całości oglądać – ja akurat siedziałem cały wieczór przykuty do taboretu, bo buraki na ćwikłę same się nie zetrą. A było to coś wyjątkowego w różnych wymiarach. Ceremonia w każdym szczególe wydała mi się żywą szopką na nasze czasy. Powychodziły mimochodem na jaw węży kondycji – nie tyle globalnej, tą niech się zajmują poważni analitycy, ile tej osobistej, rodzinnej, co roku przeżywanej przed Bożym Narodzeniem.



Co roku budujemy od zera w domach tymczasowe katedry, filarami z potraw podpieramy sklepienie gestów i rytuałów. Podobnie jak budowle z kamienia i szkła, wieczrze występują w tuzinach wariantów i kombinacji, ale lubimy się umawiać, że są wszędzie takie same i cały naród wydłubuje rodzinę z tej samej wielkiej kutii, a jest tych rodzin 38 milionów i jeszcze jedna dla wędrowca. Każdy łuk i kapitel ma w naszym projekcie swoje miejsce, każda rzeźba i gzyms emanuje znaczeniem, niekoniecznie wiemy jakim. Rzadko wszystkie są spójne ze sobą, nakładają się jak warstwy w wykopaliskach przekazów rodzinnych. Ale zapytani co, jak i dlaczego, odpowiemy, że to tak od zawsze. Sęk w tym, że owo „zawsze” oznacza horyzont najwyżej jednego osobniczego życia, a przeważnie mniej.

Dlatego trudno bez specjalnej refleksji dostrzec, ile się zmieniło w wigilijnym i świątecznym jadł. Mało kto zaś będzie marnował czas na refleksje, kiedy tyle jeszcze do zrobienia przed wtorkiem. Kiedy to pierwszy raz widziałem krewetki i przegrzebki na krakowskim Kleparzu, gdzie *la belle Cracovie* nabywa wigilijną rybkę? Nie pomnę, może całkiem niedawno, ale owoce morza wypierają z wigilijnych akwenów karpia i śledzia na pewno już od dekady. Takie przesunięcia, po centymetr albo dwa rocznie, dotyczą nie tylko elit, jako pierwszych przyjmujących pośród kpin gawiedzi nowinki, które po trzech pokoleniach stają się opoką tradycji. Przy świątecznych stołach dzieje się tyle fuzji i zaskakujących kontaminacji, o jakich się antropologom nie śniło, ale paradoksalnie właśnie dlatego to możliwe, że na zewnątrz przestrzegamy powszechnej zmywy, że nic się nigdy nie ma prawa zmienić.

Wszystko to nielogiczne, jak ów paryski kościół, który obesyjnie świeckie państwo odnawia, żeby potem udawać, że nic tu się od średniowiecza nie zmieniło, a potem Musk z Trumpem sączą coł w naszym pociesznym skansenie. Wielki symbol przepychu i pychy, gdzie przychodzimy chwalić Tego, który wywyższa pokornych i znajduje swoje miejsce na parkingu pod wiatą z wózkami, bo taki jest chyba współczesny odpowiednik palestyńskiej stajni ze złobem. Budujemy więc, jak co roku, swoje katedry, bo tak nam jest to piśane, nieustanny trud w imię tęsknoty za spokojem, a w lasach już rosną nowe dęby.

Kołacz z Bassano

Jadłospis świąteczny jest zawsze przypisany do miejsca z jego klimatem, kulturą materialną i tradycjami. Tutejszy po prostu. Toteż nigdy nie robię na siłę żadnych świąt po włosku, zwłaszcza że Italia jest wprawdzie kolebką dobrego odżywiania (choć ich samochwalstwo w tej materii staje się ostatnio obciachowe), ale akurat dziedzinnie bożonarodzeniowej nie ma do zaproponowania nic nadzwyczajnego. Co innego rozliczne potrawy na Nowy Rok z soczewicą – tutaj możemy się od nich wiele nauczyć. Ale robię wyjątek dla drożdżowego kołacza, który w tej wersji jest ściśle związany z miejscem pochodzenia połowy mojej rodziny. Małe miasto Bassano del Grappa, czyli po naszymu Nisko pod Grappą – ten drugi człon to nazwa znanego wam z lekcji o I wojnie masywu alpejskiego, a nie destylatu, choć w okolicy działały dwie historyczne,

prestizowe gorzelnie. Bassano dało światu przede wszystkim ród zdolnych, choć dalekich od geniuszu barokowych malarzy da Ponte – po naszymu Mostowskich. A uroczy kryty most drewniany nad rzeką Brentą projektu samego Andrei Palladia jest tam główną atrakcją dla nielicznych turystów. Nielicznych, bo choć miłe dla oka, nie wyróżnia się na tle prawdziwych hitów regionu weneckiego, które każdy musi zobaczyć. Gdybyście tam jednak przypadkiem trafili, to na placu nieopodal mostu w tradycyjnej piekarence robią taką właśnie wersję kołacza.

Składniki: 550 g mąki tortowej 2 jajka 20 g drożdży 150 ml mleka 100 g miękkiego masła łyżka miodu 200 g średnio posiekanych orzechów włoskich 40 g orzeszków piniowych 200 g rodzynek ■ skórka z pomarańczy i z cytryny

Moczymy rodzynki parę godzin w marsali, wytrawnej maderze lub rozcieńczonym 1:1 rumie. Rozrabiamy drożdże i miód w mleku. Przelewamy do dużej miski, gdzie daliśmy uprzednio mąkę, rozbeltane jajka, skórkę z cytrusów i masło. Zaczynamy wyrabiać z tego ciasto, solimy, dalej wyrabiamy, aż ciasto będzie gładkie. Dodajemy odcisnięte rodzynki, orzeszki i bakalie, dobrze mieszamy, przykrywamy ścierką i zostawiamy do wyrośnięcia w ciepłym miejscu na 3 godziny. Potem znów wyrabiamy przez chwilę, przekładamy na stolnicę oprószoną mąką, formujemy grubą walek, który przekładamy na blachę wyłożoną papierem do pieczenia, z którego formujemy koło (w środku zostawiamy co najmniej 5-centymetrową dziurę). Dalej niech odpoczywa kolejne 5 godzin w ciepłym miejscu, powinno co najmniej podwoić objętość.



Wstawiamy do piekarnika nagrzanego do 170 stopni na najniższy poziom, pieczemy ok. 40 minut, aż kołacz będzie dobrze zrumieniony z wierzchu, a wbity patyczek będzie suchy. Studzimy przykryty ścierką. W suchym miejscu przechowuje się wiele tygodni i zawsze najlepiej smakuje lekko podgrzany. © P



Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).



ZMYSŁY

SZAŁ SZOPKOWY

Kiedy przyszły święty, Franciszek, wrócił z Palestyny, zapragnął odtworzyć wyjątkową atmosferę Betlejem. Wszystko działało się w Greccio, niewielkiej miejscinie. Mieszkańcy miasta rozpalili pochodnie, wystawili wyłożony sianem żłób, przyprowadzili osła i woła. I się zaczęło.

BARTEK KIEŻUN

NIE LUBIĘ PIAZZA NAVONA TYLKO RAZ W ROKU, W GRUDNIU, bo wtedy nieomal całą jego powierzchnię zajmują handlarze prezentami, pamiątkami i ozdobami choinkowymi o szemranym rodowodzie. Ich stanowiska oświetlone trupim blaskiem energooszczędnych żarówek straszą prawie całą dobę i skutecznie przykrywają urok jednego z najpiękniejszych placów na świecie. Nie lubię, ale jestem w mniejszości. Tłumy odwiedzające jarmark za nic mają zarówno lodowaty blask żarówek, jak i uroki placu wokół. Trochę szkoda, bo tu właśnie, jak na dłoni, widać historię Rzymu. Dwa tysiące lat

temu plac był stadionem mieszczącym blisko trzydzieści tysięcy głodnych rozrywki widzów, a budynki stojące dziś dookoła niego zbudowano na trybunach, które tu i ówdzie widać jeszcze w piwnicach pałaców.

Koszmar Dickensa

Kiedy w XVII w. następcą Świętego Piotra został Innocenty X, Piazza Navona stała się polem zacieklej rywalizacji dwóch rzymskich twórców, którym zawdzięczamy to, jak miasto dziś wygląda, czyli Gianlorenza Berniniego i Francesca Borrominiego.



MANUEL DORATI / ANADOLU / EAST NEWS

*W Neapolu na ulicy San Gregorio Armeno figurki do szopki możesz kupić przez cały rok.
Po lewej: Jarmark bożonarodzeniowy na Piazza Navona w Rzymie.*

Główną ozdobą placu jest Fontanna Czterech Rzek. Pierwotnie miał ją zaprojektować genialny, choć, by rzecz delikatnie, skomplikowany emocjonalnie Borromini. Przez chwilę był górą, ponieważ po klęsce poniesionej przy stawianiu dzwonnicy przy Bazylice Świętego Piotra Bernini został odstawiony na boczny tor. Artysta, mimo geniuszu i faktu, że podporządkował swoją sztukę religii i stał się – jak mówią dziś historycy sztuki – „tubą propagandową kontreformacji”, stracił względy u papieża.

Dumny Innocenty mógłby latami lekceważyć artystę, gdyby nie podstęp księcia Niccolò Ludovisiego. Ten kiedy usłyszał o pomysle papieża zbudowania wielkiej fontanny na środku placu, prędko dał znać Berniniemu. Gianlorenzo wykonał projekt fontanny używając do tego, jak głosi plotka, czystego srebra. Ludovisi wniósł makietę do głównej sali pałacu, który miał odwiedzić papież. Na widok projektu Innocenty X zdębiał, przeklął szpetnie, wiedząc że to dzieło Berniniego, którego nie chciał zatrudniać. Projekt jednak tak mu się spodobał, że zlecił jego realizację wielkiej i sprawnej pracowni Berniniego. Borromini musiał obejść się smakiem wybornego zlecenia.

Imponującą fontannę, zwieńczoną gołębiami z brązu, herbem rodu Pamphilij, rzymski lud pokochał od razu, a Piazza Navona stała się miejscem spotkań Rzymian, niezależnie od statusu majątkowego. Przez cały dzień kręcili się tu kupcy, ak-

torzy, sztukmistrze i prostytutki, doglądane przez okno przez Olimpię Maidalchini, bratową papieża, która mieszkała tu w rodzinnym pałacu, dziś będącym brazylijską ambasadą. Ta zaufana doradczyni papieża była szarą eminencją Watykanu i kobietą o wyjątkowej zdolności zarabiania pieniędzy. Od niej i tylko od niej zależało, kto będzie mógł stanąć przed papieskim tronem i być wysłuchanym. Również od niej zależało, kto będzie mógł kupczyć ciałem w Rzymie. A Navona ze względu na popularność wśród ludu była idealnym miejscem do uprawiania nierządu.

Artystyczne napięcie na linii Borromini – Bernini na Piazza Navona przybrało szczególną postać. Ma je rzekomo obrazować jedna z figur wspaniałej fontanny. Zmysłowy Ganges zasłania sobie ręką twarz, by nie patrzeć na fasadę kościoła Sant' Agnese in Agone, zaprojektowaną przez Borrominiego. Czy to prawda? Nie do końca wiadomo. Zawsze można się do czegoś przyczepić. Kiedy w 1844 r. Charles Dickens odwiedził Rzym i pokazano mu Piazza Navona, orzekł, że miejsce jest paskudne, a o pomnikach Berniniego napisał, że to najszkaradniejsze dzieła sztuki w całym świecie.

Import

Inaczej uważał rzymski poeta Gioacchino Belli: „Piazza Navona gwizdze na napuszony plac Hiszpański i na Świętego Piotra”. ➔

→ Podzielałam ten pogląd, lecz kiedy są Święta, zmykam stamtąd do bazyliki Santa Maria Maggiore z jej najstarszą trójwymiarową szopką bożonarodzeniową. Trójwymiarową, bo do XIII wieku szopka była wyłącznie malowana. Najstarsze przedstawienie Matki Boskiej z małym Jezusem odnaleziono w Rzymie w Katakumbach Priscylli. Późniejsze malowane przedstawienia Bożego narodzenia wierne były artystycznej tradycji Bizancjum. Tłem zawsze była jaskinia, a Jezus leżał w żłobie wyłożonym słomą. Ten fakt jest istotny, bo bizantyjski pomysł przełożył się na nazwę szopki. Łacińskie *praesaepe* to po prostu żłób.

Szczątkowe informacje na temat narodzin Jezusa w ewangeljach, skupione wokół opowieści o braku miejsca w gospodzie i złożeniu dziecka w żłobie, któremu pokłonili się pasterze i aniołowie, pozwalały na puszczanie wody fantazji i wzbogacenie wizji przez dodanie szczegółów i reinterpretacji.

W 1220 roku przyszedł święty, Franciszek, wrócił z Palestyny do Umbrii i zapragnął odtworzyć wyjątkową atmosferę Betlejem. Wystarzał się o zgodę papieża Honoriusza III i wszystko starannie zaplanował. Reguła zakonu Braci Mniejszych została uznana przez papieża zaledwie miesiąc wcześniej, więc nie mogło być mowy o błędach. Przez dwa tygodnie staranie planowano każdy element mszy, która miała się odbyć 25 grudnia 1223 r.

Wszystko działo się w Greccio, niewielkiej miejscinie na granicy Umbrii i Lacjum. Ołtarz przygotowano w grocie w pobliżu osady. Mieszkańcy miasta rozpalili po zmroku pochodnie, wystawili wyłożony sianem żłób i przyprowadzi osła i woła. Nie był to pomysł Franciszka, bo przedstawienia tych właśnie zwierząt pojawiały się już wcześniej, między innymi na płaskorzeźbach w Rawennie i sarkofagu Adelfii z IV wieku, który dziś można obejrzeć w muzeum w Syrakuzach.

O tym, co działo się dalej, wiadomo z pism świętego Bonawentury z Bagnoregio. Ten włoski teolog, który spisując nową wersję życia świętego Franciszka postawił na cnotliwe życie, umniejszając akcentowane wcześniej ubóstwo, donosi, że wokół żłobu zgromadzili się mieszkańcy miasta. Uroczystą mszę odprawiał Franciszek i opowiadał wszystkim o dziecku z Betlejem.

Dla kościelnych hierarchów, którzy usłyszeli o wydarzeniu, stało się jasne, że szopka ma wyjątkową zdolność do przekazywania wiary w sposób prosty i zrozumiały dla wszystkich. Opowiadano też, że siano z pierwszego żłobu ma wyjątkową moc i leczy zwierzęta w Greccio.

Prototyp

Działania świętego Franciszka w dużym stopniu zdeterminowały wygląd szopek bożonarodzeniowych na półwyspie Apenińskim na kolejne stulecia, co staje się jasne dla każdego, kto odwiedzi bazylikę Santa Maria Maggiore. Kamienne gotyckie rzeźby Arnolfa di Cambio, które powstały kilka dekad po wydarzeniach na pograniczu Umbrii i Lacjum, przedstawiają Marię z Jezusem na ręku, Józefa stojącego w oddali, co jest pamiątką po szopce bizantyjskiej, ale są trzej królowie i wół z osłem.

Całość wyrzeźbiona w marmurze z Carrary miała być ozdobą Oratorium Narodzenia Pańskiego w prawej nawie bazyliki. Miejsce nie zostało oczywiście wybrane przypadkowo. Świątynia, zbudowana w V wieku przez papieża Sykstusa III, otrzymała wezwanie Santa Maria in Praesepe. Wcześniej

w tym miejscu na Eskwilinie czczono Junonę Lucinę, opiekunkę rodzących kobiet. Oratorium powstało w VII wieku i będąc częścią świątyni miało pomieścić relikwie przywiezione do Rzymu z Betlejem: fragmenty żłobu i materiał, w który owinięto Jezusa po urodzeniu.

Rzecz miała też wymiar polityczny. Chodziło o zwrócenie społecznej uwagi na fakt, że Palestyna w 640 r. została podbita przez Arabów pod wodzą kalifa Umara ibn al-Chattaba. Wbrew pozorom podobnie rzecz się miała z remontem oratorium i zleceniem dla Arnolfa di Cambio w 1291 r. To data ważna dla historii szopki, ale też moment oblężenia Akki przez wojska Al-Ashrafa Salāh ad-Dīn Khalil ibn Qalawūna, człowieka który zakończył epokę krucjat i europejskiej dominacji w Palestynie. Doszło wówczas do barbarzyńskiego aktu zniszczenia miasta zgodnie z polityką mameluków, która miała na celu uniemożliwienie powrotu krzyżowcom.

Mimo szkód miasto nadal opisywano jako piękne, a port nadal był w użytku. Niemniej jednak porażka dyplomatyczna, jaką poniósł Mikołaj IV jako promotor kolejnej krucjaty, zaowocowała zleceniem stworzenia rzeźby, bo sprowadzone tu cenne relikwie dały Rzymowi nowe możliwości. Miasto było siedzibą papieża, ale także nowym miejscem nadrodzin Jezusa, a bazylika Santa Maria Maggiore stała się „Drugim Betlejem” i głównym celem pielgrzymów w okresie świąt Bożego Narodzenia.

Pod koniec XVI wieku Sykstus V zlecił przebudowę bazyliki. Szopka Arnolfa di Cambio została w całości zapakowana w wielkie pudło i usunięta, by zrobić miejsce dla kaplicy Najświętszego Sakramentu, inaczej zwanej Sykstyńską. Z pierwotnego oratorium oprócz figur zachowało się niewiele ponad opis autora projektu przebudowy Domenica Fontany. Z notatek wynika, że było to prostokątne pomieszczenie o wymiarach około dwa i pół metra na cztery, które miało za zadanie odtworzyć w mniejszej skali otoczenie zbudowane przez cesarza Konstantyna w Betlejem. Zanotowano również, że podstawą pracy di Cambio był opis zawarty w jednym z listów świętego Hieronima. Dziś najstarszą wyrzeźbioną szopkę można oglądać w Muzeum Bazyliki Santa Maria Maggiore.

Kolejne malarskie przedstawienia żłóbka czerpały z fuzji sztuki Wschodu z tą z Zachodu, różnie tylko rozkładając akcenty. Pietro Cavallini, twórca, którego wspaniałe freski można dziś oglądać między innymi w bazylice Santa Cecilia in Trastevere, spoglądał na wschód. Giotto, tworząc freski w kaplicy Scrovegnich w Padwie, był już pod wrażeniem tego, co zaproponował święty Franciszek, bo choć Józef jest u niego jeszcze oddalony od Marii, to obecność zwierząt i naturalizm przedstawienia jest ukłonem w kierunku nowej ikonografii szopki.

By coś się w szopce zmieniło, trzeba było poczekać trzy wieki.

Wariacje

Pomnik stojący na Piazza San Gaetano w Neapolu jest jedną z ikon miasta. Codziennie mijają go tysiące ludzi, ale zakładam, że mało kto zastanawia się, kto stoi na wysokim cokole. „Plac jest nieduży. Stoi przy nim bazylika San Paolo Maggiore oraz wspaniały kościół San Lorenzo. Do San Gregorio Armeno też nie jest zbyt daleko. Skąd więc się tu wziął święty Kajetan?” – zastanawiałem się, siedząc na lodowatej balustradzie bazyliki świętego Pawła pewnej zimy.

Otóż historia jest następująca. Bazylika świętego Pawła u swych początków była zupełnie inną świątynią. Zbudowali ją Rzymianie i poświęcili Dioskurom, czyli Kastorowi i Polluksowi. Synowie Zeusa byli uważani za bogów poezji, muzyki i tańca, a w południowej Italii czczono ich jako opiekunów żeglarzy. Nic więc dziwnego, że poświęcono im miejsce w samym centrum antycznej metropolii. Odnalezione fundamenty pozwalają datować świątynię na V wiek przed naszą erą.

Po przyjęciu chrześcijaństwa wszystko się zmieniało. Nie bardzo szybko, ale nieubłagane. Aby uczcić któreś z morskich zwycięstw świątynię przebudowano w VIII wieku i poświęcono ją świętemu Pawłowi. Kiedy w XVI wieku w Neapolu pojawił się Gaetano wraz z zakonnikami należącymi do powołanego przez siebie zgromadzenia, czyli Zakonu Kleryków Regularnych, zwanych Teatynami, wicekról Pedro da Toledo oddał im kościół. Oczywiście nie bez powodu. Kajetan był już wtedy znaną osobą, uchodził za wyjątkowo dobrego człowieka opiekującego się przez całe życie chorymi w zakładanych przez siebie szpitalach.



Dolina Pierwszej Szopki w kościele San Domenico w Rieti. Pierwsze przedstawienie Bożego Narodzenia pochodzi z 1223 r. ze wsi Greccio, ok. 15 km od Rieti.

W Neapolu Gaetano kontynuował działalność, a w wolnych chwilach poświęcał się przekształcaniu starej neapolitańskiej tradycji polegającej na budowie przedstawień narodzin Jezusa. Wiele w tej materii Neapol zawdzięczał królowej Sanchy. Pochodząca z Majorki, żona Roberta Mądrego w 1340 r. ofiarowała piękną szopkę zakonowi Klarysek i rozpętała modę na budowę podobnych przedstawień w innych kościołach. Przez kolejne lata szopki zawaładnęły umysłami mieszczan. Pietro i Giovanni Alemanno wyrzeźbili wspólnie scenę dla kościoła San Giovanni a Carbonara w Neapolu w XV wieku. Powstawały też przedstawienia w terakocie i marmurze. Wszystko jednak zmieniło się wraz z pojawieniem się Gaetana, który uznawany jest za ojca nowoczesnej szopki neapolitańskiej. W 1530 r. stworzył w Oratorium Santa Maria della Stalletta szopkę. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby Gaetano nie zdecydował się

ubrać wszystkich ceramicznych figur zgodnie z modą obowiązującą w XVI-wiecznym Neapolu. Wzbogacił też szopkę o postacie przynależne do świata jemu współczesnego. I tym rozpętał prawdziwy szal szopkowy. Mieszczanie zaczęli stawiać je w domach, rywalizując ze sobą, kto zrobi to najpiękniej. Kolejni papieże byli zachwyceni. Nic tak dobrze nie krzewiło religii jak święta rodzina, zwierciadło, w którym mogli przejrzeć się wszyscy w mieście.

Na kolejne zmiany należało poczekać do XVII wieku. W 1640 r. rzeźbiarz Michele Perrone wymyślił sobie, że tworząc szopkę zostawi postaciom ceramiczne głowy, dłonie i stopy, ale połączy je drucianym stelażem obwiązany pakulami. Pomysł był rewolucyjny, bo poży stały się jeszcze bardziej plastyczne, a to pozwoliło szopce osiągnąć realizm wcześniej trudny do uzyskania. Przy złóbku pojawiły się postaci zwykłych ludzi. Zza węgła wyglądały kobiety z zakupami, żebracy prosili o jałmużnę, karczmarze przechadzali się z dzbanem wina, szewcy naprawiali buty. Dodano także architektoniczne fragmenty świątyni greckich i rzymskich,

aby podkreślić triumf chrześcijaństwa nad wcześniejszymi religiami Półwyspu Apenińskiego.

W XVIII wieku Giuseppe Sanmartino, ten sam, który wyrzeźbił słynnego na cały świat Chrystusa przykrytego welonem, czyli Cristo Velo, dał szopce nową energię. Odszedł dość daleko od klasycznego przedstawienia narodzin, odsuwając je gdzieś na dalszy plan, na pierwszy wydobywając codzienne życie w mieście. Pojawiły się w szopce stoły pełne mięs i kosze wypełnione owocami i warzywami. Pancetta, którą za dwieście lat będzie się dosmaczało carbonarę, wisiała u powały, a towarzyszyły jej wielkie kawałki sera provolone. Pizzaioli roznosili pizzę, a wspinałe ubrania dla figurek szyły zawodowe krawcowe, używając resztek pozostałych po szyciu sukien bogatych neapolitanek. Bogaci wymieszali się w szopce z biednymi, a nad wszystkim

unosili się tłuszczutki, różowutki aniołki. Szopka osiągnęła szczytowy moment swojego rozwoju.

Pomnik świętego Kajetana nie stanął jednak na placu z powodu szopki neapolitańskiej tylko dlatego, że w kościele ofiarowanym mu przez wicekróla święty został pochowany. Mauzoleum znajduje się pod kościołem, na prawo od wejścia. Stojący na cokole Kajetan spogląda na uliczkę przy kościele San Gregorio Armeno, gdzie od lat pracują rzeźbiarze wykonujący figurki, którymi ozdobione zostaną szopki bożonarodzeniowe. Jest tu gładki niczym aniołki Silvio Berlusconi, są Maradona, Totò i dziesiątki innych neapolitańskich ikon, które można kupić i postawić w szopce obok świętego Józefa, zgodnie z wypracowaną przed laty zasadą mieszania *sacrum* i *profanum*.

Co Franciszek rozpoczął, rozkwita dziko w Neapolu, zgodnie z naturą tego miasta.

© BARTEK KIEŻUN

STANISŁAW

Mancewicz:

List gończy jako gatunek literacki



POLSKA – TO WIE KAŻDY – JEST BARDZO ciekawym krajem. Dość powszechnie na świecie uznaje się naszą oryginalność. Wielu ludzi z zaciekawieniem studiuje nasze dzieje, naszą kulturę, słucha polskiej muzyki, kupuje polskie produkty i lubi polską kuchnię.

Wielu ludzi w świecie tańczy nasze tańce. Na przykład poloneza. Uważają oni – słusznie – że jest to taniec dobry dla osobnika podmęczonego bez szczególnych predyspozycji. Sporo się mówi również o polskiej literaturze. Tu i ówdzie. Choć wielu uważa, że mówi się o niej w świecie za mało. Przychylamy się do tej opinii.

Ponieważ idą Świąta, a więc jest to czas tradycyjnie uznawany za zdalny do podsumowań, cisną się nam na myśl przeróżne sumy. Ktoś podpowiada, byśmy szybko i śmiesznie ocenili rok działania nowej władzy, ktoś inny domaga się, byśmy jeszcze śmieszniej podsumowali rok byłej władzy. Kto śledzi media, ten wie, że analiz i opisów na te tematy jest sporo. Bardzo śmiesznych i bardzo nieśmiesznych. Trudno nam więc się wcisnąć pomiędzy te sumy. Wiadomo. Jeżeli by nas jednak poproszono o jakąś syntezę mijającego czasu, byłyby to raptem dwa słowa, układające się w nieco westernowy termin: „list gończy”.

Tak. Polska ostatnich miesięcy jest krajem drukującym najwięcej na świecie listów gończych. I to jest kolejny powód podziwu oszołomionego świata. Bo takie jest tu zapotrzebowanie,

zarówno mas, jak i elit. Stawiamy mocną tezę, że polska literatura i polskie czytelnictwo są zdominowane przez nowy gatunek literacki, a jest to list gończy właśnie. List gończy spełnia – popatrzmy – oczekiwania rozpędzonego świata. Wszystko w liście gończym jest krótkie i na temat. List gończy nie znosi dłużyzn, rozwlekłych opisów przyrody. Sceny obyczajowe skrócone są do jednej linijki, wątki kryminalne – siłą rzeczy dominujące – obecne są w specyficznym ujęciu i w swoistej stylistyce. Bez kłopotliwych intelektualnie zagadek, stawiających czytelnika w upokarzającym niezrozumieniu. Świat w liście gończym jest przedstawiony za pomocą słownictwa dawniej zwanego milicyjnym, dziś ten wokabularz jest w powszechnym użyciu, też wśród akademików i ministrów.

Można by rzec na głos, że najgłośniejszymi polskimi literatami są teraz prokuratorzy i sędziowie, bo dokładnie nie wiemy, kto pisze. Kto tworzy? Czy bardziej pani prokurator, czy pan sędzia? Nie wiemy, czy jest to literatura raczej męska, czy może kobieca, raczej konserwująca stylistykę i konstrukcję, czy może list gończy dojrzał i ma już rolę modernizującą? Na razie są to pytania bez odpowiedzi.

Idźmyż dalej, bowiem nikt nie woła. Dystrybucją listu gończego – popatrzmy – nie zajmuje się ani hurtownia, ani księgarnia. O jego popularności nie decyduje recenzent, nie krytyk, nie kiermasz ani renomowane targi książki. Do Krakowa, do Warszawy, do Frankfurtu polski list gończy dociera nie przez Instytut Książki, a przez sieć posterunków policji, dociera mailem bądź faksem. Upowszechniają go tajniacy, tajniaczki oraz osoby tajne. Jest do przeczytania w zasadzie wszędzie – jak okiem sięgnąć – też w radiowozie, gdy oto mamy okazję się w nim znaleźć z okazji legitymowania, pałowania bądź skuwania, czy także gazowania, bądź przeszukiwania, słowem przy okazji wszystkiego, co oszczędnie, ale celnie nazywa się dziś „przeprowadzaniem czynności”. Każdy przyzna, że ręce same składają się do oklasków. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilk Superbohater.



Wydawnictwo Albatros

życzy zaczytanych Świąt!



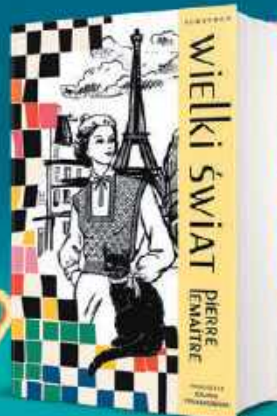
WYDAWNICTWO
ALBATROS



Jedna z najważniejszych książek o Ameryce, jakie kiedykolwiek napisano.



Tę książkę powinien przeczytać każdy, kto chce poznać i zrozumieć historię Ameryki.



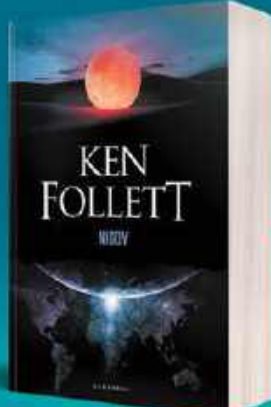
Ekstrawagancka komedia ludzka – saga rodzinna, powieść kryminalna, przygodowa i historyczna.



Opowieść o meandrach ludzkich losów i kapryśnej miłości, która rozdziera serca i dodaje skrzydeł.



Doskonale uzupełnienie portretu intelektualistki, literatki i ikony feminizmu, Virginii Woolf.



Mistrzowska *political fiction*. Budzący groźę scenariusz, który mógłby stać się rzeczywistością.



Fascynująca podróż przez rockandrollowe życie charyzmatycznego gitarzysty Rolling Stonesów.



Klasyka literatury gangsterskiej i jedna z najwybitniejszych powieści XX wieku.



Wielki Gatsby i gotyckie powieści grozy spotykają się nad brzegiem Jeziora łabędziego.



Wzruszająca i uniwersalna lekcja życia. Inspiracja i wsparcie dla małych i dużych czytelników.



Śmiała wyprawa niecodziennych bohaterów – napędzana siłą przyjaźni i wzajemnego poświęcenia.

Odkryj jeszcze więcej pomysłów na książkowe prezenty!





GDAŃSK

Boże Narodzenie 2024

Dajmy sobie wzajemnie
życzliwość i pokój,
a te z zacisza domów
niech rozleją się na świat

Dzielmy się dobrem,
aby w tym świątecznym czasie
nikt nie był sam,
a w nowym roku nie brakło nadziei

Aleksandra Dulbiewicz

Aleksandra Dulbiewicz
prezydent Gdańska

Agnieszka Owczarczak

Agnieszka Owczarczak
przewodnicząca Rady Miasta Gdańska

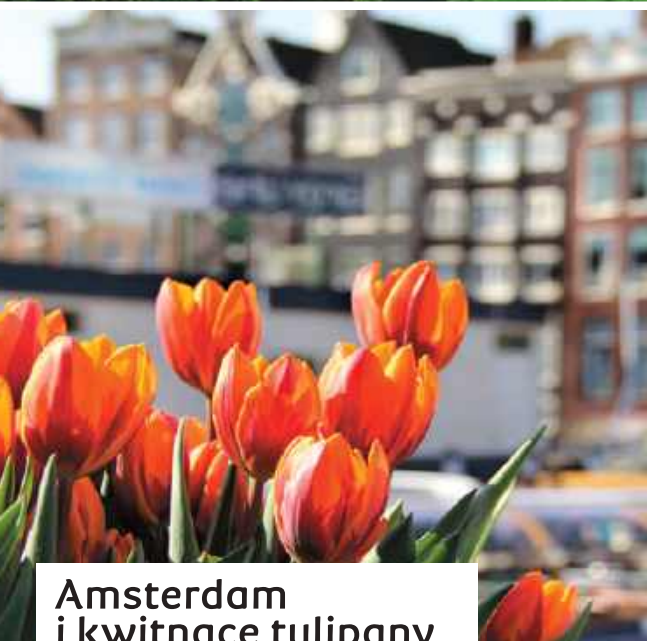
„Dolce vita” w Toskanii

Fantastyczna podróż kulturowa, podczas której odkryjemy tajniki włoskiego stylu życia i poznamy włoską kulturę, kuchnię, język oraz doskonałe wina.

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Rzymu. Przyjazd do Chianciano Terme. **Dz. 2** Umbria i magiczne Orvieto. **Dz. 3** Włoski targ i etruskie muzeum. **Dz. 4** Całodzienna wycieczka do Sieny wpisanej na listę światowego dziedzictwa UNESCO i spacer szlakiem do Via Francigena. **Dz. 5** Asyż – miasto Świętego Franciszka. Wizyta w kościele Św. Franciszka. **Dz. 6** Warsztaty kulinarne. Przygotowanie włoskiej pasty. Podstawy jęz. włoskiego i czas wolny. **Dz. 7** Degustacja win i uroczę popołudnie w San Gimignano. **Dz. 8** Piękne renesansowe miasto Pienza, spacer do Cappella di Vitale i wizyta w Montalcino. **Dz. 9** Dzień wolny w Chianciano Terme. **Dz. 10** Wylot z Rzymu do Warszawy.

10 dni | Wyloty z Warszawy 28/04, 22/05 2025 | **5.298,-**

Piknik i degustacja wina w cenie



Amsterdam i kwitnące tulipany

Program wycieczki:

Dz. 1 Wylot z Warszawy do Amsterdamu. Wiatrak w Zaanse Schans. **Dz. 2** Amsterdam – rejs po kanałach i pływający targ kwiatowy. **Dz. 3** Park kwiatowy Keukenhof. Wizyta na farmie serów. **Dz. 4** Amsterdam – czas wolny i powrót do Warszawy.

4 dni | Wyloty z Warszawy
05/04, 02/05 2025

4.498,-

Wesołych Świąt



Angkor – imperium w głębi dżungli

Dz. 1 Wylot z Warszawy do Bangkoku. **Dz. 2** Przylot do Bangkoku. Zwiedzanie miasta. **Dz. 3** Bangkok. Wielki Pałac Królewski i Wat Pho. Przejazd do Chanthaburi. **Dz. 4** Chanthaburi – Battambang, Kambodża. Zwiedzanie miasta. Killing Caves (Jaskinie Zabijania). **Dz. 5** Battambang – Siem Reap. Świątynia Wat Phnom Banan. **Dz. 6** Siem Reap. Angkor Thom oraz Angkor Wat. **Dz. 7** Siem Reap – Phnom Penh. „Wioska Pajaków” (Spider Village) oraz zwiedzanie miasta riksą rowerową. **Dz. 8** Phnom Penh. Zwiedzanie miasta, Pałac Królewski (Royal Palace), Muzeum Ludobójstwa Tuol Sleng i Pola Śmierci (Killing Fields). **Dz. 9** Phnom Penh, rejs rzeką Mekong do Chau Doc w Wietnamie. **Dz. 10** Chau Doc. Wycieczka rowerowa. Wypoczynek w Victoria Nui Sam Lodge. **Dz. 11** Chau Doc – Can Tho w Delcie Mekong. Wizyta na bazarze. Rejs. **Dz. 12** Can Tho – Ho Chi Minh. Pływający targ w Delcie rzeki Mekong. **Dz. 13** Ho Chi Minh, tunele Cu Chi, zwiedzanie miasta i kolacja pożegnalna. **Dz. 14** Ho Chi Minh. Spacer po mieście. Czas wolny. Wylot do Warszawy. **Dz. 15** Przylot do Warszawy.

15 dni | Wyloty z Warszawy
25/02, 22/04, 16/09, 07/10 2025,
31/01 2026

od 11.998,- 2 posiłki dziennie

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8 p.

Kod reklamy: TP06

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Najlepszego nastroju na Święta
i karuzeli spełnionych marzeń
na Nowy Rok

2025

życzą

Aleksander Miszański
Prezydent
Miasta Krakowa

Jakub Kosek
Przewodniczący Rady
Miasta Krakowa

